Rękopisy.

Drukowanych utworów prozaicznych
Mieczysława Pawlikowskiego.

1. Pseudo. Plotki i Prawdy 1871
2. Panna Kapitanówna 1878
3. Cmentarz Pizański (z Castelara) 1878
4. Testament Napoleona 1878
5. W grudniowe dni 1881
6. Druga miłość 1883

Pseudo. Plotki i prawdy

(Trzy karty rękopisu Plotek i Prawd.)

Drukowane w *Kraju* krakowskim w r. 1871.

Odbitka z Kraju 1871.

Między skromnym a innemi pseudo-chudemi kardynalna zachodzi różnica. Ci ostatni udają chudych i chorych w tym celu aby się uwolnić od ciążącego na nich obowiązku, wykręcić od trudu i pracy, od ofiary czasu lub grosza. Przeciwnie skromni używają swojej maski i swoich fortelów na to jedynie, aby dać ludziom poznać własną wartość, wielkość ofiary jaką ponieść mają, wreszcie cały ciężar obowiązku którego się ostatecznie po długich parlamentowaniach, namowach, prośbach i zaklęciach podejmą – wyściskani i oblatowani przez całe zgromadzenie.

Imieniny pana Bonawentury w Podchmielówce 14go lipca każdego roku obchodzą się przy licznym udziale całego sąsiedztwa w sposób mało gdzie już praktykowany, przeważnie staropolski. Francuskiego barszczyku tam nie znajdziesz ani na lekarstwo, bezbożny szampan tam nie strzela korkami do czerwonej lampki przed obrazem Matki Boskiej Poczajowskiej wiszącym w jadalnej sali – nie masz tam nic prócz węgrzyna. Węgrzyn... ale gdybyście wiedzieli jaki! – Otóż na imieninach poczciwego pana Bonawentury, powtarza się od lat kilkunastu corocznie 14go lipca o jednej i tej samej godzinie pewna ceregiela przedstawiająca w żywym obrazie jak to można być „skromnym". – Pan Zenon który ma tęgą do węgrzyna głowę, wychyla duszkiem zdrowie po zdrowiu. – Żadnego nie opuści (Przy każdem ociąga się i skarży że będzie za wiele, ale) a było ich szereg nie mały. Do zdrowia solenizanta z familijnego pucharu, świecącego rodowym klejnotem i po kilkunastu następnych zwykłemi kieliszkami wychylonych, występuje na stół to poważny „Oportor"-kielich z odtłuczoną podstawką, to pękaty „Syndyk" w którego blisko pół butelki się mieści, a kolejne zdrowia Konsolacji, Dam, Duchowieństwa, Gospodarskiej Zgody Sąsiedzkiej i t.d. i t.d. odetchnąć oddechu nie dają. – † jak czarodziej wszystkiemu daje radę jakby to nic. Nie poczerwienieje na twarzy, oczy mu nawet nie zaświecą żywszym blaskiem. Czasami tylko mi zwykle powtarza swoje: „Panie-panie-dobrodzieju!" Tyle wszystkiego. – A innym język chodzi już w pantoflach a sala jadalna tańczy im w oczach walczyka. –

Wtem jawi się na stole sławny

† Pan Zeno ceremonjuje przy każdym toaście coraz więcej. Potrzeba całej wymowy jego sąsiada z prawej strony i wszystkich przyjacielskich rad jego sąsiada z lewej ręki aby go skłonić do wychylenia wszystkich tych toastów. – Skarży się i wymawia a jednak

Szanowne panie, najłaskawsze czytelniczki! nie sądzicie abym i dla was nie miał miejsca w moim albumie. Wy wiecie że wam tu właśnie miejsce się należy, gdy mowa o udawaniu chorowitości, delikatnego zdrowia, rozdrażnionego systemu nerwowego. Od iluż to przykrych i nudnych obowiązków uwolnić się można wmawiając w ludzi i w siebie samą że siły nie starczą, wątłe zdrowie nie dozwala, drażliwe nerwy niemożebnem czynią to lub owo, coby się *powinno* ale czego się *niechce*... Nieprawdaż? – O niejednem mówi się także: „*Nieumiem*, – *niepotrafię*" i t.p. a potrafiłoby się gdyby się chciało szczerze i serdecznie. – Niekiedy mówi się: „*nie starczy*" a wystarczyłoby niezawodnie – gdyby się kazało stanowczo – jak *królowej* przystoi. Czasem mówi się wreszcie rzecz gorszą od poprzednich: „*Niewypada*", a powiedziałoby się: „*Należy*..." gdyby... gdyby się więcej *kochało*.... Wszak wiecie mocie Panie, że gdy się coś ukocha całą duszą, to wtedy najpierw wymazuje się ze słownika ten bezduszny wyraz: *niewypada*...

V. Pseudo chudzi. Skromni.

W języku myśliwskim nogi zajęcze nazywają się *skokami*, uszy *słuchami*, oczy to *ślepie*, a całe indywiduum zajęczego rodzaju zowie się *kotem*, *szarakiem* lub *kopercą*. O tem wiecie. Lecz niewiecie może o tem że dobrze wypasiony, tłusty zając nazywa się „*skromnym*".

Wbrew terminologji myśliwskiej zmuszony jestem w mej Pseudografji *skromnych* i *chudych* do jednej policzyć kategorji. – Wedle mojej definicji zwie się *skromnym* człeczyna udający *chudego* w tym celu aby się wydał *tłuściejszym* niż nim jest rzeczywiście. –

Str. 31.

3

w całej okolicy *Toto*, rostruchan który napełniony po brzegi pochłaniał całą butelkę i półtora kieliszka. Wyryte na nim jaśnieją herby Korony i Litwy ⌈ - Pan Bonawentura napełni go po brzegi - powstanie i podniesie olbrzyma ostrożnie wgórę aby ani jednej kropli nie uronić. Następuje ogólny wykrzyk podziwu czy przerażenia: Aaaaa! A pan Bonawentura przekonawszy się że wszyscy zmierzyli oczyma rozmiary i skonstatowali sumienne napełnienie kielicha, woła donośnym swoim głosem: *Panowie!* a potem z akcentem serdecznego wylania: *Panowie Bracia! Sandomierskie Kochajmy się!* ⌈ Przechyla kielich do ust, - przechyla coraz bardziej, złoty nektar widocznie ubywa; (milczenie ogólne, cisza głęboka.) - Pan Bonawentura ani odpocznie, ani odetchnie, pije i pije, aż wkońcu próżnego *Toto* dnem na dół obróci i ostatnią kroplę (wina) wytrząśnie na paznokieć wielkiego palca aby ją na paznokciu do ust swoich ponieść. Brawa ze wszech stron a Pan Bonawentura oddycha głęboko. - Podaje kielich panu Zenonowi.

⌈a dokoła napis łaciński zaczynający się od słów: *Toto animo et corde*....

⌈ *W twoje ręce Zenonie!* (: Tu pan Zenon czyni gest odmowny:). Gospodarz

Pan Zeno. - Niemogę! - Niepodobieństwo! - W żaden sposób!

Współbiesiadnicy zaczynają na pana Zenona krzyczeć ze wszystkich stron: Jakto? Kochajmy=się niewypijesz? A to by pięknie było! Niemożesz? Cóż znowu? a przeszłego roku?

Pan Zeno. - Chorowałem. Już ja nie ten sam. - Postarzałem się. Dajcie pokój. Będzie mi szkodzić. i t. d.

Pan Bonawentura. Zenonku! nie wymawiaj się napróżno. Nie rób że mi tego. Kochajmy=się musisz wypić - nic ci nie pomoże!

- Musisz! musisz! wołają ze wszech stron.

Pan Zeno opiera się

wypić ten toast *wszystkim* kieliszkiem.

Śmiech homeryczny.

Pan Zeno pod ogólnym naciskiem ofiaruje się że „*Syndykiem*" wypije to zdrowie.

- A fe! fe! Na *Syndyków* niema orła...

- I Pogoni! dodaje pan Korfian, którego siwiusko

kończy się na *wicz* a nie znajdzie się w Wiesiołkin, a których z tego powodu utrzymuje że rodzina jego pochodzi z Litwy.

Pan Zenon wreszcie przyparty ze wszech stron oświadcza że wychyli straszne *Toto*. –

Podają kielich. Już nalany. – Pan Zeno przypatruje mu się i wzdycha ciężko. Podnosi go i jakby tracił odwagę stawia znowu na stole.

Oznaki zniecierpliwienia.

Wreszcie pan Zenon podnosi go i wychyla duszkiem. – Ani odetchnął. – Ostatnia kropla na paznokieć a kielich wręcz sąsiada.

Zadowolenie powszechne, huczne oklaski zmieszane z wykrzykami: Kochany! Poczciwy! –

Toto przechodzi z rąk do rąk. Kilkunastu dało mu radę. Kilku uciekło. Kilku po wypiciu wytoczyło się ze sali. Jeden upadł pod stół. – *Toto* wrócił do rąk gospodarza. –

Pan Bonawentura napełnia go bezzwłocznie. Podnosi w górę, – ale ręka już niedopisuje, *Toto* przechyla się to na jedną to na drugą stronę a wino się przelewa.

– To nie dość „kochajmy się” – woła pełną piersią. *Niedajmy się!* – Wręcz Twoje Zenonku! –

Pan Zeno protestuje trzęsąc głową na lewo i na prawo i podnosząc ręce do góry. Mówi coś przytem ale grzmot oklasków i wykrzyk ogólny: Niedajmy się! głuszy jego słowa. –

– *Wybijmy się!* zawołał głos z pod stołu.

– „*Wybijmy się*” to trzecie! odparł pan Bonawentura.

– Nie, nie! zaprzeczyła jakaś mała figurka z ogromnemi wąsami. Wybić się a niedać się to jedno i to samo.

– Nie jedno! nie jedno! wrzasło kilka głosów.

– Najprzód wybić się – potem niedać się! rozumował leżący pod stołem.

Jedni w śmiech – drudzy wołają: Prawda! ma

Str. 33.

4

trzeźwości! Najprzód wybić się!

— Niema sensu! — Niedajmy się, ot, i koniec!

— Jakto? nie pierwszy dla nas raz wybić się? Ktoby, kto to mówi? woła, barczysty jakiś szlachcic ekonomskiem.

Krzyk, wrzawa, hałas, kłótnia.

— Panowie bracia — zawoła ~~pan Bonawentura~~ wreszcie pan Bonawentura — Szanujmy ~~tradycje~~ obyczaje ojców naszych... Niedajmy się jak oni się niedali! wybijmy się jak oni się wybili! Ale pamiętajmy o tem że kiedy pili, to „niedajmy się" było zawsze chyba od Adama i Ewy, a „wybijmy się" było zawsze treścią! ~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

— Niedajmy się! niedajmy się! wrzeszczy większość, głusząc przeciwne zdania oponentów przy stole i pod stołem.

Wychylił pan Bonifacy ~~[illegible]~~ butelkowy kielich do dna — tym razem z dwoma przestankami — i podał panu Zenonowi

Pan Zeno wzbrania się przyjąć rostruchan, o wypiciu go nie chce ani słyszeć. —

Następują prośby, zaklęcia. — Nic to nie pomaga. — Ironiczne uśmiechy ~~[illegible]~~ pod niektóremi wąsami, pogardliwe kiwanie głowami. —

— Niedać się niechcesz?

— Wybić się niechcesz?

— A tegom się po tobie niespodziewał!

— Wstydź się Zenonku! co robisz? zastanów się! opamiętaj się! boś ty chyba pijany... zamawiał pan Bonawentura.

— Nie mogę! Prawdziwie, to nad siły moje! ~~Panie~~ pamię-dzieju! ciężko odchoruję. — To ogrom. — Naparstkiem mogę niewyczerpię. ~~[illegible]~~

— Jak mnie kochasz! zrób to dla mnie!

— Niemogę. — Niepotrafię. — Nie porwę się — z motyką na słońce

— Jak Twoje dzieci ~~kochasz~~ mite Zenonku!

— Niemogę

— Ee to niechodzi — zakręcił mała figurka z dużemi wąsami — to niechodzi tak między nami. Albo pij! (na sucho)

Ta pili dziewnie, ~~[illegible]~~ Za Piastów i za Jagiellonów

albo się bij! –

– Bić się nie będę i pić nie będę, panie-panie-dzieju! Co nad siły to nad siły. Umarłbym, czuję to. Zginąłbym marnie. – Amen by mi było panie-panie-dzieju!

– Zenonku! Zenonku! wołał gospodarz, siedzący na jednej ławce – Zenonku! – i pocałował go w rękę. – Patrz na kolanach cię proszę – i ugiął solenizant kolana.

Nie skutkowała ta apostrofa.

– Na pamięć Twojego Ojca! na wszystko święte cię zaklinam!

I to nie pomogło.

– Jak Ojczyznę kochasz Zenonku!

Zerwał się Zenonek na te słowa (jak oparzony:) Ha, panie-panie-dzieju, teraz muszę! Zmusiłeś mnie! Choćby miał trupem paść!

Pochwycił butelkę żeby kielich napełnić. Lecz zanim to uczynić zdołał już Pan Bonawentura rozczulony leżał w jego objęciach. Sąsiad z prawej pochwycił go oburącz i całował, sąsiad z lewej uprzedzony w tej owacji przez sąsiada z prawej daremne wysilenia aby swemi wąsami dotknąć jego wąsów. Mała figurka pochwyciła go za rękę i całując rąbek jego czamarki błagała o przebaczenie. Barczysty kontuszowiec niemogąc się dopiero docisnąć wołał raz po raz: dajcie mi go! dajcie mi go! – Pseudo-Litwin klepał go po ramieniu i powtarzał: To mi człowiek! To mi Polak prawdziwy! To mi szlachcic co się zowie!

Dorwał się wreszcie kielicha Pan Zeno. Wypił duszkiem do kropelki. –

– Na ręce go wziąć! na ręce! wołano zewsząd i podniesiono go na szlacheckich barkach i noszono wkoło stołu. – Niedajmy się – a niech nam Zeno żyje! – Niech żyje!

Ośmiu czy dziewięciu wypiło po nim napełniony Toto do ostatniej kropelki a bez wszelkich ceregieli i namowy.

Nikt jednak (prócz Zenonka) nie doczekał się owacji. Czemu?

Panna Kapitanówna

Drukowana w *Echu* warszawskiem
i *Tygodniu* lwowskim 1878.

Osobnej odbitki nie miała nigdy.

Panna Kapitanówna.

Nowella.

85 89

85 : 100 = 4000 : x

85 | 400000 | 4705
340
600
425
175
595
500
425
75

4000
+ 145 BN
= 5000 L.Z

6·03 %

4145 : 250 = 100 : x

4145 | 25000 | 6·03
20725
4275
4145
13000
12435
565

89 : 100 = 4000 : x

890
4
3560
890
4450 BN = 5000 LH

6·74 %

4450 : 300 = 100 : x

4450 | 30000 | 6·74
26700
33000
31150
18500
17800
700

„Echo“ zapłaciło za 4528 wiersz
po 6 kop.
= 136 Rbl. Sr.

8

„Panna Kapitanówna."

Nowela

1878. Drukowana w „Echu" warszawskiem i w „Tygodniu" lwowskim.

10

Warszawa, dnia 21 Lutego 1878 r.

Administracya „ECHA"

Ś.-Krzyzka Nr. 14.

Powieść p. t. „Panna Kapitanówna"
zamieszczona w Feljetonie Echa
od № 16 – 21, wierszy 4528
po gr. 6 = Rs. 135 kop. 84.

I. — Mikołaju!...
— Co?
— Powiedz no mi szczerze...
— Zakochałeś się?
— I jak!
— Ożenisz się z nią?
— Ni.
— Ni?
— Ni!
— Dlaczego ni?
— Ta bo ni!

— Co Florku?
— Dziwnie badasz?
— Ni strach!
— Podoba ci się
— A jaj!

Jaka to wielka zaleta u powieściopisarzy: być treściwym! Nie pochlebiając sobie posiadamy tę zaletę w wysokim stopniu. Wszystkiego dotąd powiedział a czytelnicy dowiedzieli się jak najwięcej wiele — Dowiedzieli się najpierw z owego „ni" it.p. słówek jak się dzieje w Sławie. Dowiedzieli się że p. Mikołaj z p. Florjanem są z sobą per „Ty", a więc wszystkim stosunkiem i to aż tak daleko posuniętym że p. Florjan ośmielił się wyprawić zapytania przesadnie rzeczy tak drażliwej czy się w pannie Wandzie zakochał a co więcej nawet oto czy się z nią ożenić gotów. — Z sposobu sformułowania tego pytania dowiedział się nadto czytelnik że od woli p. Mikołaja zależy ożenić się z p. Wandą lub nie ożenić się, p. Florjan bowiem nie zapytał: czy starać się o nią? ani: czy dostałbyś się z nią ożenić it.p. ale wręcz oto czy się ożenisz, jak gdyby niemożna wcale powątpiewać że p. Wanda owego przyjmie rękę i że wręcz jej nie przyjdzie nawet przez myśl odmówienie

tak świetnej partji jakąby okazał córki jest rzeczywiście p. Mikołaj.

Dowiedzieli się wreszcie Szybelscy że panna Wanda jest bardzo pilna, że p. Floriana wielce obchodzi czy p. Mikołaj w niej zakochany i czy się z nią żenić zamierza, a naturalnie że p. Mikołaj acz niby to zakochany jednak żenić się nie myśli i ma jakieś powody dla których można wyprowadzić przyczynę wstrzymywania się w matrymonialnych zamiarach. ⊕

Jak na pozory wiedzieć Dowiedzieli się bardzo wiele i możemy na tem poprzestać.

II

— Na herbacie u pani Marcinowej przez cały wieczór z nią tańczył. Dorawadził wszystkie tańce i nikomu ani zbliżyć się nie dał do niej..
— No to i cóż?
— A na spacerze wczorajszym do Ondeckiego lasku ani na krok nie odstąpił. Zostawiliście z tyłu daleko za całym towarzystwem...
— No to i cóż?
— A dzisiaj siadł przy niej na kozetce za fortepianem to ani się stamtąd ruszyć nie mogłem — wszyscy się na was oglądali a ona widocznie okropnie była pomięszana i siedziała jak na gorących węglach... A tyś ją tak trzymał

⊕ Z samego zaś kategorycznego zapytania p. Floriana widać jak na dłoni że postępowaniu p. Mikołaja wobec panny Wandy musi zwracać niezmierną uwagę i naznaczać dowodzi że jest w niej zakochany, że z nią ożenić się myśli.

natarkuje aż do 10tej . . . .

— Ou wa! No to i cóż?

— Badamcie panny.

[illegible] ! — E, cóż znowu!

— Wszystko to mówię...

— No to i cóż?

— To nieuczciwie...

— Ou wa!

— I niebezpiecznie...

— A to znowu dlaczego?

— Wiem jakiej jest bracie passjonat. On by cię zabił jak drań [illegible]... Czyż nie pamiętam co zrobił z tym małym Frankiem w [illegible]? Wówczas [illegible] pogruchotał. A wtedy nie [illegible] ... ale o panienkę... I o taką — to bagatela!...

— O cóż to?

— [illegible] że wiesz dlaczego panna Anna ciągle [illegible] miętową wodę, a na zapytanie skąd wie odpowiada: To mój sekret...

— No, ja wiem że z panem Kapitanem niebezpiecznie.

(Takie kompetycje!)

Taki zdarzenia [illegible] ale jesteś mnie sama [illegible] zapraszasz i panny same [illegible] rozśmiałaś z nimi... [illegible] z nimi rozmawiasz, że tańczę, jesteś mnie nie [illegible] też [illegible] także [illegible] a nawet [illegible] z zatabaczonym noskiem i z maliną na czole.

— Ale przecież [illegible] z mną razem nie [illegible]?..

— Śmieszny jesteś Florku! Kto wie, może ja się panną kiedy i zdecyduję. [illegible] co pięknego [illegible] niech ją kaci! — dobre dziecko, ale tylko [illegible] wszystko co [illegible] — to także prawda. Ale panna [illegible] i wymysłami — to wszystko prawda... Ale...

— Ale co?

No, ten głupi Jasio i ten Frybla: kotki — wodzi za nim krowa, jak dziecko, obaj jak [illegible] bez mózgu, [illegible] nie mają [illegible], ale tego Jasia [illegible] z malinką na [illegible] — to [illegible] zrobić nie mogę. Niech mi wierzy [illegible] nie wolno!

Zazdrosna ja nie wierzę. [illegible] pierwsza [illegible] czemu [illegible] nie [illegible] z uśmiechem panna [illegible]. Przez całą godzinę [illegible] gadałem o tej malinie... On o teatrze, ja o malinie, on o [illegible], ja o malinie, on o [illegible] ja o malinie... Cha cha cha [illegible] ##

[illegible] nie można [illegible] bo potem [illegible] zapomnę.

P. Mikołaj zamiast odpowiedzi wykonał następujący ruch: przysunął dwie prawie dłonie i dmuchnął. Przysunął więc i dmuchnął. Wreszcie wyciągnął obie ku p. Florianowi i pokazał że puste i cmoknął przytem ustami [illegible].

— Aha! — rzekł p. Florian i smutnie zwiesił głowę. I zapytał po chwili:

— To Dziennik chce się z głowy zamorzyć?

— Da! Dobrze! Stary Kapitan nie podobno już nie [illegible] swojej pensji, ale ona wzięła — ale mnie nie. Jest wujenka kapitanowej stara panna Szczepankiewicz i jest ciotka Jej, stara panna sparaliżowana. Jedno i drugie musi [illegible] ... mo, ale kiedy? kiedy?.. oto idzie.

— A pisze nie zmądrzał?

— Aaa to [niezdatny?]!

— Takkk? A to pech mnie! Wstydź się Mikołaju!

— No, no, no, niemamy się czego wstydzić. Nie gdybym był się na 5 minut przed ślubem dowiedział że nic niema — to bym zerwał. — Nie gdybym ... wtedy los zawarł i ciało życie będę klepał dla 14[tu] ... osób. Leśna Wólka dobra dla mnie ... ale na nas dwie niewystarczy... Ale ty? ty mi coś bardzo interesujesz się tą Dziennikiem? hm? — Nie zawracaj sobie głowy — bo tobie się nie uda. Wiesz o tem?

— Wiem — odrzekł Florek spokojnie. I dodał po chwili: wiem — i wiem dlaczego...

Następnie znowu Mikołaj dmuchnął w kołek na dłoni, wyciągnął ją przed siebie i cmoknął ustami.

Mikołaj uważał się widocznie za [illegible] z tego wyjaśnienia w hierarchji społecznej, a Florian [illegible] raz jeszcze:

— Wiem, wiem, iż dziedzic Leśnej Wólki więcej warte od Dziennikarza feuilletonisty!

— Ha, to Gdybym ja ... z [illegible] rzekł.

Ta mówiąc pożegnał się p. Mikołaj z feletonistą i odszedł tryumfującym krokiem.

Florek westchnął ciężko. Siedział długo na miejscu z zwieszoną smutnie głową i dumał. Długo tak był. Nagle głowę hardo podniósł

III.

w górę, pięścią wstrząsnął, a oczy jego zabłysnęły, jakoby iskrą [illegible]

2\. — Czekaj przyjacielu! [illegible] ja ci zadam na [illegible]! Biedna [illegible]! [illegible] na pastwę takiego III [illegible]? O nie z tego! [illegible]!

A co więcej robi [illegible] — [illegible] — Ty nie [illegible] — niewierny

W kilka dni później czytała w jednym z pism codziennych [illegible] następująca korespondencję z Jarda.

Dziś rano miasto nasze poruszone zostało bolesną wieścią. Nagłym zgonem jednego z najzamożniejszych a oraz najzacniejszych naszych obywateli, niestrudzonego dobroczyńcy ubogich a opiekuna potrzebujących pomocy. Ś. p. Januarego Damiana Czeczewicza, po którym nasz Komitet niestrudzonego [illegible] [illegible] miasto nasze długo jeszcze bolesną żałobę. [illegible] [illegible]

[illegible] nas smutkiem iż [illegible]

[illegible] rzeczywiście tego zgonu [illegible]

[illegible] że ś. p. January [illegible] duchem [illegible]

[illegible] naszego miasta. L

— [illegible], pannie Wandzie *** [illegible] swój majątek w majątkach ziemskich, przekazuje jej obowiązek [illegible] z pozostawionych [illegible] części całego mienia legaty na rzecz biednych i [illegible] [illegible] jakiejby w chwili zgonu posiadał. — Takimi dziełami jak nam [illegible] około 7000 złr. — Cześć pamięci zacnego męża.

Od Redakcji. Równocześnie dochodzi nas z Jarda korespondencja tejże samej treści, podająca zarazem [illegible], z zapewnieniem obrzuconego [illegible] z życia ś. p. J. Czeczewicza, z [illegible] na zasadzie [illegible]. — Wstrzymujemy się z jej ogłoszeniem, [illegible] na [illegible] [illegible].

L [illegible] dziś rano o 6-tej [illegible] [illegible] — [illegible], [illegible] go [illegible] [illegible] przy biurku p. [illegible] [illegible] fotografię ukochanej [illegible] a na biurku leżał świeżo napisany i nie zapieczętowany jeszcze testament w którym zapisuje się

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] przy [illegible]

P. Mikołaj wypił był ~~[illegible]~~ [illegible] czarną kawę
u mecenasa Mucińskiego i przeglądał przy tem Dziennik.
Sportowej korespondencji z [illegible] [illegible] [illegible]
przyjętemu Europejczykowi na czoło [illegible], [illegible] go

[illegible] ~~[illegible]~~ przeczytał zasłaniając mu oczy
zaniesie niebezpieczeństwo, ~~[illegible]~~

[illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible], odczytał
raz drugi [illegible], to prawda! ~~[illegible]~~ [illegible]! [illegible] korespondencji
[illegible] to samo. [illegible] kawy, [illegible] wybornego
[illegible] [illegible] (o ale, [illegible] [illegible] takich [illegible] [illegible]!:)
[illegible], [illegible] [illegible] jako [illegible] [illegible] [illegible]
~~[illegible]~~ p. Mucińskiego i jego wspólnika p. Orteckiego
[illegible] [illegible].–

(i [illegible] się [illegible] [illegible])

— Co to znaczy? – rzekł p. Muciński.

— Co [illegible] się [illegible]? zapytał p. Ortecki i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

On nie [illegible] tego – [illegible] [illegible] – [illegible]
[illegible] [illegible] – [illegible] [illegible] się [illegible] – [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] – [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
„[illegible] [illegible] zaczynać?" – [illegible]. [illegible] i [illegible] [illegible]
sam [illegible] [illegible] już [illegible] [illegible] [illegible]?–

Wpadł do swego pokoju, zrzucił [illegible] [illegible], wyjął
z szafy [illegible] [illegible], wyprasowane [illegible], ~~[illegible]~~
wyperfumował się [illegible] [illegible], [illegible] się w frak, zaczesał
[illegible] cylinder, [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] do ręki, [illegible] ze schodów, [illegible] [illegible] [illegible]
~~[illegible]~~ „Jazda na ulicę [illegible]!" i pojechał.

IV.

~~Na ulicy [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible]~~
~~[illegible] (...) najdrogocenniejsze piętro ... [illegible]~~
~~[illegible] [illegible] [illegible] się [illegible] w mieszkaniu ~~[illegible]~~~~
~~~~[illegible]~~ pensjonowanego kapitana p. Aleksandra ~~[illegible] [illegible]~~~~
~~~~[illegible]~~ de ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible].~~

~~Fryziu~~

P. Kapitan chodził wielkiemi krokami po pokoju, widocznie czemś zgniewany, to całą twarz obłażając pasem, żeby za sobą nabrzmiały, a swoje gęste brwi ściągnął i w jeden łuk gniewnie ściągnięte wąsiki. Targał olbrzymi wąs prawą ręką i zakręcał go za ucho, a lewą gestykulował, klnąc z węgierska po niemiecku to znów z niemiecka po węgiersku:

Pani Kapitanowa siedziała jak trusia na kanapce pod oknem i robiła na drutach kaftanik, a czem prędzej chodził mąż niespokojniej, tem gorzej rozpaczał, czem gorzej gestykulował, tem szybciej migotały druty w jej ręku, oczko przyglądało za oczkiem.

— Fryziu! ich sag dir: to mi już Frau za długo! już się nie więcej ścierpliwię — es dauert halt zu lang Terem... ! Robi jej kurę bass... potz Tausend! ... mej pal na ... i — nie — nie! nie! ... Ich halts nicht mehr aus! ... Gada ... Weiss Gott weiss was ... i nie! Corpo di Bacco! Tausend Donnerwetter noch ein mal ... już raz podanie ówwadery! ... bo tego ... dziewczyny pokoju und ich werf ihn die Stiegen herunter!

— Możebyś nie tak krzyczał Szandor? — wtrąciła ... p. Kapitanowa... Dziunia i tak nie pójdzie za niego...

— Co to? za nim — nie za nim? Million krotz tausend! Dziecko ma słuchać, nie rezonować! ona zatem za kim jej wolą żeby za tym być! — Wart nur Fryziu! Sie wird sich schon fügen! Chciałby ... żeby ona ... mogła ... ona nie chce co ja chcę! Papierkopf! Terem... — Odwrócił się do okna ... P. Kapitan ... i zobaczył p. Mosiężna w galowym ubraniu, zrozumiał ... — No, pięknie masz!

~~IV.~~ V.

W kwadrans później już było po zaręczynach. Zezwolenie kapitana ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ wraz z uroczystem objęciem konkurenta [illegible] teraz otworzył ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ oświadczyn. Pan kapitanowa

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

na poważną ~~[illegible]~~ drzwi zwróconą ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ po ~~Mikołaju~~ ~~[illegible]~~ jakimś ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~.

Dopiero gdy ~~[illegible]~~ gniewne ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~, ~~[illegible]~~ jakiś ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~.

Wreszcie otworzył ojciec drzwi do przyległego pokoju i ~~[illegible]~~ tak jakby ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ cały [illegible]:

— ~~Dziunia~~! chodź tu!

Dziunia ~~[illegible]~~ — ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ w galowym stroju o tak ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ i ~~[illegible]~~.

— Dziunia ~~[illegible]~~ mi radość! ~~[illegible]~~ wybrała! — Nadgroda ~~[illegible]~~! — P. Mikołaj oświadczył się o twoją rękę! ja zezwalam... to jest my ~~[illegible]~~ obaj zezwalamy!... no! Dziunia!

Dziunia stała jak martwa. ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~.

— No! — ~~[illegible]~~ ~~p. Kapitan~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ dobrotliwym ~~[illegible]~~ ale ~~[illegible]~~ już głosem ~~[illegible]~~ p. kapitan.

— Ojcze... wybąknęła cicho jakby ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~

~~Kapitan~~ ~~[illegible]~~ zatrwożony i ~~[illegible]~~ jakby ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~

— Do Dziunia ~~[illegible]~~ mnie wreszcie! — I wyciągnął ku niej ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~.

~~[illegible]~~

— A ~~[illegible]~~ teraz! — ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~...

Dziwnie rzuciło się matce w oczy i obie z głośnym wybuchły płaczem.

Kapitan przymknął oczy i zakładał [illegible] z wzruszenia [illegible] się [illegible] i rozpromienionej twarzy [illegible] p. Mikołaja.

— No, panie Mikołaju, [illegible] tak! Jak się cieszę, że jesteś [illegible] samo nieszczęście czego... a jak...

Million razy! wynoście mi się stąd do swego pokoju, bo już tego słuchać nie mogę!..

Mikołaj przystąpił do panny Wandy z banalnymi [illegible] frazesem o [illegible] i [illegible] i o dobrej wróżbie et caetera, a obie uciekły, wypiękniały się z pokoju.. ⊕

P. Kapitan poklepał przyszłego zięcia z gorącym sentymentem po ramieniu aż mu obojczyk [illegible] zachrzęścił. Zatarł ręce z zadowoleniem i [illegible]:

— No ... a teraz prawdziwy [illegible] ślub..

Odgłos dzwonka w sieni przerwał dalszą rozmowę. Kucharka [illegible] otworzyła i weszło.... ale o tem jutro łaskawi czytelnicy.

VI.

... Weszło dwie panie. Obie stare, jedna znana nam już z rozmowy [illegible] przyjaciółka panny Wandy, [illegible] p. [illegible] z zatabaczonym [illegible] i z [illegible] na [illegible]. A któż drugi? kto też [illegible] staruszek o [illegible] twarzy, [illegible] [illegible] i [illegible] w [illegible]?

— A no niechże Bóg! Million! Kogo to ja widzę! — zawołał [illegible] kapitan. A skądże to we Lwowie? A! w samą porę! w samą porę! [illegible]

⊕ Za drzwiami [illegible] wypuściło [illegible] z głębi [illegible]:

— Mamo... [illegible] wylądujemy [illegible]!

O [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] — [illegible] [illegible]. My nie [illegible] domyślni — a [illegible] odgadli. —

Dziś święto wielkie! wielka uroczystość! Niechże całe życie w mnie! To mój zięć!

I wskazał na Mikołaja.

Rozbiegły się w szkle całe (nieprzeczenie! w kolka[illegible] uczestników) Mają twarz p. Antoniego i [illegible] [illegible] [illegible] (wzruszony na Mikołaja [illegible]) A [illegible] [illegible] z [illegible] na [illegible] i [illegible] zaambarasowany i mimowoli wybąkał pod nosem:

Jak? zięć? już?... a to!...

I zerknął badawczo na p. Antoniego:

— Już! — powtórzył [illegible] [illegible] [illegible] głosem.

Teraz dopiero spostrzegł, że i p. Antoni był także we fraku i w [illegible] rękawiczkach....

Jedwabny cylinder [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible].

A p. [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] i [illegible] się z radości.

— Ale! prawda! [illegible] [illegible]!.. [illegible]...

mego... mego zięcia kochanego! p. Mikołaj X X, właściciel [illegible]!...

I mocno poklepał go po ramieniu jakby [illegible] [illegible].

— A to — [illegible] [illegible] — to [illegible] [illegible]! p. Janina [illegible]!... to [illegible] twojej żony ...

... twojej narzeczonej, [illegible] mówię! (Trzymając [illegible]) (milcząc bez [illegible] wyżej [illegible])

Mikołaj stanął jak wryty. Usta otworzył szeroko i jedno tylko wyrzekł słowo, mniej niż słowo, jakie wydobył z [illegible] przez szlochanie

— A!

[illegible] [illegible], [illegible] [illegible], [illegible] [illegible]. [illegible]! (Płomienie).

I nic więcej. I było [illegible] [illegible] [illegible] z pół [illegible] — (nieprzeczenie! [illegible] przez pół minuty:), a po tej [illegible] [illegible] tylko samogłoska wydobyła się z [illegible] [illegible] gardła pana Mikołaja:

— O!

16

(✠) Będę klepał całe życie i u siebie samego nie chcemy z drugiej!

✠ Co zbije to zbije jak drze a drze który, ale nie zabije.

VII.

— Wszystkiemu tyś winien!

— Ja?

— Tak! A co było umieszczać ową korespondencję o Gardzie okropnie! Mam podejrzenie że to tylko umyślnie aby mnie wystrychnąć na dudka...

— Ależ Mikołaju! co za przypuszczenie! wyjątkowo było to rzeczą ale! Dziś nadesłały drobniejszej korespondencji a ja go umieszczę uczciwie (wczorajszej) starej i chorowitej — myślałem że prawda...

— Dobrze! starej i chorowitej! Dobrze tam! czwartej ominięcia a przecież się trzyma jakby był podatnik... zakład ich rzecz! On (mnie traciąc) i cały!... Akurat niczego! wierzcie! niż ja tam pomnę!...

— Ha, trudno! pogodź się z tym, tam! ✠ (że nie wolno! formalnie nie!)

— Et, sam wierzcie czego ci się zachciewa. Leżna Wólka wypłatę ma twoje obore. — Ale, co mi gadasz! ja wiem co one warte... dobre opłacenie wystarczy... mnie należy

— Zarzuć! Nie Tulmozjuszu!

— Dobrze ci mówić: zarzuć! Czy zapomniałeś o kapitanie? (✠)

— aby mnie zabił! kiedy mi podatnik jak Fredrow!...

— Et, zabić pewnie nie zabije. — Dobrze ci mówić: wiedział żeś przez. — Dobrze ci mówić: widział tchórzem!

— Uciekaj, świat szeroki.

— Za! dokąd? Odeśnij Wólkę? On mnie tam odnajdzie! Porwie mnie jak jastrząb gołębia i dotrwa na ślub do Wilnem!

— A którego dnia ślub wyznaczony?

— Od dziś we dwa tygodnie (za tydzień)... to też robię! co robię!

— Ordynuj. Powiedz że musisz do Wilna... do miasta dom urządzić, kupić meble, konie, powóz...

— Czy uwierzy że mnie to wszystko potrzebne...

— Że musisz konieczny towar wybrać... (wiarownie nocą... potrzebne koniecznie pieniędzy! Powiedz...)

— Ot! wszystko wiem — przez pana Kalasantego który to zmienił pozwolił go... mi wypowie wszystko, tyle jak tego...

Ach, żebym ja przynajmniej wiedział, kto mi tego figla wypłatał!

— Sameś go sobie wypłatał. Czemuś się tak pospieszył z urzędzeniem!

— Ba! czemu! Jakem wyczytał tę wszystką korespondencję z Jordan, bałem się aby mnie kto nie wyprzedził... Komu to na myśl przyszło sfabrykować tę wiadomość o śmierci starego i o jego testamencie!

— Każesz mi do pamięci, kompromitować się... mnie komu[2]/ości familii zależało na tem aby się prędzej zdecydował...

— Aj, prawda!.. Toś mi gorzko poważył... Toby mogło być! hm. Kapitan! o pewnie sam kapitan! Daj go katu!.. a to szczwany lis!.. Tomnie złapał!.. Pewnie (ty wiesz, ty wiesz, przyznaj się,) pewnie wiesz kto to pisał! Co? kapitan?

— Nic nie wiem.

— Ale się domyślasz?

— Niczego się nie domyślam — I zresztą się zwinie przyjdą dochodzić kto to zrobił. Stało się i koniec.

— Stało się, oj stało się! Jak tu z tego wybrnąć!..

— Jabym ci mógł i poradzić... — E! — wykrzyknął Mikołaj niedowierzająco — Mógłbym środek wskazać.

— Kłótnij się! będę ci wdzięczny dozgonnie!

— Oho, wdzięczny! wdzięczny! Darmo nic... (wiesz)

— Mój Florku! — błagalnym tonem zawołał Mikołaj. — Jabym wszystko dla ciebie zrobił! mów potrzebujesz pieniędzy?.. powiedz, ile chcesz? Ile? Dwieście?

— Hę, ho! — ~~[illegible]~~ uśmiechnął się ironicznie Florek.

— Nie pieniędzy tylko, poczekaj! ~~[illegible]~~?

~~[illegible]~~. ~~[illegible]~~ Ale kapitan kości mi nie połamie?... przecież dam!..

— Możesz jechać, twoją skórę i całość twoich kości ocenić na 500 guldenów!... Czyś uświadomiłem się że tu potrzeba koniecznie takiego wyszukać któryby się podjął roli konduktora...

— Konduktora?

— Ale nie konduktora omnibusu ~~[illegible]~~ kolei żelaznej.. ale konduktora na dachu któryby piorun co ~~[illegible]~~ ma spaść na twoją głowę, ściągnął na siebie...

— Aaaa!

— Tej roli niktby się kto podejmie — jeśli piorun zdruzgotać (może) ustałać. każdemu życie miłe.

— Hm, hm, hm... No, ale przecież za pięćset guldenów... ot, Walenty da się zbić na kwaśne jabłko z pozadrowaniem szkli i za pięćdziesiąt.

— Co za Walenty?

— Mój lokaj...

— Młodzieńcze † zgłupiałeś widocznie!... Przecież ty potrzeba kogoś, który by potrafił pannę zbałamucić a przynajmniej skompromitować, tak, żebyś ty był zwolniony z danego słowa... Cóż tu poradzi twój Walenty?

— Aha! rozumiem!

— I to w przeciągu tych dwóch tygodni.

— To się nie uda... ja ją znam! Ty nie wiesz jaka ona. To lód nie dziewczyna.

— Już to moja rzecz, żebym takiego wyszukał.

— Ach, mój drogi! zrób to dla mnie, złoty mój! Otrzymasz natychmiast pięćset guldenów!

— Ba! wielka rzecz! Ale trzy co ja skompromituję naraża się wszystko na pierwszy impet wściekłości kapitana ale kapitan go niezawodnie zmusi aby się z córką ożenił...

— No, to i cóż ... : panna młoda, ładna, dobra...

— To żeń się z nią

— Kiedy bez posagu!

— Każdy o tem wie i nikt się nie ożeni... Tobie panna zatwierdziłaby to przyrzeczenie, bo masz słowo, ale n. p. gdybyś mnie kazał — czemże tym ja wyjadę? powozem? atramentem?

— Ty? To tylko...

— Ja albo nie ja, to mniejsza...

— To się nie uda... Chyba że takiego kandydata znaleźć który by pannie głowę zawrócił... to panna nie rozumie boi się ojca jak djabła i nie zachowa tajemnicy tak dalece...

— To też tak trzeba zrobić aby panna została skompromitowana mimo woli... | — Dobrze — ale jak to zrobić? mimowoli? | — Jakże wiedzieć jak.

— Eko! wylazło szydło z worka!.. ~~[illegible]~~ to tobie samemu zachciało się Drumi i zamyślasz (ja może się) być tym konduktorem, a wskutek ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ posag wyłudzić!

— Ani mi się śni. Brakuje mi to zaraz nowy: 500 guldenów! — Lepszy wyjść jak mi... [illegible] Drumi [illegible] że to ty [illegible] być tym konduktorem.

— Zagryź sobie pak ełe co gębę — ale jeśli chcesz wylazł z kłopotu...

— W który mnie Ty sam pewnie wprowadziłeś... Jam się także wydoskonalił jako się zdaje. Boć Ty sam napisałeś ową korespondencję z Jaśki! To jesteś jak na Nowy!... ale z tego mój pamiętam!

— Dobrze — to żeń się — ~~[illegible]~~ albo niech i kapitan pośle pogrzebowe. ~~[illegible]~~ [illegible] zdrów. —

— Czekaj no jeszcze...

— Nie mam czasu. Jeśli chcesz abym ci nadal ulomię — to ~~[illegible]~~ zostawcie mnie zawsze w domu z Ferencji.

VIII.

— Porwali nam pannę (Kapitanowa) Panie Florjance, porwali! — wrzasnęła p. Antosi. [illegible] malina, ale widzi gromat [illegible] zdrowie

~~[illegible]~~

~~— [illegible]~~

— Jakto „nam" — panie dyrektorze?

— No nam, ~~[illegible]~~ młodsze... to jest nam kawalerom... Szkoda tylko była Drumi za takiego ~~[illegible]~~ milordzika! Cóż ty nie słuchasz? ~~[illegible]~~

— W samej rzeczy... — ~~[illegible]~~ gniewnie odpowiedział Florek zwracając głowę ku pani.

18

— Może pan z nim podobno wspomniał panu Ferrariniemu? co?
— Zajrzysz z czasem ... nie jest jeszcze przyznane

Pan Antoni potarł [illegible] tyczny, wyjmował tabakierkę z kieszeni i zaraz rozpoczął dla ostudzenia sobie przykrego zawodu. [illegible]

— Hm, hm! Nie mogło to lepiej pójść za mąż! Co ... [illegible]! A majątkiem kredyt ... nie bagatelny... Czeczerewicz ma pieniądze, ... ma kabzę wypchaną, a zawsze ile razy [illegible] ... to kartoflarz: to będzie dla swojej wnuczki!... A i ta kartofelka po ciotce coś warta... No, i nie szkodzi-to że się to ... nie dostanie! ... [illegible] ... impertynent! ... — Może być pan ... przestrzegać kapitanie...

— A tak - chciałem go przestrzec przed takim zięciem - to jest nie ja sam, bo z mojej strony ... niewygodnie, ale Czeczerewicz mówił mu... co? [illegible] ... Wyprosi zaścielona wszelkie ... [illegible]! ... ! ... ! ... Co? ... Więc p. kapitan zadowolony z tej partii?

— Ale! zdaje mi się że panna Stoga ... A tedy ... [illegible] ... list ... Czeczerewicza. Tego ... samego dnia kiedy wszystko ... [illegible] ... Wandy ... Czy pan myśli że on ... zakochany? ... [illegible] ... A pana ... [illegible]

— A imić ... [illegible] ... panna ...
— No, ... to ... [illegible] ... Jakże ... zrobić! ...
— [illegible] ... mówi że ... [illegible]

podał sposób osadzenia Mikołaja i pomógł wszystkim ~~całej~~ pannę Wandę

żeby się mu kontraktem zobowiązał trzeciej części ~~~~

sprzedanej sukienki odstąpić...

— Kto to taki?... (Wanda? Kutno? co?

~~~~

— Ah, to tajemnica!

(Marownie) — ~~~~

pojęcia ~~~~ Bądź co bądź dobry interes —

— ~~~~ Dla tego co pannę Wandę

czy dla tego co wnnie odstąpi? (tak, tak! co?

— I dla jednego i dla drugiego. Więc niech Mikołaj

... ...

— A gdzieby się znalazł sposób —

pomógłby pan?... sposób?

— Co?... Trzeba więc... co?... czekamy chwilkę?

I wyjątkowo szczere panu Antoniemu oczy nie wyskoczyły

z orbit, przytrzymywane tylko nieustannem mruganiem powiek.

Florek dodał po chwili namysłu:

— No, ale i umiały się coś przytem murał

ukryć w powierzeniu...

— He, he, he! — śmiał się p. Antoni. — Co?

— Od pana dyrektora ~~~~ zależy obsadzenie posady

sekretarza przy banku...

— Eh, wychowaniu... wrócić...

... tylko... już prawie wyrzekłem...

— Daj mi pan dobrodziej słowo, że jeśli Mikołaj

wróci się z panną Wandą, to ja otrzymam tę posadę!

— Hm, gdyby panu chodziło... mogłoby się zawarowanie...

bowiem się panna nie uda Mikołajkowi nogę podwinąć... Co?

(tonem rozkazu) — Daj mi pan słowo, a spróbujesz...

— No, daję, daję, słowo honoru!... Ale

powiedz mi ~~pan~~ dla kogo to chcesz zrobić ten interes? jakiem takim

dał trzecią część... co? dam więcej!...

— Ale dla wszystkich!... ja się nie kusze o to aby

kogo wyzyskać, ty także nie potrzeba. Mnie idzie tylko o to aby

Mikołajek ~~~~ poznał z Krystkiem, to mam z nim na pieniądze...

— O! ja! ja! ~~~~, a posada ze mi pana.

Już w mieszkaniu przemawia stanowczo ~~~~ Tygrysa, pokazując palcami swoje ~~~~
~~~~

5 Dziwniś bywały nigdy w życiu! — Zapewne, ale mi nie musisz dopomóc w ustanowieniu chwili..

— Dobrze, dobrze, tylko umie to nie narażać na żadne nieprzyjemności

— Cóż pan dyrektor opowiada?

[illegible]?

— A to paradne! co? wyborne!... uwielbiony pani jesteś panie Florjanie! co?

IX.

— Przyszła koza do woza! — mruknął p. Florjan pod nosem widząc p. Mikołaja wchodzącego do jego pokoju. A było to już na kilka dni tylko przed oznaczonym dniem ślubu.

Mikołajek zwrócił się do niego z niezwykłą serdecznością.

Florek dobrze odwzajemnił ten uścisk. Usta zacisnął i przymrużył oczy aby nadać twarzy wyraz obojętności. W głębi jednak serce skakało mu z radości. Brzęczący telefonista [illegible] jak sądzi go stratagemat jego zawiódł. Chociaż on stale [illegible] korespondencję [illegible] dyrektora Mikołaja z oskarżeniem aby w tej nadziei już po dowiedzeniu się prawdy o [illegible] zmusił także zerwać z panem kapitanem, zapowiedział [illegible] — wszystko dobrze ukartował i obliczył wszystko prócz tego [illegible] Mikołaja, który [illegible] od zerwania z kapitanem [illegible] przyszedł jednak koza do woza... wszystko poszło dobrze o powodzeniu Florka. Otóż i jednego konkurenta prawie już odsadził. Może się tak uda i z drugim. — Szalenie mi na drodze stałeś. Tak, to tak szczerze powiedzieć ci z twoją [illegible] był bardzo zmartwiony. Czyś zrozumiał mnie? katastrofa się zbliża — a ja daliby wiem, jak się wywikłać z tej sprawy. Jeśli ty mi nie poradzisz....

— Jak ja ci mam radzić — kiedy ty utrzymujesz że to ja cię w nią wprowadziłem.

— Bo [illegible] nie przyznawaj się [illegible]! ja tego nie mogę [illegible]. Jakiż byś mógł mieć w tem interes! Co za niedorzeczność!

+ ...mógł już dziś wygotowywać zaradkę że zakochany to widzieli wymyślał z [illegible] w p. Antonim

— Cóż widzisz, że miałem w tem interes. Nie chciał z tobą grać komedji i powiem ci całą prawdę. To ja cię wprowadziłem w tę [illegible].

— Ty?... Żartujesz!

— Tajemniczej! Ja (sfabrykowałem) tę korespondencję, abyś się już raz ośmieszył (Kapitanowa powiedziała że jak się dowie prawdy to bardzo musiał) stanowczo zerwać i nie żenić. A o to tylko mi idzie. Kocham pannę Wandę!

— Ależ na Boga złoto! To szaleństwo! Coś ty mi narobił?.. I cóż ci z tego przyjdzie? Nie pójdzie za mnie, to pójdzie za innego: tobie przecie nie dadzą.

— Poradziłem sobie z tobą tak, to poradzę sobie z kim innym inaczej...

— Ale czy ze mną bodaj! Zdradziłeś mnie? [illegible] jeszcze!... Czekaj, uciekaj! Wpakowałeś ty mnie w błoto, to wpakuję ja ciebie! — A la guerre comme à la guerre...

— I cóż mi zrobisz? Powiesz, że to [illegible] korespondencję przecie sfabrykowaną ośmieszyłeś się o rękę panny Wandy? To ściągnie tylko na siebie [illegible] a nie mnie...

— Ośmieszę się, ale zrobię tobie

— To sobie więcej złego zrobisz niż mnie. Wątpię zresztą abyś to uczynił. Czytaj!

I podał mu list [illegible]. Koperta zaopatrzona była w znaczki pocztowe i stempel poczty [illegible]

— Czytaj Mikołajku, to jest [illegible] ostatnia korespondencja ale prawdziwa.

Wściekły [illegible] wspomniał [illegible] i o testamencie, wspomniał [illegible] tak znany [illegible] majątek, a [illegible] wypełnienia [illegible] korespondencji jedno tylko było prawdą, a [illegible] „szczęśliwy” (jak [illegible]) [illegible] testamentu [illegible], ale [illegible] to nie [illegible] ale [illegible], ale [illegible] jeszcze [illegible] przekonanie, [illegible] szczęśliwe [illegible] [illegible] ważniejszy...

— Oho, ty i tenże list sam skomponowałeś! już [illegible] tak [illegible] mnie nie nabierzesz!

— Wiem albo nie wiem, jak ci się podoba. Przyjęta się zresztą — maski [illegible] są, stempli [illegible] — a charakter pisma twojego — jeśli takie nie mój. Cóż mi zresztą na ~~[illegible]~~ wszystkim zależy?

— Już go od Ciebie nie [illegible] [illegible].

— Dobrze. Wiem też żeś [illegible] dumny. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] kocham, [illegible] ...

— [illegible] [illegible], ~~[illegible]~~ tyś dobry że [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] ... ale, ~~[illegible] [illegible]~~ [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] — [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible].

— Daj mi [illegible], [illegible] [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible].

~~[illegible]~~ — No, no, Florku, Florku kochany! [illegible] [illegible] i o [illegible] [illegible]! Wszystko [illegible] zapomnę [illegible] [illegible] dla ciebie — nie będę miał żadnej [illegible] do ciebie ~~[illegible] [illegible] [illegible]~~ za tą całą intrygę — ale mi pomóż [illegible] z tego błota.

— [illegible] sobie [illegible] [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible] do tego!

— [illegible] mój drogi! [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]!

— Chciałeś mi [illegible] [illegible] [illegible] — [illegible] [illegible] nawet — [illegible] [illegible]! [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] ...

— Ależ mój Florku, ja [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible].

— Dobrze, dobrze.

— Florku! [illegible] [illegible]! [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]! ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible] [illegible] ~~[illegible]~~!

— To już bardzo dawno.

— Jakeś ci raz [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] ks. [illegible]

— Wspomnienia.

— A [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]?

— [illegible].

— Florku!

— Nie [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible] mój [illegible], ale [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

— Florku, [illegible] [illegible]! [illegible] [illegible] [illegible]

— [illegible]! ... [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible].

— [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] — ale [illegible] [illegible]?

~~[illegible]~~ [illegible], [illegible] [illegible] [illegible].

— [illegible] — [illegible] nie.

— Ale targujesz się ze mną jak żyd lichwiarz! Wstydź się Florku!...

Florek milczał

— No, ileż chcesz?

Florek wziął arkusz papieru i napisał,

„W razie gdyby zamierzone małżeństwo moje z panną Kapermann przyszło do skutku obowiązuję się wypłacić p. Florkowi M. z którym się o to założyłem 1000 (mówię jeden tysiąc) guldenów [illegible]."

[a jako pamiątkę kompromitującą że z Oziunią się ożenię i [illegible] obiecuję 600 guldenów. — Któż to wie czy [illegible]?]

— Dosyć!

— Zdaje mi się, że zawsze [illegible] chcesz [illegible] obedrzeć ze skóry! [illegible] tyle, [illegible]

— Jak się ci podoba..

— Ależ męczysz mnie formalnie! [illegible] mnie do tortury! Taki frant jak ty, to i tak [illegible] wszystkiego [illegible] — tobie kapitan, [illegible] [illegible] dobrą radę... to [illegible] [illegible] — wszystko ci pójdzie jak po maśle — ale osiądź [illegible]

— Mój Mikołajku — dobra rada [illegible] coś warta [illegible] coś dodatkowo. — Wszak ty bogaty po [illegible] — ja [illegible] wszystkich [illegible], [illegible], [illegible] na uniwersytecie... to wszystko mnie [illegible] wydanie.

Mikołajek [illegible] podpisał dokument.

— Ale ty, jak podpisał to, gdyś jakimkolwiek sposobem [illegible] powierzyć mnie z kapitanem, [illegible] wystrychniesz mnie na dudka i zapłacisz 1000 guldenów [illegible] w [illegible] ty [illegible]

— Rzeczywiście. Dokument [illegible] żądam abyś ty [illegible] małżeństwo [illegible] [illegible] jak [illegible] z kapitanem, [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] wszystkie [illegible] [illegible] [illegible] tylko [illegible], tyleś ty mnie w wszystkiem [illegible] i [illegible] się [illegible].

Mikołajek [illegible] pan [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] — W razie [illegible] [illegible] i [illegible].

— No, masz! A teraz mów [illegible]

Florek złożył dokument i schował z uśmiechem zadowolenia.

— Najprostsza rzecz w świecie: zwarjuj.

— Ja?... zwarjować?... a to poco?

— Warjatowi nic nikt nie zrobi... sam zważ. To pewne jak słońce!

— I nic więcej?... I że za to mam pięćset tysięcy guldenów wypłacić? Taka prosta rzecz! To słówko wymyślić.

— Jajo Kolumba...

— Chybabym naprawdę zwarjował, gdybym za te 1000 guldenów miał wypłacić!

— Pożałujesz!

— Wstydź się tak mnie obedrzeć!

— Nie wstydzę się. Trzeba ci było samemu wpaść na ten koncept.

— A no, stało się, to zwarjuję!

I [illegible] wyszedł z pokoju.

X.

Za kwadrans wrócił.

— Wiesz, Florku — przyszło mi na rozum.

— A to dlaczego?

— Prawie całe życie od kiedy mogę warjata udawać... on tak długo czekać na moje wyzdrowienie...

— Warjuj tak długo dopóki za mną nie przyjdzie...

— Bagatela!... mój panie szanowny, mój ojciec albo i dłużej! Jakbym tak długo warjata udawał, tobym chyba w samej rzeczy zwarjował... A wreszcie, coby sobie ludzie o mnie pomyśleli!

— Żeś warjat — prosta rzecz...

— Dziękuję ci! — [illegible]

— Cóż ci to szkodzi?

— A! jesteś wyborny!... Będę przez całe życie, — który [illegible] za mnie! za warjata!... A [illegible] ... A to ci fatalna pozycja między

ludzi: wyrazy tylko patrzeniem mnie wyglądał: to ten co był w czubków! szeptał by dorzucił wszystko... Piękna rzecz!... Nie, nie, wszystko! zamieszanie!. Wymyślił coś innego.

Florek się zadumał – na argumenta [illegible] trzeba nie mieć absurdalnych.

— Już potrzebowałbyś długo warjować, jeśli wrócić – Panie Odzi. Jeśli tylko oto aby w tym warjactwie stał się powodem skompromitowania [illegible] z kim innym – tak aby się to potem odbić nie dało.

— Nie nie rozumiem.

— Ot weźmij tak n.p.: Żwarzeckiego i żeby wraz zamknięto mnie z nim w jednym pokoju tak aby nikt o tem nie wiedział co ich znaczy stało, cały ogień, obrzędowa, [illegible] może, zwracać wreszcie go tylko godzinę albo nazajutrz rano za ... a kiedy otworzą drzwi...

— A toś ciekawie wykombinował!.. Ale ja warjować nie będę, nie! Może by kto inny zamknąć z panem drzwi...

(kto inny?.. hm,)

— Kto inny?... [illegible], i takiej [illegible] może!... Powiedz mi, coto za figura ten twój ksiądz Kalasanty, o którym mi wspominałeś?

— Chachacha! Od tego to wszystkie role absurdalne, udawać wariata! chachacha! księdzowi lepiej wypadła! chachacha!

— Czemuż się śmiejesz?

— Chachacha! wyborny byłby aktor! Żeby zechciał się podjąć tej roli!

— Poznaj mnie z nim, ja go namówię.

—

XI.

Pan Kalasanty [illegible] stryjaszek a jedyny krewny p. Mikołaja, były profesor grecki przy którymś z gimnazjów krajowych, był to człowiek około 60 lat mający, drobnej postaci, chudy jak szczapa, z żółtawą cerą, z twarzą wygoloną i pomarszczoną, której dolną część przyozdabiała krótko ostrzyżona broda, do [illegible] podobna, po jednej stronie rzadko [illegible], po drugiej gęsta [illegible] jak włosy na głowie. Brody tej [illegible]

[illegible] z pewną [illegible] uważaniem [illegible] p. Kalasanty ile razy się pogrążył w [illegible] a to się często zdarzało; gdy się raz [illegible], gestykulował gwałtownie chudemi rękami, których długie palce [illegible] wielkość korzystnie o [illegible] [illegible] właściciela. [illegible]

[illegible] zalecał się [illegible] profesorskiej [illegible] [illegible] kamizelkę. [illegible] surdut, [illegible] Dziwnie [illegible] na twarzy rostowny był wyraz [illegible], a [illegible] ociętą usta a [illegible] krótko [illegible] zadowolenia, dziwnie kontrastujące z [illegible] się [illegible] [illegible] i gdy [illegible] nagle w dół były [illegible].

— Mój Kalasanty, — rzekł do niego Mikołaj, przedstawiając mu Klonkę, — przyniosłem [illegible] z moim przyjacielem aby z tobą [illegible] o ważnej rzeczy.

— O ważnej rzeczy... [illegible] powtórzył profesor [illegible]

— Mamy [illegible] nieco oryginalne [illegible]...

— Propozycję...

— Zwierz mi się przyjacielu. Słuchasz mnie?

— Słucham.

— Ale słuchaj uważnie, bo to ważna rzecz.

— Słucham uważnie.

[illegible] oczy na [illegible] i [illegible] [illegible].

— Otóż przyznam ci się otwarcie, że pragnąłbym aby zawarłem moje małżeństwo z panną kapitanówną...

— Ja ci już winszowałem! – przerwał szybko profesor takim tonem, jakby wydawał zarazem za kamienicę kupujące jakiegoś obrazka.

— Winszowałeś! – odparł Mikołaj dobitnie – ale [illegible] dowiedziałem się, że panna mnie nie [illegible] przyznałbym... ... ale ty mnie nie słuchasz!

— Słucham – odrzekł profesor głucho, zatopiony (w myślach)

— [illegible] – krzyknął gniewnie Mikołaj. (odparł profesor jakby ze snu zbudzony) Nie myśl o tem, o czem myślisz, ale...

— Ja myślę właśnie tu o profesorze... że dziś wieczorem siedzisz w Leśnej Woli, ... po co tu ci mam być wieczorem, tembardziej jak cię [illegible]...

— Otóż ja nie chcę się żenić z Kapitanówną! – Mikołaj, krzycząc mu nad uchem

— Dlaczego?

— Mówiłem ci, że dlatego że nie umiem.

— A to co innego. Ale ty wieczorem siedzisz zawsze w Leśnej Woli... nie umiem. To tak jak ja.

— O tem potem. A teraz słuchaj: Ojciec panny [illegible] wszystkich, [illegible]...

— [illegible] – powtórzył w zgrozie profesor

— A, że [illegible] już teraz [illegible] (to [illegible] nie [illegible] jakby upadł) aby się na ego [illegible] na zawsze [illegible] zatem z przyjacielem mówię sposób aby się [illegible] z żadnego [illegible] [illegible]. Ale ty nie umiesz być [illegible] mnie [illegible]. Musisz przyjść na [illegible] pewną rolę...

— Dobrze, dobrze, a ja [illegible] co [illegible] – jak wiem że się [illegible] winien [illegible]... po wszystko [illegible] mój drogi przyjacielu... ale ja wolałbym siedzieć w Leśnej Woli.

— Otóż trzeba abyś odegrał (pewną) komedję.

— Dobrze, odegram pewną komedję...

— [illegible] jak [illegible] byłem u nich... [illegible] panną [illegible] z Florkiem... [illegible] [illegible] ... [illegible] upadł... ale...

— A mnie [illegible]

7 23

— Otóż aby ci krótko nie [illegible], udam [illegible] żeś zwariował ...

Profesor wzdrygnął się na tę propozycję:

— Ja? .. ja mam udać żem zwariował? ..

— Cóż ci to szkodzi?

— Ty żartujesz — i [illegible]

— Nie żartuję wcale — cóż ci to szkodzi?

— Dostojny .. szepnął profesor łakomie i spuścił oczy

Mikołajek szepnął mu coś na ucho. Profesor zaczerwienił się na twarzy i patrzał przed siebie [illegible] (słuchał [illegible]).

— Ja wiem jak tobie [illegible], ale [illegible] nie zrobię. Jeśli zechcesz dziś [illegible], to ja sam [illegible] w [illegible], [illegible] się mogę nastarczyć [illegible] o profesorze [illegible] ...

— Ja ci sam dopomogę — i [illegible] sobie [illegible] ... ale [illegible] mój [illegible] kalasanty! jak mnie kochasz!

— Jak ty mi potrafisz dopomóc! [illegible] przeć mnie tylko z [illegible] wolki! ...

— Bywaj [illegible] — a [illegible] się dopomogę

aby [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible]

[illegible] ...

— Dopomóż mi [illegible]

— [illegible] [illegible] [illegible]

— Bo to widzisz sam, że pewne [illegible] ...

[illegible] [illegible] ... [illegible] ..

— A z jakiej to [illegible] p. [illegible] utraciłeś swoją [illegible]?

Profesor spuścił oczy. Mikołaj [illegible] znacząco na [illegible] aby o to nie pytał.

— No, — [illegible] mój kalasanty. Cóż to? [illegible] a wszystko będzie dobrze.

— [illegible] się ... (i jak się dowiedzą, to mi) będzie [illegible] pieszczota...

— Nie panuj profesorze... odezwał się Włod[illegible]

idzie o to tylko aby ... uchronić się zarazem spośród od pierwszego impetu kapitana. Później za kilka dni, a może jeszcze tego samego dnia wszyscy będą wiedzieli że pan tylko udawał wariata.

— Wszyscy będą wiedzieli że ja byłem tylko udawał wariata — powtórzył profesor wesoło

— Tu idzie o szczęście pańskiego synowca i o mnie...

— A puszczą mnie z tej wolności? —

— No — wolno i tak będzie, nim (się dowiedzą że [illegible]) i [illegible] dotknął jak skaczący [illegible]:

Ja będę udawał żem zwariował i nawet tego pana z panną kapitanową do alkierza [illegible], tak w drzwi... a sam będę udawał żem zwariował... chociaż to zabawne będzie...

A potem mnie puszczą z tej wolności (i wszyscy się dowiedzą że to było udane)... O ja doskonale potrafię odegrać komedię... Ja doskonale potrafię naśladować wszystko... wszystko... (Ja widziałem parę razy tak — naśladowałem — ale pomału, pomału — coraz więcej — coraz więcej... Chociaż

Tu ożywiał się (zaczął gestykulować wszystkim) coraz bardziej swój sposób:

— Ja widziałem parę wariatów... czy pan był kiedy widział wariatów?

— [illegible]

— A to dziwne że ja sobie nie przypominam... Bo jak... ja [illegible]... wymagał wrobić... odwiedzam chodziłem psychologicznie... [illegible] taki byłem zapalony

dotyczy [illegible] – i niezależnie (tam) jakiś czas... widzi pan, i w którym wszystko coraz tam robi – wydaje się jest mocno zwariowana... chachacha... prawda że to zabawne... bo widzi pan że kto nic nie, to może się pomyśleć... No ale jak wygrana z Leśnej Wólki... To ją profesor... No widzi pan, profesor Gąsecki, to dobry [illegible] o profesorze... kwadraturę koła wynalazł...

matematyczny [illegible] – No, cóż, zdrów [illegible] [illegible] – Już wiem... a ja [illegible] panu opowiedzieć tyle rzeczy, bo to [illegible], to go wszystko interesuje... ale pan zakochany, to prawda – to panu opowiem... mój [illegible] jak to się ożenił z tą Tosią kapitanową, to ja stąd z Leśnej Wólki uciekłam... ale prawda że ty się wychowałeś z nią [illegible] aż zimę! [illegible] co mi to szkodzi? [illegible] Tylko [illegible] [illegible] potrafi [illegible] tę rolę... [illegible] mówiłem [illegible] [illegible] [illegible] ... [illegible]... bo to trzeba dobrze... – [illegible] lepiej... [illegible]... Gdyby obliczyć... Od obliczenia zależy wszystko. Cyfry [illegible]... [illegible] być logarytmy, wyjść, mógłby być [illegible] kwadraturę [illegible] na [illegible] mógł być [illegible] wygrana na loterii [illegible]... Bernerskiej loterii [illegible] metodą indukcji... – [illegible] metodą indukcji

Bądź zdrów... – [illegible]... bo coś, co miałem [illegible]... [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] Do Leśnej Wólki [illegible] ja tam uwierzę [illegible] wystąpić... [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]... Pamiętaj że [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]... – [illegible] w [illegible] [illegible]... Do Leśnej Wólki [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]!

[illegible] nie [illegible]... – nie [illegible] [illegible] [illegible]! [illegible]! – [illegible] [illegible] [illegible]! Trak! [illegible] wszystko [illegible] [illegible]! [illegible] to [illegible] [illegible]... trak. Chachacha... [illegible] inspektor [illegible] to [illegible] [illegible]...

– Bądź zdrów

– [illegible] [illegible]... bo ja [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] – Bądź [illegible] [illegible] innym razem.

XII.

W [illegible] Tstenkasa-kapermas pełno gości.

Dzień ślubu. ⊕

Pan Mikołaj w galowym ubraniu zwija się między zaproszonemi, ściska za ręce przyjaciół domu, usługuje damom z nerwową, szybką galanterią, twarz stroi do uśmiechu, od czasu do czasu spogląda z niepokojem w stronę drzwi. Blady, przytomny i roztargniony. *)

Pan Florian jeszcze bledszy od niego, ale spokojny. stoi w kącie i za każdym skrzypnięciem drzwi od alkowy odwraca się w tę stronę.

W alkowie panna młoda, jej matka i [illegible]. Kamyk [illegible] stroi do ślubu, [illegible] jej opuszcza na [illegible] [illegible] — ona nie [illegible] się i cicha. Nie [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] jakie [illegible] swej twarzy. Ręce jej tylko [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

Ale co znaczy ten uśmiech? Czy innego jeśli nie nadziei? — szepnął jej (w przedpokoju rozmowy) Florian tej odwagi: — Bądź spokojna... Do ślubu nie przyjdzie.... Ale rób wszystko co ci [illegible] — [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] nie jeśli mnie kochasz... — wszystko będzie dobrze. — Jeśli nie kochasz — zabijesz mnie... — (odwagi!) Co on zamyślał? Czy jest nadzieja? Uwierzyły wszystkie — i wierzą czy też nie [illegible] [illegible] [illegible]

⊕ Kapitan z rozpromienioną twarzą (co chwila podkręca wąsa) (oczy mu lśnią zadowoleniem), klnie z cicha po węgiersku i z [illegible] po włosku, klepie po ramieniu i po plecach swego zięcia, całuje [illegible] z uszczęśliwieniem, kobietom prawi grzeczności

*) Ale p. Antoniego który go unika, rzuci czasem ironiczne spojrzenie, na [illegible] i kuzynka patrzy jak na istoty niższego rzędu. Tylko na Florka jak na wyższą istotę, która [illegible] swoim [illegible] i wszelkie ich trzymać.

Pana Czeciecierska panuje wśród nich [illegible]. Ciotka Celestyna

[illegible], [illegible] [illegible] [illegible]. Na [illegible] [illegible]

Pan Kalasanty [illegible] humorze, [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

rozpromieniony, rozgadany. W kobietach [illegible] [illegible]

że mały Orzeszko [illegible] [illegible] i [illegible] zawsze

strój [illegible] niewinny, [illegible] przytem [illegible] [illegible]

z bujności i z tragiku — i trzymany każdy wyraz z osobna

[illegible] [illegible] z chęcią ogłoszenia kursu nauki języka

greckiego dla kobiet [illegible] czas wakacji, bo

[illegible] [illegible] [illegible] na to czasu. Opowiada o swojej

[illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] i [illegible]

[illegible] jakby [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] aby [illegible] na

[illegible] [illegible] [illegible] wykładać

[illegible] wykładu w którym [illegible] [illegible]

po grecku metodą [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] i [illegible] kwadratowe

[illegible] [illegible] [illegible] w [illegible] krawacie [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] w [illegible]. [illegible] [illegible] każdy [illegible] aby

[illegible] [illegible] zaznajomić się [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] w [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] temat rozmowy

[illegible] zadowolony z [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible] opowiadać anegdotki [illegible]

z takim humorem że go [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] facecjonista i [illegible] [illegible], a [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

że [illegible] [illegible] [illegible]... [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] się i [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] po [illegible]

już czas...

— [illegible] Florka — [illegible] [illegible] [illegible] na [illegible].

— Dam panu znać, [illegible] [illegible] [illegible].

— A [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]?....

— Ja [illegible], [illegible] [illegible] już [illegible]?

— Jeszcze nie.

— [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible].

---

* [illegible] [illegible] w [illegible] [illegible] [illegible]

XIII. ob. wiej

XIV.

— Co to za dziwiejna młodzież! Saperment! To nie tak jak za moich czasów bywało… Heis Feuer!.. ani do szabli ani do konia ani do dziewczyny… Oh pardon meine Damen! ale co prawda to prawda! No mój panie zięć (to ty go kordjalnie klepał Mikołajkowi między łopatki, aż coś w przecieku coś odskoczyło) No mój panie zięć kochany! Ty to tęgi… dobrze ci sprawiam! Ale inni… cha, cha! Ty ci sam pewnie lepiej sprawisz po staremu… ja wiem. Ich werde bald… jest! Ale inni? Gott erbarme! To jak ryby… mają zimną krew… sie vegetiren nur!… Millionwas wissen sie von Leben und Liebe!

— No, nie wszyscy tacy, panie kapitanie, nie wszyscy! — odezwał się Florek. — Jest i w nas krew i życie. (Papierlepapp! cha cha!

— Was? krew i życie! Kaum schon się panie Florjan, ale do pisania a nie do całowania!… Co to my! my! co za moich kwadrans czasu setki lat (Corpo di Bacco!), jakby tego którego samego mit einer hübschen panna… no!.. to jeśli… jest!… pardon meine Damen!..

— Panie kapitanie — nieśmiało ośmielił się Florek — przechwalstwo

pani masz wyobraźnie • dwudziestej młodości — a niestosownie. (Już kawał czasu... — ale co do mnie... byli za młodych lat... za innych czasów) Ha, ha, chrząkły, ja to wiem (Przy tym sami jak panowie po serdecznym przyjacielu kapitana

XV

26

Pani Audytorowa Glińska, ładna dość wdówka, zapraszająca najwięcej, przyjechała także i wraz wygląd wtej chwili majestatycznym krokiem z alk[illegible], wlokąc za sobą pretensjonalnie zaciętych ojców swój ostatni z czarnej morelowej materii.

Rozstąpili się mężczyźni i zaraz obok pani szybkiej Afrodisiakowej i pani doktorowej Delbauerowej, rozmawiającej wraz z panem kasjerem Cecudzińskim o projektowanem małżeństwie pana Dyrdaka, niżej przy kolei żelaznej z panną Emilią Falconi, która odradzała przeciwnie pani Audytorowej Glińskiej, (tejże panny Emilii) kuzynem panem Hołapce, z powodu jego skandalicznego ożenienia z panią Izabelą Kuchcinową, primo voto Lubczyńskiej, nie

— Zamieni Dyrdaka, nie wielka rzecz! — rzekła pani Delbauerowa do pana Cecudzińskiego

— Ha, ha i pan Hołdapka nie wielka partja! — zauważyła pani Afrodisiakowa

— To wszak wiadomo, wdowy się tak jak kapitanowie wypłać więcej raz...

— Pewnie!

— Męż go kapeli!...

— Cicho... Glińska idzie

— Jakże śmieszna z tym swoim ogonem!

Koło pani Glińskiej jakby koło królowej salonu zebrało się zaraz kółko mężczyzn

– Ależ panna młoda dziś blada! – strasznie blada!... rzekła pani Glińska

– [illegible] zawołał p. Antoni

– O bardzo blada!

Jutro będzie sama jeszcze bledsza – i weselsza po ślubie – prorokował kapitan.

– Ale bo i pan narzeczony blady dziś! zawołała pani Belbauerowa

– Ja? owszem! – wypierał się p. Mikołaj

– Wszyscy jesteśmy dziś bladzi – odezwała się znowu pani Glińska. – I ja dziś także blada, bom przez całą noc prawie oka nie zmrużyła.

– A czemu? zapytał p. Antoni.

– Wyobraź pan sobie w sąsiedniej [illegible] w hotelu zachorował jakiś staruch – dostał ataku apopleksji...

– A w którym pani hotelu stanęła? zagadnął p. Mikołaj

– W Saskim.

– Potz Tausend! czy to nie Czackerewicz! On tam stoi w tym hotelu...

– Nie wiem – niezgrabny jak się nazywa!

– Pewnie on! zawołał z [illegible] p. Antoni

Ruch się zrobił wszystkich, p. Antoni już kapelusz wreszcie zabierano się do wyjścia

Mikołajowi zabłysły oczy dziwnym jakimś blaskiem:

– Ja tam pojadę! – zawołał do kapitana szukając kapelusza. Kapitan porwał go za ramię

– O nie! nie! – zostań, – Ty przy pannie młodej. Nie pozwalam!

– Ależ wypada... panie kapitanie!

9

— Ale nie! jeśli Czecieszowski chory toby[ś] tam siedział długo — i spóźniłbyś się na ślub... ~~[illegible]~~ Herr Director (rzekł obracając się do Antoniego) niech pan jedzie i wraca zaraz sam, powiedzieć — A wracaj pan spiesznie! — dodał Mikołaj

Antoni ~~[illegible]~~ wsiadł do fiakra i pojechał. —

XVI.

— Panie kapitanie Dobrodzieju!

— Nix „Dobrodzieju", nix „Panie kapitan"! Kochany Mikołaju, ~~[illegible]~~ nazywaj mnie: Schwiegervater!

— A więc kochany Teściu!.. Czy nie masz pan jakiego listu od p. Czecieszowskiego?

— Nie, nie pisał mi nic, nie otrzymałem — odrzekł kapitan zdziwiony.

— Jakto? nigdy?

— Ja co! dawniej pisał nieraz.

— To wszystko jedno, mnie idzie tylko o to abym zobaczył jego pismo.

— A na co to? — zapytał kapitan zaciekawiony.

./.

XIII. przerzucić z XII.

— Coś sennie Florjanie! — rzekł p. Antoni mrugając dziwnie oczyma i gładząc gładziutką czuprynę — Za sekretarzyło wcale mi się nie bardzo! co? — Wiadomo ci coś o wypadku Mikołaja.

— Dotąd ~~[illegible]~~ niestety jeszcze nie.

— Jakto dotąd? czy jeszcze jest nadzieja? co?

— Kto wie? — A czy możesz liczyć w razie danym na pannę Paulinę?

— I owszem — wszakże wyznała mi co? A toby się ciężył!

— I nas sekretarjat liczyć może?

— Najniezawodniej — zbliżył się Florjan do Mikołaja ~~[illegible]~~

— Czy kataraktyk [illegible] zagroził mi

— Nie boi się [illegible]

[Left margin, vertical:] [illegible] — ([illegible]) [illegible] mi. Czy [illegible]

— Florian pokazał mi list podpisany imieniem jego — przysłany do redakcyi, a ja mam podejrzenie że to list sfabrykowany.

— Schauts! a cóż w tym listu być? — zapytał kapitan otwierając biurko i wyszukawszy list Czereśniewskiego podał go Mikołajowi.

— Jakto? to jego własnoręczne pismo?

— Ja wohl, własny jego charakter.

— Taki pewny, śmiały jakby młodzieńczy... a dziś litery...

— Ha, ha, jak dragony koniach!

— A tamten list był pisany drobniutko jakby makiem zasiał — a drżącą ręką...

— Ah, das ist infam! a co tam stało napisane?

— Nic... nic... — odrzekł Mikołaj nieco zmieszany. Zapomniał pogłoskę o swej śmierci i dowiedział o zamierzonej fundacji na cel jakiś dobroczynny...

— Das ist eine infame Lüge! — wrzasnął kapitan oburzony do żywego. — On żadne fundacje niebędzie robić. Meiner Seele żadne! On wszystko będzie zapisać Dziuni!

— Czekaj Florku! — pomyślał Mikołaj — wytnę ja ci figiel że ci w pięty pójdzie..., Ah, gdyby to tylko była prawda że Czereśniewski miał dziś w nocy atak apopleksyi?... Ha, trzeba czekać na Antoniego. — Jeśli on! panną niech Florkać tego!

I zbliżył się do Kalasantego aby mu dać jakieś tajne instrukcje i odwołać dawniejszy rozkaz którym go był oddał pod komendę Florka.

Wzbraniało mu się jednak co zamierzał. Około pana Kalasantego utworzyło się kółko słuchaczy któremu on coś z uwielbieniem zapałem [illegible]. Mimo kilkakrotnych usiłowań niemógł go Mikołaj odciągnąć na stronę aby z nim pomówić.

XVII. Ex profesor dowodził (z komicznym zapałem) szczerze audytorium że loterja liczbowa podaje jedyny sposób rozwiązania problematu kwadratury koła. Fortuna mówią „kołem" się toczy — a wiecie że są numera loteryjne? W kole które się tylko obraca czyli toczy. A czy z tego koła wyciągają [illegible] same? albo same terna? Broń Boże! Są tam i… — słuchajcie! — są tam i… kwaterna! Skwadrygowany zatem wszystkie numera tam znajdujące w kwaterna kwadrupare z postawionemi liczbami, burzą się w miarę same kwadraty wyciągnięto wypróżnia całe koło. Już tam już niezostanie więcej, nic! Kwadraciki zaś te razem zsumowane dadzą całą zawartość czyli bryłowatość koła, z której obliczyć jego powierzchnię każdy student potrafi. Oto Eureka! Innego rozwiązania [illegible] jajo kolumbowe nad którym wieki myślały! I pani kwadraturę wynalazł, [illegible] wiemy [illegible] na głowie postawić! [illegible] pokaże mi pan kwadraturę! nic pokaże!

— No, panie Lesio! postawi się pan na głowie! [illegible] inspektor przyznał że moja nic nie warta. Pokaże mi pan swoją!

Sędzia Afrodisewicz roześmiał się grubym głosem. Wzmianka mu przypomniała przy pośrednej jego tuszy była wszakże nazwy [illegible].

— Nie śmiej się pan! — podniósł głos zarówno wzruszony p. Kalasanty. — To wszystko żarty (i to niezłe [illegible]!) to o kwadraturze [illegible]! Jeśli ta kwadratura [illegible], to [illegible] pani Lesiu! Ja wiem że każdy [illegible] — ale wiecie inspektor mówi co chce [illegible] że wiem że moja najlepsza. Wszyscy uważali że całą prelekcję pana Kalasantego za żart nieco zadaleko posunięty, tworzy też konspekt jakoś pobudził ich do wesołego śmiechu.

— Wstydźcie się panowie śmiać się z nieszczęścia ludzkiego! — zawołał p. Kalasanty [illegible] tonem. — Jeśli mi odebrana profesura to mi jej nawet oddać! Ja się [illegible]

widzę i do desnej wolty wszystko! Ja pana zmuszę. — No, potem się pan nagłowi!.. prędzej! prędzej! Ja panu zaraz dowiodę że pańska kwadratura fałszywa; Dokaż pan!

Audytorium zaczęło już powątpiewać o pewnie zdrowych zmysłach prelegenta.

Pan Kalasanty spostrzegł w tej chwili śmiejącą się twarzyczkę dwunastoletniego syna pana kasjera cukierniczego.

— Co to? i ty malcze bierzesz się śmiać?.. Zaraz mi powtórz za karę całą deklinację tipto. No! tipto, tipteis, tiptei... nie? — to cię do karceru zamknę...

I wyciągnął rękę, aby malca zapewne pochwycić. Kajcio porwał uciekać, profesor puścił się za nim w pogoń roztrącając wszystkich po drodze.

— To oryginał! — zawołał Łoś.

Sesja zaśmiała się grubym głosem.

— Facecjonista! — ozwał się Wacio. — wariata udaje.

— Ej, czy on nie podrze?

Sesja zaśmiała się jeszcze grubszym głosem.

Kalasanty po daremnej pogoni za Kajciem powrócił zziajany i spocony, schwycił obiema rękami za klapy jego fraka — począł go namawiać coraz natarczywiej aby kwadraturę swą się na głowie postawił i tęgo pokazał.

Sesja zaśmiała się najniższym basem.

W tej chwili weszła do salonu wprowadzona przez matkę panna młoda.

XVIII.

Piękna była w tej białej muślinowej sukni ślubnej z zielonym na głowie wianuszkiem, piękna tą bladością i oczyma pełnemi łez. Biały welon na głowie upięty spadał aż do jej stóp.

Prowadzona przez kapitanową weszła — oczyma szukając tego, którego ukochała dziewiczem sercem a który przyrzekł jej, że ją wybawi od nienawistnego jej

narzeczonego i że wszystko „jeszcze będzie dobrze." Czy wierzyć? czy mieć jeszcze nadzieję? pytały jej oczy p. Floriana.

— Kocham! - odpowiadało jej jego spojrzenie. A wiele było smutku w tem spojrzeniu. On ufał jeszcze... ale w co? w co? Tu chyba cudu potrzeba aby ją wybawić! Wzdrygnęła się: p. Mikołaj patrzał na nią tak bezwstydnie oczyma!

Zewsząd posypały się wyrazy podziwu, zewsząd oklepane komplementa i powinszowania. Ściskały ją kobiety i całowały panny, mężczyźni zbliżali się kolejno aby jej powiedzieć jakąś grzeczność i złożyć życzenia. Mikołaj tylko ~~nie zbliżał się~~ nie ruszył się z miejsca i Florian. Obaj patrzali na nią — ale jakże różnym wzrokiem!

Wreszcie obaj przystąpili do niej równocześnie. Mikołaj ścisnął mocno jej rączkę, którą by rada była mu wydrzeć, ~~[illegible]~~ i pocałował. Florian rzekł ze szczególnym jakimś akcentem kładąc przycisk na każdym słowie:

— Wszyscy składają pani życzenia... i ja składam moje... i ufam że się spełnią. Niech pani wesoło w przyszłość spogląda!...

Spotkały się ich spojrzenia. Jej wzrok mówił: Rozumiem... ~~śmiertelną przebywam trwogę~~ — Drżę... umieram z trwogi!

Florian rzekł po chwili i dobitnie wymawiając każdy wyraz:

— Może ufać w szczęście pani — bo Mikołaj jest moim przyjacielem. ~~[illegible]~~ Wierz mi pani że wszystkim zawierzy, ~~[illegible]~~ można na nim polegać. On nie zawiedzi. Jakoż Rozjaśniły się radością jej oczy.

więc ten którego się tak obawiała, którego nienawidziła z głębi duszy, ten jest przyjacielem jej ukochanego, sprzymierzeńcem ich? O, w takim razie on sam zerwie ten związek!.. Czemuż go dotąd nie zrywa? (Czemuż się wprzódy tak gorąco zalecał? Czyż to miała być próba jej stałości?) Czemuż się ociąga? (Cóż ona [illegible] teraz uczynić – doprowadzona aż do dnia ślubu?.. Ah, czy się tylko Florek nie zawiedzie na tym człowieku który ją pożera tak szkaradnemi oczyma.

— Wszystko zatem fertig. Musimy się już wybierać jechać do kościoła. Już nas (... czekają także)

— Ależ panie kapitanie, należy poczekać jeszcze na p. Czeczeczewicza. Ja uważałem że przyjdzie. [illegible] p. Antoni ponieważ przyjechał.

— A po co na niego czekać! To jak przyjdzie to mu powiedz że my już w kościele. [illegible] Sam sobie winien że się spóźnił.

— Ależ papo drogi, jakże ślub brać bez błogosławieństwa dziadzi?

— to potem niech sam błogosławi was.

— O nie panie kapitanie – musimy poczekać koniecznie!... Zresztą w kościele tak wcześnie nie zamówiłem. – Ślub o godzinie! – Cóż mamy czekać [illegible]! w kościele? Lepiej tutaj [illegible], to [illegible]

XIX. — Sami ledwo, to mi nie pomoże, ja wiem jak sobie z warjatami radzić ... panek kapitan [illegible] stanąć na głowie i krzyczeć i tarmosić pana [illegible] na całe gardło, ciągnąc pana Afrodowicza za kłaczy od fraka [illegible].

Zachowanie się tego [illegible] granicę zasług

nawet najukochańszego, Sedziw już nie miał cierpliwości z kim na dorzyknieniu.

~~Mikołaj nadaremnie starał się wpłynąć na Kalasantego. Wyzyskał go i już szczęśliwy Stryjaneck, który bładził i czynił po ... profesora ... coraz groźniejszym ... przeciw swego prześladowcy, aby go pusić i obszczypywał go ... i wszystko ...~~

~~Kalasanty pusił swoje ...~~

~~Wszystko~~ potrzebował go potajemnie pusić w plecy Stryjanka ode szkoły, nawet już do kąta.

Kalasanty [illegible] zwrócił się ku ziemi i posłuszny jak dziecko dał się zaprowadzić w róg sadu. Obrócił się twarzą ku ścianie i ... o nią się oparł, Tak stał, ... rozpamiętując swoją biedę.

— Nie ruszaj się teraz stamtąd dopóki mu nie pozwolę — rzekł Mikołaj. Przyprawiam sąsiedztwo najmniej zatem cały wypadek ale wcześniej go powstrzymać. Stryjaneck już od dawna zachowywał się zupełnie spokojnie. Ona go musiał znowu odwieźć do zakładu. —

— Cóż teraz będzie z planem naszym? — zapytał Mikołaj.

— Zobaczymy. — odrzekł lakonicznie ... gotów wcale (narzucając czoło!)

— Co to ~~[illegible]~~ jesteś znaczy? — zapytał kapitan tego zajęcia. Mikołaj mu wyjaśnił, że ciepło Stryjaneck był już dwa razy w domu obłąkanych, ale że zdawało się, był już zupełnie wyleczony i od dawna spokojnie się zachowywał u niego na wsi. Kapitan chciał interweniować w tym sprawie profesora z Lędzin i uwolnić tego ... z ... Wiedząc, że do tego Mikołaj,

nie obchodziło

— Kalasanty już w tym stanie nie da się użyć?.. nie zjedzie co mu każem?

— ~~Ach~~ To widoczne! — odparł młody Modro.

— Cóż będzie? już teraz byłaby pora.

— Zapewne.

— Cóż myślisz zrobić?

— Nic

— Jakto nic?

— Widocznie Bóg tak chce abym się ożenił... ~~wszystko~~ cały plan twój udaremniony... wszystko na nic. — I wybuchnął się roześmiał.

(Żartujesz, czy co?) — To ty nas sam zamknij. Wanda jest teraz ~~[illegible]~~ sama w altance; ~~[illegible]~~ Już czas.

— Ja? — i potem mnie mam wariata udawać? — O wszelki!

— Ale nie, nie potrzebujesz udawać wariata, wszystko spadnie na Kalasantego...

— Coś ci marzy! Każdy by się domyślił. Nie pojmuję! Wolę się już chyba ożenić... — (mruknął) Choć ten Szczukiewicz (zamiast do wanny Orzemskiej że) cały majątek na cele dobroczynne ~~zapisał~~ przeznacza...

~~Obróciła się i [illegible]~~ Florek patrzał na niego ordynarnym wzrokiem.

— Zresztą... zresztą... — dodał Młody... niewiem pewnie... namyśl się...

— Ale tu niema czasu do namysłu!

Młody spojrzał na zegarek. — Fiakier jakiś zaturkotał ~~a potem~~ pod oknem. ~~[illegible]~~ pobiegł. Młody wyglądał

— Nie. To nie on.

~~[illegible] jak Bóg zechce — odrzekł sentencjonalnie~~

— Cóż będzie? — pytał natarczywie Florek

— Będzie jak Bóg zechce — odrzekł sentencjonalnie.

XX

XX.

Nie wcześnie, ~~bity~~ był Florek. Widział w sieni mięsi.

Zbiegł szybko ze schodów i natomiast ~~czekał~~ na przyjazd Antoniego.

Nie długo czekał. Zajechała dorożka i zatrzymała się przed domem. Wyskoczył z niej ~~Antoni~~ blady jak śmierć. ~~Wyskoczył z powozu i spostrzegłszy~~ p. ~~Floriana~~.

— Cóż? — zapytał p. Florian

— Co?... umarł! — i wyszedłszy z powozu zabierał się iść na schody.

Florian zatrzymał go za ramię.

— Nie mów pan nikomu o tym słowa

— Czemu?

— Jeżeli to ~~drogi kapitanowej~~ dziadek pani młodej. Będą musieli wszystko odroczyć!

— A to i owszem...

~~— ale nie~~

~~—~~ Jak odroczą, to będzie można zerwać Mikołajka wypadnie. co?

— Przeciwnie! jak się Mikołajek dowie o śmierci dziadka i o sukcesji — to go nikt już nie odpędzi.

— Ale jak wszyscy to ślub odbędzie się dziś, za godzinę.

— Wygadasz mnie, on zrobi wszystko.

— On? ale śmiej się panu! — albo pan jego stronę trzymasz! —

— Cóż tym miał za interes? przecież to o mój sekretariat idzie...

— Ja uciekam — ale widocznie pan trzymał jego stronę, kiedy pan uciekał aby ślub został odroczony co?... Proszę mi pan!

~~Mówiąc to~~

I wyciągnął ramię ocalił pan Antoni po schodach.

— Nie, nie puszczę! — i wstrzymał go przemocą.

— Cóż to znaczy! gwałt?

~~Panie dyrektorze~~ —

Zimny pot wystąpił naraz Florianowi.

— Panie dyrektorze — przebacz... propozycja! propozycja o której mówiliśmy wczoraj... Ja ją panu czynię! Zróbmy ugodę. — Trzecia część! — Co za trzecia część? Nic nie rozumiem

— Jaka propozycja (co za ugoda?) ?

— Trzecia część spadku, byleś pan nie wspominał o śmierci Czeczerewicza...

— Jakto? pan? pan mi ~~[illegible]~~ ofiarujesz tę trzecią część? co? jakąż pan możesz mieć szansę? co?

— Mam wielkie szanse — panna mnie kocha — Mikołaja do wszystkiego ~~[illegible]~~ zmusi; potrafię byle nie dowiedział się o spadku... Chodź pan do ogrodu, tu na schodach mógłby nas kto spostrzec — chodź pan!

I pociągnął go prawie gwałtem za sobą do altany. ~~w [illegible]~~

— Panie dyrektorze! Słowem honoru panu zaręczam, rzeczy tak stoją: ja albo Mikołaj — pan nie masz żadnej szansy. ~~[illegible]~~ Ja Mikołaja oddalić potrafię aby zerwał — ale uczynię to tylko w takim razie jeżeli to mi nie zaszkodzi obrócić korzyść. — Pomóż mi pan! żądam tylko

milczenia o śmierci Czeczerowicza. A wzamian

oparcia treści umów spadku...

— Jak pan może rozporządzać tym spadkiem —

kto wie czy panna Wanda zgodziłaby się na to? co?

— Spiszmy ugodę, ona podpisze.

— Podpisze? co? .. ale treści umów? hm!..

ja przyjechałem sam, umówić co przez pośrednictwo o Czeczerowiczu

— bo mnie spytać czy ciemno go uszczęśliwić..

wo' ki [illegible]?

— Dowie się pan, że wszystkie — lub co chcę

zrealizował zresztą..

...

— Co chcę! co chcę!.. bo musiał coś

skłamać.. a ja tak wolałbym rozmyślać się

z prawdą!.. co?.. A jakie uszczęśliwić mnie

potem spotkać [illegible] mogę!..

— Dowie się pan, że zataić

prawdę aby nie zepsuć familijnej

wczorajszości... Dumić, zgódź się pan! czas upływa! Do śmierci

pana będę wdzięczny! treści umów!...

— Połowa... zaproponował Dyrektor

— Ależ panie!

— No, połowa! co? chce pan? co? to wielkie

ryzyko z mej strony!... Pan uważa na co ja się narażam... kto wie czy ten podpis — zresztą panna małoletnia ... ale połowa! połowa!

no, zresztą — ale! ... (któżby to wymówił, może bagatela!) — Ja

— Połowa — mamy wszystko przystępne

— Połowa — mam prawdziwą

pannę Dobrzyńską i kochanego pana... ale interes

jakaś sympatia do kochanego pana... ale interes

interesem! Połowa! co?... No, decyduje się pan?

czas upływa... Trzeba już...

— Ha, niech i tak będzie. Połowa! — ale

i sekretarzyk mój?

— Dobrze — odparła panna mniej pewnie.

— Dziękuję. proszę!

Wyjął Florek z kieszeni bilet wizytowy i zatemperowanym ołówkiem napisał na drugiej stronie:

Na otwarcie połączenia się naszego ślubem małżeńskim obowiązujemy się zrzec na rzecz pana Antoniego *** połowy spadku po p. Januarym Szczeszczewskim gdyby temu testamentem na naszą korzyść rozporządził. Odwołanie tego dokumentu niniejszym wzajemnie podpisujemy:

— Przeczytaj pan, proszę, czy to wystarcza — podpiszemy bezzwłocznie. Tymczasem daj mi pan swoją kartę wizytową aby drugi dokument spisać: zobowiązanie się pana co do zachowania mi porady. — Oto jest moja karta... — Ale w tym pierwszym akcie, słusznie pan takiego warunku nie był umówione. Chciałeś tylko abym milczał o Szczeszczewskim a teraz stronie dokumentu wynika że żądasz abym wprzód tobie przyrzekła...

— Zarazem tym miał odwagę tak znaczną kwotę i gdybym się nie zapewnił że pan dotrzyma [illegible] do skutku? Niemożliwe aby twój [illegible] zrzekał odda pan pół spadku niedawnej — wnukowi starania — tylko jako mój [illegible]...

— No, maszyna! Pan naprawdę lubi formalności — i podpisu [illegible]... widać żeś pan nie przyzwyczajony... co? ale wreszcie już i tak zrobimy... gdy tylko istotnie [illegible] na wzajemne honorowe że dotrzymanie (dodał z emfazą) panna podpisała, ale czy wzajemnie? ... — Oto drugi dokument:

— Dobrze. —

12.

33

W razie zamęścia p. Floriana *** z panną Wandą Kapermann, obowiązuje się wyrobić temuż panu Florjanowi posadę pierwszego sekretarza przy Banku... Szybszym tego uczynił, zapłacę krótko....

— Tu chciej Pan dyrektor napisać krótko, iżeś uznał za stosowne...

— Ale to jest niemożliwe! Pierwszym sekretarzem jak dwa a dwa cztery — byleś się ożenił a mnie oddajesz potomny spadek...

To można dopisać p. Antoni (zapłacę krótko): „Otrzymuje się równej pensji pierwszego sekretarza i pracuje tak przez dwa lata następne."

— Ale cóż ten dokument podpisze, muszę wprowadzić mieć tamten wyrok.

Florek wyrwał z pularesu czystą kartkę papieru i napisał na niej te słowa:

„Wasza dozwala mieć, jeśli chcesz być (na wszystko) moją — podpisz załączony dokument, wyjdź na ganek od strony ogrodu i p. Antoniemu z tym słowami — podpisałam zawiadomienie."

Zawinął liścik i akt cesji w kawałek gazety i zostawszy Antoniego w ogródku, sam udał się na górę.

XXI.

Panna Wanda stała przy oknie pośród grona panien, ścigających się z towarzyszką. Jedne patrzyły na nią z zazdrością, inne uważały z przekasem,

drugie z wzruszeniem spoglądały na jej twarz bladą i zapłakane oczy.

Niepodobna było zbliżyć się Florjanowi do niej a tem mniej wymienić z nią słów kilka i oddać trzymany w ręku pakiecik. (bez zwrócenia uwagi)

Zagadnął tedy w braku lepszego środka jedną z jej przyjaciółek:

— Panno Melanjo! mam do pani prośbę.

— Słucham.

— Pani kocha pannę Wandę?

— O całem sercem! to moja najlepsza przyjaciółka.

— To niech jej pani bezzwłocznie (wręczy) odda ten pakiecik, lecz tak aby nikt nie spostrzegł...

— A cóż ~~[illegible]~~ to jest?..

— Nie pytaj pani, ale oddaj jej... i powiedz że to ode mnie...

— Od pana?

— Tak!... ja także kocham pannę Wandę całem sercem — domyślałam się tego... ale

— Pan? i cóż gdy ona już w [illegible] po niekażdej — dawno pan ....

— Mów pani na miłość boską!

— O nie!

— Czemu?

— Patrz pan — ona taka blada, smutna, ... jakbym mogła niepokoić jej serce jakimś listem od pana? — o nie, toby było niegodnie panie Florjanie! ~~[illegible]~~ Skoro się już stało — powinieneś pan o niej zapomnieć... i ona powinna zapomnieć ~~[illegible]~~ jeśli chce być panną szczęśliwą... ~~Dotąd było~~ grzechem to dziś jej świętym obowiązkiem...

— ~~Panno~~ Melanio! przez litość! ~~[illegible]~~

~~[illegible]~~ tonek jeszcze mi po słuchu? wszystko mówi że panu zmienić

— O jeśli zapóźno?.. tobyśmy byli gotowi rozkrwawić się ... albo Pan się może namówić do jakiego szalonego kroku?.. Wie, że panu wtem niezgorzej! za nic w świecie!

I odeszła.

Florian spróbował znowu zbliżyć się do Wandy. ~~[illegible]~~.

Obejrzał się po salonie robiąc przegląd obecnych osób czy która nie nadałaby się do tej missji tajemnej. * * *

W salonie dziwaczna odbywała się scena. Szaleństwo Kalasantego coraz gwałtowniejszemi objawiało się wybuchami.

W chwili uspokojenia groźnym rozkazem lub ~~[illegible]~~ groźbą proszony, ~~[illegible]~~ stawał w kącie w pokornej postawie strasząc i słuchał swoich braci, lecz zaledwie ~~[illegible]~~ bratanice się odwróciły odstawiał profesor na środku pokoju jednym susem i [illegible] ~~[illegible]~~ pierwszą lepszą osobę która mu się nawinęła, niezwykle się lubił, żądał od niej aby mu ~~[illegible]~~ kwadratem ~~[illegible]~~ pitagorasa."

— Kalasanty! — wołał naniego groźnie bratanica — Czy ci złego robi? pnieść ci [illegible] mowa.

— Niespodobna, mówił [illegible], że go trzeba odwieźć do szpitala...

— Ale my sami go zwieziemy tymczasem to najlepszy sposób, a po słuchu go odwieziem.

~~[illegible]~~ Kilku wyprowadziło stryjanka ~~Kalasantego~~ na korytarz i tam ~~[illegible]~~ nowe napomnienia ~~[illegible]~~

czy też energiczny tej reprymendy allegat, czy odwodziejo rodzeństwa [illegible] ~~[illegible]~~ doprowadziły dziwnego Kalasantego do opamiętania.

Stał zmięszany. ~~[illegible]~~ Skubał brodę, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ plecami w ścianę, przebierał palcami i ~~[illegible]~~

* * *

XXII.

W rogu salonu spostrzegł Florian siedzącą samotnie na uboczu pannę Paulinę.

Panna Paulina była to stara panna o pańskich już przy wdziękach, nie mogąca odżałować [illegible] ubiegłych lat i przy stanowisku, a za swe staropanieństwo mająca żal do całego świata (do [illegible] urody), a za swe staropanieństwo – zgryźliwa i kapryśna. Odziedziczywszy mały kapitalik, wybierała za młodu między licznymi konkurentami, póki ci wszyscy odbiegli, zrażeni jej wymaganiami, aż w końcu pozostała sama. Straciwszy nadzieję pójścia za mąż, lubiła zawsze zwierzać się wszystkim ze swego humoru i teraz [illegible]. – Siedziała sama na uboczu – i z zawiścią utopiła wzrok swój w bladem obliczu Kapitanowej.

– Przepraszam panią – przemówił do niej z uprzejmością Florian. Czy wolno mi zadać pani pytanie nieco śmiałe, może niedyskretne...

– Szczególniej w żądaniu! – odrzekła panna Paulina, rada że może jeden egzemplarz płci nienawistnej zbliżył się do niej...

– Dziękuję pani! ale to pytanie chociaż może niedyskretne, nakazuje mi wytłumaczenie dla mnie osoby drogiej mi, osoby [illegible] o mnie przyjaciela i [illegible] o szczęście [illegible] właśnie.

– A więc mów pan, pozwalam.

– Pani [illegible] [illegible] ... jest ...

[illegible] [illegible]

– Bezwarunkowo

– [illegible] [illegible] [illegible]. Czy byłabyś Kasia oddała się temu mikołajowi gdyby cię był okradł?

– Co za ciekawość! może nie, może tak...

– Nie mówię nawzajem! nie, ale rozumiem

13. co opowiadać znaczy ... mój Boże jakie on niewczesny!

— Nie tłumacz pan sobie tatusia mowa opowieści. Ale co znaczy ta deklamacja?

— To znaczy ~~[illegible]~~ niestety i mi się ale on ~~[illegible]~~ tatusia wszystko tłumaczy — i teraz wszystkiego nieszczęścia będzie sprawą...

— Czy to prawda co pan mówisz?

— Niestety!.. Ale [illegible] pani, wszystko od nieszczęsnej kobiety, ten i ona ... i ja...

— Jakto czy ~~[illegible]~~ ...

— Tak pani!... Na miłość boską — ratuj ~~mnie~~ pani! Czas nagli! ostatnia już chwila! Od niej zależy wszystko, bo dał słowo. Ale od niej wszystko zależy. Nie żądaj pani bliższych wyjaśnień. Bardzo bym długo musiał opowiadać — a tu każda minuta droga. Stoję jak przed stosem zapalonym — topór zawisł nad moją głową — nad trzema głowami naraz! Ratuj nas pani — i ~~jego~~! Oddaj mi ten pakiecik, tak aby nikt nie widział i powiedz [illegible] że to ostatni środek ratunku, że ostatnia ~~to~~ chwila!

~~[illegible]~~

W minutę później pakiecik był już w ręku Wandy, — usunęła się z nim do alkowy a chwilkę później ~~[illegible]~~ była już nagrzana i zaraz Antoniemu żądany dokument, którego miał okupić własne szczęście.

— Ja mu jestem Twoim [illegible] Szlachetny! — żeby ten utwór ~~[illegible]~~ stał na kryształowym ~~[illegible]~~ wszystko oddał!

XXIII

Kalasanty wpadł z krzykiem do salonu:

— Nie! ja nie wrócę do Lesinej Woli! I kapać się nie wydam! I bić się nie ~~wydam~~! — Niech inspektor mówi co chce, ja do ministerium będę apelować. Pokażcie mi

wany kwadratura! ja wam zaraz odwiodę się tatusia.
Bylibyście już wszyscy wygrali gdyby była dobra! Głupstwo!
Jak was postawić na górach kiedy sami stali... ?

— Kalasanty! cicho mi siedź — bo ci w kaftanie każę ubrać!

— Próbuj! prawda zimnej szczęścia! postawcie się na górze!

[illegible] ... wiem z ...

I podniósłszy w górę krzesło, zaczął niem wywijać na około siebie.

~~[illegible]~~ Kobiety zawsze uciekać zaczęły do drugiego pokoju, dokąd nareszcie pobiegła profesorowa zaraz. Kalasanty szarpał się i wyrywał co mu się stało.

— Widzisz ~~[illegible]~~ kochany [?] (rzekł p. Mikołaj), ja go ~~[illegible]~~ zaraz odwiozę do szpitala. ~~[illegible]~~ Ale trzeba go ubrać..

— Szanuj, szanuj! — zawołał kapitan na żonę.

W tejże chwili wszedł do salonu p. Antoni. Zdawał się pomieszany. Wyraz jego twarzy źle wróżył.

— Cóż Czcigodny?.. co się stało? — zapytał kapitan. ~~[illegible]~~

Antoni nic nie odpowiedział, — ~~[illegible]~~ ustami poruszył i jakby się zasłaniał, zamknął i nie rozmówił.

Mikołajowi, ową zabrzydły najżywsze rodzinne

— No ~~[illegible]~~ panie dyrektor! ~~[illegible]~~ was bringen sie?

— Nie będzie nas słuchać — odrzekł ponuro.

— „Umarł pewnie!" — pomyślał Mikołaj. — Czy chory? — zapytał..

— O nie. Zdrów, ale odjechał.

— Odjechał? — nicht möglich!

— Czemu odjechał? — zapytał Mikołaj, któremu się twarz przeciągnęła.

~~[illegible]~~

(wszystkie) — Nieszczęście! — ~~[illegible]~~ odpowiedział Antoni.

— Was ist denn geschehen?

— Otrzymał depeszę z Jarzy że mu się dom spalił. —

— Dom spalił... (Gott sei Dank) to nie takie wielkie nieszczęście: — drewniana chałupa!

— Tak, zapewne, — odrzekł Antoni (tajemniczo) — ale ~~on~~ w rzeczywistości wzruszony... Ja się obawiam że ma niezmierzone ogromne straty... wyjechał (prawie odchodzący) od przytomności ze zmartwienia... Bardzo się obawiam o niego...

— Tausend noch ein Mal!.. ale dlaczego? co to znaczy dla ~~[illegible]~~ niego taki barak ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ drewniany!...

— Ja mu zawsze mówiłem — rzekł z ubolewaniem Antoni, ~~[illegible]~~ że kto małego wydatku unika — to na wielkie straty się naraża!. zawsze mu radziłem żeby kupił kasę ~~Wertheimowską~~...

— Skąd miał kasy ogniotrwałej? — zapytał Mikołaj zgorszony.

— Nie wiem — ale tak wnoszę z ~~[illegible]~~ wrażenia... jakie na nim wywarła ~~[illegible]~~ depesza o pożarze...

~~— [illegible]~~ ! ~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~ Już [illegible]

~~[illegible]~~ — spalone moje! wszystko! — ale prawda zwycięży — postawię się na głowie! moja kwadratura! moja kwaterna! moje! [illegible] to się nie da kupić! ja mu [illegible] do [illegible] propenem ~~[illegible]~~ oddać! [illegible] między [illegible] frakiem i [illegible] i wszystko ~~[illegible]~~ nie będę nadrabiać!

XXIV. ~~XXIII~~

Mikołaj zabierał się do odprowadzenia Kalasantego ~~wprowadzenia~~ do fiakra aby go odwieźć do szpitala

— Eh, kochany Mikołaju! może my by sem wpierwéj ślub wzięli — a jego tu ostawili przed tem …

— Niepodobna kochany księżnie — ja go muszę tam zaraz odwieźć, ~~[illegible]~~ z moim zobowiązaniem inaczej z każdą chwilą stan jego by się pogorszał. ~~a [illegible]~~ ~~[illegible]~~ Za pół godziny, najdalej za trzy kwadranse będę z powrotem. Panna Paulina zbiegła się w tej chwili do Mikołaja:

— Panie — proszę na słóweczko, niechże słodkim głosem i wybiegła na korytarz

Zdziwiło ~~[illegible]~~ Mikołaja ~~[illegible]~~ i że szeptem i ten akcent szczególny z którym było wymówione bez udał się za nią.

Za drzwiami pochwycił go za rękę Florcia. Paulina pociągła w lewo.

— Cóż zdecydowałeś? ~~zapytał~~ groźnie. — Wiedz o tem że w co mnie jam zdecydowany na wszystko. Jeśli złamiesz słowo i zabierzesz mi jej Już jesteś w mocy moich i ona na mnie. (nie dostanie się tej zdrady.)

— Ale Florku! oszalałeś! ani myśli słowo łamać... Ale cóż chcesz abym zrobił? Kalasanty nie da się już umówić.

— Chodź! / — Ale pozwól że, niech wiem co chcesz: — Chodź! ze mną gorej niż z kapitanem. Pamiętaj

I poprowadził go ~~[illegible]~~ korytarzem w lewo drzwiami na ganek. — Z ganku był wchód do spiżarni podwójnemi zaopatrzony drzwiami. — Spiżarnia była otwarta. — Byłe tam dwie kobiety.

— Ktoś we troje nas zamknie? zapytał zniecierpliwiony Mikołaj — Nic z tego! — odrzekł Florek

— Ależ może Paulinka droga — odezwał się głos panny młodej — chociaż ~~tylko~~ tylko w spiżarni

— „Ale może kto zobaczyć!" — zaglądał się trwożnie

— To zamknij i niechaj".

14. możesz mi powiedzieć tę tajemnicę?

— To nie ja ci ją powiem, odrzekła melodramatycznie, ale oni obaj tu przyjdą — tu nas nikt nie podsłucha... i wszystko ci wyjawią... i obie będziemy szczęśliwe..

— My obie? więc ty kochasz pana Mikołaja?

Czy Paulina odpowiedziała na to ~~uśmiechem~~ oka, mrugnięciem, westchnieniem, (skinieniem głowy) — i tp. niewiemy. Słówka nie dosłyszeliśmy żadnego.

— ~~Ale zanim do tego wyjaśnień w spiżarni na tej wyspie~~?

— ~~Tego uwagi~~

— ~~Mikołaju! panie Libber Zotow~~...

W tej chwili wszedł (do spiżarni Florek a raczej wskoczył)

i równocześnie dał się słyszeć głos Mikołaja:

— Panno Paulino, proszę pani!

Paulina ~~wyjrzała~~ wysunęła główkę z najsłodszym uśmiechem

— Chodź pan ~~tu~~!

— Niechże pani wyjdzie! szepnął Mikołaj niecierpliwie

Spojrzała na niego zdziwiona — ale wyszła.

Zaledwie za progiem, Mikołaj zatrzasnął drzwi ~~[illegible]~~, obrócił kluczem raz i dwa razy, klucz wyjął, schował do kieszeni, zamknął drugie drzwi i zasuwką skoczywszy dwie...

— Panie Mikołaju! co pan robi?

wołała biegnąc za nim Paulina.

Zatrzymał się dopiero w sieniach

— Jakto? pani nie wtajemniczona?

— Oh, wiem wszystko!... odrzekła cicho, ale

czemu pan ich zamknął? – zapytała naiwnie.

Spojrzał na nią zdziwiony:

– Chyba pani nie wierzy o niczem? Florek Florch musiał pani Bóg wie co nabajać!..

Smutny a nawet oschły ton którym w duszy przemawiał dziwnie brzmiał wręcz u nich. Nie – pomyślała – on chyba wie o niczem i tai się z swem uczuciem aby nie być zrozumianym...

~~[illegible]~~

– Wiem wszystko!.. i... uratuje pan nadziei!..

Te spuściła oczy. Po zmarszczkach jej twarzy przemknął dziwny rumieniec.

– Jakiej nadziei?.. – zapytał patrząc na nią osłupiałym wzrokiem. – że mnie wolno o panny Wandy? Z przeszłości nas to tylko ich zamknąłem zaraz!.. Tylko na miłość boską, przysięgnij mi pani że nikomu nie powiesz!

– Jakże pana można zdradzić!.. Przecież wiem że pan to dla mnie uczynił.. i.. nie gniewam się.. (to [illegible]).. i.. się...

– Ja? dla pani (to [illegible])?.. – Aaa! rozumiem!.. ..ch to intrygant!

Tym wykrzyknikiem musiało się więcej niż potrzeba być dla otworzenia oczu panny Pauliny.

Tym razem chciała Ewan się przybrać zapewne inny wyraz. – Gdyby ją kto niespodzianie w takiej zaskoczył wtedy – musiałaby być podobną.

– Intrygant! – wycedziła przez zęby. – Drżąc cała z oburzenia gniewem.

– Ale zlituj się pani! nie zdradź mnie!

— Oddaj mi pan ten klucz!

— Co pani chce zrobić?

— Co? Jak sama uczciwa! Ale Oddaj mi pan klucz!

— Ależ...

— Klucz! — nalegała panna Paulina ... bo otworzę wszystko!

Mówić przestał ... po biednym Mikołajku. Florian na jego miejscu byłby powiedział: „To się pani sama skompromituje", on się wahał chwilkę, wreszcie zapytał ... — Cóż mnie pani nie zdradzi? — Przysięgam ci niezdradzę. Oddał jej klucz od wyjścia ...

Wszedł do salonu ... się w ...

Zrobi z tą zdobyczą aby jak najprędzej ją ponieść: czy miała oddać? czy ...? A jak mnie zapytają skąd go wzięłam? co powiem?... ah, jak ci tu zmieścić?

XXV.

Sprowadzenie Kalasantego z ... do ... go do powozu i odwiezienie do szpitala ... nie było tak łatwo jak się zdawało. — Exprofesor ... nogami i ... się ... na tych którzy się do niego zbliżyli, odbierał się ich ... Wtedy starannie ... przez ... podniósł się ... i nie się nie dawał.

Uczyniono ... pół godziny zanim udało się ... Mikołajowi z pomocą przywołanego stróża ... po ... „hausmajstra" i drugiego stróża ... Kalasantego do fiakra. Mikołaj ... wreszcie.

— Ha, ... prędko mein liebes Nikolaus!

— Jak będzie mógł najprędzej!

... czas wszystkich ... Mikołaj ... wobec nalegań ... tego ...

— Aber mein lieber ... że go kto inny może zawieźć do szpitala ... ja go sam zawiozę a ... ...

nerwy i chłodniej już zastanowiła panna Paulina

nad tem wszystkiem co zaszło. Przedewszystkiem widziała jasno iż Florjan się zmistyfikował — i że

Nie umiała wytłómaczyć sobie dla czego

Mikołajski nigdy się nie śmiał szukać się wśród. Czuła się niegodnie skompromitowana i lękała się zdać

Mikołajski nie kochając jej zrywał z tak pięknem dziewczęciem, jak Dziunia, a tem mniej, dlaczego pragnąc zerwać ten związek unieważnia sobie tego związku oświadczył się wpierw Kapitanównie.

Pojmowała dobrze iż pragnąc uwolnić się od Dziuni, ważne mógł mieć powody potrzebowała się o to aby wina zerwania nie spadła na niego. mógł się także obawiać gniewu Kapitana, opinji publicznej i tp. — To jasne. — Ale czemu zrywał oświadczywszy się wpierw?.. Czy doszły go jakie wiadomości niekorzystne o Dziuni? Dowiedział się może że zakochana w Florjanie? niemożliwe! Tak!

Ale jakiż cel miał Mikołajski zaczynając w owej rozmowie? Ten wyznaniem z Florjanem — chciał zapewne zamaskować a jemu dopomóc w jego planach. Zamknął się swoim panem, aby jej tak skompromitować iżby już za nikogo pójść nie mogła, tylko za Florjana.... Tak! To wszystko rozumiała.

Dziunia musiała w Florjanie zakochana, niebyłaby zapewne zezwoliła na wykonanie tego planu który ją tak kompromitował... Florjan chciał ją jakimś sposobem sprowadzić do tej zgrozy — użył więc intrygi — mnie chciał użyć za narzędzie! Wiedział że na jego prośby niedałabym się nigdy do wzięcia udziału w takiej kabale!. A więc mnie zwiódł wykorzystał mnie. Podnosić mnie zdradziła, wciągnął wbrew mej woli do swoich planów! skompromitował mnie,

na śmieszność mnie naraził! na zawsze tak! Zemsta, zemsta!

Ale jak się to zemścić? – Oddać sekret jej matce albo ojcu? Spytają skąd go wiedziałam! Powiedzieć? Niepodobna! – Powiedzieć że podsłuchiwałam na cmentarzu? albo że widziałam, jak ich Mikołaj zamykał?.. Zapytają czemu zaraz im nie oznajmiłam. A jak tam znajdą razem tę cudzą parę, – kapitan zapyta córki jak się to wszystko stało a ta gotowa powiedzieć że to ja ich tam zaprowadziłam... Nie! nie! Niepodobna dopuścić aby ich tam znaleziono – Florjan tego tylko pragnie – Trzeba temu przeszkodzić – to mój obowiązek... a i zemszczę się – wtedy sposób najlepszy – pójdę sama otworzę więzienie!..

I uradowana tym pomysłem – wybiegła.

Wszakże plan a wykonanie – to rzeczy dalekie często od siebie. Choć plan często układany i praktyczny w teorji, nieprzewidziana przeszkoda nieraz wykonać go nie dozwoli.

Na ganku stało kilku mężczyzn, którzy tam wyszli dla wypalenia papierosów.

Niepodobna było w ich obecności otwierać dobrowolnym więźniom ich więzienie przed oczami [illegible]... niemówiąc o [illegible] które skrzypienie zapewne wzbudziło.

Trzeba było odłożyć wykonanie planu do chwili sposobniejszej..

– Gdybym mogła przynajmniej widzieć, co oni tam robią! Tego [illegible] widzieć – i my nie mówimy. Dwoje drzwi

nas od nich podzieli. Zamówiłam tylko tobie zawsze wolnym przenikać mają. My się tym darem pamiętania powierzyć uczcimy. Jeśli który z naszych czytelników go posiada (: a użyczać ma się on częściej przytrafiać :) — niech spróbuje, może co zobaczy. — A jeśli by co zobaczył — prosimy o łaskawe udzielenie nam wiadomości, ~~[skreślone]~~ bo my takiej czekamy.

XXVI.

Minęła znowu przeszło godzina od chwili jak zamknęły się drzwi ~~[skreślone]~~ improwizowanego więzienia, za którym spoczywał ciągle [illegible] pamięć Pauliny.

~~Dziwnie! Dziwnie~~

Mikołaj nie wracał. Niecierpliwił się kapitan, gdyż miał obawiał swój zły humor, klął coraz częściej po węgiersku a żonie już trzeci raz w ciągu tego czasu ~~zat~~ powiedział impertynencję. Nie zasmucało to jej wcale ani nie dodało [illegible] kapitanowa — zbyt już była z tym oswojona aby to na niej tak wielkie miało sprawić wrażenie.

Spostrzegł kapitan nieobecność córki. Zapytał o nią żonę, ta obeszła nad [illegible] cały dom wreszcie — i nie znalazłszy jej, zaniepokoiła się trochę — ale nie umiała męża uspokoić i dziwna zniknęła. Spostrzegłszy że i Florjana już nie ma nigdzie w domu — sercem matki odgadła wszystko, domyśliła się wszystkiego — ale choć

odgadła ~~wszystko~~ wszystko co się kryło w sercu ~~Dziuni~~ dziewczęcia, i dość domyśliła się że ona w tej chwili jest gdzieś z Florianem — nie odgadła najważniejszej rzeczy: gdzie.

~~Badała~~ Ślężyca przyjaciół domu czy nie widzieli Dziuni, czy czegoś nie zauważyli? — nadaremnie. Nareszcie wróciła do salonu i stanęła przed mężem z tą straszną wieścią. Znała go nadto dobrze aby nie wyobrazić sobie jego wściekłości na wieść o ~~...~~ oznajmianej ucieczce czy też wykradzeniu córki.

— Gdzie jest Dziunia? Millions! — spytał kapitan i obiegł kilkakrotnie mieszkanie

— Nie ~~widział~~ widziała pani gdzie Dziunia?

— Czy ~~nie~~ widzieli państwo mojej córki?

Wszyscy odpowiadali przecząco.

— Sapperment! a gdzie moja żona?

Znowu obiegł mieszkanie. Nie znalazł ani córki ani żony, ~~wreszcie~~

— Gdzie one są? Millions!

Wstąpił do kuchni. Służąca kapitanowa siedziała tam na ławce i płakała.

— Was heisst das? co to znaczy? gdzie Dziunia?

— Nie wiem! — odrzekła drżąc cała — Nigdzie jej znaleźć nie mogę!

— Was Teufel! (wrzasnął z pełnej piersi) Niemożliwe być?!... Może na strychu?

— Byłam tam.

— W stróżce?

— Niema.

— W spiżarni?

— ~~...~~ Spiżarnia zamknięta.

— W piwnicy?

— Byłam: tam, nigdzie jej niema!

— Jest nikt nigdzie! — i wypadł jak szalony z kuchni.

— Dziunia! Dziunia! — wrzeszczał po swojemu, przebiegając raz dziesiąty wszystkie pokoje i rozglądając swoich gości.

Nigdzie jej nie było. Znikła bez śladu.

Białka oczu krwią mu nabiegły, włosy nagle zjeżyły się, podniósł się groźnym wzorem każdy włosek jego wąsów, tak jakby ktoś kapitana postawił na izolatorze elektrycznej maszyny. Iskier tylko brakowało za dotknięciem. Wreszcie był już dość.

po schodach na dół. Przed domem stało kilku łobuzów. Zapytał czy nie widzieli jakiej panny odjeżdżającej lub wychodzącej z domu.

Żaden nie widział.

Jeszcze i jeszcze raz kapitan przeleciał cały swój apartament i wrzeszczał ochrypłym z gniewu głosem:

— Dziunia!

Słychać to wołanie wbrew do pokoju Kajcia:

— Panna młoda jest w spiżarni — zamknięta.

— Tyś ją zamknął Rotzbub? — zapytał kapitan, chwytając gniewnie chłopca za rękę.

— Ale nie ja!

— Skąd wiesz (że zamknięta)?

— Bo byłem na dziedzińcu (tym drugim) wkłombió — szukałem śmieciów — i widziałem, jak ją ten pan młody zamknął

16. 41

— Chachacha! pan młody ją zamknął? — roześmiał się kapitan najweselszym śmiechem i twarz jego ~~[illegible]~~ jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej przybrał wyraz najweselszego z ojców.

— Chachachacha! — śmiał się trzymając się pod boki. ~~[illegible]~~ A to sein parade! Das ist kolossal! Słuchajcie państwo: Nikolaus ją zamknął aby ~~[illegible]~~ mu jej kto nie zabrał ~~&~~ aż ~~nie [illegible]~~ nie powróci! chachacha! ~~[illegible]~~ A to sein Eifersucht!

Porwał Kajcia i podniósł w górę z radości

— Gadaj, jakże to sein było? — i pocałował go wesoło.

Kajcio zadowolony z ważnej swej roli opowiadał naiwnie:

— Panna ~~[illegible]~~ młoda była w spiżarni z jakimś panem — a pan młody przyszedł tam z jakimś panem i jak ten pan wszedł do spiżarni a ten pan wyszedł to zamknął ich na klucz...

— Jakto? co ty pleciesz? z tym panem? Das ist nicht wahr!

— Ale z pewnością z jakimś panem...

— To sein niemożliwe być! — smucząc się zapewniał kapitan.

— Ale ja widziałem!

— Pleciesz. Cóż to za pan?

— A ja wiem jak się nazywa...

~~— To nie może prawdą być~~

~~— Jak to może być~~

— Dummes Zeug! jakby to mogło być! to nie prawda! — odrzekł kapitan spokojnie

I prócz panny Pauliny i pana Antoniego wszyscy podzielali zdanie kapitana.

Antoni gładził wozy synów i typał oczyma, ciekawy uczestniczenia
Panna Paulina dziękowała Bogu że Kazio przeoczył: końca awantury.

„jakaś pani" a nie zapamiętał która. Drżała na myśl że Kazio mógłby sobie teraz przypomnieć lub że po otworzeniu spiżarni ~~[illegible]~~ jej w tej kabale ~~wydać się~~ wydać się może. Poskarżyła się przed kapitanową na gwałtowny ból głowy, który jej dzisiaj uniemożliwia pozostać w towarzystwie i odjechała.

XXVII.

Kapitan zaczął się ~~znowu~~ coraz bardziej niecierpliwić że Mikołaj nie wraca. Co chwila patrzał na zegarek — wreszcie postanowił pojechać po Mikołaja do zakładu obłąkanych i przywieźć go gwałtem.

Z ulicy Mickiewiczowskiej do hotelu Langa ~~Angielskiego~~ nie było daleko. ~~[illegible]~~ Tam chciał się kapitan zatrzymać po drodze, ~~i zapytać~~ przypuszczając że Mikołaj może Do mieszkania swego wstąpił.

Wyskoczył z fiakra i pobiegł do znanego mu pokoju pod N 16. — Stancja była pusta. ~~[illegible]~~ Kelnerka ~~[illegible]~~ ją zawołała:

— Gdzie pan? ~~Mikołaj~~?
— Jaki pan?
— No, ten co tam mieszka?
— Odjechał przed kwadransem na kolej...
— Odjechał? to nie może być!
— Odjechał z powrotem, rachunek zapłacił... O ja go przecież znam. Pan Mikołaj...
— Sam?
— Sam.
— Dokąd?
— Na dworzec krakowski, ~~bo~~ chciał najbliższym pociągiem jechać... ~~[illegible]~~ o ile pewnie pamiętam w Krakowie...

Kapitan stał na miejscu nieruchomy jakby skamieniał.

— A wszystko! — kelnerka jakby przypominając sobie coś — zaraz też list oddała wedle adresu. To może do Pana?

— I wyjąwszy list z zanadrza — podawała kapitanowi.

List był zaadresowany do niego.

Wyrwał go kapitan z rąk kelnerki i rozdarł kopertę jak zgadujący już coś wewnątrz.

Wewnątrz stały nakreślone wyrazy:

Najdroższy Panie Dobrodzieju!

Przywołany lekarz oznajmił że z nieszczęśliwym moim Stryjankiem bardzo źle i że jeden tylko pozostaje ratunek dla niego: umieścić go jaknajspieszniej, zawieźć do Zakładu [?] gdzie oddawszy go [?] stałego [?] do tutejszego Szpitala można być pewnym że zastosowana kuracja niezawodnie [?] zostanie na razie jego wyzdrowienia. — Mając wielkie obowiązki względem nieszczęśliwego mego Stryja, spieszę na kolej aby najbliższym pociągiem odjechać do Wiednia. Boleję nad tym bardzo że stanie się ten bolesny wypadek powodem odroczenia ślubu — a może nawet, jak długo mi tam zabawić wypadnie, święty obowiązek. —...

Kapitan przeczytawszy te słowa [?] listu dalej już nie czytał. Podarł pismo w kawałki — i przedstawił [?] uwagami [?] i wypadł, nie dbając [?] nawet na [?] niczego [?], wykonawszy [?] porządnie [?] ... — Wkrótce [?] wyjechał ze sobą [?] ... kelnerki przypatrującej się tej scenie.

XXVIII.

Od hotelu Langa na ulicę Mickiewiczowską niedaleko dla jadących powozem — ale dla pieszych spory kawał drogi. Jest czas nawet dla ludzi najgwałtowniej wzburzonych ochłonąć nieco z gniewu.

Kapitan szedł pieszo — o fiakrze którym był przyjechał zapomniał zupełnie. Fiakier sądząc iż taki, iżby woli jechać krok w krok za nim.

Kapitan szedł powoli a sapał przytem i tak gwałtownie robił piersiami jak człowiek któryby jednym pędem z ulicy ratuszowej zbiegł aż ~~na~~ Dół[?].

Było dla niego rzeczą aż nader pewną że Mikołaj korzystając z napadu szaleństwa swego stryjaszka — umknął aby ~~się~~ więcej nie wrócić, że zatem jego nadzieja wydania córki za possessionata spełzła na niczem.

Nie wątpił również że prędzej czy później dostanie Mikołaja w swoje ręce i każe mu przyrachować — ale na teraz nie myślał o tem.

Na rogu Szczepańskiej ulicy przystanął nieco i zapytał sam siebie: czemu Mikołaj zerwał?.. Ha, zapewne mu ktoś odradził. Może ~~się nawinęła~~ mu się jaka posażna nadarzyła partja. Może jaka hrabianka?... Dziunia nie umiała go skokietować! była taka zimna, obcesowa! mimo ojcowskiego nakazu! Ha, to Dziunia! ona wszystkiemu winna!

Zaczął kląć. Ruszył szybszym krokiem naprzód.

Wtem przyszło mu na myśl: poco ja Mikołaj zamknął w spiżarni? I to przed odjazdem,

nasze już niewątpliwy zamiar zerwania? ~~ad~~ jakim celu?

Ha! może to i prawda co powiedział Kajcio, że on ją zamknął tam z jakimś panem?

— Tod und Teufel! — i rozpuścił nogi krokiem podwójnym, jak do szturmu.

Fiakier musiał konie wpuścić popędzić.

— Pewnie! pewnie tak zrobił!.. ~~[illegible]~~ Chciał mi córkę skompromitować tak, abym ja sam nawet nie mógł już od niego żądać dotrzymania słowa. Myślał że nikt nie zobaczy go jak zamykał sprzątnie i że się to nie wyda!... Łotr! łotr nikczemny!... Ha, ja go zabiję! w łeb mu strzelę jak psu!

Fiakier jadący za nim, wyciągnąwszy batem goniał swoje szkapy aby nie zostać w tyle.

— Ale z kim on ją zamknął? z kim? z kim?... Mniejsza o to z kim! ja i temu w łeb strzelę!...

— Tak!... ale może dziewczę wcześniej zamężć! któryby ją potem już chciał!... Ja już takiemu w łeb strzelę!... honor! mój honor!...

— A może ona niewinna temu nie?... To wszystko jedno!... Zhańbiona!... Chybaby tam się z nią ożenił co z nią tam siedział zamknięty! Musi! musi,... (albo kula w łeb! czy chce czy nie chce — musi!)

— A gdybym ja za Mikołajem popędził do Wiednia... i przymusił go do powrotu?... Da!

czy ja go tam odszukam!... on zapewne tylko napisał że do Włoch lub do Ameryki pojechał z kelnerem, a uciekł Bóg wie gdzie! (Kelner mówił że wrócił i pojechał sam!... nie było rady — szukać go w kawałkach! — na ognie piec! — na pal wbić! — Kiedy samej!

*) ~~Zbliżał się już do swego domu~~

— Jak się ty tam pokażę teraz między tą czeredą gości? co im powiem? — jaki wstyd! jaka hańba!

— Nie powiem im, że wszystko zerwane — tylko że młody musiał wyjechać, ~~że~~ do ~~Brazylii~~ że dziś ślubu nie będzie. Gości pożegnam — a potem dziwnej wyprawy ~~Biadaż temu któryby się~~ poważył śmiać! — Ale jeśli on wie, że ona tam zamknęła z jakimś drabem?

Nastroiła marsa i weszła ~~do~~ pomiędzy gości.

XXIX.

Wszystka część gości zgromadzona była na ganku (pani Sędzina, pani Bełkiewicz, pani Bełbaczewa, p. Kasper, p. Antoni, p. Wacław, p. Konstanty...). Dziwny wyraz mają twarze ludzkie gdy się jakieś stanie coś skandalicznego, o czem zaraz mówić. Tem dziwniejsza miny gdy koniecznie [illegible] jaka nieszczęśliwa. Tem dziwniejsze miny gdy koniecznie jaka niespodzianka. ~~[illegible]~~ powiedzieć (o tem nakazanie a nikt pierwszym być nie chce.

---

*)

— A ten drab co z nią tam siedzi w spiżarni... ten mój przyszły zięć — czy widział on że go ktoś tam zamknie z Dziunią? Oh pewnie stało się to z jego woli!... ~~+~~ A Dziunia czy wiedziała?... Eh, nie! ~~Wychowana~~ nie mogła być w zmowie... ~~[illegible]~~ surowo wychowana... byłaby się bała! — Ale zawsze winna! winna! Czemu się dała zamknąć! Winna — i trzeba ~~[illegible]~~ ją przykładnie ukarać!... ⊙ ożenić! musi! musi!

⊙ (Mówię mu: musisz się pobrać! — Ha! ale musi się teraz z nią)

Takie miny mieli gdzie kapitana. Spostrzegł to zaraz. Możeby już wiedzieć o wszystkiem?

Wystąpił śmiało, brwi nastroszył i rzekł krótko:

— Mikołaj musiał jechać z Malasantym — słabo [illegible]..

Milczenie. Wszyscy zwrócili oczy na p. Antoniego [illegible]. Widocznie z jakiejś narady w czasie nieobecności kapitana wypadło aby jemu powierzyć delikatną misję udzielenia jakiejś przykrej wiadomości.

— Panie kapitanie! – rzekł [illegible] drżącym głosem, starając się nadać [illegible] ton zupełnej swobody. – [illegible] P. Mikołaj istotnie dziwnego dopuścił się [illegible] wybryku...

— Wiem! wiem! – krótko uciął kapitan jakby na placu boju słuchał raportu od sierżanta.

— Posłaliśmy po [illegible]...

— No, ale kto tam z nim? – zapytał [illegible] kapitan tym samym tonem co wprzódy.

— P. Florian.

— [illegible]! – wykrzyknął kapitan jakby [illegible] go to [illegible] bardziej [illegible] przerazić mogło. Przypomniał sobie swoje dysputy jakie miał z nim o braku ognia w dzisiejszej młodzieży

— On sam teraz [illegible] się ożenić [illegible]! wrzasnął tak głośno że obie [illegible] wybuch usłyszeli. [illegible] — i jak się to [illegible] o jakiem na nich zrobił wrażeniu — o tem niepodobna wiedzieć. Trzeba by wreszcie zamanifestować — o tem [illegible] się zapytać. Ale czy by chciał powiedzieć?

— Oh dlaczegoż by się nie ożenił! Szczęśliwy człowiek! — nicht p. Cecudkińska. —

— Ja wohl, to, jest sam pewna nawet! Ale co to dla niej za partja! eine Feuilletonisten-frau!.. ph!.. On niema nic! Fircyk święty!

— Pani kapitanowa — odezwał się p. Antoni — ja ci może wystaram się jaką posadę... co?

— Sehr verbunden! — dziękował kapitan z dwukrotnym mines. — Ale co on może mieć za posadę!.. dla chleb i na kartofle wystarczy!.. a jeszcze jak dzieci będzie — no!.. Und sie wird gewiss viele Kinder haben! O to dziewczę! To dziewczę! Das Dumme Mädel! Będzie ci ona miała z tym pismakiem jak otwory! Million! Trzeba dodać i zamykać!

— Mnie!.. — brygada za córka kapitanowa — wsz ona temu winna!

— Winna!.. ale niech teraz wie co to bieda! ... musi iść za tego pismaka! ... musi!... Bo i któżby ją inny teraz jeszcze zna... chciał ożenić! Verflucht!

Antoniemu nagle myśl jakaś zaświtała w głowie — przestał mrugać oczyma i szeroko je otworzył:

— Cnienny ~~[illegible]~~ się? Każdy by mi ciemił! co? Przecież to jasne jak słońce że panna Wanda ~~[illegible]~~ niewinna jak ~~[illegible]~~ gołąbek... Któżby mógł wątpić! co? każdy by ~~[illegible]~~ był szczęśliwy gdyby mu państwo taką córkę dali...

— Schmeichelei! panie Antoni! nikt by się już nie ożenił gdyby to na prawdę ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ to ado

— Ja pierwszy uważałbym się za szczęśliwego...

— Słowo?

— Słowo honoru!

— Ja panu ją dam! — odrzekł uroczyście kapitan

— Daje mi pan kapitan słowo honoru na to?

— Mein Offizierswort!

Antoni ~~[illegible]~~ komedjanckim ruchem padł mu ~~[illegible]~~ w objęcia — myśl która mu zamitała była wygrana wypraszona, jasno i ~~[illegible]~~ dobitnie, brzmiałaby tak: „lepiej wziąć całą sprawę jak połowę"!

— Więc panna Wanda moja!

— ~~[illegible]~~ kochany pan dyrektor! mein Schwiegersohn! wykrzyknął kapitan z rozjaśnioną twarzą

Szczur krzyk już mitrzykiem we drzwiach spiżarni które się wnet otworzyły.

Kapitan stał pierwszy w progu — obok niego Antoni — za nimi cisnęli się z ciekawości goście aby obaczyć ~~[illegible]~~ jak wyglądają oni wszyscy. ujrzawszy Floriana a ~~[illegible]~~ obok niego

Kapitan ~~[illegible]~~ córkę ~~[illegible]~~ zarumienioną w ślubnym welonie ~~[illegible]~~ wstydem ... twarz, czoło, szyja, gors — wszystko rumiane, a oczy spuszczone ku ziemi ... brwi ~~[illegible]~~ do gwałtownej burzy nastroszył i wąsy ... i ~~[illegible]~~ krzyku szeroko otworzył już usta...

Florian nie czekał na to i bez

uprzedzając go, wystąpił śmiało naprzód:

— Zamknięto nas! – zawołał z akcentem oburzenia. – Panie kapitanie, wiem teraz, że więcej panu i samemu pańskiej córce – i jako człowiek honoru proszę o rękę panny Wandy.

Kapitan z rana osłupiał. Spojrzał na córkę i na Florjana, na Florjana i na córkę, przypomniał sobie dane przed chwilą słowo i krzyknął:

— Nic z tego! Ja córki nie daję za takiego co nie ma jej co dać! A honoru jej ja sam bronić potrafię jako ojciec!.. Pan [illegible] prosił mnie o jej rękę i ja mu dałem słowo. Pan Antoni jest mój zięć! Słyszysz!...

I pochwyciwszy ją gwałtownie za ramię i ku Antoniemu pociągnął ku sobie tak że jej ręka nagle w ręku nowego narzeczonego się znalazła.

Rumieńce zniknęły w jednej chwili a bladość śmiertelna je zastąpiła. Przyglądał się ojcu do nóg jak kwiat podcięty:

— Ojcze! – wyjęknęła

— Milczeć!

— Panie kapitanie! – zawołał Florjan [illegible] – tak nie może być! Ja kocham pannę

Wandę!... A panna Wanda...

Nie dał mu kapitan dymisji.

— Wynoś się pan stąd!... ja twojego kochania nie potrzebuję..

— Pannę Wandę ktoś kocha?

— Infame Lüge! Wynoś się stąd póki cały!... a za to kłamstwo porachujemy się z sobą!

I wrzeszcząc w głos stale, jedną ręką usunął tych którzy stali pod drzwiami a wszystkim do spiżarni groźnym ruchem wskazał Florianowi drzwi. Z rozpłomienioną twarzą, z błyszczącymi dzikością oczami, z gestem dozwalającym wszystkiego oczekiwać po jego niepohamowanej gwałtowności — wyprostował się Florian i jeśli chce uniknąć aby nieporozumienie między nimi nie urosło powiększało — najdrobniejszy bodaj chwilowo ustąpić z ganku — wyrzekł.

— nie! ale własny honor pański wymaga abyś mi dał córkę!..

— Milczeć! Ja honoru bronić potrafię!..

Zemdlała Wanda wśród krzyku kobiety. Matka trzymała jej głowę na kolanach. W białym welonie z tym mirtowym wianuszkiem na głowie — wyglądała biedna dziewczyna jak umarła.

Zatrzymał się chwilkę przed nią Florian, rozpaczny odwrócił się odeń powoli i uciekł z całej mocy. W tej chwili

nawinął mu się przed oczy pan Antoni.

— Odpowie mi pan za to! podły! — zawołał Florek z wyrazem najżywszej pogardy i zbiegł ze schodów.

XXX.

Nazajutrz rano wyprawił Florian sekundantów do Antoniego.

Nazajutrz w południe wyprawił także kapitan sekundantów do Floriana.

Antoni odmówił również przyjęcia pojedynku. Oświadczył, iż wyzwanie uważa za napad szalony, do którego żadnego mu nie dał powodu, bo twierdzi, że sami, pomimo to że kapitan woli umrzeć za życie niż tego — to nie jest obrazą wyrządzoną Florianowi przeze mnie. Do kapitana może mieć pretensje o to, ale nie do mnie. Wolno jemu się było obrazić, wolno i mnie. Ale wyzwanie takie to proste pogróżka zabójstwa podlegająca prawu karnemu.

Jeden z sekundantów zrobił uwagę, iż taka odmowa przyjęcia pojedynku, nie zezwoli Florianowi do wyrządzenia Antoniemu „czynnej obrazy" w jakiem publicznym miejscu.

— No, jeśli tak, to ja się będę musiał oddać pod opiekę policji.

Florjan nie przyjął wyzwania [illegible] obrazić [illegible]

— Ojciec ten, którego kocham, jeśli zechce, mógłby zniewagi nawet wybaczyć [illegible] — ale za mnie się [illegible] nie obrażał. — za obrazę jego własnego honoru i honoru [illegible] gotów jestem zawsze stanąć — nawet wbrew jego woli. — Jeśli go [illegible] obrazić [illegible], błagam o przebaczenie [illegible]

[illegible]

Florian otrzymawszy odmówił Antoniego, nawet go n. uczestnikiem. Kapitan otrzymawszy odpowiedź Floriana (wyższej rzeczy jednał mu na stanowisku jego) nie powtórzył swojego wyzwania, uważając że toby było nadaremnem i nie szukał środków dla zmuszenia go do wyrażenia [illegible] że wreszcie uczyni, powodując się [illegible] obrażonym i że gdyby nawet tak było to wszystko uczynił, co było potrzebne dla zachowania honoru. — Florian również odrzucił [illegible] Antoniego, nie uważał za rzecz godziwą napaść na uczestnika publicznego [illegible] skandalami starać się zmusić go do podjęcia rekwizycji. — Gdyż on przekonany że Antoniemu jako napadniętemu opinia publiczna przyznałaby słuszność, jak się to zwykle dzieje.

XXXI

W [illegible] pierwszy odbył się pogrzeb [illegible] Czeczerenicza. Kapitan prowadził za konduktem swoją żonę, córka kazała się z Antonim. Dziunia blada, zmieniona trwogą, prawie bezprzytomna szła za trumną jakby to nie [illegible] Antoniego ale ją samą żywcem miano zakopać.

Antoni prowadził ją szedł z odkrytą głową, w ręku trzymając kapelusz pokryty czarną krepą, tak jakby należał do rodziny zmarłego. [illegible] swoim zwyczajem ociężale, gładził brzuch a kładł się ciągle na okazywanie Dziuni swej o nią troskliwości. Czynił to zaś w taki sposób aby jak najwięcej zwracać uwagę wszystkich obecnych. Oglądał się przytem od czasu do czasu poza siebie trwożliwym wzrokiem: obawiał się zapewne napadu ze strony Floriana.

Florci o tém nie myślał. Córka był zginął na takiej gorącej ziemi? – Patrząc na Dziunię, towarzysz konduktor i zerwa mu się przyjaźń. Wczoraj poznała jego matki nigdy żaden pogrzeb nie wywarł na niego tak bolesnego wrażenia.

Nie stracił on jednak jeszcze całkiem nadziei. Sprawa mi zarysował i tysiąc-set planów uratowania zagrożonego swego szczęścia – i ocalenia Dziuni. – Przedewszystkiem czuł potrzebę porozumienia się z nią. Napisał zaraz po pogrzebie wysłał do niej bilecik a nieotrzymawszy odpowiedzi, codzień wyprawiał zaklinał ją o oznaczenie (miejsca i godziny i) gdzieby się zejść mogli. Wszystko na próżno. Odpowiedzi nie było. Czy listy jego nie dochodziły do jej rąk, czy też uniemożliwiała przesłać mu ani słówka lub nie chciała – tego pytania nie umiał sobie rozwiązać, było wręcz pogubić.

Kapitan podrażniony ...(?) jakieś podejrzenie, pilnować córki argusowemi oczyma. Sam z domu prawie wychodził a żonie z córką również wyjść nie pozwalał.

Tymczasem przygotowania do ślubu z niezwykłym czyniono pośpiechem. Pan Antoni w swojej kamienicy wypowiedział mieszkanie lokatorom pierwszego piętra z tymczasem najął [illegible] położył w zaniedbanym domu. Pragnął wyporządzić i umeblować mieszkanie wedle gustu narzeczonej, przynosił do niej wciąż próbki papierowych obić i materyj na meble do wyboru. Dziunia na jego zapytania (nie odpowiadała [illegible] ani słowa, i grzecznie) chyba że ojciec groźnie krzyknął jej nad głową:

— Dziunia! podziękuj!

— Dziunia! no! wybieraj! prędzej!

Potem obracał się kapitan z rubasznym śmiechem do Antoniego.

— No, to sam takie nieśmiałe dziecko, nie ma odwagi teraz gadać do narzeczonego... ale już on się ich so schüchtern! no, no, ale już on po ślubi nabierze śmiałości...

I przygładzał jej pod brodą, albo w policzek figlarnie uszczypnął.

XXXII.

Na kilka dni przed ślubem pojawił się w kronice jednego z dzienników warszawskich następujący artykulik:

Jutro w domku przy ulicy Mickiewicza [illegible] był [illegible] świadkiem niezwykłego zdarzenia. Panna Wanda, córka [illegible] [illegible] charakteru [illegible] wszystkiego, uwodzi [illegible] za p. M. [illegible], [illegible] że już w domu rodziców [illegible]. [illegible] na [illegible] [illegible] [illegible] przez [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] i sucha [illegible].

który [illegible] już wczęsniej podległ chorobie umysłowej, doznał tak silnego napadu obłąkania że p. Młody zmuszony był związanego odwieźć do szpitala. [illegible] z Zosią [illegible] na powrót [illegible], lekarze godzinę i dwie godziny — uzdrowie. Dowiadujemy się wkrótce że p. młody wyjechał — Bóg wie dokąd. a podobno małżeństwo zerwane. Powiadano że on był [illegible] panny W. bez miłości, wskutek [illegible] o [illegible] który miał znaczny [illegible] [illegible] się [illegible] znaczną sukcesję, a Dowiedziawszy się [illegible] że więcej była [illegible] — uciekł [illegible]. *) Ale gdzież się podziała panna [illegible]? [illegible] się w [illegible] — naprawdę [illegible] [illegible] się [illegible] wkrótce. Kto ją tam zamknął? (Przypadkowy [illegible] był tam [illegible] opróżnić panny [illegible]) to Florian — powiedział [illegible] się [illegible] współpracownikom. [illegible] Kto ich zamknął? [illegible] [illegible], z Zosią, twierdzi że [illegible] — to był [illegible] pan młody. — [illegible] o to, kto to zrobił [illegible], że [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] wszystkie [illegible] [illegible] biegła [illegible] młody, [illegible] nowy [illegible] [illegible] zamknął córkę do [illegible] zamku w [illegible] [illegible] [illegible] z bankiów [illegible], który [illegible] będąc z [illegible] tylko na [illegible] w [illegible] panny sukcesję. Ślub panny W. z p. F. odbędzie się wkrótce — a [illegible] [illegible] [illegible] obraz [illegible] naszego współpracownika który nam [illegible] [illegible] [illegible].

Antyglowlek [illegible], jak [illegible] się [illegible] [illegible] pana Floriana, nie [illegible] [illegible] [illegible]. — [illegible] [illegible] [illegible] a nikt [illegible] ani odwagi [illegible] — [illegible] go nie [illegible], [illegible] [illegible] mogę. — [illegible]

*) [illegible] go [illegible] [illegible] w [illegible] znacznego [illegible] po [illegible] panny młodej i [illegible] przed samym ślubem zerwać małżeństwo — wyjechał Bóg wie dokąd, [illegible] [illegible] żony. — [illegible] pana młodego, [illegible] [illegible] goście mają się rozchodzić.

Z tej [illegible] dostał się do rąk. [illegible], [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] i [illegible] przez cały [illegible] to mówiąc, [illegible] [illegible]".

XXXIII.

Na dzień przed zapowiedzianym dniem ślubu wyrobował Florek prawie jakiego środka ratunku. Udał się z wizytą do znanej nam wdowy wdówki, p. audytorowej Glińskiej (ze wszystkiem, z wyjątkiem przedstawienia) i zwierzył się przed nią swojej rozpaczy (podnosząc, że drżyjący, smutkiem i żalem) wymógł na niej obietnicę wzięcia udziału w całej sprawie. — Ułożono zatem że p. Glińska wyprosi tajemnie Dziunię z domu rodzicielskiego na wieczór do swej córki p. Celestyny. Gdy Florek bowiem przemówi z gości ojca udaru przebłagać (— wszystko dobrze się za staraniem przyjaciół i zakończy). — Wtedy cała nadzieja.

Glińska tegoż samego dnia złożyła wizytę kapitanostwu — lecz ani razu nie powiodło jej się pomówić sam na sam z Dziunią.

Nazajutrz ku wielkiemu zdziwieniu kapitana przyszła znowu pani Glińska. — Znowu ta sama przeszkoda. — Gdyby wszechwładna opatrzność pozwoliła choć na chwilę z Dziunią przygotowała p. Glińska bilecik a na dowód że działa z upoważnienia Floriana, zawarła też bilet w list jego pisany do niej w tej sprawie.

Żegnając się Dziunia chciała wcisnąć w rękę jej ten papierek. Dziunia jednak nieprzyzwyczajona snadź do odbierania tajemnej korespondencji upuściła go na ziemię.

— Co to za list? — rzucając się do podniesienia go, zapytał kapitan.

Prędzej jednakże nim go pochwycić zdołał podniosła go pani Glińska.

— List do mnie, który mi wypadł z kieszeni...

— Nie! nie! nieprawdę pani mówi! proszę pokazać.

Glińska udała obrażoną

— To sama był list do Dziuni!

Glińska pokazała mu adres — na adresie stało jej nazwisko.

Kapitan chciał go wziąć z jej ręki

— Panie kapitanie! przepraszam! uważam panu

już bitwy od mnie pijanego... — rzekła z kokieterją

chowając guziczek do kieszonki. (Tego manewru nie uwzględnił.)

Kapitan zmieszany był przeprosić. Podejrzewając jednak głębsze zamiary

Depeszy oddać nie mógł, zostawił natomiast

swoją chusteczkę batystową aby mieć pozór powtórnej tego dnia

wizyty. (a przybyła nie sama ale z panią naczelnikową Ciecierzyńską.)

Przyglądała się zgubionej chusteczce pojednawczo. Kapitan

miał się na baczności — w czasie jej wizyty nie wychodził ani na

chwilę z salonu. Na przebiegłość kobiecą nie ma jednakże środka. — On

nie wyszedł, ale natomiast p. Glińska udała nagle zmieszaną i przypomniawszy (?) [illegible] Drumni

[parę] dość głośno aby i ojciec usłyszał o co idzie — wyniosła się z nią

do alkowy (pod pozorem naprawienia jakiejś nagłej dezorganizacji w ubraniu.) —

— [illegible] — mówi pani Glińska

czego potrzebuje.

Ale Glińska już się z Drumnią w alkowie zamknęła.

— Otwórz Drumni! to ja! — wołał kapitan

— O nie, nie, Szanowna pani! Drumnia mi pomoże!

— Szanowny Panie, jakiś fatalny [illegible] spotkał mnie zdanie...

Niepodobnem było przedłużać zbyt długo tej konferencji,

ale przez tych dziesięć minut spędzonych z Drumnią wyczerpała

wdówka cały zapas wymownych swoich frazesów.

Drumnia się wahała.

— To ostatni środek ratunku! jak jego odepchniesz

— wszystko stracone. Całe życie będziesz nieszczęśliwą — i on

nieszczęśliwy!.. Miej litość nad nim, jeśli jej nie masz

nad sobą!

— Ah, pani nie wie co ojciec by wyprawiał jak

się dowie! pani nie zna mego ojca! nie wie co on

wzburzony gotów zrobić!

— Wiem, wiem, moje dziecko! wszak ten był

przyjacielem od serca mego nieboszczyka męża. Znam go lepiej

nie ty sama. Wybuch będzie straszny — ale nie długo potrwa. Ułagodzimy go szybko. (On ma gorące serce dobre, tylko trzeba wiedzieć jak z nim postępować) No cóż? Czy zgoda?

— Nie, ja nie mam na to odwagi!

— Cóż robić? innego środka nie ma!

— Ja powiem p. Antoniemu że go nie kocham, że go nienawidzę! że go całe życie nienawidzieć będę!

— On się roześmieje ... to wcale nie zraża.. Ty nie znasz mężczyzn. Ich taki opór bardziej pociąga od rzewnych przywiązania... A może i trochę złości powiedzieć gotów!..

— Cóż mam robić?

— Daj mi się wyręczyć.

— Nie, nie ... boję się .. nie odważę się na to!

— Ty go chyba nie kochasz! on taki nieszczęśliwy!

— Ach nie mów mi pani tego, bo i tak dość cierpię! serce mi pęka!

— A — sama nie chcesz się ratować — choć można... przecież będziesz całować tego dyrektora...

— Boże! Boże?

— Śliczne te oczy jego wybałuszone jak u chorego wołu!.. A ta malina na czole — śliczności!

Drumnia zaczęła płakać

— No chodźmy już — rzekła Glunika. — Więc nie chcesz? — Raz ostatni cię pytam: nie chcesz?

— Chciałabym — ale nie mogę!... Powiedz mu pani, powiedz mu pani.. że na całe życie..

We łzach reszty słów utonęło.

— Nic mu nie powiem! No cóż ... Ty bo rozdzierasz mi serce ... Ty bo nie masz serca. Tylko nerwy... No cóż?

Cisza w odpowiedzi. Audytorowa zgrzytnęła kluczem w zamku i poskrzypiała w ulicę.

— Nie?... Jutro w południe tu przyjadę. Odprowadzisz mnie na dół i zaczniesz od powrotu. Namyśl się i bądź gotową!..

Gdy wyszły z alkierza pomiarł kapitan zaraz po oczach Dzinni że płakała. Wystarczyło mu to aby domyślić się jakichś tajemnych konszachtów.

Gluńska też była dla niego groźna intrygą i sprzeczną i z taką kokieterią umiała rozchmurzyć marsowe jego oblicze, że w półgodzinnej rozmowie przy wieczerzy powiedział jej przy pożegnaniu że nie zna niebezpieczniejszej od niej kobiety.

— Jakie szczęście dla pani kapitanowej, rzekła znacząco że ja niezamężna we dworze! (i po ślubie Dzinni odjadę zaraz) ... ale kiedyś i mi ... będę wspominać z mej bytności i przypłacą to szczerze w podwójnie kokieteryjnie się mszcząc! ...

XXXIV.

Naznaczono w południe — był to wilia oznaczonego dnia ślubu, — zapowiedziana wizyta audytorowej.

Dzinnia blada, jeszcze niż zwykle, oczy patrzące gdzieś bezmyślnie wdal, widna w nich ... łzy nocy bezsennej spędzonej na płaczu, w wyrazie twarzy rezygnacja, gorzej: apatia. —

Kapitanowa smutna, jak niewolnica patrzała z trwogą w oczy swego pana. Ile razy spojrzy na spłakaną twarz córki — łzy do oczu jej się cisnęły.

Kapitan ile razy spojrzy na żonę lub córkę — czuje jak mu gniew rośnie w sercu. Wbrew woli — mechanicznie łaje głośno wobec pięknej audytorowej.

A pani Gluńska? ach jakaż rozkoszna (swawolna) wesoła, rozgadana, trzpiotowata, w jakimże różowym humorze a jaka dowcipna! jaka miła! Kapitan oczarowany.

Naprowadza w rozmowie coś o wdowie ... i o małżeństwie ... i o panu Antonim. Przebąkuje coś potem do ucha Dzinni i szepce jej cicho:

— Gotowe wszystko. Jutro?

Rumieniec żywy oblał bladą twarzyczkę. Nastała jakaś nagła badawczo wzrokiem. Spojrzała na panią Gluńską stało

jakby błagała o litość. Nic mi odrzekła – uśmiechnęła się – ale w całym wyrazie jej twarzy aż nazbyt czytelne było odmówienie:

– Nie – nie mam odwagi.

Pani Glińska zasłaniała się srebrnym [illegible] jakby omawiając Dziunię na pożegnanie [illegible] wszystko być odpowiedziała i znowu żart za żartem, dowcip za dowcipem niewyczerpanym źródłem tryskały z jej rubinowych usteczek.

I znowu przypominała młodemu kapitanowi, jak zawróciła głowę pewnej doktorowej która z miłości otruła męża a której kochał się cały garnizon bez wyjątku wzajemnie...

– A ten poczciwy Godfried zastrzelił się z rozpaczy...

I przechyliła się znowu do ucha Dziuni i szepnęła:

– I on dał słowo że się zastrzeli jeśli mi [illegible]

Powiemy i my na ucho czytelnikowi że Andrzejowa rozminęła się z prawdą tym razem. Srodze jednak zdawało się Dziunia drgnęła tak jakby jej kto nóż utopił w sercu. Widział to ojciec – bo i trudno by było niespostrzec – ale i Dziunia spostrzegła badawcze oczu spojrzenie.

I w ciągu dalszej rozmowy Glińska otrzymała zapytanie: – Pojedziesz?

– Pojadę! – odpowiedziała dziewczyna stanowczym wzrokiem. Dość powziąć postanowienie aby odwaga wstąpiła w serce. Dziunia była przygotowana na wszystko, nie lękała się już niczego. Została jeszcze pan minut w salonie, potem wyszła do alkowy, której drzwi wiodły [illegible] Antosi.

– Dokąd pani wyszła? – zapytał audytorowy po powitaniu.

– Warum nicht gar! Pojedzie po ważnym słuki.

– A [illegible] w pokoju pani [illegible]?..

— A! jakiś pan ciekawy!... Wróciłam z nim do modniarki suknie do przerobienia — odprowadzałam bez namysłu.

— Ale i grubo...

— Tak jest, z starymi kapeluszami.

Kapitanowa spojrzała bezmyślnie przez okno.

— Ależ pani jedzie! Nie mam pani wsiec przed ślubem!... I torba jest na łóżku.

— Chachacha! a prawda! — zaśmiała się wesoło — Zapomniałam! zupełnie jestem spakowana? — jadę... ale tylko do hotelu. Do torby cały sklep Królikowskiego spakowałam — to wszystko niczego dostać nie można. — A w bieszczonce powozu jest jeszcze butelka Bordeaux.

Kapitan wstał i zbliżył się do okna. Zajrzał, zmarszczył czoło:

— Ha, ha, — rzekł — das ist komisch! i jeszcze dwa zawiniątka... pewnie ze sklepu!... oho! i parasol! na taką pogodę — to pewnie pani teraz kupiła!...

I spojrzał na nią dziwnym żałosnym wzrokiem. — Tak jest — odrzekła — Ależ to formalna rewizja moich manatków! — i próbowała się uśmiechać. Jakoś to jej nie szło. Oriunna weszła do salonu. Pomięszana była i niespokojna.

— No, bądźcie mi zdrowi moi państwo! — No, na stole Twoim [illegible] nie będzie! Żegnam was. Wszystkim. Do widzenia! — Do widzenia droga pani kapitanowo!... Pani [illegible] będzie spokojna o swojej córki!... Prawda kocham [illegible] dziś tak blado wygląda! ... O którym pan mówi zmartwiona!... Do widzenia! pewnie Antoni?...

Kapitan chciał ją ze schodów sprowadzić

— O w żaden sposób na to nie zezwolę

Antoni podał jej ramię.

— Ja nie w zupełności tej usługi dziś przyjmę od panów... Nie wiem jak mnie kto sprowadzał. To jest tylko moja ostatnia... nie, nie... bo jak się kto z panów... wszyscy mnie wówczas dwa razy sprowadzali.

upiór to i ja się upiorę — nie pojdę —

— Sehr wohl! ~~ja wiem~~ tem lepiej dla nas, może nami zostanie!

— No ~~nareszcie się pogodził~~ się naserio pogniewam: ~~wszak~~ nie przyjdzie już nigdy ... i na ślubie nie będzie..
trzeba kobiecie ustąpić

— Ha, to poczciwy pozdrowi!

~~Zeszła~~ Zchodziła ze schodów. Gdyby już prawie na dole, zatrzymała się: — Drużnis droga! chodź-no tu prędzej na chwilko..

Drużnis rzuciła szare spojrzenie na matkę i zaczęła zbiegać ze schodów (patrząc i widząc wszystko,)

Kapitan ~~~~ (urwał) rumieniec na twarz mu wystąpił, — a na czole żyły ~~~~ nabiegły. Szedł na dół za córką.

— Niech pan kapitan odwróci tego uszy — co już dziś Drużnis powiedzieć...

— Ja nie słucham — proszę mówić.

— Ah, jak mam mówić przy Panu krok w krok idąc za nami...

Wsiadła do powozu

— Siądź tu Drużnis koniecznie — to ci powiem ... a koniecznie ci muszę powiedzieć, ~~~~ bo mi p. Antoni za to będzie wdzięczny..

~~Drużnis siadła~~

— No, siadaj sam Drużnis! — rzekł kapitan

Drużnis siadła..

— ~~~~ Jedź! — zakomenderowała Audytorowa

~~Kazał zawołał kapitan~~

Rozkaz był niecierpliwy. Kapitan ~~~~ stał ~~oglądał~~ przy koniach i głaskał je trzymając za wędzidło.

— Dobre konie! — rzekł na pozór obojętnym głosem, w którym jednak brzmiała szalona ironja.

~~Cała ręka~~ ~~Audytorowa~~ straciła kontenans

— Chodźmy. nieudał mi się żart! chciałam ~~Drużnis porwać~~ pana przestraszyć że Drużnis porwałam.

— I nie uda się meine Gnädige! — No, Drużnis, wysiadaj!

— Cóż to, czy pan na serjo myśli, że ja Dziunię dzisiaj porwać? chacha, a to zabawne?

— Gott bewahre! ja nic zer nie myślę... Ale Dziunia!

— Wynieś Dziunię, [— rozporządził jej [illegible]] wytrzaśnij, czemu zadrżał, mam do ciebie [illegible] obmyśleć do jutra...

Dziunia wyciągła [kapitan poruszył uczciwie [illegible] na nogach, jakby ostatnie [illegible]] zawołał:

— Jeść!

A gdy powiedział [illegible], pochwycił całą siłą Dziunię za ramię i pociągnął za sobą do sieni marsz na górę

— [illegible]! — wrzasnął... nie uda ci się mnie oszukać!!! [illegible].

I popchnął ją przed sobą tak kategorycznym ruchem ręki [illegible] tym razem wcale gdy przestał musztrować rekrutów...

Dziunia zemdlała.

Wyniósł ją na górę [illegible] równemi krokami i podjął zadanie. Gdy za staraniem Matki przyszła do przytomności i otworzyła oczy — odszedł do swego pokoju.

Z Antonim obszedł się dziś szorstko — zapytał go tylko, co do zdrowia narzeczonej, i pożegnał a potem chodził długo wszelkiemi krokami [illegible] i wreszcie pokój — chmurny, zamyślony, milczący. Westchnął głęboko, usiadł, czoło poorane bruzdami i szeroko [illegible] oparł na dłoni, dumał, wąs kręcił i kręcił bez końca, coś [illegible] trzy [illegible] wolna, wstał i znowu [illegible] człapiąc a powolnym krokiem zaczął przemierzać pokój na ukos od okna do pieca, od pieca do okna.

[illegible] i powrócił jakimś gwałtownem postanowieniem i otworzywszy drzwi zawołał:

— [illegible]! czemu jeszcze nie ma obiadu!

22.

XXXV

W czasie obiadu Dziunia po raz drugi omdlała.

Kapitan kłaś a gdy ją dotrzeźwiono kazał jej się położyć do łóżka, aby jutro była silniejsza.

A sam rzekł: —

— Ani mi na krok nie odstępuj od niej! —

Zdziwiła się kapitanowa tej niezwykłej jego o córkę troskliwości.

Zdun spać poszedł, pozamykał drzwi na klucz a klucz włożył pod poduszkę.

Nazajutrz z rana córce wstać nie pozwolił aż do chwili gdy czas był zbierać się do ślubu.

Ubraną jak jakby martwą figurę woskową i zawieziono do kościoła.

Przed wyjazdem z domu ojcowskiego brygadzistka Wanda nieznanego napisała wrzucił do skrzynki.

Ślub się odbył.

Panna Wanda została panią Dyrektorową.

Czy opisać wam go szczegółowo szanowne czytelniczki?.

Na co to? Chodzące silnie do kościoła: na ślubie starokawalerskie ślubu które być by mogły wesele, wśród był podobnym do ślubu Antoniego z Wandą.

XXXVI

Ah, prawda! zapomniałem nie wspomnieć, że przed wyjazdem do kościoła, brygadzistka Wanda Antoniego wysłała zerwał przypadkowany aby mu listować zawieść, powiadając mu że go nie znienawidzić, że go do śmierci znienawidzić wypomnienie z nim pogardza.

Nic to nie pomogło.

Czy jeszcze go nienawidzi? Wszak to już kilka lat od tej chwili minęło. (zrobiła się i staruszka ze) Wiemy tylko że ma córkę Dziewiny. - Wiemy tylko że ma córkę podobnieńką z rysów twarzy, z wstawanych oczu i małego nosa do pana Antoniego i że ją bardzo kocha. - Czy szczęśliwa? Pan Antoni nie był wcale się upodobał sobie

życie osobiście, a żona przesiaduje bardzo nudno, z [illegible] się też przesie, całe dnie spędza w bawialni, wieczory w resursie. [illegible] czy szczęśliwy? Trudno odgadnąć. Czy zadowolony [illegible]? którzy tylko [illegible] wiele na znaczną [illegible] doznawa a utyskuje niekiedy, że nie [illegible] żadnego [illegible] nie dał posagu. Po otworzeniu testamentu [który [illegible] w ręce rządowi powierzonym został] [illegible] pokazało się, iż cały swój majątek, prawie sto dwadzieścia tysięcy guldenów zapisał nie wprost Dzienni, ale jej matce. Antoni zatem dotąd nic nie dostał.

Czy kiedy dostanie? Bóg raczy wiedzieć. Obie kapitanowa zdrowe i jeszcze nie stare. Nie ubyło z wdów mów rzeczy wyższe. Majątek p. Antoniego [illegible] w czasie [illegible] spekulacji nie wzrasta wcale — natomiast wzrosła mu [illegible] rozmaitości. Lekarz mu radzi aby zrobił operację. (i czyste się przydarzyło.

Mikołaj dotąd nie ożenił się jeszcze. Kawaler do [illegible]. / Twierdzi się że ubiega o względy [illegible] / Siedzi w Lesiej Woli i mówi, iż jest [illegible]

2\. który mu dogorywa na suchoty: Od czasu zerwania z kapitanówną nie pokazał się ani razu we Lwowie.

Boi się starego żołnierza, który jeśli nim zapomniał, przedarty rewers na 1000 guldenów
Florian nie zmyślał go wzywając oddał mu po ślubie Wandy pp. [illegible]
W domu [illegible]

kapermann — nic się nie zmieniło, dostało tylko więcej [illegible] wszystkim. Kapitanowa dziś często przesiaduje u córki, on częściej w kasynie oficerskim. Ale zięcia swego coraz starzej się opryskliwym. Unikają się oboje wzajemnie. [illegible] darować mu o tej odmowie odpowiedzi na wyzwanie
kapitan Florianowi nie mógł tego darować. Florianowi ma za złe, że Antoniego [po tej odmowie] gdzieś w kawiarni lub teatrze nie zbił na kwaśne jabłko. Feuer! ... albo
— Niema dziś takiej młodzieży! [illegible] dziś n. p. wtenczas jak [illegible] sądził, [illegible] tym dziś godziny! ... I choć żyły [illegible] ja mu córki dał! ... Nie! ten Antoni nie wart. Pfui! ... No, przynajmniej coś ma: dwadzieścia i pięć dyrektorów.

Hätte mich gekannt mit einem hübschen Mädel eingeschlossen
Wäre ich mit einem [illegible] an seiner Stelle gewesen ... ho, ho!

Kalasanty siedzi w zakładzie obłąkanych w Kulparkowie i bezwątpienia więcej go już nie zobaczę. Bezprzestanku rozprawia o kwadraturze koła, ~~o Odyssei~~ i o loterii liczbowej — przeplatając niedorzeczne swe wywody geometryczne cytatami z Odyssei.
Miecio się dał kapać i zaczyna iść do Leśnej Wólki nie pojedzie, bo się wystarał mu o profesurę. ~~[illegible]~~ (wygląda wybornie) [illegible] mu nie służy — je za trzech.
Pisze codzień nowe wydanie Dokładnej szkoły z nadzieją kompilacji [illegible]

Panna Paulina jest panną do wzięcia — wdzięków znacznie zwiędła, a przybyło jej humoru i uszczypliwości do całego rodu męskiego. Klucz w [illegible] kapitanowstwo [illegible] w tej komodzie. Czemu go tak prześladuje? — niewiadomo.
Panna ~~Melania wstąpiła~~ Sylwerja wstąpiła do teatru, panna Melania do klasztoru.
Pan audytorem [illegible] stracony żona, ożenił się [illegible] Afrodyzja [illegible] wieczorami [illegible]
Pani Glińska poszła za mąż po raz wtóry, za [illegible] i rozumnego człowieka — wszystkim o lat ośm od niej młodszego.
Jej siostrzenica panna Emilja Zalewska nie pisuje się z p. Dyrdałą...
ale [illegible] Koppke ale [illegible] ale zapomniałam!
~~[illegible]~~

~~[illegible]~~..

— A Florian?

Pisze feiljetony.

Koniec.

Czy opisać wam znowu powrót z klubu,

i wesele (i rozpacz Dziuni?) – Wyobraźcie sobie też

tylko kto [i taniec] coś podobnego widział już wszyscy. A to

się trochę nocą.

Dziadzia się otruł.

Nie otruł się.

Dziadzia myśl o zagrożonym mu Głuszku

Dziadzia najbardziej wstrząsnęło

samobójstwo Floryana. – Dziadzia przeżywa nieco po

klubie i narzeczeństwie, Dziadzia pocieszał za dnieś

wszystko dziś wszystkie. I coraz mniej

I wreszcie dziś przestał. Dziękował Bogu że Floryan życie

sobie nie odebrał – ale... rozczarował się.

I to wszystko.

Czy i myśleć przestała o nim? Trudno

odgadnąć o kim kobieta myśli – Zwłaszcza dosyć co myśli

kiedyś czy myśli o nim.

~~[illegible]~~ dodać: 26

[illegible] Ant do Mik[illegible]

Kalasanty [illegible]

Pani L. [illegible] o [illegible]: Cz[illegible] [illegible]

Antoni [illegible] – Mik. [illegible]

K. na [illegible] – F. [illegible]

[illegible] i [illegible]; na [illegible]

[illegible] W. „[illegible]

[illegible] Kal[illegible]" [illegible]

[illegible] Ant. – [illegible] z F. – [illegible]

o [illegible] o [illegible]

~~[illegible]~~ [illegible] Cz. [illegible]

[illegible] ..

a [illegible] gdy [illegible] widział

Mik [illegible] Kal., [illegible]

[illegible] ... [illegible] kap. – [illegible]

[illegible] – [illegible]

~~[illegible]~~ [illegible]

[illegible]

Rozmowy. „[illegible]"

[illegible]

Fl. [illegible] – bo [illegible] W. [illegible]

z [illegible] Ant. [illegible]

[illegible] Florian o [illegible]

[illegible] p. F. [illegible] W.

[illegible] p. F. [illegible]

[illegible]

[illegible] W. K. [illegible] Fl. [illegible]

~~[illegible]~~ [illegible]

p. Ant. ½ [illegible]

[illegible]

[illegible]

Kal. [illegible] Flor. [illegible]

[illegible] Florian. – [illegible] X

[illegible]

X Kalasanty [illegible]! [illegible]

[illegible], p. Józef... ([illegible]) [illegible]. [illegible] Józef [illegible]

Ale [illegible]

[illegible]

[illegible] – [illegible]

[illegible] „[illegible] Józef" [illegible]

Antoni [illegible] Cz. [illegible]

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~ „[illegible]"

[illegible] Czec. [illegible]

[illegible]

Przy odpisywaniu poprawić:

Pani Marinowej [illegible] na wesele Panny Anny ~~[illegible] kap.~~ prezenta ślubne. } dodać

Opisać w [illegible] rozmowach:

„Millijon!"

„[illegible] – ~~ich [illegible] Riesen namen nie aussprechen~~

~~[illegible] w 5 minutach"~~

~~[illegible] Mik. – [illegible] zgrozą.~~

~~i [illegible] Millijon.~~ X

~~[illegible]:~~

~~[illegible]~~

Skrócić scenę z Kalasantym

Panna kapitanowna

Emilio Castelar

Cmentarz Pizański

tłómaczył

Marek Polnicz

Drukowane w Tygodniu lwowskim 1878

Lwów 1879 odbitka 50 egz jako honorarjum.

60

Emilio Castelar:

Cmentarz Pizański

Tłomaczył

Marek Polnicz.

drukowane w „Tygodniu" lwowskim 1878.
i odbitka 50 exempl. – Lwów 1879. (jako honorarium)

61

Emilio Castelar.

„na cmentarzu pizańskim"

Drukowane w „Tygodniu"
Lwów 1878
i odbitka 50 exempl. 1879.

Cmentarz Pizański.

Drukowane w „Tygodniu" Lwów 1878 i odbitka 1879.

Nigdybym nie był uwierzył że jest gdzie na świecie miasto bardziej zaumarłe niż jak Toledo. Nie znałem Pizy. Przyznać muszę trzeba że różnica dwóch tych przepysznych grodów olbrzymia. W Toledzie obok budowli cudownie utrzymanych, jak n.p. katedra, inne prawie w gruzach, jak San Juan de los reyes albo pałac karola V^{go}. - Ponury widok ruin usprawiedliwia tam wyludnienie miasta opustoszenie. W Pizie inaczej: tu wszystkie pomniki stoją nietknięte nienaruszone w całości, utrzymane starannie, niektóre z nich wybielone i odmłodzone świeżą restauracją, większa ich część pomalowana żywemi barwami. A jednak - nie starczy wyrazów aby skreślić opuszczenie opustoszenie jakie tam panuje. Rzekłbyś, że te pałace oczekują mieszkańców swoich, gotowe na ich przyjęcie; a mieszkańców jak niema tak niema. nie przybywają. W sam dzień mego przybycia - było to w maju, około godziny drugiej, - zatrzymałem się na głównym moście Lungarno: sam byłem, samotny, zapewniam was, sam jeden. Niedowiebym mógł być uwierzyć, że rozległy ten gród dla mnie stoi samego i żem ja jedynym jego mieszkańcem. Cóż za przepyszna siedziba dla samoluba! Smutno było, niewymownie smutno patrzeć na te dwa wszerz rozciągające się rzędy wspaniałych budowli, ozdobnych domów, na tych mostów tyle, szerokie te chodniki, na tę wytworną wszędzie czystość; w głębi rzeka - niebo uśmiechnięte pogodą - bujne drzewa zlekka kołysane świeżym od morza wietrzykiem ... i niema nikogo, nikogo zgoła zupełnie oprócz mnie, ktoby podziwiał te wszystkie

cuda w tem miejscu czarownem i o tej godzinie. Krzyknąć miałem ochotę, - zawołać, byłem tego pewny że echo mi tylko odpowie. — Cudzoziemiec jakiś założył się był że przejedzie się konno po mieście i nikogo nie spotka; - wygrał zakład. Rossjanie i Anglicy którym zima na północy potargała płuca, szukają w Pizie schronienia, aby o dni kilka życie przedłużyć w tem zaciszu zakrytem górami od wichrów północnych, w tej pustce która od wszelkich gwałtownych wrażeń zabezpiecza. Od czasu do czasu spotkasz tam tedy jakie dziewczę, niekiedy rzadkiej piękności, z tymi pełnemi gorączkowego rozmarzenia i dziwnego blasku oczyma, jakie mieć zwykli suchotnicy; a obok idą krewni - posępni, chmurni, jakby szli za pogrzebem i opłakiwali niepowrotną stratę ukochanej osoby którą im śmierć nieubłagana już wydarła. - Wszystkie te szczególne właściwości Pizy ~~miasta~~ składają się razem w jeden obraz smutku, który usprawiedliwia daną jej nazwę ~~przydomek~~ „umarłego miasta."

A jednakże były czasy gdzie jej wolność była podziwem Włoch, gdzie jej handel świat zdumiewał; była epoka w której morze ~~u~~ bram miasta składało ~~przynosiło~~ daniny Korsyki i Sardynji; pizańskie okręty przewoziły krzyżowców do Azji, wracając ~~~~ ładowne złotem, purpurą i kością słoniową; pizańscy wojownicy spieszyli na pomoc to niemieckim cesarzom przeciw papieżom rzymskim, to w odsiecz hrabiom barcellońskim przeciw maurytańskiej Majorce; korsarstwo drżało przed potęgą Pizy; połysk jej włóczni aż na brzegach afrykańskich straszył saracenów, a kolumny i marmury, ~~z~~ dalekich wypraw zdobycze, świeciły jak trofea pierwszego Sztuki Tryumfu. Wtedy to, ostatnich mistrzów bizantyńskich mozaika barwnymi kamieniem zdobiła łuki jej pomników; wtedy to owi pierwsi malarze którym się udało odkryć tajemnicę rysunku, życie

minerał podległy prawom ciężkości i przestrzennych granic, - ta roślina niemogąca się obejść bez powietrza, wody i światła, - to zwierze które rodzi się jak inne ssące zwierzęta i jak zwierze się żywi, - że ten mikrokosmos z sferyczną czaszką będącą obrazem sfery niebios rozpostartej po nad nią, z oczyma świecącemi odblaskiem świetlanych gwiazd, - że ten anioł któremu przeznaczono po za kresami czasów i przestrzeni pojmować kiedyś prawzory idej w zupełnej czystości, idej, których tylko cieniami są rzeczy tego świata, - że ten arcy muzyk wszech światów, ten arcykapłan i arcypoeta z pomiędzy wszech istot wybrany, - z szczególnych faktów powszechne wywodzący prawo, z grubej materji bezcielesną ducha istotę; - że ten, który słuchem duszy sfer harmonję pochwycić, potęgą swej myśli umiejący że uświadomieniem własnem obdarzyć zdoła przyrodę: - nie, tenby niemógł pogrzebać siebie samego w całości i na wieczność garścią gliny zasypać, chybaby wraz z sobą cały pogrzebał stworzony świat; -

Niemniej jednak jest prawdą, że nieistnieje może nigdzie pomnik na ziemi któryby wymowniejszym był obrazem nicości jak ten cmentarny równoległobok pizański, - bezkształtnie nieregularny, jak owa wieczyście sama z/sobą sprzeczna Śmierć. Wszakże wszyscy śmiertelnicy pod stopami naszemi mamy ciemną niby otchłań jakąś, która pochłania nieustannie chwile naszego życia, jak pustynia kropelki dżdżu. Na cmentarzu mieszkamy wszyscy. Ta ~~tam~~ nieubrana niczem na zewnątrz nagość tej budowy Campo Santo, ta monotonia i ta jednostajność, - to nagość, monotonja, jednostajność śmierci. Gdy się wrota otworzą, wydaje ci się że to wrota wieczności. Jak gdybyś martwiał od chłodu tych sklepów, jakbyś głos tracił i mowę w grobowej tej ciszy. - Sam jeden byłem, jak ~~ten~~ umarły gdy go/w grobowcu samego ~~[illegible]~~ zostawią.

Wygnaniec naówczas, pozbawiony ojczyzny i domowego ogniska ~~[illegible]~~ pytałem się w duchu, czy ta podróż moja do Pizy nie jest ostatecznej życia mego ~~podróży~~ wędrówki symbolicznym wyrazem, czy to wejście moje samotne na cmentarz nie jest może wieszczą podobizną bliskiego dnia w którym poniosą mnie ludzie i rzucą do fosy aby

zgniłe trupa wyziewy nie zatruwały im czystego powietrza. – We drzwiach stojący grabarz wzywał abym wszedł. Najsmutniejsze z myśli smutnych tętniły mi w pulsach (pod skronią i ściekały na serce jakby gryzącego roztworu kroplami. – Głuche uderzenia motyki którą świeże gdzieś groby kopano i dźwięk kluczów w ręku grobarza w ponure zlewały się z sobą odgłosy. – Ale już przekroczyłem próg śmierci z tą myślą, że ona równie naturalną jest jak życie a grób że jest wieczności kolebką. I oto wielkie te wrota zamknęły się już za mną.

Jeśli jest prawdą w co wierzę i ufam, jeśli umierając przenosimy się z tego świata w świat lepszy, trudno, aby ta gwałtowna zmiana tyle mi przyniosła nowego jak wnętrze pizańskiego cmentarza. Zachwycony podziwiałem te sklepienia kosztownem wykładane drzewem, te długie mury misterną grą swej barwy piętrzące się w górę, te okna ostrołukowe, olbrzymio wysokie, z leciuchnemi kolumnami i wytworną uwieńczone rozetą; – cyprysy i róże, i bluszcz i kapryfolium z ostrołuków wychylające się, pełne szeptów uroczych i pełnemi życia gałązkami lekkiem drżeniem roskołysanemi powietrza; – grubo kowane grobowce mniszych czasów, a obok nich inne z klassycznej epoki rzeźbione pięknie, ozdobne w nimfy i fauny; – tu bachiczna czara w marmurze z Paros wykuta, gdzie błyszczą kapłani słodkim sokiem jagód winnych pijani; a tuż obok Matka Bolesna, Syna swego trzymająca w ramionach, łzami własnemi pijana), agonią płaczu i rozpamiętywań o śmierci; – razem trofea krzyżowców i wota Rzymian; fryzy greckich świątyń pomięszane z architrawami ołtarzy X^o wieku; popiersia Brutusa i rzymskich trybunów pod osłoną białych skrzydeł z marmuru chrześcijańskim wyrzeźbionych dłutem; – posągi leżących postaci, jakby się na kamiennych płytach do snu układały wiecznego; – tuż inne stojące niezachwiane na ludzkich kości piedestalu, idei jakiejś uwieńczone blaskiem (zdające się wznosić wciąż wyżej, w górę, ku nieśmiertelności; – dziewice, święci, patryarchowie, doktorowie, serafiny, cherubiny, chóry błogosławionych, czarty, gnomy, dziwa pływające w tej różnobarwnej atmosferze gigantycznych fresków któremi jak kobiercem wszystkie mury wyścielone; – chaos nierozgmatwany w tych czterech krużgankach

poltrzecie

gotyckich, chaos, po którym przemykał w tej chwili dzwonu dźwięk, podobny do głosu trąby anielskiej i głuche stukanie grobarskiej motyki – niby zmarłych odpowiedź, wydobywających się z trumien na to wołanie Anioła; chaos w którym wszystkie wieki, wszelkie cywilizacje mięszają się z sobą w nieładzie na okruchach zburzonego świata: Jozafatowej doliny obraz w godzinie sądu ostatecznego.

A przecież, gdy z pierwszego ochłoniesz wrażenia, ~~[illegible]~~ niepodobna od tego chaosu regularniejszego obmyślić planu. Cztery ściany, cztery krużganki, cztery rzędy ostrołukowych okien; dziedziniec w środku, ~~[illegible]~~ naprzeciw głównego wchodu kaplica, a w połowie małego krużganku po prawej, kościół. Dziedziniec cały ~~[illegible]~~ najbujniejszą pokryty roślinnością; pełno liścia i kwiatu; po rogach cztery duże cyprysy, gąszczem ciemnej zieleni swych gałęzi zdają się wbijać ~~[illegible]~~ ku stropom niebieskim by tam nieść (dziękczynne) modły młodego rodzeństwa, ~~[illegible]~~ za ten pokarm obfity którego ~~im~~ je raczą umarli. – Mało jest, bardzo mało gotyckich budowli we Włoszech. Ta architektura Wieków Średnich niemogła pokonać wieczystego pogaństwa w tej obiecanej ziemi Sztuk Pięknych. Rzekłbyś, że ilekroć tam architekci zamierzyli katolickie sklepić ostrołuki, w jedyny kończasty tak zdążające wierzchołek, jak wszechświaty w Bóstwa kończą się jedności; z głębi strumieni i z za drzew kory dolatywały ich wtedy dawnych boginek westchnienia i zniewalały wieńczyć kolumn tych czoła jako ~~bogiń~~ bogiń (zwieńczone skronie nieśmiertelne). – ~~[illegible]~~ Architekturę gotycką nazwałby można architekturą myśli a nie wyobraźni; możnaby powiedzieć że ona raczej jest głębin ducha niż plastycznego poczucia wyrazem. Rzecz tedy jasna że niemoże być architekturą włoską. Cmentarz też pizański jest gotykiem, ale jak też tam się zbratały w jego wnętrzu wszelkie Sztuki kierunki! Nic w tem Włosi nie widzieli rażącego aby grobowiec wyobrażał mity pogańskie ~~[illegible]~~ które chrześcijaństwo potępia. Byle pięknym był a stawiali go radzi na swoim cmentarzu, chrześcijańskie składając weń kości. – Hrabina Matylda, niewiasta niezrównanej ~~[illegible]~~ w wierze katolickiej gorliwości, przyjaciółka papieży, heroina prawowierna spoczywa tu w sarkofagu na którym rzeźba Fedrę przedstawia. Na innym marmurze cmentarza znajdziemy Dianę składającą pocałunek na czole uśpionego Endymiona. Popiersia pogańskie dotykają tam prawie obrazów świętych chrześcijańskich. Lampy które pobożność zapala, oświecają

Brutusa oblicze. Obok sarkofagu na którym średniowieczny rycerz składa ręce do modlitwy i zgina kolana, - tuż obok stoi August Agrippa, fundator owego Panteonu gdzie po raz ostatni dawne schronili się bogi. Bachantka pijana, przy niej wychylona czara; - powyżej freske przedstawiającą biczującego się mnicha; obok grobowiec z (którego zwiesza się) róż białych - niewinności godło, a Stróż-Anioł skrzydła rozszerza jakby niemi gniazdko chciał zakryć.

Wśród katakomb męczenników, na grobowcu zroszonym łzami pierwszych chrześcian, rzeźba przedstawia dobrego Pasterza prowadzącego owieczki swoje do owczarni Pańskiej; kilka kroków dalej obaczym w płaskorzeźbie owe trytony z Neptunowego orszaku, które z głębin wyprzęgał oceanu zanim naturze nie wydarto jej bogów. Meleager na łowach znajduje się w pobliżu ołtarza na którym widzimy Henryka VII, pogrążonego w modlitwie. Na jednym z kapiteli Marja mistycznego pełna uroku, a u nóg jej prawie etruskie figury pełne realizmu życia. Rzeźby Della Robia madonna z terrakotty, do bizantyńskich podobna; a tuż obok, na kolumnie z egipskiego ciosu wystaje głowa Achilla. Tu, dłuta Andrzeja z Pizy, ewangieliści i prorocy pełni surowej powagi katolickiego ducha, a tu dokoła na innych płaskorzeźbach bachanalje całą tchnące greków rozkoszną swobodą. Tu cesarza spostrzegamy niemieckiego na tronie; tu hippogryf arabski; dalej nieco Wenus, jako symbol miłości w śmierci dziedzinie. Oh! ci ludzie to czuli, cudem artystycznej pouczeni intuicji, że pokolenia wszystkie i wszystkie wieki na łonie śmierci jednoczą się i godzą. Czuli to, że ci bojownicy nieprzyjaznych sobie sztandarów na polu walki w dzień słoneczny giną, wzajemną dysząc nienawiścią i ziając przekleństwem, - ale tam, w gwiazd krainie podają sobie dłonie. Oni to czuli, że mają moc się nawzajem wypierać z życia krainy ziemianie - ale nie z krain śmierci.

I cóż stąd, że wroga w proch zetrzesz, na wolę wiatrów wyślałeś jego rozrzucić popioły: w wielkiej wszechżycia wyrobni, w przyrody niezmiernem łonie ani jeden jego atom nie przepadnie; jutro już może synowie twoi wiedzą je w sobie i w sercu noszą je będą. Lecz tak bo zaciekłe nienawiści ludzkie, że nawet w śmierci wiedzą pojednania. - A jednak na tym cmentarzu pisanskim, wobec tylu zmarłych tylu pokoleń, pomników z tylu stuleci, budziło się mi w duszy poczucie tej prawdy: że tak jako ciało nasze zawiera w swym składzie

wszelkich istot cząsteczki a umysł wszystkich pokoleń ideje, tak też i w życiu naszem wszystkie żyją wieki; czujem bardziej niż kiedykolwiek, jak niedorzecznym i jak nieludzkim jest ów rozbrat z powodu wyznań i wiary: wszakże duch ludzki, wszechstuleci dziecię, wszechludzkości jednostka, zanim doszedł do pełni dzisiejszego rozwoju, przez wszelkich przesądów przejść musiał bożnice, celtyckie dolmeny, larów ołtarze, piramidy egipskie i babilońskie sfinksy — na podobieństwo szerokich rzek, które przedzierać się muszą przez łożyska lodu, kamieni i błota, zanim wyjście w ocean zdobędą.

Cmentarz ten, to prawdziwy narodu grobowiec, prawdziwy Pantheon Średnich Wieków. Naonczas śmierć zajmowała ludzi więcej niż życie. Campo Santo było dla nich ojczyzną wiekuistą; piekło i czyściec — epopeją; jubileusz — wielkiem ludów przymierzem a wyprawa krzyżowa wojną świętą. Punktem ciężkości wszelkiego ruchu i życia Wieków Średnich był grobowiec. — Najznakomitsi i najzamożniejsi Pizy obywatele budują okręt, rozpinają żagle i płyną do Carogrodu i do Syrji aby dotrzeć po niezliczonych trudach wreszcie do Jerozolimy; upadając pod ciężarem olbrzymiego rynsztunku, z krzyżem na piersiach tysiączne staczają potyczki, tysiące razy pełne groźnych niebezpieczeństw przebywają wyprawy, aby odnaleść wśród majaczejących widziadeł pustyni, pod sklepieniem niebios jak płomień gorącem, na zwęglonych od skwaru słonecznego pagórkach grób Chrystusowy, (odgradzający) grób owiany falami wichru palącego jak pożogi pożarną, i aby umrzeć w pobliżu tego grobu, na tej ziemi poświęconej łzami oliwnego ogrojca i krwią Golgoty kalwaryjską. — Lecz i pozostali we Włoszech obywatele pragnęli zapewnić sobie tę korzyść, usnąć snem wiecznym w obiecanej ziemi, zmięszać prochy swoje z prochami proroków. Równość republikańska nie ścierpiałaby przywileju — nawet w śmierci. Rozległy handel Pizy dozwolił spełnić gorące mieszkańców życzenie. Przypływały tedy floty do portu z ładunkiem jerozolimskiej ziemi. I do dziś dnia jeszcze w tej to ziemi grzebią Pizańczycy kości swoje. Żarłoczną wielce była ona niegdyś: w ciągu jednej doby trawiła powierzone jej szczątki, jakby ogniem była a nie ziemią. Sole które cudu tego były przyczyną, ulotniły się już po większej części z biegiem upłynionych wieków; niemniej jednakże i dziś wedle twierdzenia uczonego p. Valery, ziemia ta pożera trupa w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Z zachwytem poglądałem na nią. Aksamitnym zieleni płaszczem jest pokrytą, (skropiony niby deszczem róż). — Gęste krzaki ostrężyny rozciągają wszędzie kolczaste gałązki, a rój białych motylków wydawały mi się

duszyczkami dzieciątek kąpiącemi się w tej woni i pojącemi się rozkosznie słodkim nektarem krzewów, zwieszających festony nad grobami uwieńczonymi girlandami kwiecia, niby żywą ozdobą (mieszkanie umarłych). O ziemio, święta ziemio jerozolimska pod stopami memi! Tyś na świat wydała myśl Bożą, przez tyle wieków kryjąc ją wprzódy w twem łonie, by wiek nowożytny w jej cieniu odpoczął; Tyś w wnętrzu twem kości zebrała proroków, tych którzy pochodnię wiary w ludzkich zażegli sumieniach; z twej to gliny ulepioną była kolebka cywilizacji naszej; a boski męczennik, który na twych górach oddał się w ofierze by świat wybawić z niewoli i ohydnego przeznaczeń jarzma, on cię płodną uczynił i święta jak plenne męczeństwa nasienie! Ziemio jerozolimska, ktokolwiek pod stopą cię czuje, filozof czy chrześcijanin, żyd czy katolik, przeszłości czy przyszłości człowiek, wzruszonym być winien głęboko, boś ty, o ziemio nieśmiertelna, w niemałej weszła cząstce w zaczyn naszego żywota.

Ale pożegnawszy dziedziniec zwróćmy się znowu ku krużgankom aby teraz obejrzeć już nie groby lecz malowidła. Włosi są na wskroś artystami, całą istotą ducha; nie pojmują oni aby którakolwiek ze sztuk pięknych żyć mogła samodzielnie i w odosobnieniu od swych siostrzyc. Budowle przyozdabiają oni rzeźbą i malowaniem; napełniają je poezją i napisami – aby były myślące, muzyką aby im śpiewały.— Cmentarz pizański zbudowano w wieku XII., nie zapominajmy o tem. Aby zrozumieć co on nam mówi, jego epokę zrozumieć trzeba, architektura bowiem nie wyzbywa się nigdy z symbolicznego swego charakteru a najmniej pomniki jej religijne. Początek wieku XII. jest wiekiem katolicyzmu, koniec jego wiekiem odszczepieństwa. (Duch ludzki w jego zaraniu gorejąc wiary płomieniem, przy schyłku poddaje się rozumowi.) Rozpoczyna stulecie Innocenty III, spoglądający z góry na korzące się u nóg jego ołtarzy Europę, a sumienie człowiecze, na klęczącą w jego ... kończy je Benedykt VIII., policzkiem jak świecki zniewożony umierający z wściekłości w poczuciu bezsilności własnej. – W Kastylji otwiera to Ferdynand III., który zasłużył na to iż go między świętych zaliczono, zamyka je Alfons X. który zasłużył aby go zaliczono między filozofów. Piotr II Arragoński rodzi się na łonie kościoła, w jego wzrasta opiece, żyje aby stoczyć bitwę z niewiernymi pod Navas a umiera w bitwie pod Muret stoczonej na walczac w sprawie heretyków. Gwałtowne takie zmiany, to

x Las Navas da Tolosa (1210)

(1213)

powszechne owego stulecia prawo. Jakób I Aragoński szmat ziemi za szmatem zdobywa dla Kościoła a Piotr II wydziera papieżowi lennictwa. Dwaj święci krzyżowych wypraw kierownicy i własne ich wojska cuda czynią pod murami Gerony przeciw papieskim żołnierzom. Wstrzymane boje o mękę Pańską. Nad teologją świętą górę bierze umiejętność arabska. Powątpiewanie wkrada się do rozumów, ironja do piśmiennictwa a poczuciem natury przejmuje się Sztuka. Świadomość ludzka z okresu wiary w okres przeszła rozumu.

Czy zrozumieliście teraz ową dziwną pizańskiego cmentarza tolerancję? Patrząc na krużganki i na malowidła, to tak, jakby się spoglądało na dwie onego czasu hemisfery. Inna to myśl wyklepała te łuki, a wcale inna postawiła mury. Tam gotyk, tu daleka renesansu zapowiedź. Ktokolwiek rzetelnie kiedy pisać dzieje Sztuki, cmentarzowi temu pokłon będzie musiał oddać, bo to jedna z jej kolebek; a niepodobna przestąpić jego progu nie wywodząc z grobu czasów jego budowy. Ktokolwiek czasy te wywoła rzetelnie w pamięci, niepodobna aby mu nie nasunęło się na myśl nazwisko Mikołaja z Pizy. Zrodzon w epoce mistycyzmu, mąż ten umiera w epoce nowożytnych dążeń. Między kolebką jego i grobem dwa światy. Siedmdziesiąt i jeden lat życia tego człowieka a duch ludzki w ciągu tego czasu w nową wstąpił kwadrę. Ale on, on odczuł tę zmianę; i jakby zapowiedział upadek mistycyzmu. Rodzice jego i mistrze kazali mu zginać kolana i składać ręce do modlitwy przed bizantyńskiemi posągami przygarbionemi od postrachów sądu ostatecznego, ale on później mdlał już wobec przed greckiemi, jaśniejącemi pięknością i szlachetną harmonją onej cywilizacją na wskroś ludzkiej, stworzonej jakby ją wolność potężna wykarmiła piersią. — Mikołaj przyszedł na świat w siódmym roku trzynastego stulecia a umarł w siedmdziesiątym ósmym. Gdybym tę epokę chciał w jednej symbolicznie przedstawić postaci, dosyćby mi było wybrać który z tych posągów; widziano by jak myśl mistyczna błąka się jeszcze na czołach ale jak ciała w greckie już rozwijają się kształty, niby młoda latorośl świeżą napojona rosą w nierozwite strojące się pąki. Jan z Pizy, architekt cmentarza, również rzeźbiarz, Mikołaja patrzał oczyma.

Odrównaj ducha tych dwóch genialnych artystów z olbrzymiemi mozaikami i dziwacznemi malowidłami tuż obok cmentarza w katedrze, bądź to wprowadzonemi wprost z Bizancyjum, bądź przez bizantyjskich robionemi mistrzów. Dajiwszystkie Panny i święci i aniołowie bizantyjskie pełne wyrazu jakiegoś wzniosłego grozy i przerażenia, ale zimne i sztywne jak śmierć; najświętne Panny, święci, posągi Mikołaja i Jana z Pizy greckiej zapragnęły już pogody i doskonałości. To świat przyrody odsłania się na tchnienie nowych ducha prądów. To piękność ostwieca która świętej twardniczych murów monastyrnej ponurej klasztoru zostawia cieniom. Te głazy - to trofea duchowych walk, a razej szczęśliwego ducha Zwycięskie znaki.

Podczas gdy Mikołaj i Jan ciosali głazy rzeźbiąc posągi i budując cmentarze, w tym samym czasie młody pastuszek, pilnując owiec rysował sobie na błocie prochu lub piasku szczególniejsze figury. Pastuszek ten toskański miał się kiedyś stać ojcem malarstwa - był to Giotto. Chwałą jego brzmiał cały wiek trzynasty. Niepospolity ten człowiek tem jest dla malarstwa czem Mikołaj z Pizy dla rzeźby. Genius jego zawiera już w sobie jakby pierwsze zarysy geniusza Rafaela. Ramiona jego świętych sztywne jeszcze, kątowate i ostrokończate ich postacie, nogi niekształtne tak jakby im trudno było utrzymać się na ziemi, ale głowy ich pełne dobroci, oblicza ich pełne tego wdzięku którego rozpaczający nastrój ducha artystów bizantyjskich nadać nie były w stanie, tego wdzięku którego matką pogoda umysłu a rodzoną siostrą nadzieja. Widocznie jeśli kiedyś rysowane przez Giotta są jeszcze własnością ziemi jego czasów, niebios nowej ery dosięgają one już swemi głowy. Twarze te zdaje się wietrzyk muskać poranny, zdają się one tonąć w blaskach zorzy. Rzucając się na łono przyrody, Giotto źródło nieśmiertelnego znalazł w niej natchnienia. Jego pędzel - to nowe ludzkiego ducha okwitnienie. — Przypatrzmy się jego Jobowi na tej ścianie po lewej ręce. Zaciera się on jak pamięć owych czasów, niknie jak owa wiara która go ożywiała: przegląda jakby z daleka gdzieś, niby z dalekiego obłoku; i wpływ powietrza i wilgoć niszczą go coraz bardziej a zbrzydł już i poplamił się późniejszem naprawianiem. Podobny

do tych fantastycznych postaci w które się chmury układają, słońca ozłocone zachodem. Ten Job, to pokutnik który się na boże uskarża wyroki a nie mnie Bogu złorzeczy; dokoła przyjaciele jego niewierni, a on sam pomiędzy czartem, strasznym, dantejskim, a dobrym swoim aniołem, miłosiernym i pięknym, który w świetlanej już unosi się sferze. — Nie wiem czemu, ale ten fresk wyszarzały wydał mi się symbolicznym wizerunkiem onego wieku nieświadomie i bezwiednie nakreślonym przez Giotta lub przez kogo z jego współczesnych, wieku niesłychanego przełomu i przesilenia wieków, w walce śmiertelnej Demona-feudalizmu, pasującego się o życie z aniołem Odrodzenia który się naówczas z pieluch wydzierał.

Nie wiem czemu, ale ten cmentarz w moich oczach wydaje się być cmentarzem Średnich Wieków. — Jeden z uczniów Fra Angelika, tego mistyka, którego źrenicy przeglądali się jak w zwierciadle aniołowie i cherubiny, który tylko płacząc i modląc się zdolny był utworzyć wizerunek Chrystusa lub Panny Najświętszej, — tego mnicha, który gorzejąc i płonąc na klęczkach malował swoje obrazy; — jeden z jego uczniów olbrzymiemi freskami ozdobił cały prawie zachodni krużganek cmentarny, nakreślił tam postać pełną wdzięku, postać która dopiero w czasach bardziej zmysłowych wykwitnąć mogła, a która wyobraża nieskończoną ciekawość w odsłanianiu tajników natury: Noe — obnażony i pijany leży na ziemi; — młode dziewczę zakrywa sobie twarz rękoma, ale szparami na wpół rozwartych palców ciekawie nagim przygląda się kształtom. Fra Angelico byłby rzucił klątwę na swego ucznia Gazolli'ego za to malowidło. Ale to wiek nowy już nastał, wiek Odrodzenia, odrodzenia przyrody, dotąd obciążonej klątwą; wiek rozbudzenia uśpionych dotąd zmysłów; wiek w którym faun znowu na łąkach wyciskać będzie dwoistego kopyta ślady, znowu bluźnierczo wzniesie dwa rogi; wiek w którym na łożu różami zasłanem nimfy roskoszą nago w wesołej orgii wszechbytu; wiek w którym ruczaje nowych sielanek zanucą hymn; wiek w którym na łonie [illegible] roskosznego użycia szałów, wśród grona przebudzonych ze snu wszystkich starożytnych bogów, nowy się zjawi Prometeusz, wolny od wszelkich, który zmierzy oceany i odkryje świat nowy, i ziemię popchnie w ruch i zmusi ją aby w niezmierzonej toczyła się przestrzeni, który

jak sowiec samotrzaskiem ptaszęta, teleskopem gwiazdy łapać będzie i zniewoli je aby mu się zwierzyć dały na dłoni i aby mu rozpowiadały wyszeptały wyspowiadały niebios tajemnice.

Tak jest, ten cmentarz – to średnich wieków testament. Zdaje mi się jakbym czytał w tych murach ostatnie pożegnania tych czasów, które poprzedziły nasz, jak chaos światło poprzedził. We wszystkich literaturach wieki średnie kończące zawodzą śmiertelny Taniec Szkieletów. I jakżeby mogło niedostawać tego pełnego melancholii poematu pizańskiemu cmentarzykowi, nieśmiertelnej dziedzinie jego malarzów z XIV i z XV stulecia. Orcagna, wielki Orcagna wymalował tam ten taniec. Przypatrz się i przywołaj na pamięć inne dopiero-co widziane pomniki Sztuki a stanie ci przed oczyma cały Sztuki rodowód. Grobowce w których spoczywa księżniczka Beatryks – to niechybnie kolebka nowożytnej Ducha i idei. Na nim to kształcił się Mikołaj z Pizy, a syn jego Jan, architekt i rzeźbiarz cmentarza kształcił się na ojca rzeźbach ojca, rzeźbach Jana Andrzej Pizańczyk, na dziełach Andrzeja Orcagna. I przyjdzie po Orcagnim Ghiberti i wyrzeźbi wrota florenckiej chrzcielnicy baptysterjum, tę triumfalną bramę czasu Odrodzenia, którą Michał-Anioł zwał wrotami Raju. Na tych wrotach arcymistrz [illegible] będą rzeźbione. I po tych dniach a pierwszych dniach Stworzenia Sztuka także od swej świętej prarodziny: Mozaiści weneccy i pizańscy, Cimabuë, Mikołaj z Pizy, Giotto, Jan Pizańczyk, Orcagna, Ghiberti, Massacio, Leonardo da Vinci, Michał-Anioł, Rafael. – Duchu ludzki, nieśmiertelny! nigdyś tak wielkim uczyniłeś ich w owej chwili odmalowania kształtów ludzkich plastycznej piękności po niezmierzonych trudach, po tych wiekach umartwień, postów i pokuty:

Fresk Orcagni'ego to obraz śmierci. Rysunek tam niepoprawny jeszcze, figury postaci nieproporcjonalne brak tam jeszcze perspektywy: lecz twarze, wyraz mają przecudownie piękny; przegląda w nich dusza, promienistą myślą świecąc w oczach;

janicjao na czole. — Po lewej, orszak konny mężczyzn i kobiet strojny i świetny, zatrzymał się na widok trzech trupów królewskich: jeden zgnił, cuchnący, zmarły, obrzękły, — drugi przegniły już nawpół, robactwem stoczony, a trzeci, to już z ciała odarty kościotrup. Niepodobna wyrazić tego uczucia mrozu, jakie nas przebiega na widok tych trzech trupów śmierci w porównaniu tego grona rycerzy bogato strojnych w aksamity i gronostaje, tych dam w cytrynowych fryzurach, tych przyborów myśliwskich, tych psów i sokołów, tych oznak i godeł życia uprzywilejowanego na wabie i uciechach. W samym środku (obrazu) stary, chory, umierający, wzywają śmierci głośnem wołaniem wzywając ją słowy, które wypisał malarz dla dobitniejszego ich zaklęć wyrazu: O śmierci! medykamencie od wszelkiego cierpienia! Ale śmierć ich nie słucha; oddala się ona od tych, którzy jej pragną, aby tych ugodzić, którzy zapominają o niej; dążąc ona do owego gaju gdzie w cieniu drzew spoczęli kochankowie. Dwie patrzących na siebie w zachwycie, zapatrzonych, którzy przy dźwiękach trubadurskiej gęśli śpiewają piosnki miłości, wśród kwiatów i małych amorków rozkoszne. — Tam dalej, na wyniosłej górze modlą się za wszystkich ludzi pokutnicy. Ale w głębi zaś znów widzi: króle, szlachtę, panie, biskupów — wszyscy konający w przerażeniu nędznym, zamarli, a dusze ich porywają to anioły to znów czarty o straszliwej postaci i nietoperzych skrzydłach. — Spostrzeżem tu że wielu mnichostwa dobrej gady doktorem: z dusz najznaczniej porywanych przez czarta, najwięcej dusz mnichów. — | Obok tego fresku uzupełniając go wyjątkowo, znajduje się owa Sąd ostateczny i Piekło. —

Po zwiedzeniu nawet Sykstyńskiej kaplicy, . Wywarł tu szczere wrażenie ten gniew Jezusowy, ten wyraz wstawiającej się Marji, bólów odepchniętych i zachwycenie błogosławionych; niepewność Salomona, który z grobu, wiecznie przed strasznym z powodu, niepewny czy niebiosa czekają go pokoje czy otchłań wieczna; ten anioł-mściciel który za włosy wciąga [illegible] wtrąca go ciemności; (mnicha, księcia [illegible] umierającego wśród [illegible] (zbawionych) (do myślenia)

i ów Anioł Miłosierdzia który na swych ramionach unosi ku niebu świętego modlenica (z pomiędzy potępionych); ta niewiasta łamiąca ręce rozpacznie nad brzegiem nieszczęsnej przepaści i ten stanu znużony u do kolan Jezusa jakoby chciał przypomnieniem wiecznych zasług ubłagać Bożego zmiłowania; ten Stróż-anioł pośrodku obrazu, smutny, przygnębiony boleścią bez granic, głębokiem spojrzeniem zielone swoich oczu brzemiennych myśli, wpatrzony w spadającą w piekło głąb morze płynnego ołowiu, bezmierną złości wraz kataraktę; i wpatrzony w straszliwy upadek dusz, które on na ziemi od występku napróżno uchronić się silił, a które w ostatecznej sądu godzinie błagalną modlitwą przed sprawiedliwego gniewu bożego ocalić pragnął napróżno: straszna to zaiste epopeja okropności i spustoszenia, na tych grobowcach w tem ciemności schronisku (zaprawdę przejmująca groza dnia ostatecznego.

A pomimo wszystkich tych obrazów postacie świadczą że czasy mistyczne już przeminęły w dziele ich tworzenia a czasy Odrodzenia nie nadeszły jeszcze. W żadnym z tych obrazów, w żadnej z niezliczonych figur umieszczonych na malowidłach tych mnóstwo nie dopatrzysz się ani idealizmu Fraangelico ani naturalizmu Buonarottiego. Dzieje ludzkie to wieczna walka myśli z rzeczywistością. W tych obrazach widzimy ulatniającą się ideę a nie zapanowała jeszcze natura. Duch Mistyczny wygasł ale nie zajęło jego miejsca uwielbienie ludzkiego organizmu, które artystów czasu Odrodzenia tak wielkimi uczyniło malarzami i tak wielkimi rzeźbiarzami. Michał-Anioł z zaciekłością zgłębiający nucał się na trupa, uczył się go i wracał doń póty póki każdej jego kosteczki nie wyśledził wszystkich działań. Studyum nagiego ciała było grzesznego zajęciem, jakby w tem miarą ich przymać odwiecznej utraconej raju niewinności. Ale anatomia była zakazaną przez ciąg wieków średnich. Średnim typ artystom XIV. i XV. w. nie było wolno poznać ludzkiego ciała. - Postacie ich obrazów spętane w szatach ich w worku lub wcześnie. Zbyt żywo człowiek zapewne miał przez swój upadek w pamięci, strachem go pełnemu przejmujące widoku własnego ciała - (być ciało) gnębiący ciągi nieodstępny.

Ale w tej ciężkiej ducha niemocy, odczaleń jednak wyłania się z trudem jedynie oczekiwanie czegoś nowej idei. Dostanie pierwszego cmentarza, to dzieci mroku, nie pewne siebie, niewyrażone, jawią się na progu dwóch epok w granicy nocy, rozstrząsając drogi ludzkie, że którymi zmierzać przyjdzie los nas wszystkich. Wnet wszyscy skazani na to, aby zagrzebać wśród ziemi podwaliny idej w niej, wszystko, podwaliny zajściowych żywota pragnień; wnet wszyscy porwani prądem wypadków niemających końca ni kresu, a nierozsądnie dokąd ich niesie ten prąd; wszyscy wyprężeni do pracy odbudowy, wiecznie ciemnu i nocą; wszyscy porzucają po drogach rozstajnych niezliczonych dziecięcy, mdlejące zapały i ostatkiem wyssaną wiarę; wszyscy upadają wreszcie zamordowani na samych wszystkich zwałach rumowiska, aby ich stamtąd odsunęli potomkowie nogą i rzucili do fosy i sami dalej wiedli to dzieło powtórzeń bez końca, tylko samych zawsze herkulesowych prac, reprezentując tej samej ciągle bez rozwiązania tragedji wznowionej.

Czy zaiste jest śmierć tylko rozwiązaniem? — Co do mnie sam tak wcale nie sądzę. Gdyby tak było, to świat byłby chyba stworzony dla zniszczenia dziedzin. Bóg byłby wtedy dziesiątkiem trudzącym świat jak karciane pałace dla przyjemności zabawy swej. Roślina ziemię pożera, wół i owca roślinę, my woły i owce, a niewidzialne istoty zwane śmiercią czy nicością pożerają nas samych. Na szczeblach życia jedne stworzenia idą na to jedynie, aby je drugie pożarły. Wszechświat jest wtedy niezmiernym tylko polipem, o niezmiernym żołądku, — ale jeśli porównanie to nie dość wam ni wydaje klasyczne: wszechświat to katafalk nad którym stoi zawsze jak wygnańcowa pochodnia, a jako posąg niespożyty wznosi się nad nim fatalność. — Ci rozpaczą cierpliwi bo limfy mają dostatek, ci bohaterami bo mają dużo krwi, ci myślicielami, bo żółci mają obficie, oni zaś to poeci bo mają wielką nerwów drażliwość; ale wszyscy oni umierają z różnych przyczyn choroby a każdy żyje tak długo tylko, pokąd nie zepsuje się w nim trzewia i serce i mózg i szpik pacierzowy kości, a gdy to wreszcie nastąpi, to człowiek legnie na łonie nicości. To cośmy zwać przywykli cnotą lub zbrodnią to tylko organizmów różnych różne skłonności, to co wiarą zowiemy to tylko jest brakiem kilku kropel krwi w naszych żyłach, albo zbyteczną w wątrobie wilgocią albo odrobiną fosforu w kościach; to co nieśmiertelnością zowiemy, to złudzeniem: nic niema rzeczywistego, nic pozytywnego na świecie tylko sama śmierć, a historia ludzkiego rodu, to tylko długa cieniów procesja, przemykających niezłomnego lotem pomiędzy dniem i nocą, aby po kolei wszystkie wpadały w tę ciemną otchłań, nieokreśloną, niezgłębioną, która

~~[illegible]~~ życie się wiecznie, a która jest jedyną rzeczywistą wszechświata atmosferą.

O, nie, nie! jam w to nieśmiertelny wierzył... Niedole codzienne ~~Cierpienia ludzkie~~ mi zaćmią nigdy boskich praw w mej duszy. Tak jak dobro od złego odróżniam, tak odróżniam śmierć od nieśmiertelności. Wierzę w Boga i w oglądanie Boga w lepszym jeszcze świecie. Zostawię to ciało moje na ziemi jak ciężką zbroję ~~[illegible]~~, i wstępować będę wzwyż ~~bez~~ końca ~~ku~~ skąpane w wszystkim świetle wniebobrodzi ~~[illegible]~~. Śmierć jest prawdą, ale prawdą jest i dusza; wbrew tej konieczności która mnie za barki trzyma ~~[illegible]~~ zobaczę, ~~[illegible]~~ ja mam myśl skrzydlatą; wbrew fatalizmowi który ~~[illegible]~~ mnie do spodu chce pochłonąć [illegible], mam potęgę woli. Historia to zmartwychwstawanie. Barbarzyńcy rozsypali gruzem starożytne posągi greckie i oto stoją one teraz w całej pełni na cmentarzysku, poczynając [illegible] zimnych marmurowych [illegible] zapładniające nieśmiertelnych artystów pokolenia. Italia martwą umarła była ~~[illegible]~~ martwą jako trup Julietty — i każde pokolenie rzucało na trupa jeszcze róż i kwiatek ~~[illegible]~~ wplatało do grobowego wieńca, i oto zmartwychwstała Italia. Dies irae.

~~[illegible]~~ nam dziś tyrani ustęp ~~[illegible]~~ po którym rozwiewano [illegible].

~~[illegible]~~, ale obaczym ~~[illegible]~~ że ludzkość przyjdzie ~~[illegible]~~ (kiedyś) ~~[illegible]~~ te stalowe ~~[illegible]~~ srebrem ~~[illegible]~~ z nowego ciała odartą [illegible] o Polska ~~[illegible]~~

zmartwychpowstanie na wszystkich dawnych ołtarzach jako posąg wiary, który ~~[illegible]~~ obejmowałaby ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~. Zawrzem, zwane nad nieśmiertelności na cmentarzach, ale silniej jeszcze ją czuję na tym cmentarzu pizańskim. ~~[illegible]~~ na tym cmentarzu zaludnionym takim tłumem nieśmiertelnych istot, gdzie natchnienie żywe zgięło się i stoi i nieśmiertelności wieniec ~~[illegible]~~ stuletniego dębu ~~[illegible]~~ gdy go ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ który na mieszkanie.

Zwolna zapadała noc nad nami. Dzwon zgubił swą pracę, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~. Zbliżył się strażnik prosząc abym cmentarz opuścił, ale uzyskałem pozwolenie pozostania tam jeszcze jedną godzinę wśród nocy i cieniów. Jam się spodziewał ze zdrowiem zatonąć ~~[illegible]~~ w ten smutek nieczesny i ~~[illegible]~~ zapomnieć o sobie samym ~~[illegible]~~ wtopić myśl ~~[illegible]~~ ciszy (upraszczając czasy ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ i wszystko) wspomnienia, gdzie tyle opisu zapomnianych pokoleń. I stałem tak, oparty o grobowiec z wzrokiem ~~[illegible]~~ na marmurowej arkadzie, rozumu odkrywanego w wobraźni śmierci i w sądzie ostatecznego zawiewu, w ostatnich zmierzchu przydymionych ~~[illegible]~~ odblaskach, i uchodziłem ~~[illegible]~~ na te smutków cmentarnych pierwszy ciemność które mrok nocny niósł mi wyprowadzić z sobą. Naprzemiennie ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ leciały ~~[illegible]~~ wietrzyk ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ocknął mnie z pewnych marzeń; ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ spojrzałem wówczas od skarbu odwiecznego kielicha, silna wyszedłem woli, ~~[illegible]~~ życia rozległe się wspólnictwa, światowości roboty ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ gwarantami [illegible] pewnej się przemyśleć w własnych uczuciach z sądami

grobowców; [illegible] siedząc w tłumie wielkolepy wznosi się wraz wyżej w wieczorne przestworze, srebrzystą górą (swych promieni) nadgrobnych posągów ciała, a ukryty w gęstwinie czarnych cyprysów [illegible] piosnkę, niby serenadę umarłym a modlitwę nieba.

---

dali jej murom i klasztorom kreśląc mistyczne na nich postacie; ~~wy~~ wtedy to żydzi opieką pełnego toleranji prawa zwabieni, z swemi bogactwy ściągali do niej; wtedy to Mikołaj i Jan z Pizy kowając z marmuru białe posągi, do snów najpierwszych nowego natchnień wieku podobne, budzili do życia mistycznych pokutników, światłem nowej idei, wprzód nim światu zabłysła — niby ptaszęta podobni którzy wśród nocnego mroku zapowiadają świtanie dnia. Wolność Pizy zrodziła jej handel, handel przyniósł bogactwo; dostatek pociągnął za sobą rozwój Sztuk Pięknych i Umiejętności. W XI. wieku (za pomocą) maszyny Buschetta tak wielkie (tu) podnoszono ciężary, że zaledwie nowożytna mechanika podołaćby mogła temu zadaniu. W XII^tym lekkie pizańskie (okręty o malowniczych łacińskich żaglach, (jawiły się w średniowiecznym mroku) jakby czarowne zjawisko starożytnej Indyi; lśniącym strojne jedwabiem, przepychem i grą kolorów kazały [przypominały] marzyć o tych jedwabi kolebce. Egipskie węże obejmowały pierścieniem z bronzu granitowe kolumny, a hippogryfy greckie rozkładały skrzydła około bizantyńskiej rotundy. Tysiące robotników roiło się w przystani a zasadami wolności przyświecały miastu jego ustawy. — Republika nieżyje — a Piza trupem dzisiaj. Toż nie dziw może, że najznamienitszym ~~z~~ jej pomnikiem — jest cmentarz. U szczytu jeszcze będąc swej chwały, przeczuła snadź Piza jaka przyszłość ją czeka i wzniosła budowlę najodpowiedniejszą smutkowi dalszych jej dziejów: Campo Santo. — | I wpośród ciszy wyludnionego miasta, przerywanej zaledwie wibracją fal powietrznych trącanych morskiemi podmuchy, zasępiały na duszy jakbym czuł padające na nią cienie śmierci, poszedłem zwiedzić wspaniały ten pomnik, gdzie tyle głębokich miałem doznać wrażeń i pouczyć się (niemało spodziewałem). Miejscowość cmentarza największem wcale mnie (otoczona) pustkowiem. Na próżno lazurowe szczyty wyniosłych gór pizańskich piętrzą się w eter świetlany przejrzystego nieba; naprózno bujna wegetacja wiosenna powodzią kwiatów, motyli i ptasich gniazd, zbytkownej

szaty swej fałdami pokrywa nawet tam w górze nagie głazy na smukłych
wieżyczkach tych murów; – naprożno wspaniałe baptisterjum, tuż
w pobliżu Campo Santo, jakby wyniosła rotunda podziemnej jakiej
świątyni, stroi się w deseń rzeźbionej swych filarów koronki; – naprożno
biała pochyła wieża, jakby olbrzymich rozmiarów kolumna, dźwięczy
przenikliwemi dźwiękami swych dzwonów, – katedra w nieprzeliczone
ubrana klejnoty rozbrzmiewa nutą psalmową; naprożno zmawia się
wszystko aby świadczyć o życiu: – wszędzie wyrastają pokrzywy na całym
tego pustkowia obszarze, przypominają śmierć i wywołują w duszy
smutne o śmierci rozpamiętywania.

Cmentarzyko stanowi gmach duży, ponury, o wysokich
murach a wąskich drzwiach: niby marmurowy całego ludu sarkofag.
Faraonowie egipscy, rzymskie Cezary, Satrapowie Wschodu wznosili
piramidy, warownie, góry sypali, aby przed oczyma świata
ukryć widok robactwa toczącego ich purpurę i ich zwłoki, ale
żaden z tych wspaniałych pomników, w których despoci po za wrota
śmierci przeciągnąć chcieli dumną swego życia samotność, żaden
z tych pomników nie da z tym się porównać; żaden nie ma tyle tego uroku
w sobie i tego piękna, ile to ostatnie wolnych obywateli mieszkanie.
W wzajemnym uścisku jednoczą się tam oni z sobą na wieczność. Wyziębłe
szkielety, z przeciętemi ostrzem kosy ścięgnami, kości zmieszane w wspólnej
kostnicy, tchną jednak ciepłem serdecznem, owiane atmosferą entuzjastycznych uniesień – jak
niegdyś serca ich wolne za życia. Zewnętrzny widok tego gmachu
nadzwyczaj prosty: rzekłbyś, olbrzymi grobowiec z jednego wykuty głazu.
Myśl o śmierci każdy przedmiot życia uroczystą jakąś zwykła
oblekać szatą. Ilekroć człowiek zapragnął zdobyć się na obraz śmierci,
nieśmiertelności stworzył wizerunek. Naprożno bolem bolów nazwał
godzinę konania, cieniem cieniów ostatnie schronisko; na dnie
tego grobowca, w głębinach niezbadanej otchłani jawi się światło
tajemnicze nowego żywota. – My to czujemy wszyscy, że człowiek, że
ta istota która całego stworzenia ostateczną jest treścią i wyrazem, że ten

a.)

Emilio Castelar

Niezliczonymi wyrzekaniami na dzisiejsze czasy zwykle, że wszystkim egoizmus i spory. Brakuje dziś zaiste ani ludzi wielkiego charakteru, ani większego poświęcenia, ani ludzi wielkiego zapału, którzy urzeczywistniają ideały poezji w życiu wszędzie dosłownie.

Potomność sprawiedliwiej nas może osądzi. Może więcej przyzna wyższości temu, które my widzimy w sobie. Nie raz to paradoksem historiozoficznym, że w każdym wieku wyrzekano zwykle najbardziej na te wyjątkowe duchowe kierunki, które moralnie właśnie powinnaby najpomniejszać, które zatem mniej owej niż którejkolwiek innej były epoki charakterem. Nie utyskiwano na fanatyzm wówczas, gdy fanatyzm wspólne wszystkim obozom i wyznaniom było cechą. Nie uskarżano się na zbytni sobkizm wówczas, gdy polityka zaborcza była jedyną o której mówiono powinno. Nie podnoszono się chyba wyjątkowo gdy przeciw niewolnictwu gdy uznawano powszechne była przyczyną [illegible] najbardziej gdy [illegible] i u nas oligarchii i jezuitów wieku, wtedy najbardziej gdy [illegible] społeczeństwo. Tak też zda historia o drugiej połowie XIX stulecia [illegible] współczesnej nam ludzkości przewodnich postaci, wielkich [illegible] niepodobna współczesnym przeczuć. W każdym razie wydaje [illegible] celem i dziwnym życia

Nie może być [illegible] znakomitych w Europie mężów stanu, książąt [illegible] ani [illegible] wszędzie [illegible] idei, nadania [illegible] urzeczywistnienia szczęśliwie wielkiej niezaradnej [illegible] życiu kształtów wyśnionemu przez poetów ideałów, humanitarnej lub humanitarno-narodowej aspiracji w realne świata stosunki.

Dalej od optymistycznych mrzonek Moralność międzynarodowa XIX wieku o tyle wyższą od moralności wieków ubiegłych, że nawet wszyscy dzisiejsi wyznawcy zmierzeni owe dobrocią, niosącą oświecenie wyższej kultury, lub wmawia nakoniec oswobodzenia niosącą wybawienie od ucisku politycznego, (lub społecznego. (religijnego) Egoizm narodowy [illegible] nawet, dawniej się [illegible] tolerancja — tego wymaga obecnie wiek. [illegible] taka jest niewątpliwie obyczajność — ale naganna publicznemu przemówieniu dumnie stałej dyssymulacji [illegible] ustawach świata o wyższości moralnej zasady [illegible] ludzkości, z którą i zbrodniarze zmierzać, co tłumaczy się [illegible] epoka być nie może.

Historiozoficzny ten paradoks czy historiozoficzne prawo wyżej wspomniane i w stanie obecnym naszego społeczeństwa wszędzie krótko znajduje potwierdzenie. Wszędzie, w drugiej wzajemnego narodu literaturze bieżącej nie podobna spotkać się tak często jak z owemi niedorzecznemi [illegible] przeciw „hiszpańskiej górze pozytywizmowi" w każdym prawie [illegible] politycznym, w każdym piśmie literackiem, w artykułach historycznych, archeologicznych, w podręcznikach nawet szkolnych przeciwników [illegible] filipiki przeciw [illegible], [illegible] na pozytywistów. — Któż oni są? Niegdyś ich niemasz tak mało jak u nas. Zaledwie kilku dałoby się wyliczyć autorów piszących

Tych epok [illegible] tylko wśród [illegible] 4 [illegible]

a.)

Emilio Castelar

Niesłusznie wyrzekamy na dzisiejsze czasy zwykle że wiekiem egoizmu i prozy. Zbrakło dziś zaiste ani ludzi wielkiego charakteru, ani wielkiego [illegible], ani ludzi wielkiego zapału którzy niedościgłe ideały poezji w życiu wcielić dosięgnąć.

Potomność sprawiedliwsza nas może osądzi. Może wiele [illegible] wyda świadectwo temu, które my wydajemy o sobie. Nie rzadko paradoksem historjozoficznym i w każdym wieku wyrzekano zwykle najbardziej na te ujemne ducha kierunki, które moralne oblicze pewnie najpowszechniej [illegible], które zatem mniej owej niż [illegible] były epoki charakterem. Też utyskiwano na fanatyzm wówczas gdy fanatyzm wspólne wszystkim obozom i wyznaniom był cechą. Nie rozłączano zaborczej polityki wówczas gdy polityka zaborcza była jedyną o której mówiono poważnie. Nie podobały się chyba wyjątkowe gdyby [illegible] wolności gdy uznawano powszechne były źródłem ... i u nas oligarchowie i jezuici wówczas właśnie najbardziej gdy [illegible] z [illegible] społeczeństwa. Taki [illegible] historia o drugiej połowie XIX stulecia [illegible] w współczesnej nam kolebce [illegible] postaci, wielkich [illegible] współczesnym [illegible]. W każdym razie wydało ono niezwykłe [illegible] całem i [illegible] życia [illegible]

Może [illegible] nie [illegible] wielkiego [illegible] idei, [illegible] niezwyczajnej [illegible] wielkiej [illegible] [illegible] wyśnionemu przez poetów ideałów, [illegible] humanitarny [illegible] lub humanitarno-narodowej aspiracji w realne świata stosunki.

Dalej [illegible] od optymistycznych marzeń [illegible] Moralność międzynarodowa XIX wieku o tyle wyższą od moralności wieków ubiegłych, że nawet wszyscy dzisiejsi wyznawcy zmiennej [illegible] [illegible] dobroczynność niosącą ujarzmionym wyższą kulturę, lub [illegible] [illegible] oswobodzicieli niosących wybawienie od ucisku politycznego (lub społecznego religijnego) (Egoizm [illegible] nawet, [illegible] się [illegible] — tego wymaga duch wieku. [illegible] [illegible] [illegible] obłudniczy — ale [illegible] publicznie [illegible] [illegible] dyssymulacji [illegible] [illegible] o wyższości moralnej zasady [illegible] z którą [illegible] [illegible] tylko [illegible] epoka być może.

Historjozoficzny ten paradoks czy historjozoficzne prawo wyżej wspomniane i w stanie obecnym naszego społeczeństwa [illegible] znajduje potwierdzenie. Więcej, [illegible] narodu literatura bieżąca nie podobna spotkać się tak często jak z owemi niedorzecznemi [illegible] [illegible] "[illegible] górę pozytywizmowi" w każdym razie [illegible] politycznego, w każdem piśmie literackiem w artykułach historycznych, archeologicznych, w podręcznikach nawet szkolnych [illegible] filipiki przeciw [illegible], [illegible] na pozytywistów. — Gdzie oni są? Więcej ich niemasz tak mało jak u nas. Zaledwie kilku da się wyliczyć autorów piszących

6.) 73

Styl tego mistrza [illegible] wobec tej zalety, która w innym autorze w [illegible] z łatwością stałaby się zmysłem: bogactwo erudycji [illegible], polot [illegible] fantazji, na pozór nieznaczny, wdzięk [illegible] filozoficznych idei.

Styl jego to jakby najbujniejszy roślinami ogród, gdzie [illegible] pośród jaskrawych kwiatów [illegible] o aromatycznej woni, [illegible] [illegible] ornamentyka [illegible] wspaniała [illegible]

Każdy [illegible] obraz, [illegible] atmosfera [illegible] [illegible] w kompozycji zawikłany [illegible] rysunek [illegible] bez [illegible] — nie zawsze wszystkie. Śmiały rysunek, [illegible] artystycznego [illegible] bogatym [illegible] o jaskrawych barwach.

Andaluzyjanka w [illegible] świątecznym stroju [illegible] obszytym świecidłami i ozdobami bez miary, z [illegible] wielobarwnemi wstążeczkami, kształtna, gibka, wiotka, zgrabna w każdym ruchu, co chwila zmieniająca pozę pełną dramatycznej ekspresji, mimo tego zbytku ornamentów i [illegible] z niezrozumiałym wdziękiem na pozór postaci, swobodna, [illegible] oddychać się zdaje prostotą, a to co wyrażaniem było w części pozornej u niej w pełnej harmonji zlewa się całości.

Takim jest styl Castelara.

Jak usprawiedliwia dla [illegible] [illegible] [illegible], tez tylko [illegible] [illegible] [illegible] do przyswojenia ojczystej literaturze którego z utworów hiszpańskiego pisarza.

Chcąc podać czytelnikom naszym próbkę nieznanego dotąd w polskim przekładzie autora, który tak świetne w ojczyźnie swojej odegrał już role, pokusiliśmy się o przetłumaczenie jednego obrazka z jego dzieła p. t. Recuerdos de Italia. Są to luźne wspomnienia z [illegible] podróży Castelara we Włoszech, z których każde tworzy osobną artystyczną całość. Wybraliśmy Cmentarz Pizański, [illegible] zamieszczone w nim [illegible] wzmianki o Polsce.

Wspomnienia te pisał Castelar w r. 1867.

Był on wtedy wygnańcem skazanym zaocznie na karę śmierci przez garrotę t. j. [illegible] — karę będącą dotąd w użyciu w jego nieszczęśliwej ojczyźnie. [illegible] jeszcze nim zajaśniał on już [illegible] deputowanym w Madrycie [illegible] [illegible] lat [illegible] generała Prima [illegible] [illegible] w republice godności [illegible] być [illegible] [illegible] się [illegible] [illegible] we Włoszech z trybuny [illegible] jego [illegible] prawdziwego patrjoty i republikanina. Wkrótce potem, t. j. po abdykacji króla Amadeusza zasiadł na ławie ministerjalnej, [illegible] do najwyższej w republice godności prezydenta [illegible].

I oto od czasu jego wygnania dziesięć lat upłynęło zaledwie a Castelar znowu wygnańcem. Zbrodniczym zamachem gen. Pawii na rzecz Serrana [illegible], [illegible] stał się z [illegible] [illegible] po wtórnych [illegible] [illegible] nowe [illegible] [illegible]. Tymczasem wydała druga część jego wspomnień, [illegible] [illegible] [illegible], której [illegible] jako [illegible] naszym czytelnikom.

wykłady O uniwersytecie w szczególności wobec Oświecicielstwo — w Athenaeum (akademii) Madryt

O postępie

22 lat mowca — a w które potem przez ...

Demokracja

1866 — [illegible] zaocznie na śmierć. Wkrótce potem w Londynie

1878 deputowany. Mowy jego. W [illegible] Amadeusza — ministrem a następnie Prezydentem Republiki.

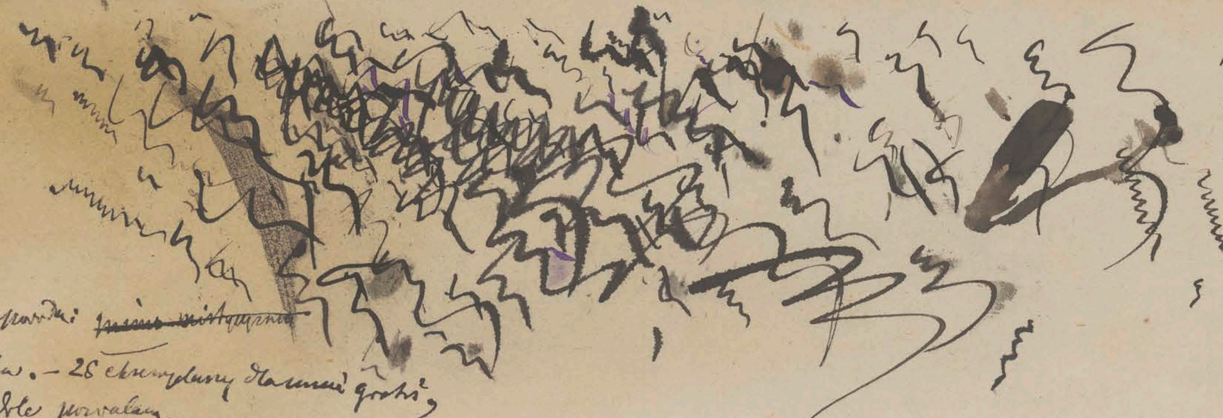
Zamach gen. Pavia na niego Gen. Serrano

Jego dzieła literackie Bibliografie

Przedmowa do Riccardo

[illegible]

Limpieza de sangre



1.) w ciągu Marca

2.) korektę ale sprawdzi ~~prócz mistycznego~~

3.) osobna odbitka. – 25 egzemplarzy dla mnie gratis,

4.) uwagi wedle porządku.

NB. Tytuł: „E. C. na Concertus Miserii" wspomnienie.

Korekta ! (?)

Testament Napoleona

Z teki starego szlachcica
odpisał Autor „Plotek i Prawd"

Drukowane w „Dzienniku Polskim" lwowskim
w r. 1878 i odbitka 300 egzempl.
w r. 1879 Lwów. (jako honorarjum)

Testament Napoleona

Nowella.

Drukowane w lwowskim „Dzienniku Polskim" w listopadzie 1878.

i odbitka 300 exempl. - Lwów 1879. (~~jako [illegible]~~)
(jako honorarium)

Testament Napoleona.

~~z teki starego szlachcica~~

~~Nowella~~

~~odpisał autor „Płotek i Prawd"~~.

Rzecz odpisana z teki starego szlachcica przez autora „Płotek i Prawd"

Z teki starego szlachcica odpisał autor „Płotek i Prawd"

Drukowane 1878. w „Dzienniku Polskim" i odbitka 300 exempl. Lwów 1879.

1879.

1878. 24/2

Drukowane 1879.

Testament Napoleona

(: odpisał z Teki starego szlachcica autor „[illegible]" :)

P. Piotr Sarzewski, p. Seweryn Rogojewski, p. Józef Municki, p. Ignacy Onarski, p. Eustachy Zawornicki, obaj bracia pp. Trachoccy, p. Stanisław Radwan, p. Rawlikowski, p. Kazimierz Zrębicki, p. Leon Motaszewski, p. Jan Krzeptycki, p. Meliton Gryz, p. Adam Lisobrodzki: — wszyscy już pomarli.

Żyje jeszcze tylko p. Tadeusz Łęgoborski i p. Andrzej Hordża. Już tylko oni dwaj!

Z całego grona sąsiadów, przyjaciół, współbiesiadników ś. p. Napoleona, już tylko oni dwaj.

Wszyscy inni już pomarli: włożono ich do trumien, popłakano, zakopano, zasypano ziemią i już ich niema. A wkrótce i pamięć o nich zaginie. Ani wątpić!

A to przecież tak niedawno jak wszyscy razem siedzieli przy suto zastawionym stole w Korszunkowcach i kolejno pili zdrowie solenizanta wiwatowym kielichem. I wesołe żarty się sypały jakby plewa z wialni a od śmiechu aż szyby się trzęsły. To tak przecie niedawno!...

Ej, gdzie tam niedawno! Będzie zawne 4 lat z piętnaście — a to dobry kawał czasu. — Leci czas, strasznie leci szybko! Prawdziwie, że dawniej nie tak jakoś prędko leciał.

Zmiotła śmierć jednego po drugim, tego tak, tamtego siak, owego znowu inaczej — i pomarli. I tylko dwóch zostało: p. Hordża i p. Łęgoborski.

A więc jeden z nich dwóch: p. Tadeusz albo p. Andrzej! Ale który?

Kosiła śmierć i kosiła, przerzedały się szeregi i rosła szansa dla pozostałych przy życiu. Z każdym świeżym zwiększała się grobem.

Rosła i urosła. I już tylko między dwoma gra się rozgrywa.

Pan Andrzej czy pan Tadeusz? jeden z dwóch!

Ha, niedługo nam czekać, obaj starzy: rok, dwa, pięć lat – a którys z nich pierwszy się stoczy do dołu a drugi zostanie dziedzicem Korczunkowskim.

Tak postanowił ś.p. p. Napoleon w swoim testamencie i tak się stanie.

Jeden z dwóch – ale który?... Da, żeby to o samą tylko szło Korczunkówkę! Ale przyległości! Wiklinice wielkie i małe, Żórawka, Sęki, Karpiłówka! To sześć folwarków, to cały klucz! to prawie magnacki majątek!

Pan Tadeusz albo pan Andrzej...

A jeśli p. Andrzej, to po nim wiedzie jego jedynaczka. A jeśli p. Tadeusz – to pójdzie jego syn jedynak.

Panna Magdalena – albo pan Stanisław.

Pan Stanisław albo panna Dalcia.

Ot, wreszcie co? gdyby oni się pobrali – toby i im obojgu było z tem dobrze i stałoby się zadość rodowi Łęgoborskich i rodowi Hordziów. A i czemużby się to stać nie miało? Pewnie się tak stanie! Już i pewnie!

I ani p. Tadeuszowi Łęgoborskiemu nie byłaby krzywda ani p. Andrzejowi Hordzi – niechby już wtedy czy ten z nich dwóch czy drugi pierwej umarł snem wiekuistym. I jeden i drugi mógłby wtedy powiedzieć umierając: „Chwała Bogu: Korczunkowce mnie się dostały i moim!" I jeden i drugi mógłby tak powiedzieć. A p. Hordzia myślałby przytem o swej Dalci, a p. Łęgoborski o swoim Stasiku.

Dobrzeby tak było, dalipan. Nie patrzyliby wtedy na siebie z ukosa ~~[illegible]~~ starce, ani obaj jak godnie. I patrząc na siebie nie wodziliby się gdzieś tam w głębi serc:

nie przychodziłaby im wtedy ta myśl do głowy: „ty mnie śmierci życzysz a ja tobie"... Brzydka myśl! I znowu: „hej, gdyby on już raz umarł, umarłbym i ja spokojnie." I jeszcze gorzej: „hej, hej, byle on prędzej! byle on prędzej! – choćby mi narazie potem przyszło umierać!"

Ej, Hordziu? Hordziu! Niepamiętasz że ty jakeś niegdyś uratował mu życie? Ciął go dragon przez głowę na odlew a on z konia na ziemię... i byłby tam zginął marnie, ale druh mu przyleciał w pomoc i osłonił od czterech i zasłaniał własnem ciałem przyjaciela i sześć ran otrzymał sam i dotrzymał placu dopóki nasi nie nadbiegli z odsieczą. Zapomniałeś o tem Hordziu, że mu teraz śmierci życzysz, choć mu uratowałeś życie?

A i ty stary wasalu, wstydź się, wstydź! Prosto się trzymasz jeszcze i dosiadasz konia żwawo i uchowałeś młodość zachowałeś, twarz masz rumianą i w oczach młodzieńczy blask, ale ci się serce postarzało, i postarzało djabelnie! Patrzysz się z góry na tego małego zgarbionego Hordzię o żółtej, wynędzniałej twarzy, jak na nieboskie stworzenie — a gdyby nie on, czy chodziłbyś ty po świecie? No, prawda! żeś ty mu odpłacił poświęcenie poświęceniem: on ci życie uratował, a tyś mu twoje szczęście poniósł w ofierze, – wyrzekłeś się twojej Joasi boś widział że on bez niej żyć nie potrafi, choć Joasia wtedy na was obu przyjaźnie zerkała oczkiem i gdyby ją były zapytać, możeby ciebie była wybrała a nie jego. Ha! pewnie ciebie: Ty i Hordzia — wszakże to dąb wyniosły i jakaś sosna sękata, niekształtna.

Szalałeś ty za tą twoją Joasią, twarz ci gorzała płomieniem, serce młodem biło w szerokiej piersi. Ale on, Hordzia, czy on bardziej od ciebie nie szalał? Jak mur był blady a milczał jak mur. Wszak on tak przez całe życie zaciętą miał zawsze wargi i ból w sercu zamykał, choćby serce pękało. Nawet i przed tobą milczał, przed tobą, przed którym nigdy nie miewał skrytego uczucia. Nawet i przed tobą. A ty szaleńcze, ani ci przez myśl nie przeszło, ani we śnie nie postało w głowie aby ten milczący druh rozgorzał płomieniem. Przyjechałeś do niego prosto z Żywopola od Joasi i jeszcze nie wyprzągł koni a tyście się ściskali serdecznym uściskiem na ganku i porwałeś go szalejący z radości w ramiona i w górę podniosłeś: „Andrzeju! Andrusiu! wszystko będzie dobrze!" — Co ci stało? pytał Andrzej a serce mu niemówiło co, i spokojnie

pytał. „Andrusio! i Matka mi sprzyja i córka mi sprzyja, wszystko będzie dobrze!" — Gdzie? kto? — „W Żywopolu!" — A Andrzej zachwiał się na nogach i szeroko mu się źrenice otwarły i coś strasznego z nich wyjrzało na Ciebie — oh, nie jego oczy, nie! I zbladł i za ~~gardło~~ piersi się chwycił i za gardło jakby duszę chwiał i wstrząsł tobą i zgrzytał zębami — i nic. Ani słowa z ust! — tylko mu się zaprzeniły wargi jak wściekłemu zwierzęciu i puścił cię i nie rzekł nic tylko się oparł o ścianę ~~[illegible]~~ Spojrzałeś na niego, zrozumiałeś wszystko! Skoczyłeś na bryczkę i „jedź, jedź! co koń wyskoczy!"... Ujechałeś mil dziesięć do wieczora i dwanaście nazajutrz i trzeciego dnia jechałeś pół ~~koniom~~ starczyło sił i nóg. I sprzedałeś konie i bryczkę i jechałeś dalej najętemi aż gdzieś na krańce świata i okrętem za morze. Dwa lata cię nie było w domu i nikt nie wiedział gdzie cię podziewasz i wróciłeś po dwu latach a Joasia była już panią Hordziną.

Kamień spadł ci z serca... Ale serce było ciężkie jak kamień. — Nie pojechałeś do Hordzyńca: jakżebyś Ty mógł był tam pojechać! (aby bratnie dłoń ściskać) Ten nie przyjechał do Ciebie na wieść o twoim powrocie. On się bał serce ci rozkrwawić rozpromienioną szczęściem twarzą. Nie pojechał. Nie widzieliście się tak przez parę miesięcy, aż was sprowadziły razem do Korczunkówki imieniny pana Napoleona.

Hej, hej, panie Hordzio, panie Łęgowski! pamiętacie wy tę chwilę, to wasze powitanie? Gdzieżbyście mogli zapomnieć! Nie moglibyście chciećbyście chcieli. Nie moglibyście.

Rzuciliście się sobie w ramiona i rozpłakaliście się obaj wgłos — jak dzieci — jak baby.

I nic więcej. I na tem koniec. I nigdy już o tem nie mówiliście ze sobą.

I rok minął i dwa a nie pojechał przecie p. Tadeusz do Hordzyńca. ~~[illegible]~~ Był u niego w Stadłowie kilka razy p. Andrzej i serdecznie obaj byli sobie radzi — i gawęda ciągnęła się bez końca i wesołości nawet dawna wracała niby chwilami na zasępione ~~[illegible]~~ czoło gospodarza, ale o tem tylko mówili co było a ani jeden ani drugi nie dotknęli w rozmowie tego co jest i tego co będzie. Przeszłość ich łączyła nierozerwalnym węzłem, — teraźniejszość była między niemi przepaścią a przyszłość okiem nie widziała.

Jeździł tak, jeździł i raz i drugi i dzierżawy p. Andrzej do Stadłowa i zawsze tak samo.

Ale nie pojechał p. Tadeusz ani razu do Hordzyńca. Aż wreszcie zapytał go raz p. Andrzej:
— Jak ci tam bracie wdzięczy? Czy do Hordzyńca nie możesz

jeszcze przyjechać?

Zmarszczył czoło p. Tadeusz. I wzdłuż bruzdy mu się porobiły i potem w poprzek i znowu wzdłuż.

— Nie, Andrusiu, jeszcze nie.

A chart ulubiony, Dunaj, łasił mu się właśnie u nóg i skoczył na piersi.

— Pójdziesz Dunaj! — wrzasnął zniecierpliwiony i kopnął psa obcasem. Harap zdjął ze ściany i ciężkich kilka razów spadło na ulubieńca, zdziwionego takiem obejściem jakiego nigdy jeszcze nie doznał.

Lżej się jakoś zrobiło p. Tadeuszowi po tej egzekucji. Tak mu było jakby własne serce zatwardział i zmusił do posłuchu jak psa.

Andrzej patrzał na to i rozumiał. Dociekliwym smutkiem zmroczyły mu się wyraziste rysy. (I patrzał i głową kiwał.) Spojrzał na niego i p. Tadeusz. Zbliżył się szybko, ręce położył mu na ramionach i zawołał go wesoło:

— Jak będziesz miał pierwszego syna, wtedy mnie zaproś w kumy!

I jakby się zbudził pewny potężnych wyrażeń wzruszenia, co prędzej wyskoczył z izby i począł dawać czeladzi gorące dyspozycje: krzyczał, komenderował, jakby mu się gumna paliły. A jemu się tak wesoło paliło czy wygłowie. No, dobrze. Ale w Hordzyńcu jak nie było dzieci tak nie było i niema. (Przyjedzie jak syn się Andrzejowi urodzi. Dobrze.)

I po dwóch latach stało się inaczej niż układali obydwa: — nie p. Tadeusz do p. Andrzeja w kumy pojechał ale p. Andrzej do Stadłowa. — Z polowania na polowanie zaciągnęli kiedyś pana Tadeusza aż w Poczarskie i poznali z poczciwem dziewczęciem i dziewczę się zakochało w ślicznym chłopcu a jak się chłopiec o tem dowiedział — to się i ożenił. Żonatemu to już raźniej było, przyjechać do Hordzyńca.

A ile razy dowiedział się p. Tadeusz że pani Andrzejowa wyjechała z domu gdzieś do matki albo do siostry, to już pewno jechał on wtedy do Hordzyńca.

Ale pani Joanny nie widział. Ani razu jej nie widział.

I trzy lata po urodzeniu się Stasia Stadłowskiego powiła pani Hordzyna nareszcie córkę. Wielka była radość w Hordzyńcu ale i obawa wielka: i matka była bardzo chora i dziecię. I posłał p. Andrzej umyślnego na koniu do Stadłowa: „Obiecałeś mi trzymać do chrztu syna, to trzymajże mi choć córkę. Dziecko bardzo słabe — nie zwlekaj — chrzest dzisiaj.”

Przyjechał p. Tadeusz i po dokonanej ceremonji, zaniósł pannę Magdalenę matce do łoża... Niewolno jej było mówić - wyciągnęła tylko rękę ku niemu, on ~~rękę~~ podaną rękę uchwycił skwapliwie, podniósł do ust i ucałował. „Niech się chowa na pociechę!" Spojrzał raz jeszcze na chorą, na tę twarz bladą a uśmiechniętą tak słodko, spojrzał w te jej oczy bure ~~[illegible]~~ promieniejące macierzyńską radością - i poszedł i już jej więcej nie widział. - Trwało to życie jeszcze, trwało ze trzy lata - ale nie wstała już biedna Hordzyna z łoża - i zgasła.

Hej, hej, panie Hordzio! panie Łęgoborski! pamiętacie wy tę chwilę na hordzynieckim cmentarzu, gdy się na trumnę Joasi grudki ziemi sypały?... jedna, druga i kilka naraz i kilkanaście i potem zadudniało jak werbel pokrytego kirem bębna... i już ani trumny nie widać... Jeszcze zabłysnął krzyż na niej złocisty... jeszcze szmat białej atłasowej kapy... i już nic... nic...

A potem wróciliście obaj do Hordzyńca... Pamiętacie wy jakeście wrócili do dworu? pamiętacie jak wam było razem? Śmierć ukochanej zmiotła ressentyment wszelki. I było wam tak, jakby ~~się~~ wam z tej trumny wyrosła znowu i znowu zakwitła młodociana przyjaźń wasza w całej pełni, z całą wonią dawno ubiegłych lat i z kielichem pełnym rosy serdecznej... A ta rosa to łzy.

I odtąd nie było już tygodnia w którymby nie spędził ~~[illegible]~~ dwóch dni jednego Hordzio w Szadłowie albo Łęgoborski w Hordzyńcu. - A Łęgoborski do zawsze z synem przyjeżdżał a Hordzio z małą córką.

I bawiły się dzieciaki ze sobą jak brat z siostrą. I bawiły się dzieciaki i kochały się i całowały.

Z pięć lat było tego kochania - ~~[illegible]~~ ~~[illegible] Łęgoborska~~ i mówił nieraz Hordzio do Łęgoborskiego: wiem co Tadeusza, oni się kiedyś pobiorą. - Daj Boże Andrusiu, daj Boże! i brał p. Tadeusz małą Dalusię na kolana i całował i pieścił... I całował jej bure oczęta i zamyślał się. I jej włosy czarne lśniące odgarniał jej od czoła - i zamyślał się. Takie same miała jej matka.

A p. Andrzej gładził Stasia po twarzy i z lubością patrzał w te jego siwe jasne oczy. I uśmiechał się i mówił: „jakiż on do Ciebie podobny! wykapany ojciec!" I dał mu drewnianą szabelkę i uczył go robić młynka — dosiebnie — odsiebnie — i krzyżową sztukę i referendarskim cięciem.

„Moja żona" — mówił Staś, ile razy była mowa o małej Dalci.

— Głupstwo robicie! — strofował obu ojców bliski ich sąsiad, p. Meliton Grycz, — głupstwo! Kolderka! (: było to jego przysłowie:) Jeśli chcecie aby się kiedyś pobrali, nietrzeba im tego mówić zawczasu, bo zaraz jak to dorośnie to się odwróci od siebie jak amen w pacierzu! Kolderka! Młodzi nielubią przymusu ani zobowiązań. Powiedzcie im owszem: wara! to on powie ach! a ona och! i będą gonić za sobą jak zagonione koty...

A pani Tadeuszowa uśmiechnęła się na to jakoś kwaśno. Jej nie po myśli były te projekta. Ona dla swego Stasia świetniejszą wymarzyła przyszłość. Stadków to wieś co się zowie a i jej majątek (wart nadwarta ze sto tysięcy. A Hordzów — to maleństwo o trzystu morgach. I jakie to te trzysta morgów — pożal się Boże! Żyto liche się rodzi i nic więcej tylko owsy i owsy. A jaka hipoteka obciążona! — Szkoda Stasia dla takiej Hordżanki!

Ale Staś już dwanaście lat kończy na świętego Jana — i dostał jechać do miasta. Przyjechali obaj ojcowie: jeden odwiózł syna, drugi przywiózł dla córki guwernantkę. Hej, hej, przy gramatyce łacińskiej zapomni Staś o Dali. A jak zacznie wybębniać gamy na klawikordzie, zapomni Dalia o Stasiu.

I przyjechał Staś na wakacje i Małej już swej nie zastał. — Zawiózł go Ojciec do Hordzyna i uczynił się [illegible] i dziewczę się uczyniło ich rodzonym bratem. Chciał się Staś jak dawniej objąć w ramiona i pocałować — ale dziewczę usunęło się sztywnie i zarumieniło się po uszka i oczęta bure spuściło ku ziemi. Taka to nauka tych guwernantek!

Zdziwił się Staś i zmięszał jakby kto zimną nagle obryzgał go wodą. Zesztywniał i zlodowaciał i już sam nie wie jaką nastroić minę wobec tej dorosłej panny.

Zażenowana panna, zażenowany kawaler — i

niewiedzą o czem by z sobą mówić i tak im razem jakoś dziwnie, opornie, nieswobodnie. Siedzą razem jak na szpilkach. Jednoby czem prędzej wyrwać się rade z tego przymusu i drugie: nudno im, strasznie nudno im razem. Gdyby ich samych zostawić z godzinkę, kto wie, zmieniłoby się to może? Ale nie, nie, będzie na to czas jeszcze. Niech się przyzwyczają do siebie jak siostra do brata, znajdą oni z sobą kiedyś przedmiot rozmowy co ich nigdy nie znudzi... aj, toż to będzie odkrycie!... Aj, toż to będzie odkrycie!

Patrzą na nich starzy i uśmiechają się do siebie i mrugają oczyma znacząco. Obydwom przypomina się rada poczciwego sąsiada, p. Melitona:

... Ale otóż i on. Wszak to jego staranty! On. Pan Meliton Grycz we własnej osobie. Będzie partyjka, będzie tarocsik.

— No? cóż ci się to stało sąsiedzie? cóż tak kiwasz ręką? czy jaka zła wiadomość?

— Korderka! jeszcze zła.

— Gadaj, gadaj!

— Cóż dziwnego? Ubył znowu jeden z szestnastu...

— Tam do niego! kto taki?

— Onarski. A mówiłem mu, mówiłem: nie pij ty tej twojej „czarnej gorącej" po obiedzie, przynajmniej takiego wszystka nie pij — boć kiedyś przyjdzie odpokutować! A on się śmiał. „Gadaj zdrów! co warte życie bez kawy! co warta kawa zimna!" Nan teraz gorącą kawę. Wypił, zapalił fajkę, pyknął dwa razy, pyk=pyk! i już go nie ma. Nadjechał właśnie młody Żrebicki jak go trzeźwili, chciał mu krew puścić ba, ba! korderka! ani kropelka nie pociekła.

— Jakbym przeczuł! świat mi się wywraca — rzekł kordża smutnie i westchnął.

— Taki tęgi chłop!... zawołał p. Tadeusz z żalem. A mego wzrostu był, mojej komplekcji....

— No, ale baryła, takich najłatwiej apopleksja ~~zmiata~~... A jakie on zęby miał! korderka takie zęby! stary osiołek, a orzechy gryzł jak ~~studencik~~.

— Tak jak ja, tak jak ja! — przerwał p. Tadeusz — Ja czuję że ja tak samo kiedyś skończę. Nieraz, niech się tylko zirytuję, wściekę, zgniewam, choćby na psa, a krew mi zaraz buch = buch! do głowy — aż mi się w oczach ćmi. Oj, starzeję się, ~~Dziadek~~ Tam do niego!

kadurnie się starzeję!

— Tadziu, Tadziu! co tobie mówić o starości, — przerwał mu Hordia z gorzkim uśmiechem. — Tyś ~~taki młody~~ jak dąb silny i zdrów. Ale ja! popatrz na mnie: wnet ja już prawie siwy i chylę się, z każdym rokiem chylę się ku ziemi... Przedwczesna starość, ale starość... a tem gorzej że przedwczesna!

— Fe, fe, panie Andrzeju! kolderka! Co wam obu gadać o chorobie! Ja, mości dobrodzieju gdybym morrysona nie zażywał, to jużbym dawno był naszym kwatermistrzem na tamtym świecie. Morryson to cały sekret! I tybyś panie Andrzeju powinien wziąść się do Morrysona, — blady jesteś blady, a cera żółta, krwi w tobie mało, mało krwi! Na to tylko morryson poradzi.... A ty panie Tadeuszu, masz jej znowu za wiele: ej, bierz się do Morrysona, powiadam! Kolderka, bierz się do Morrysona..

Zaśmiali się obaj pacyenci z tej rady, [szczerym śmiechem p. Tadeusz, zgryźliwie zachichotał p. Andrzej.]

— No, śmiejcie się, śmiejcie, a ~~[illegible]~~ nieboszczyk Onarski gdyby był rady mojej słuchał i Morrysona zażywał, toby był nas wszystkich przeżył ... ~~[illegible]~~ nietylko nas trzech, ale całą naszą napoleońską szesnastkę, i panna Renata byłaby miała dziedzictwo Korczunkowce...

— A ileż to nas jeszcze zostało z tej szesnastki?

— Ile? Już nas tylko jedenastu!

— Tam do niego! niemoże być! — zawołał p. Tadeusz

— Niemoże być? kolderka! a no, porachuj! Najprzód Piotr, potem obaj Trzcińscy, potem Mołaszewski ... no, i Onarski: pięciu!

— Tam do niego! pięć lat od jego śmierci i pięciu już poszło za nim...

A ~~Hordia~~ się zadumał:

— Ha, wiecie co, to już fatum takie: pięć lat i pięciu braknie, w szesnastym roku umrze ~~ostatni~~ szesnasty...

— Eh, cóż znowu! [kolderka!] Seweryn, Adam, to młodzi ludzie pożyją oni dłużej jeszcze jak jedenaście lat. A Tadeusz, [stary ale jary] hoho, on i setki dożyje! kolderka! Daj mu panie Boże!... No, a my? [kolderka] Przecież i nam się jeszcze coś więcej należy na świecie jak jedynaście lat...

— Zobaczymy że tak będzie!.. A zważcie no jeszcze jak się to dziwnie składa: na owych ostatnich imieninach u Napoleona, pierwszy

przyjechał pewnie Saszewski... no, bo to już jego zwyczaj był taki że zawsze i wszędzie przyjeżdżał najpierwszy... do niego

— Prawda, prawda, Kołderka! jak na mszę przyjechał, to zawsze zastawał kościół jeszcze zamknięty i proboszcza budził...

— A na obiad przyjeżdżał dawniej do Stadłowa o dziewiątej!

— Widzicie! otóż on pewnie najpierwszy przyjechał do Napoleona – i on też najpierwszy umarł...

— No, to i cóż stąd?

— A po nim, uważajcie tylko, a po nim już pewnie pierwsi przyjechali Trachowcy, bo im do Korczunkowic najbliżej... razem przyjechali i razem umarli na cholerę...

— E, bredzisz, bredzisz Andrzeju! któżby tam w takie wróżby wierzył!..

— Słuchajcie tylko: kto mógł przyjechać po Trachowcach? Komu najbliżej do Korczunkowic? Matuszewskiemu! To i on już nie żyje... A po nim najbliżej był Ożarskiemu.... no, powiedzcie sami...

— Bredzisz! bredzisz! – przerywał mu p. Tadeusz naprożno. P. Meliton wzruszał ramionami. Hordża nie dał się sprowadzić z tropu:

— A po Ożarskim... to pewnie ja przyjechałem... Niepamiętam – ale pewnie ja!... ~~[illegible]~~...

— Co znowu! co znowu!

— Teraz na mnie kolej! – dodał złowróżbnym tonem Hordża.

— Tam do niego! banialuki! jeszcze czego! — obruszał się p. Tadeusz.

— Obaczysz... obaczysz! — ~~[illegible]~~ szepnął ponuro p. Andrzej.

— Kołderka! otóż nie! – zawołał śmiejąc się wesoło p. Meliton. – Doskonale! przypomniałem sobie! Ty Hordża przyjechałeś wtedy ostatni...

— Jak to ja? – zapytał z dziwnym jakimś wyrazem niedowierzania ~~[illegible]~~ p. Andrzej. – Jakżeby to mogło być!

— Otóż ty! Czy nie pamiętasz jakim ty wtedy zaprzęgiem zajechałeś do Korczunkowic? Nie pamiętasz że ci koń w drodze zakulał i przyprzęgłeś jakieś żydowskie chabety?... Ty, ty, przyjechałeś ostatni... już żeśmy mieli siadać do stołu...

— Prawda! prawda! – przypomniał sobie p. Andrzej. Szczególniejsza radość przebijała w jego głosie.

— Tak, tak! ty! Kolderka!... Ty nas przeżyjesz wszystkich i Korczunkowce ty odziedziczysz... Panna Magdusia będzie wielką panią...

Zadumał się pan Andrzej i (uśmiechał się i milczał i) słuchał tak, jakby mu święta jaka wróżyła wyrocznia... Dziwnie przesądni są ludzie jego temperamentu i usposobienia. (Ci ludzie z zacieśnionemi ustami, z oczyma zapatrzonemi, zapatrzonemi gdzieś w przestrzeń, dziwni to ludzie!) Za młodu dziwni, dziwniejsi na starość... Oj, prawda to, prawda! ...zdawiela w sobie zamknięty, tem potężniej włada jego myślami zaklęta jakaś w głębi jego serca wróżka... Czaruje go ona i pęta niewidzialnemi więzy. Świat mu stwarza osobny, świat złudy i omamienia, tęczowy zamek czarodziejski buduje mu z mrzonek i urojeń to różanych to czarnych, wedle stanu jego zdrowia i doli życia. Słucha on jej głosu i zwie go przeczuciem. Dogmatem staje się wtedy niedowiarkowi zarazem przesądny ludu prostego zabobon, mistyczny ducha nastrój w coraz głębszym pogrąża go fatalizmie, trzeźwość sądu niknie wobec wiary w nieubłaganość wyroków przeznaczenia...

A starość — dziwna to choroba! Wszystkie serce. A one żar [illegible] — jak [illegible] wzmacnia [illegible], od dymu [illegible] dusi się i dusi i [illegible] i wszystko zapada się w popiół. Z żaru wrzą, zwiędłe popiół, z [illegible], [illegible] życia [illegible].

Takim był p. Andrzej.

Wątłe od urodzenia zdrowie podżegało ten chorobliwy kierunek i skłonność umysłu. Kilkoletnia choroba nieboszczki żony którą tak gorąco kochał, śmierć jej wczesna a przytem nieustanne kłopoty majątkowe — wszystko to podniecało go do szukania pociechy i ukojenia w tym zabójczym nastroju... Wzmagała się nieporadność w praktycznem życiu, dziwaczały nałogi, uczucia, tężał szczery sąd o ludziach, uprzedzenie w każdej sprawie niewzruszalnym stawało się przekonaniem.

Co rok to głębiej grzązł — zapadał — wrzał się w tej ducha otchłani p. Andrzej jak zbłąkany wędrowiec w leśnem trzęsawisku...

Tak zbliżała się starość...

— Ja ostatni... ja ostatni!... Jedenaście lat jeszcze!... Jedenaście lat!... szeptał sam do siebie. A twarz miał taką jak więzień obdarowany życiem w dniu w którym miał dać gardło, jak skąpiec któremu do niepełnego worka dorzucił ktoś pełną garść złota.

W sobie wpatrzony a z tym uśmiechem dziwnym na pooranej zmarszczkami wynędzniałej twarzy — brzydki był...

Spojrzał na niego p. Tadeusz i wzruszył ramionami. I zaraz (obłoczyła mu się twarz i czoło!) spojrzał raz jeszcze i niecierpliwym krokiem zaczął chodzić po izbie. Jeszcze takim nie widział nigdy druha młodości swojej. Nie miło mu było widzieć go takim. On w sobie czuł jeszcze życie bijące tętnem jak za młodu — a ten druh jego już tak się postarzał — już taki stary ciałem i duchem.

Nabił p. Tadeusz fajkę, nadkruszył kawałek czyru i zapalił. — A p. Meliton tymczasem ze znanej mu szuflady wyciągnął

tarokową talię i p. Gryzea sposobił.

Hordzia jak utonął w zadumie tak duma i uśmiecha się sam do siebie.

Ej, Hordzia, Hordzia! gdyby kto ci był wczoraj za młodu powiedział, wówczas zawieruchy wojennej, wśród gradu kul, wówczas niezapomnianej szarży na armaty, gdyby kto ci był wtedy powiedział jakim ty będziesz na starość, jak chciwie łaknąć będziesz życia, ty, coś niem tak szafował ochoczo... czybyś ty był mu wierzył? a gdybyś uwierzył, czy nie wolałbyś był zginąć?

— O czem myślisz Andrzeju? — zapytał p. Tadeusz

Ocknął się ze swej zadumy p. Andrzej i miał już na ustach prawie słowo odpowiedzi, może: „już ostatni"... może: „jedynaście lat"... ale niedomówione skonało na języku

— Nic... nic...

— Kiedyż pognał Ignacego? — zapytał p. Tadeusz p. Gryzea.

— Pojutrze. Wy pojedziecie?

— Pojedziemy we czwartek. A stamtąd chyba już wprost na imieniny do Korzeniowskiej?

— Prawda! to już 15 Sierpnia pojutrze.

I zasiedli do gry.

A no, i grali.

I dwa razy raz po raz dostał się Pagat=Ultimo panu Andrzejowi. I miał to p. Andrzej za dobrą wróżbę dla siebie. Miał to za potwierdzenie dobrej wróżby.

A młoda para oswoiła się tymczasem już nieco z sobą i lody zaczęły pękać. Hej, hej, na wiosnę prędko lody pękają.

On miał lat trzynaście. Ona kończyła rok dziewiąty. Ale ona mówiła do niego: panie Stanisławie. A on do niej mówił: panno Magdaleno. Ale pomimo tej etykiety lody już pękały.

I od słowa do słowa, od zwierzenia do zwierzenia, ona mu wyznała że nie cierpi francuszczyzny. A on jej wyznał że Cornelius Nepos nieznośny.

Zaufanie za zaufanie. I on jej wyznał że profesor matematyki jest pedant jakiego świat nie widział. A ona mu wyznała że panna Dygaszewska czasem taka mądra jak lukrecja.

I wyznała mu dalej że dla ojca haftuje w sekrecie pantofle. A on jej wyznał że był w mieście dwa razy w teatrze i taką teraz

pisze komedję jak Fredro. Będzie w tej komedji polowanie a bohater zastrzeli na scenie niedźwiedzia.

Ona bardzo lubi ~~komedję~~ teatr i grywa równe ~~[struck]~~ komedje z Zuzią Lisobrodzką i jej braćmi, kiedy ją ojciec do Strumiłki zawiezie. Nigdzie się tak nie bawi jak w Strumiłce. Opowiada mu jak odgrywa rolę starej klucznicy w niebieskich okularach. (Zuzinej ciotki, a te okulary to okulary) i doprowadza wszystkich do śmiechu.

A on jej opowiada co tam będzie więcej w tej komedji i dodaje że gdy ją dokończy, to na przyszłe wakacje będą ją grali. Uprosi ojca aby go także zawiózł do Strumiłki kiedy ona tam będzie. Będą grali tę komedję u Lisobrodzkich.

Ale ona mu na to, że nic z tego projektu, ~~[struck]~~, bo na przyszłe wakacje ona już nie będzie w Hordyńcu: Ojciec zawiezie ją daleko, do jej Babki daleko bardzo, aż do Krakowa. U Babki ma pozostać aż do ukończenia edukacji. Zuzię także do Krakowa ~~[struck]~~ odwiezie pani Lisobrodzka na jesień.

— A mnie ojciec obiecał że mnie kiedyś w Poznańskie zawiezie ~~[struck]~~ do Wuja Tytusa, to pojedziemy przez Kraków a ja wtedy przyjdę do panny Magdaleny z wizytą...

— Kiedy (panny wizyt nie przyjmują, ~~[struck]~~ panna Cyganeczka mówiła że)

— Dlaczego? — zapytał Staś.

— Ja nie wiem dlaczego. Nie wypada...

— To się przyjdę wykraść...

Ale panna Cyganeczka zjawiła się w tej chwili ~~[struck]~~ ze słowami młodej pary i wezwała na podwieczorek.

A po podwieczorku ~~[struck]~~. stały już bryczki przed dworkiem i p. Łęgoborski zawołał:

— No Stasiu, zbieraj się! jedziemy!

Chciał ~~[struck]~~ zatrzymać p. Hordyń — ale Łęgoborski spieszył się do domu.

— Obaczym się pojutrze na pogrzebie Ignacego.

— Dobrze — na pogrzebie! — A stamtąd pojedziemy wprost do Korczunkowic

— Wprost do Korczunkowic.

I pojechał.

A p. Hordyń śnił się tej nocy że ~~[struck]~~ jest Tarahoryszem Pazgatem i że ostatniego lewa przybije. Ultimo! zawołał przez sen.

Pamiętał też sen [illegible] i brał go za dobrą wróżbę.

A pojutrze pojechał na pogrzeb Ignacego a stamtąd wprost do Korczunkowic — na imieniny.

Dziwne też to były te coroczne pośmiertne imieniny nieboszczyka Napoleona!

Ha, zjeżdżali się zgodnie jak za jego życia. I zasiadali w koło stołu do sutej biesiady jak za jego życia. I krążył wiwatowy kielich — jak za jego życia.

Tylko nie zdrowie jego pito, ale cześć jego pamięci.

A zresztą było tak wszystko jak za jego życia.

Taka była jego wola ostatnia, taki jego testament i tak się działo.

I witał gości w progu stary Błażej (kamerdyner nieboszczyka, gładko ogolony), z serwetą na ramieniu, w białej chustce na szyi grubo nawiązanej i w granatowym fraku z mosiężnemi guzikami.

Tak co roku, co roku w ten dzień. Tylko co roku siwiała mu bardziej gęsta kędzierzawa czupryna, (siwiały) gęste brwi krzaczyste i coraz bujniejsza rozrastały się wegetacją zwisającą długich włosów. Niby coś jak gałązki brzozy płaczącej zwieszone nad modrą sadzawką źrenicy. Złe porównanie. Ale i zmarszczków przybywało na chudej, kościstej twarzy Błażeja, o przybywało! I w dzień solenny co roku każdy z gości wysiadając przed gankiem z bryczki z pomocą Błażeja, witał się z nim jako z starym dobrym znajomym po roku niewidzenia i dostrzegał że sporo przybyło mu na twarzy bruzd nowych i fałdów. Hej, czas, czas! oracz to nad oracze! Orze, orze coraz głębiej i głębiej, aż i całą dobędzie i wyorze grób.

— Postarzałeś się Błażeju!

— Postarzałem wielmożny panie! — odpowiadał kołysząc głową w tył i naprzód Błażej i wzdychał.

I dodał w pierwszym roku po śmierci swego pana:

— Hej, hej, wielmożny panie, już i naszego pana Parzewskiego nie ma, dobry to był pan! Świeć panie jego duszy!

A w drugim roku dodał:

— Nie ma już naszych panów Trachockich! (Oj, dobrzy to panowie byli, dobrzy!) Daj im panie Boże królestwo niebieskie!

A w czwartym tak samo powiedział o panu Leonie Mołaszewskim.

A o panu Ignacym Baraskim powie tak pewnie w tym roku piątym! Hej, hej!

I kto z gości imieninowych przybył do Korczunkowieckiego dworu i wtłoczył do dłoni staremu czerwieńca i to samo co roku spotkał go przywitanie, nekrolog na przywitanie... no! to już każdy sobie pomyślał: ubył znów jeden z naszych; na przyszły rok, kto wie, stary kruk może o mnie tak powie jak o nim:

— Niema go, dobre to było panisko, świeć panie jego duszy!...

A w jadalnej sali zesunięte razem w podkowę trzy stoły (pokarbowanym misternie kredencerską sztuką) białym nakryte obrusem i zastawa na stołach ta sama, jak za życia nieboszczyka, i kwiaty w tych samych japońskich wazonach, i wszystko jak za życia nieboszczyka. I także same dwie piramidy kolorowe z kruchego ciasta zlewianego karmelem. I ten sam trójnóg bronzowy w pośrodku z czarną murzynką trzymającą na głowie dużą kryształową banię pełną pomarańcz z Korczunkowieckiej szklarni i z ananasem u góry.

I otoczone rzędem butelki na srebrnych przewodach aby plamić nie waliły obrusa i cały pluton kieliszków i duży wiwatowy kielich przed miejscem p. Eustachego, który jako najstarszy wiekiem i powagą, wnosił zawsze gospodarza zdrowie.

Wszystko jak za życia jego.

A siedemnaście do koła stołu krzeseł, siedemnaście nakryć na stole — tak jak było wtedy kiedy sam gości przyjmował.

Pięć lat od jego śmierci, pięć lat od otworzenia testamentu i wszystko się tak dzieje jak się działo za jego życia. I w dzień jego imienin 15go Sierpnia zjeżdżają się sąsiedzi tak jak tego sobie życzył w testamencie. Wszystko tak jak chciał.

Ale coraz gości tych ubywa, coraz zmniejsza się ich liczba aż kiedyś przybędzie już tylko ostatni — sam jeden i stanie się dziedzicem Korczunkówki i Wiklinice wielkich i małych i Żórawki i Sęków i Karpiłowa.

Jak chciał ś.p. Napoleon i tak postanowił w swoim testamencie. I tak się też stanie.

A ktoby przez trzy lata rzędu zaniedbał przyjechać do nieboszczyka na jego imieniny, w dzień Stego Napoleona, d. 15 Sierpnia to ten traci już prawo do spadku.

Ale nikt nie opuszcza dnia tego — tylko ci co pomarli.

Pięć lat upłynęło od jego śmierci i ojciec już brakuje. I pięć ich zostaje a szóste gospodarza daremnie ostatniej ustawia na stole, nieszczęścia szóstego krzesło i czarną pokrytych krepą.

Smutna to biesiada z umarłymi i z tym wiwatowym kieliszkiem (przewiązanym) szerokiem z czarnej krepy ~~fantazyjną~~ kokardą!

Jakotako było w pierwszym roku, jakotako w drugim. Ale odtąd co roku to smutniej, co roku to smutniej.

Co roku smutniej. A p. Grzegorz Rawlikowski, człowiek jowialny i facecjonista, który bywało ich głos zabiera, jak słowo rzuci, jak gestem sprezentuje Kreishauptmana niemca, to wszyscy kładą się od śmiechu i ~~p. A~~ nieboszczyk Onarski za brzuch się chwyta a p. Tadeusz Łęgoborski jak bóbr się sapnie ... p. Grzegorz dziś jak mruk siedzi i czoło ~~ściągnął na nitkę~~ pofałdował i ściągnął jak worek na nitkę, i w talerz patrzy wprost przed siebie i tylko wąsami rusza.

A p. Źrebicki, hej, p. Źrebicki, jak on się to śmiał dawniej! Jak huknął swoim basem, to aż szyby się trzęsły a wszystkich przygłuszył. ~~Tak się~~ Choć wszyscy się śmiali to tak się zdawało że on sam się śmieje. A dzisiaj siedzi między dwoma pustemi krzesłami — po ~~[illegible]~~ prawej ręce miewał obok siebie ~~[illegible]~~ Onarskiego, po lewej siadał koło niego starszy Trachocki — a obu ich już niema. I tak dziś ciężko panu Kaźmierzowi że ani się uśmiechnie i tylko spogląda od czasu do czasu zezem to na puste krzesło po prawej, to na puste krzesło po lewej. I tak mu jest jakby przez niego śmierć przechodziła.

A p. Radwan, który jadł za trzech, pił za trzech — i nie je i nie pije, ino wzdycha ciężko jakby miech kowalski i wąsy sobie ociera.

A p. Seweryn Rogojewski — no, ten bo znowu nigdy nie jadł, chudy jak szczypa, to i teraz więcej swoim zwyczajem. Ależ gadał on gadał dawniej jak koło młyńskie, ~~[illegible]~~ usta mu się nie zamykały, język nie spoczął na chwilę, terkotał jak zepsuta młocarnia a bez przestanku, bez pauzy i bez komy, a prędko a niewyraźnie jakby miał kluski w gębie. A rękoma długiemi ~~chudemi~~ gestykulował i wywijał niemi w powietrzu jakby skrzydłami wiatraka. A dziś to i on jak mruk. Gałki tylko z chleba kręci chudemi głowa kiwa w ciemnym pytaniem myślom. ~~[illegible]~~ palcami i w zębach dłubie piórkiem i ~~[illegible]~~ ustami jakby chciał co mówić ~~[illegible]~~ i nic nie powie. Czasami tylko językiem i odchrząknie potem i winem popije.

~~A p. Źrebicki Grzegorz, zadumał się i milczy~~

No, i tak wszyscy.

A p. Józef Municki nie docina już ciężkim swoim głosem p. Mołaszewskiego [illegible] pani Lisobrodzka na Prima Aprilis dała wronę na piecyku, nie docina mu, że gdy z nim spał w jednym pokoju, to usłyszał jak w nocy wrona mu w brzuchu krakała. Jak mu ma przymawiać, kiedy p. Mołaszewski już nie żyje. Kracze wrona ale na jego grobie.

A p. Jan Krzeptycki nie przysięga się już gospodarzowi, że jak jeszcze jeden kieliszek wina wychyli, to rozbije tę głowę Woltera szatańskim uśmiechem strzęcą na biurku, bo jej znieść nie może. Kieliszek po kieliszku wychyla (jakby chciał zalać co wszem a gdy na Woltera spogląda czasem, to mu się zdaje dogorzał p. Jan że ten biust jego przyprószony prochem, co roku z wieku na to zasiedzi tak spogląda ironią. Tak mu się zdaje na prawdę.

A młodszy Trachocki z Lęgoborskim się nie spiera że go myszy zjedzą bo kotów nie lubi a ani jednego kota nie ma w Stadłowie. Jego to myszy jedzą, jego, do wszystkich z plugawem robactwem. Ha, może go już i zjadły.

A Trachocki starszy, stary kawaler, nie zapewnia Onarskiego, że jak jego Renatka dorośnie to przyjedzie w konkury. Kostunia od trzech lat już obiera go w ramiona i już nigdy go nie puści — a i żona Onarska [illegible] od trzech dni sierotę.

I mówiąc wreszcie p. Lisobrodzki:

— Hej, panie Eustachy, już nas! — rzekł Lisobrodzki ponuro i podsunął wiwatowy kieliszek p. Zawornickiemu.

Napełnił go p. Zawornicki po brzegi i wstał:

— Cześć panience solenizantce! — zaintonował poważnie takim głosem jakby mówił: Requiescat in pace!

I podniósł kieliszek w górę, ku pustemu obracając się miejscu gdzie siadał gospodarz, i poniósł kieliszek do ust i przechylił i wychylił do kropli. Otarł brzegi serwetą i podał p. Źrebickiemu. A nim pić zaczął, powinien był powiedzieć: Wreszcie twoje Źrebicki! A nie powiedział tego p. Eustachy choć to stary wyga i doświadczony w tych rzeczach, że pierwszyna to mu przecie pić kolejkę z wiwatowego kieliszka — i wie co się komu należy i co zwyczaj każe — a jednak nie powiedział.

Przyjął kieliszek Źrebicki a Stasiej już stał za nim i wino nalewał, ale brzydko się jakoś spojrzał pan Karmien na żona

*) Tylko zadrwić sobie albo zgryźnie się na talerzu. Cicho jak w kamedulskim refektarzu — a to przecie wieka [illegible] imieniny [illegible]

A p. Melchior Grzyb lubi przecież mówić i koncepty ma wyborne, a milczy teraz i ani się odezwie i powtarzać [illegible] spoglądać [illegible] a na kogo [illegible]

Eustachego i choć mu nie mówił to w głębi duszy za złą to sobie miał wróżbę, że poprzednik nie pił w jego ręce, tak jakby go już nie było w gronie biesiadników. Ot, co się tam temu dziwić (co to długo gadać:) stary bał się śmierci i kwita — (jak każdy stary, choć udaje zucha. Umierać mu się nie chciało, zwyczajnie jak staremu, boć się bał złych wróżb. Bo jak na starem drzewie mech zawsze porasta i huby, tak na starym człowieku porastają przesądy. A Hordzia na przykład, czy nie taki sam jak Żrebiński? Ot i z was coto czytacie, niejeden taki sam. Śmieje się i mówi że to głupstwo a w gruncie serca to i on taki sam jak Żrebiński i Hordzia. Prawdziwie że taki sam. Nie gniewajcie się, nie gniewajcie, prawda nie grzech. A ja przecież na to piszę aby prawdę pisać. To się też nie gniewajcie. — Ot, przerwaliście mi i wątek straciłem!... Aha! już wiem.

I wziął Żrebiński pełny kielich oburącz i kiwnął głową do Hordzi:

— W ręce twoje: cześć pamięci solenizanta!

I wychylił kielich do dna i obtarł serwetą i p. Andrzejowi podał.

I tak dalej i tak dalej aż wszystkich kolej obeszła i aż wszyscy wypili.

I dalsze potem nastąpiły toasty: cześć pamięci Saszewskiego i cześć pamięci Trachockich i Motuszewskiego i Biarskiego. I podochociła już sobie trochę szlachta wszystkiem i zaczęła gadać o tych co pomarli i wspominać o nich co kto miał na sercu i na pamięci. I rozrzewnił się ten i ów i niejeden łzę otarł za sąsiadem, za towarzyszem młodych lat, za przyjacielem.

I podniósł się p. Melitoń Gryzc i zawołał:

— Sąsiedzkie zdrowie! kolederka! obyśmy się wszyscy a wszyscy, przez długie a długie jeszcze lata zjeżdżali w dzień solenizanta! I wypili wszyscy i niejeden pomyślał: Hej, hej, przeszłego roku, ⊙ A potem jeszcze p. Tadeusz Zygoborski zaintonował „Kochajmy się!" — i uderzyli wszyscy kieliszkami i każdy z każdym się trącił a ci co kochali się serdecznie objęli się w ramiona i ucałowali. — No i basta. Czarną podano kawę i cygara.

I tu już inaczej się stało jak za nieboszczyka. Bo

⊙ pijemy takie to zdrowie, i zeszłego takie w czasie kto nam zginął, ubywa, odszedł zawsze, kto mnie, kto nie, któgo tu zabraknie... kiedyś ten, może ów, może ja... może ja...

za nieboszczyka kawę (po obrzędzie) przynosił zawsze ~~albo Błażej albo~~ kredencerz, a od pierwszej rocznicy po śmierci p. Napoleona, klucznica pani Spaleczykowska inny zaprowadziła zwyczaj i mimo ~~[illegible]~~ protestów Błażeja co roku ponawia samowolną swoją interwencję: sama po obrzędzie kawę czarną przynosi ~~[illegible]~~ na srebrnej tacce w imbryczku z starej saskiej porcelany i stawia ją na stole — a przychodzi spłakana i postawiwszy kawę stoi jeszcze chwilkę i płacze i fartuszkiem [illegible] łzy ociera. A gdy kto do niej zagada, jeszcze więcej się rozrzewni i rozpłacze i ~~[illegible]~~ szlochająca wychodzi.

I co roku tak samo. I płacze co roku jakby po świeżej stracie dobrego pana, prawdziwemi łzami płacze. A wystroi się co roku jak ~~[illegible]~~ może najlepiej, żeby jej do twarzy było. I jeszcze wcale ładna ta Spaleczykowska, choć jej już czterdziestka minęła. Bóg ~~tam~~ wiedzieć raczy poco ona to robi, ale robi tak. Co roku tak robi.

I przeszli panowie z jadalni do bawialni i zasiedli wszyscy. A pan Radwan i pan Municki rozłożyli na stole plik papierów i jęli zdawać sprawę z całorocznego zarządu majątkiem nieboszczyka gospodarza, bo oni to na ten rok powierzoną mieli sobie administrację.

I wysłuchano i pokwitowano bo wszystko było w należytym porządku. I gospodarka szła dobrze i dochody obrócone były wedle woli testatora. I stanął w tym piątym roku ~~[illegible]~~ z dochodów całego klucza szpital w Wiklinicach i szkółka stanęła w Karpidowie. ~~[illegible]~~ I stanęły i dostatnie ~~[illegible]~~ otrzymały uposażenie.

I tak rok po roku oznaczonem było w testamencie na co ma być dochód obrócony i co roku jedna lub dwie pożyteczne fundacje powinne wchodziły w życie. Cześć śp. Napoleonowi, cześć mu, cześć! Mało takich jak on, mało takich! A już takiego testamentu (jak jego testament) to szukać po świecie a nieznajdzie się łatwo drugi.

Mówili zdrowi, że mu to było łatwiej niż komu innemu, bo nie miał ani żony ani dzieci ani krewnych i powinowatych, bo o rodzinie Drywozdowiczów nigdzie ~~[illegible]~~ słychu (ani dychu). To i cóż stąd że ~~[illegible]~~ o Drywozdowiczach nikt nie słyszał? Nie jeden to człek na świecie (bożym) ~~[illegible]~~ sam jak palec, bez ~~[illegible]~~ rodziny i bez krewnych chociaż niewiem już tam w którym stopniu (nawet dalszym) i niejeden niema tez nikogo komuby zostawił kabzę wypchaną i ziemię wyoraną (i stogi i brogi pełne i ładne w oborze bydełko) a jak ~~[illegible]~~

umrze to jeśli się znajdzie spisana wola ostatnia, to się pokaże że swoim mieniem tak rozporządził że to ani jemu na chwałę ani ludziom na pożytek. A któżby to powiedział o Napoleonie? Mało takich jak on, mało. Cześć jego pamięci.

A o sobie on nie pamiętał wcale. Ani na msze za swoję duszę, ani na kapliczkę nagrobną, ani na nagrobek nie przeznaczył ani grosza. Nie dla siebie i nie dla swej pamięci. Kamień tylko na swym grobie położyć kazał, a na nim swe imię ale bez nazwiska i datę urodzenia i datę swej śmierci. A datę urodzenia w testamencie podał taką (: no, to już chyba przez omyłkę :) że wypadało z rachunku jakoby umierając miał lat czterdzieści, a on miał pewnie przeszło sześćdziesiąt, do siedmdziesięciu może.

Dziwny człowiek! czyżby on to rozmyślnie zrobił? A naco?

Na parę lat przed śmiercią, powiedział on raz wprawdzie panu Eustachemu na jego zapytanie ile lat sobie liczy, ale powiedział ze śmiechem „że niema czterdziestu". No, ale to wszyscy za żart uważali, bo mu już sześćdziesiątka patrzała z oczu i twarzy. I on sam się śmiał.

I powiedział raz takie, nie pamiętam komu, że niektórzy ludzie dwa razy się rodzą i umierają po dwakroć. Ale to powiedział, ot tak sobie na wiatr. Bo i cóżby to mogło znaczyć?

Nie wiedział nikt na prawdę ile lat mu liczyć, ani gdzie się urodził ani gdzie po świecie chodził. A wiedziano tylko że znał Francję i Włochy jakby kątek własny i na lwy gdzieś polował i za morza wędrował. A gdy się raz zjawił anglik na jarmarku w Stojowie za jakimś pytając towarem, to się z nim Drywęd-Nowicz rozmówił jego szwargotem jak brat z bratem rodzonym. A kiedy szło o to aby broń naprawić, to się brał do tego jak jakiś rusznikarz. A kiedy młyn lub mleczarnię to jakby mechanik. A kiedy Szachowcy dwór mieli budować, to im p. Napoleon taki plan nakreślił żeby się i budowniczy i żaden architekt nie zdobył na lepszy. A kiedy w okolicy chorowało bydło - to Drywęd-Nowicz leczył jak weterynarz z patentem. Wszystko umiał, wszystko wiedział, wszystkiemi mówił językami a sprowadzał sobie książki w różnych językach i czytał i czytał.

A w co wierzył? Któż tam wie kto wcielony na świecie! Nie odgadnie w co ci wierzą co bywają w kościele i codzień i w niedzielę i odmawiają różaniec i do bractwa należą - nie odgadnie

w co tam wierzą na prawdę, co u nich polityka a co u nich szczera wiara — a gdzież było tam odgadł takiego Drywedowicza! Za życia był go nie odgadł a nie doczekam po śmierci.

Ot jedno nie trudno ci odgadnąć: poczciwy człowiek był.

Gdy się w te strony sprowadził — będzie temu z czwierć wieku blisko — i kupił od Niemca Korczunkowce, a Żórawkę i Łęki od Żyda — i zapłacił gotówką — to mu zrazu niedowierzała jakoś szlachta i patrzała na niego z pod oka, choć wszystkich sąsiadów jak przystoi zaraz odwiedził. I pytano wszędzie: Drywedowicz? Drywedowicz? co zacz? zkąd się wziął? Czy słyszał kto o Drywedowiczach? I nikt na to nie umiał dać odpowiedzi. I pytano co to za rodzina, a ktoś rzekł że litewska, a ktoś że białoruska. A czy to szlachta, Drywedowicze? Niema o nich w Paprockim, niema w Niesieckim, niema w Wieladku, niema nawet w Piotrze Małachowskim między 28000 nazwisk szlacheckich, niema i niema. Zkąd się wziął? Może sroce z pod ogona? Czort go wie! Blizna na czole na trzy palce, szrama przez twarz — a bywalec, cały świat objechał a mówi spokojnie, pomału, jakby zegar pendułowy chodził mu w ustach zamiast języka. Statecznie, zawsze jednako, nigdy prędzej, nigdy pomałej. — Poczciwe mu niby z oczu patrzy. ale co zacz i zkąd? —

I zapytał go ktoś, podobno nieboszczyk Łaszewski: zkąd?

A on nachmurzył trochę czoło i patrzał w oczy prosto, prosto, a trudno-ć było dotrzymać placu temu spojrzeniu, choć niby spokojne było i łagodne. I sporą chwilę dał czekać na odpowiedź a potem rzekł poważnie:

— Z białowiejskiej puszczy...

I nie wiedział p. Łaszewski czy to żart czy prawda ale ton tej odpowiedzi był taki że już pytać nie wypadało dalej.

Ale p. Zawadzki zapytał go innym razem, jakiego Drywedowicze herbu. A p. Napoleon znowu na odpowiedź sporą kazał czekać chwilę. Potem rzekł:

— Własnego.

Ale nikt herbu u niego nie widział ani na pieczątce ani na srebrach ani na pojazdach. Nazwisko tylko wszędzie albo skrócone imienne; nazwiska litery. Albo tylko N. i nic więcej. N bez korony i więcej nic.

A gdy go o przeszłość kto spytał i o jego po świecie (lat tyle przez) włóczęgę i czego do tej siedziby wędrówki i czy zanim Korczunkowce kupił, inny gdzie jaki sprzedał majątek... i gdy go kto o podobnego zapytał, to jedną zawsze tylko otrzymał odpowiedź:

— Ja o tem mówić nie lubię.

I tak jakoś serdecznie i z taką to mówił prostotą że nigdy nikomu na myśl nie przyszło nalegać. A kto się raz wzięciu otrzymał to i nie zapytał raz drugi.

Zwolna, zwolna przywykali wszyscy. Zwolna, zwolna milkły pogłoski, niedorzeczne domysły, niedorzeczniejsze baśnie. Zwolna uspokoiły się obawy czy tam za tą poczciwą pokiereszowaną twarzą dusza jaka, zdradliwa nie przyczaiła się, dusza i czy na łatwowiernych nie czyha aby napaść z nienacka wilczym okiem z poza skóry baraniej. Wilk to, nie wilk? Eh, nie wilk — przekonano się wreszcie. Ale kto może?.. I minęło lat kilka i różne zaszły w okolicy wypadki i nie jedno zdarzenie co mogło być probierczym kamieniem i po kilku latach powiedziano już o nim: to człowiek poczciwy, to dobry sąsiad, dobry obywatel. A czy go kto lubił czy nie lubił, to już każdy musiał przyznać że ma rozum niepospolity, i naukę i doświadczenie i charakter co się zowie.

I minęło lat dziesięć a już o nim mówiono: Drywordowicz? to perła okolicy! to człek jakich mało! — I tak sobie podbił serca braci szlachty, że co było zacnego to się skupiło około niego; on był głową i duszą i sercem. Ani rady bez niego, ani ładu, ani zgody, ani jakiegoś postanowienia. Drywordowicz — to nasz patryarcha. (i kto go rodził i jakiego herbu.)

I nikt już nie pytał co zacz i zkąd. A choć Drywordowicz o szlachectwie nie gadał, to szlachta mówiła że Drywordowicze to od Gedymina pochodzą i żeby mitrę książęcą mogli nosić w herbie. I jak kto raz uwierzył, toby już sam Drywordowicz nie potrafił wybić tego z głowy i każdyby się dał był za niego pozażynać tak pokiereszować jak on się dał... (ha, Bóg tam wie za co — juści pewnie za poczciwą jaką sprawę) — siekierować tak srodze po twarzy, po czole.

Widział to śp. Napoleon że go szlachta pokochała. Widział także śp. Napoleon że ma miłość u prostego ludu. I cieszyło go jedno i drugie go cieszyło. Ale snadź więcej dbał on o to aby utrwalić pamięć swego nazwiska i cześć jaką swem życiem dla niego wywalczył. Ani o ożenieniu nie dał sobie nigdy mówić, choć go nieraz do tej myśli nakłonić się starano aby tak zacny mąż i tak zamożny i szanowany obywatel cnoty swoje i cześć ludzką i zacne nazwisko i mienie dostatne zacnym zostawił potomkom. A nawet w woli spisanej ostatniej, o chwały pośmiertnej i pamięci nazwiska nie wysoko zdał się ważyć, skoro niechciał aby na grobowcu wyryć je nawet kamieniu, skoro niechciał nawet aby te liczne jego fundacje i szkoły i stypendia i szpitale jego nazwisko nosiły.

Jeden, jeden tylko zostawił w swoim testamencie wyraźny znak że mu pogrobowe przyjaciół miłe wspomnienie. Wszak już jaki ustanowił porządek, aby szesnastu najbliższych mu sercu sąsiadów corocznie zjeżdżało się w dzień jego imienin do Korczakowiec i dawnym ten obchód święcili zwyczajem, jak za jego życia. A który z nich ostatni zostanie na świecie, ten będzie sukcesorem jego a dziedzicem szerokich jego włości. A ktoby przez trzy lata z rzędu na imieniny przyjechać zaniedbał — to już czwartego niema poco przyjeżdżać, bo traci do sukcesji prawo.

Powiesz, że chciał się zapewnić aby go choćby najbliżsi pamiętali sąsiedzi. I ja tak powiedziałem. A jednak teraz mówię że może to a może i nie to. Co roku bo musieli się zjeżdżać, co roku był sejmik sąsiedzki, co roku wybrali dwóch majątku zarządców i sprawozdania słuchali i radzili jakby najlepiej wszystkiem pokierować — a każdy przytem myślał: „wolę nieboszczyka solenizanta trzeba spełnić, po obywatelsku — a kto wie zresztą, jak się wartość majątku powiększy, to może kiedyś dla mnie i dla moich dzieci!”... To też już każdy gorliwie radził, gorliwie czuwał. To też już każdy pomagał wedle sił i możności aby cała gospodarka jaknajlepiej a dochody jak najwyższe były.

Ba, niedość na tem. Każdy drugiego prześcignąć się starał w gorliwości i dbałości o dobro fundacyj które nieboszczyk postanowił w swej ostatniej woli. — Żadenby tak wielce gorąco wziął do serca obywatelskiego i sąsiedzkiego obowiązku, gdyby sam jeden był testamentu

egzekutorem. Ale na sejmikach wszystko idzie raźniej, każdy każdego się wstydzi, każdy nad każdym czuwa, każdy każdego prześcignąć był rad.

A p. Napoleon fundacje w swoich włościach uposażył sute — ale nie o swoich tylko pamiętał. Dla włościan w majątkach sąsiedzkich przeróżne także obmyślił fundacje, nie uposażył jednak dostateczną kwotą: dał tylko na początek to połowę, to część jakąś, to trzecią, to czwartą lub dziesiątą nawet i nadzieję wyraził że się reszta znajdzie.

I znalazła się zawsze. Nawet ci z sąsiedztwa co najmniej byli skłonni do ofiar i darowizny, nie zostali z tyłu no za innymi. Dopełnili najczęściej ile brakowało. Tam nawet, gdzie jak n.p. w dobrach Onarskiego śp. Napoleon żadnej nie ustanowił fundacji, nie chcieli za innymi pozostać z tyłu i choć nie za życia swego to (przynajmniej) w testamencie przeznaczyli fundusz na cel pożyteczny.

Duch Przywodowica żył w sercach jego sąsiadów. Tchnął on na nich ciężkiem obywatelskiego uczucia — i żyli. To napoleońskie uczucie — wielkie jak pod Austerlitz i Wagram.

W proch rozsypało się ciało. Duch jego żył i działał niezmordowanie. Skuteczniej jeszcze działał niż za życia. Duch jego żył, żył zaiste pełnem życiem.

I żyje.

Przykład ojców działa na synów i wnuków

Przykład okolicznego sąsiedztwa w coraz szerszym szerzy się okręgu.

Od jednej pochodni zaczynają tylko kilkadziesiąt płonie.

I coraz ich więcej i więcej aż stanie się jasno od światła.

I zakróluje Przywodowica duch nad wszemi i powiedzie je.

A stanie się to wtedy gdy o nazwisku jego nikt już pamiętać nie będzie.

Pamiętają go dziś jeszcze starzy ludzie — ale już mało kto, mało kto. Ja sam (dobrze nie wiem czym jego nazwiska nie przekręcił) już choć tyle słyszałem o nim. Może przekręciłem — ale zdaje mi się że nie. Któż wie zresztą, może i przekręciłem? Nie jestem pewny.

Mniejsza o jego nazwisko!

Gdyby komu na tem co zależało, nietrudno mu jeszcze przyjdzie dociec — ale naco się to przyda? Czy się kto tak nazywał czy siak, to wszystko jedno. Czy od P czy od J czy od H czy od R (to wszystko jedno). nazwisko niczego nie powie, nie świadczy o niczem.

No, ale ktoby był ciekawy, to dojdzie. — Odszuka może nawet jeszcze gdzie w sąsiedztwie ową księgę w zielony marmurkowy papier

oprawną, w której po śmierci Napoleona zapisywali uroczyście w dzień jego imienin wszyscy obecni goście protokół bytności swojej. Pierwszego roku było ich szesnastu, drugiego piętnastu, trzeciego trzynastu, czwartego dwunastu, jedenastu piątego...

I tak potem co rok prawie zmniejszała się liczba, co roku prawie, to o jednego, to o dwóch lub trzech nawet czasem. Co roku, co roku!

A żal im szczery ściskał serca gdy widzieli że ich coraz mniej. Bractwo z nich uczynił testament Napoleona i było między nimi braterstwo. — Gdy który ubył z grona, to każdy z pozostałych czuł, jako się sypią ziarnka piasku w klepsydrze i sam się czuł ziarnkiem i czuł że już coraz bliżej i bliżej, i że wkrótce już przyjdzie kolej i na niego zsunąć się w dół.

I już siedmiu tylko ich było. I już sześciu tylko. I już czterech.

A gdy tylko czterech znalazło się przy biesiadniczym stole i gdy ci czterej spojrzeli po sobie, oj, nie raźnie im było, nie raźnie! Zeszłego roku było ich sześciu, naraz dwóch ubyło. Już ich tylko czterech!

I zaledwie zasiedli i spojrzeli po sobie — to wszyscy odgadli wzajemnie swe myśli, bo każdy myślał to samo co drugi i każdy z nich czuł że z tych trzech co patrzą na niego każdy myśli to co on.

Ej, przykro to powiedzieć, ale ci oni brzydko spojrzeli na siebie. A żaden by nie przyznał, choćby go brano na pytki, żaden by nie przyznał (boby się wstydził), jaka myśl mu w tej chwili przemknęła przez głowę i jakie pragnienie.

— Teraz kolej na któregoś z nas... Niechże z was trzech umrze jeden, byle nie ja! byle nie ja!

No, nie ma się czemu dziwić. Każdemu życie miłe a cóż dopiero staremu! Czem życie mniej warte, tem człeku milsze. A choć przedtem na życie narzeka i woła śmierci jak wybawienia, to mu się bardzo zawierzając prawie. Inaczej za młodu, inaczej na starość. Czy życie warte czy nie warto — to inne pytanie, ale jak człowiek lat sześćdziesiąt do życia przywyka, to już się z niem nie rad rozstaje. Do kapoty człek przywyknie i do starej czapki co ją kilku

lat nosił, a cóż dopiero do życia:

Umrzeć, umrzeć, wiem że umrę, już to takie prawo, przeżyje mnie młodość, — ale czemuż mnie miałby przeżyć który z moich rówieśników? — Tak mówi nawet starzec znużony życiem i pragnący śmierci. Chciałby umrzeć — ale przykro mu myśleć aby miał wyprzedzić tych z którymi żył tyle długich lat. — Czemu ja mam być pierwszy? Niech który z was trzech.

A gdy trzech ich tylko będzie, to każdy z nich pomyśli: niech który z was dwóch. A gdy dwóch zostanie, to każdy pomyśli: niech tamten! —

A jak mówi: <u>niech tamten</u>, to już wyraźnie życzy śmierci bratu swojemu.

Tak będzie, tak się stać musi, jak tylko Hordzia i Łęgoborski zostaną na świecie. Śmierci obaj na wzajem życzyć sobie będą, choć to druhy serdeczne, serdeczniejsze druhy niż gdyby braćmi rodzonymi byli. —

Ale co o tem mówić. Jeszcze żyje ich czterech — a tak się już spojrzeli na siebie jakby jeden drugiemu zazdrościł... czego? chyba życia nadziei.

I po tej smutnej biesiedzie, udali się jak zwykle do bawialni nieboszczyka i poczęli sprawdzać rachunki roczne. A administracja w tym roku była w ręku i Gryzza.

Sprawdzili rachunki i oddali zarząd Munickiemu i Hordzi. Ale Hordzia się wymawiał że ma gościec kości łamie i wzrok mu pilnie nie dozwala doglądać gospodarki, a cóż dopiero tak rozległego majątku. I wybrano Gryzza ponownie.

Wtedy zabrał głos Municki i cienkim swoim tenorem temi ozwał się słowy:

— Posłuchajcie mnie sąsiedzi! posłuchajcie i rozważcie co wam proponować myślę, może się zgodzicie. A trzeba żebyście się wszyscy zgodzili, — bo jak jeden powie <u>veto</u> to i propozycja upada, bo to się większością nie rozstrzyga, ale tylko <u>unanimiter</u> albo z tego nic.

— Słuchamy, słuchamy.

— Oto tak: jest nas czterech. Póki żyjemy to dochody Korczunkowskie mają iść wedle woli ś.p. Napoleona na przeznaczone przez niego fundacje. Ale jak z nas już tylko jeden zostanie — to (ten ostatni z naszej czeczartki dziedziczy cały jego majątek. (Otóż słuchajcie: Tak jest w testamencie.)

jest nas czterech. Który z nas przeżyje drugich – to tylko chyba samemu panu Bogu wiadomo. Może ty Tadeuszu, może ty Andrzeju, może ty Melitonie, może ja. A każdy z nas ma nadzieję – bo gdyby jej nie miał, toż by się z nadzieją żegna nawet na łożu śmiertelnem. – każdy z nas ma nadzieję a pewności nie ma nikt – ot, ja niby najmłodszy z was i zdrów dzięki Bogu a pewności mieć nie mogę. No, czyż nie prawda? Każdy nadzieję ma – i z ręką na sercu niech powie, to nietylko nadzieję ma, ale i (życzy sobie) aby się spełniła. I ja, i ty Hordźa, i ty Łęgoborski i Meliton. (No co się tu wypierać! każdy z nas czterech, chciałby przeżyć wszystkich, choć o rok, choć o dzień) Posłuchajcie mnie: poco my mamy nawzajem wyczekiwać naszej śmierci? Powiedzcie sami! Otóż ja wam chcę zrobić propozycję... prosę was, nie odpowiedzcie nic, ani tak ani nie... namyślcie się w ciągu tygodnia (zjedźmy) (się wszyscy w Stadłowie, albo przyjedźcie do mnie, do Przygórki) i zrobimy ugodę jeśli wam myśl moja przypadnie do serca, a jak nie – to nie.

— No, jakaż to propozycja? mów Józefie! – zawołał p. Tadeusz.

— Kozderka! coś mi się zdaje, że mi moja myśl (wykradł z głowy!) zawołał p. Meliton.

— Otóż to tedy tak. Zróbmy formalną na piśmie ugodę, że jak z nas czterech już tylko jeden zostanie na świecie i będzie miał wnuków jak swoje, to spadek po panu Napoleonie pójdzie wtedy (równy) podział między cztery nasze rodziny...

— Kozderka! Kozderka! – wołał pieszczony p. Grycz. – To myślałem właśnie, to myślałem!... A Hordźa i Łęgoborski obydwa, obaj zamyśleni.

— Hm, wiesz co, – możeby to i dobre było... rzekł wreszcie p. Łęgoborski. Ale wdzięczny pomyślał: Musicki i ja – to układ stosowny (ale Gryca i Hordzę, to prędzej ja przeżyję... (hm, któż zgadnie czy przeżyję?) szansę równe mamy, przeżyję?.. Możeby to i dobre tak było...

Ale Hordźa milczał. Zgarbiony siedział (z antypką w zębach) na drugim pokoju na sofie, (Stambułkę oparł na ziemi) i dumał z pochylonem czołem. Od czasu do czasu wypuszczał z ust kłąb dymu.

— No, a ty Hordźa, co myślisz o tym wszystkiem? zapytał p. Meliton.

— Nie... bąknął cicho Hordźa... nie!..

Spojrzeli wszyscy trzej na niego. Zdziwienie malowało się na twarzy wszystkich a Musickiego szczególniej. Propozycja wydawała mu się (być) właśnie najkorzystniejszą dla chorowitego Hordźy, a tu Hordźa mówi: nie. A Hordźa dodał po chwili:

— Ej, nie wojujmy z opatrznością, wie ona co robi! Nie wymijajmy przeznaczenia, bo się ono podejść nie da. Darmo wchodzić z p. Bogiem w kompromissa, wyjdzie/się zawsze dzieje się Jego wola... ... Ja nie... ja nie...

— Kolderka! toż z Jego właśnie świętą wolą możemy zawrzeć ugodę!

— Ja nie... ja nie... powtarzał Hordia pykając spokojnie fajkę.

Łęgoborski wzruszył ramionami:

— Sfiksowałeś Andrzeju! Przecież jeśli dla kogo ten układ korzystny, to dla ciebie...

Hordia spojrzał na niego wzrokiem pełnym wyrzutu i urazy.

— Masz mnie za najbliższego kandydata?... rzekł drżącym od gniewu głosem niezmiernie gorzko. — Otóż nie! Skrzypiące kości najdłużej wytrzymają. Prędzej ciebie apopleksja zdmuchnie.

Pociągnął dymu z fajki, z ust go wypuścił i silnym dmuchnięciem rozdmuchał gęstym kłębem.

Zaczerwienił się na twarzy p. Tadeusz, zmarszczył czoło, mówić nie chciał.

— Panie Andrzeju, kochany! — zapiszczał p. Municki, zmienionym głosem. Proszę was, nie mówcie tak, nie mówcie nie, namyślcie się! Ktoś tam wam jak pan Bóg natchnie. A za tydzień (albo za 10 dni), czy się zgadzacie czy nie — to przyjedźcie zarówno do Dryzgórki! To imieniny mojej żony. Przyjedźcie!

I na tem stanęło. I rozjechali się. Każdy do siebie. „Do widzenia, od dziś za tydzień w Dryzgórce."

A za dziesięć dni pojechali do Dryzgórki.

Wy myślicie że pojechali na imieniny pani Munickiej? Oj nie. Pojechali na pogrzeb p. Józefa.

Rąbano właśnie Koczurnikowskim drzewo — a Municki tam się udał dla kontroli. No, i zwalił się dąb podcięty na niego i koniec.

Już ich tylko trzech.

Minął rok. Minęły dwa lata. Hordia coraz bardziej zapadał na zdrowiu. I około połowy Sierpnia tak mu było źle, że folgując sobie, nie pojechał na imieniny Narożnego. Były to pierwsze imieniny, które opuścił. — Pamięta jeszcze... Łamał mu gościec kości a Hordia wił się na łożu od bólu i jęczał po nocach nie mogąc zmrużyć powiek. I klął i modlił się i klął. Przez całą zimę nie mógł wyjść z pokoju. Przeniósł się do małej izdebki o niskiej powale a do małego piecyka żelaznego kazał drewna dokładać i dokładać. Zdawało mu się że czem w izbie goręcej, tem większą w boleściach ma ulgę. I gorąco tam było w tej małej izdebce jak w łaźni. Kto inny by tam nie wytrzymał a ten

było mu coraz gorzej i gorzej; zima — jesień — gorzej.

pudełku, jak tę izbę nazywał p. Gryzer. – P. Meliton, który ze zwolennika Morrysona stał się od lat kilku zapalonym wyznawcą hydropatii, gorąca nie znosił. On latem i zimą kąpał się w sadzawce zwodą zimną jak lód. Prosto z łóżka szedł na czczo do sadzawki. Latem to jeszcze nie sztuka, ale zimą! zimą! Do wyrąbanej wskakiwał płonki i wypadał stamtąd czerwony jak rak i dzwonił zębami i śmiał się i mówił, że mu ciepło. No, kiedy mu w płonce ciepło było, toż nie dziw, że zaledwie wytrzymać mógł w „pudełku" p. Hordzy.

No, i tak się tedy stało. Przyjechał p. Gryzer do Hordzynca, zastał tam Łęgoborskiego. Mróz na dworze straszny a w „pudełku" Hordzy jak w Afryce. Lepszy dziś jakiś dzień dla p. Andrzeja. Siedzą obaj przy stoliku z p. Tadeuszem i grają w pikietę a pocą się, pocą. Kroplami spływa pot im po czole, po twarzy. A p. Andrzej gra i uśmiecha się swoim kwaśno=gorzkim uśmiechem i dopytuje pana Tadeusza o jego Stasia, który skończywszy uniwersytet wybrał się w podróż za granicę – a opowiada mu o swej Dali, od której co tydzień regularnie otrzymuje list; Dalia od śmierci babki bawi u swej wujenki, ale na wiosnę ma przyjechać do Hordzynca i może już przy ojcu zostanie. Dopytuje o wszystko p. Tadeusz, bo on chrzestną swoją córę jak rodzoną kocha. Hej, hej, jaka ona do swej matki podobna! Hej, hej, żeby to się młodzi pokochali, jakaż by to była para!... No, na wiosnę i Staś już powróci zzagranicy, co najdalej w lecie, – to się chłopiec przyjrzeć raz i drugi a jak się młodzi poznają, jak sobie dziecięce swe zabawy przypomną, to się i polubią. A jak się polubią – to się i pobiorą... no, ale otóż i Gryzer pocztowy przyjechał. Kolędka! będzie tarocik!

Ale od słowa do słowa, od słowa do słowa, gadu gadu i zamiast tarocika wszczęła się gawędka we trzech. Niema gawędki jak gawędka we trzech! Dwóch za mało – nudzi się, czterech za wiele – nim swoje wygada, już mu który przerwie. Niema, jak we trzech!

I o tem i o owem, i o tem i o tamtem i jeszcze o czem innem, a jużci wkońcu o swoich każdy kłopotach. A ośmielili wreszcie?

A jak o kłopotach mowa, to już o tem Hordza najwięcej może powiedzieć. Spaliła mu się sterta siana, niewystarczy mu na wykarmienie dobytku, motylica w owczarni, krowia stajnia się wali, skradł go leśniczy

wspólce z chorowanem, chodził się w las mu worali – ale to wszystko zmięszane. Stajenne że długów po uszy, za (podatki zaległe) grozi sekwestrem, bank (niemiecki) grozi wypowiedzeniem pożyczki a żydzi zwłoki nie dają. Gdyby chcieli kupić las z małym folwarczkiem (sześćdziesięciomorgowym) z stawem rybnym i cegielnią, gdyby chcieli kupić i dobrze zapłacić, toby można przynajmniej większych spłacić wierzycieli, bankby wtedy poczekał, byłby spokój na lat kilka. Ale nikt nie chce kupić, chcieliby wziąć darmo, prawie darmo. Byle choć Hordyńce uratować można, starodawną rodziny siedzibę, grób ojca i dziada – i matki kochanej grób!

Chciałby mu pomóc Tadeusz, ale Hordia twardy, nie zmiękczy go prośba, wymówka przyjacielska nie ugnie. Hordia uparty jak rusin, od przyjaciela nie przyjmie pomocy. Liczy on na coś, liczy na jakiś sukurs, Bóg tam wie na jaki. Liczy on na jakąś pomoc i tak pewny że ona przyjdzie jak swej śmierci pewny, a tylko boi się aby nie przyszła ta pomoc za późno, żeby mu wprzódy wierzyciele Hordyńca nie sprzedali!... Ba co to on liczy, na co?

Ej, dość spojrzeć mu w oczy – a któżby tam nie zgadł na co. Dość było Żegoborskiemu, dość było Gryzowi spotkać się z jego spojrzeniem – a jasno im było. On liczy na ich śmierć. Spodziewa się że ich przeżyje obu. (A, jak się patrzy na nich, to tak jakby myślał: długoż to mi jeszcze przyjdzie czekać, długo jeszcze? tak się spodziewa.)

Pokiwał Gryz głową, poczerwieniał Żegoborski natrętny. Aż wreszcie Gryz rzecze:

— Uff! jak tu gorąco w tem twojem pudełku!.. Słuchaj no Hordia, dałbym ja ci radę i wyszedłbyś cały z tych wszystkich kłopotów. Niechcesz przyjąć od Tadeusza pomocy, tobyś i niepotrzeba kołderka! Ja ci pomóc nie potrafię – bo ja dość cienko śpiewam, rwie się tam i u mnie niéraz nitka i ledwo koniec z końcem się schodzi. Ale dałbym ci radę jakbyś się zgodził, tobyśmy oba wyszli z tarapaty... Uff! jakie tu gorąco!

Domyślał się Żegoborski ale nic nie mówił. Hordia się uśmiechał, kwaśno się uśmiechał i niby z ironią. Dojmi taki jego śmiech. A Gryz wyciągnął z kieszeni kraciastą chustkę czerwoną i otarł pot z czoła i tak mówił dalej:

— Czekaliby twoi wierzyciele cierpliwie jak baranki i anibyś im na myśl nie przyszła subhastacja Hordyńca, gdyby wiedzieli że [illegible] na [illegible] na pewno że jak dwa a dwa cztery ty albo wdowa twoja będzie mieć kiedyś cztery razy większy od

Hordyjszczyzna majątek — ot, powiem co: czekaliby cierpliwie gdyby wiedzieli żeśmy formalną zrobili we trzech zawarli umowę, że którykolwiek z nas przeżyje dwóch drugich i weźmie spadek po Napoleonie, to trzecią część tylko zatrzyma dla siebie — a Korczunkowo pójdzie w podział między nasze trzy rodziny...

Słuchał Hordia niecierpliwie — a niecierpliwym zrobiła go dokuczliwa choroba. Słuchał niecierpliwie i przerwał:

* — Pocóż ja mam się zrzekać dwóch trzecich Korczunkowskiego klucza, który raz spadnie kiedyś na mnie...

— Ej, Hordia — rzekł gniewnie p. Tadeusz — na dwoje babka wróżyła!

— Kolderka: na troje! — dodał p. Gryzer i wesoło się roześmiał.

Hordia machnął ręką pogardliwie, jakby chciał powiedzieć: ~~oto~~ głupstwa gadacie! A potem się zerwał:

— Zagrajmy w taroka! — i wyszedł z pokoju po karty.

Łęgoborski wzruszał ramionami i pokazał palcem ~~[illegible]~~ po czole że Hordia sfiksował. Gryzer się śmiał dobrodusznie.

— Uff! uff! nie wytrzymam! strach jak tu gorąco! —

I chciał skorzystać z tego że Hordia nie wracał: otworzył okienko.

Dmuchnęło ~~[illegible]~~ na twarz mroźne grudniowe powietrze.

— Aaaa! jak to miło! aaaa! Kolderka!

Wrócił Hordia z Tarokiem.

— Melitonie! na miłość boską! co robisz! mnie reumatyzm kości łamie a tyś okno otworzył!

Obrócił się Gryzer ku niemu, ale z dziwnym na twarzy obrócił się wyrazem. Przekrzywił usta, chciał coś przemówić... ani rusz! Język stodrał mu w gębie jak kawałek drewna...

Oparł się ręką o poręcz krzesła, przerażone wytrzeszczył oczy, coś chciał na migi pokazać, zabełkotał i padł...

Położono go na łóżku, zaniesiono trzej ręce i nogi sztywniejące, zimne, synapizmami obłożono ciało, posłano po doktora.

Trzy dni żył jeszcze p. Meliton — ale tylko trzy dni. ~~[illegible]~~ Nie przemówił już ani słowa. Skończył.

Skończył — skończył... Było ich już tylko dwóch.

Już tylko p. Andrzej Hordia i p. Tadeusz Łęgoborski, już tylko oni dwaj! Z całego grona sąsiadów, przyjaciół i współdziedziców ś.p. Napoleona już tylko oni dwaj.

---

* — Nie kuś pana Boga. Przypomnij sobie Musnickiego: on nam to samo proponował — i nie przeżył tygodnia. Z przeznaczeniem próżnobyś walczył. Tak będzie jak Napoleon chciał, choćbyś się na głowie postawił! Nimbyśmy tej ugody podpisali, jużby dwóch Napoleon przywołał do siebie...

— Kolderka! Czyż my się sprzeciwiamy jego woli? Jeden z nas równo odziedziczy Korczunkowszczyznę ale się wyrzecze dwóch trzecich...

Stoją obaj zadumani przy martwem ciele pana Melitona i smutno im. Spojrzeli na siebie i westchnęli oba i pokiwali głowami. – Jak to czas leci chyżo! Niedawno, tak niedawno, jak zjechało się sąsiedztwo, jak to było rojno, gwarno w Hordyńskich dworku – a teraz z całego grona rówieśników już tylko oni dwaj. – Zjedzie się rodzina Gryza na pogrzeb, zjedzie się młodzież okoliczna, bo nieboszczyka wszyscy szanowali i kochali; – ale ta młodzież to już inny chyba jakiś świat. Oni nas nie rozumieją ani my ich.

A nasz świat – myślał p. Tadeusz – nasz świat, gdzie to raźniej się żyło i czulej i weselej, jak niedopalony węgiel na ognisku, przygasa już, przygasa! – I z całej tej pełni życia i sił – co zostało? Już tylko ja i ten Hordyń, schorowany, kaszlący, przygarbiony, zniekształcony na ciele i na duchu, skarlały... niby on, a już nie on. Gdybym nie wiedział że to ten sam, druh mój, towarzysz młodości, nie uwierzyłbym, nie uwierzyłbym nigdy! Niepodobny on do siebie, niepodobny na ciele, a bardziej niepodobny na duchu. To już nie on. To chyba jego cień konający i zniknie ze świata dziś jutro, dziś jutro...

Ha! niech znika... po co ty mu się jeszcze wałęsać i męczyć na tym świecie?.. Dręczy siebie i drugich. Ani jemu teraz dobrze ani komu. – Zawikłał rodzinny majątek, i chyba córce nic nie zostawi prócz długów i wstydu. Gdybyż się już raz stoczył w dół, objąłbym Korczunkowce, spłaciłbym jego Hordyńszczyzne długi, oczyściłbym majątek Joasinej córce i wydałbym ją za Stasia... A wtedy i ja stąd gdybym ją pierwej stoczył za wgrób! zamęt, zamęt i niemoc!.. Byle tylko prędzej! prędzej, bo i mnie już czas! oj czas! czuję że mi już niedługo tego zdrowia, tych sił... Byle on prędzej, byle on! krew mi buchać do głowy od mieniu na nowin... niedługo mi chodzi przyjdzie, nie długo! I spojrzał p. Tadeusz na p. Andrzeja. A nie trudno było wyczytać p. Andrzejowi w jego spojrzeniu tę myśl: „Teraz na ciebie kolej!" –

A p. Andrzej inaczej myśli: Dekretujesz mnie na śmierć i czekam tylko czy rychło się usunę z drogi. Omylisz ty się na swojej rachubie! Korczunkowce ci się zachciewa... radbyś mnie już widzieć wyciągniętego na marach... Tak jak ten Gryz. Podwiązałbyś brodę mi z radością brodę chustą, jak jemu, aby mi się już nie rozwarły na wieki. Pomyślałbyś: chwała Bogu, chwała Bogu, kropnie już, kropnie! Korczunkowce moje!.. O nie twoje, panie Łęgoborski, nie twoje!

I brzydko spojrzał Hordyń na niego – o brzydko!

Wczoraj Gryz skonał a p. Andrzej spać nie mógł bo mu gościec na torturach rozciągał członki i kurczył i szarpał go jak obcęgami kat. I zażył p. Andrzej sporą dozę morfiny i drugą jeszcze dozę i usnął. A ledwo usnął śnił mu się

nieboszczyk Napoleon, znowu mu się śnił. Tak samo mu się śnił jota w jotę jak po śmierci Munickiego i jak przed tem po śmierci Lisobrodzkiego i jak przedtem jeszcze po śmierci Radwana. Zapraszał go śp. Napoleon do siebie i mówił: „Jedź że, jedź, odbierać koszuntowe, bo ty ostatni... ty ostatni."

A p. Andrzej wierzy w sen jak w ewangelię. Patrzy na niego p. Tadeusz jakby myślał: na ciebie teraz kolej!... Oh, panie Łęgoborski, niedoczekanie twoje! Ty mi z drogi ustąp, bobym już chciał mieć spokój i spłacić żydów i bank i Magdusię obaczyć wielką panną i wydać ją za mąż, jak nie lepiej to choć za twego syna i w grób się położyć, bo mi już ciężko żyć by, oczy. Ty mi tylko do grobu zastawiłeś drogę — bo póki ty żyjesz ja żyć muszę i męczyć się po dniach całych i jęczyć po całych nocach... Ach, gdyby już raz umarł, umarłbym i ja spokojnie! Byle prędzej, byle prędzej! Choćby za dzień, za godzinę!... To co ja mu ratowałem życie gdy go dragony rozsiekać miały!

I obydwom takie myśli krążały w siwych łbach, jak czarne ptactwo na rozoranym cmentarzu, trupiem tak obżarte ścierwem cielskiem, że i na żywego rzuciłoby się szarpać. Chmury ptactwa takiego, podłe, zażarcie krącząc obsiadały im serca, cmentarzysko serc. Ha, starość to starość!

I włożyli Gryzia do trumny i spojrzeli na niego jeszcze raz. Ostatni raz. Przeciągnął mu się nos nad kręconym siwych wąsów, przeciągnęła się broda, wydłużyła się twarz, przyblakły od śmiertelnego potu pęki siwych włosów do skroni, biały jak kość. Ot, śpi i śpi i śpi, tylko że nie śni mu się nic. Nie śni mu się nic ani miłego ani przykrego. I nie przyśni mu się już nigdy nic. Ani mu źle ani mu dobrze. I będzie mu już tak zawsze. Ot, śpi i koniec. [Tak mu jest jak dziecięciu przed porodem w matczynym łonie. Ani mu źle, ani mu dobrze.]

I przykryli trumnę wiekiem. A toż jego kołderka do wiecznego snu.

A wkoło dzieci i wnuki zawodzą od płaczu. Mokro we wszystkich oczach — i w oczach Łęgoborskiego i w oczach Hordy.

Wynieśli go do sieni. Doścignął go raz jeszcze Horda i dalej iść już nie zmógł, bardzo było mu źle tego dnia. Niezwyczajnie we wszystkich stawach i kościach [illegible] go bolało.

Wyciągnięto trumnę na paradne sanie, czarnem przykryto suknem. Patrzał na to Horda przez okno ze swego pokoiku. A do innych

sam powiadała rodzina ~~[illegible]~~ nieboszczyka, i p. Tadeusz i jeszcze pogrzebowi, cała młodzież z sąsiedztwa i okolicy. I poszedł do parafialnego kościoła a stamtąd ~~[illegible]~~ zawieźli Gryca do rodzinnego grobu. Jedzie Grycz do domu, jedzie ale nie obaczy go już, nie obaczy! Od krzyża na lewo droga topolami wysadzana i dworek tam bieleje w dali, a na prawo droga pusta i smutna wiedzie na cmentarz pare świerków przy drodze i krzyż - oto, wszystko! Na prawo oni skręcą na prawo. Nie obaczy już ~~[illegible]~~ pan Melitona swego domu. Oho już go nigdy nie obaczy! Już skręciły konie na rozstajnej drodze.
Na prawo skręciły, na prawo!

I już go zanieśli do sklepu i żelazne zatrzasnęli wrota, pomodlili się jeszcze i składają do sań, bo mróz, mróz straszny. Owijają się w futra, w worki słomą napchane wsuwają swe nogi, czapki nasuwają na uszy. Para na wąsach przymarza wisząc w małych soplach.

— To już ich tylko dwóch? – mówią do siebie sąsiedzi.
— Tak, dwóch już tylko: Łęgoborski i Hordzia.
— No, ale Hordzy niewiele się już należy.
— Oh niewiele, może ~~[illegible]~~ i wiosny nie doczeka!

Tak ~~[illegible]~~ mówiono na pogrzebie Gryca – ale sądy ludzkie omylne, doczekał Hordzia wiosny.

Doczekał wiosny i lata doczekał, ale w połowie lata, tak go zmogły cierpienia, że na imieniny Napoleona nie sposób było pojechać. – Wyniósł się kazał na wózek wymoszczony sianem i kazał się wieźć – i jechał i jechał i za mostem nie wytrzymał od bólu i mało mu się już zrobiło. Przystanąć kazał i znowu wołał jedź! i znowu stój! wołał – i ani ćwierci nie ujechał ~~[illegible]~~ mili i zemdlał dwa razy. Posłał ekonoma, do dworu i [illegible] narobków przyniosło dużo [illegible] ~~[illegible]~~ który [illegible] nogi i na dywanie odnieśli go tak do Hordziejowa. Długie to były imieniny ~~które~~ Napoleona od tego omieszkał opuścić. Zgryzł się tem i zirytował niesłychanie a doktory już nie wiedzieli jak sobie dać radę ze starym szedą, któremu niczem nie mogli dogodzić. A na domiar złego przyjechał w tym dniu właśnie jeden z sąsiadów i po gwałtownej z nim scenie i obelżywych zegnaniach, Hordzia od przytomności prawie odchodził.

Morfina, morfina, to boskie lekarstwo! Usypia; pozwala zapomnieć o cierpieniach ciała i o smutkach i troskach serdecznych. Hej, hej, gdyby Łęgoborski już nie żył, możnaby ~~podwoić~~ potroić ~~[illegible]~~ dozę i dziesięć wziąść na raz i usnąć nawieki! Ha, czemuż on żyje jeszcze!

Zasnął z tą myślą Hordzia i śnił mu się nieboszczyk Napoleon i pytał go niecierpliwie: czemuż nie przyjeżdżasz do Korczunkowiec? jedź, jedź, bo ty ostatni!..

A Hordia nazajutrz tak sobie ten dzień tłómaczył, że chyba Łęgoborskiego już nie ma na świecie.

Ale w samo południe wali ktoś z bata w dziedzińcu, zajeżdżają szpaki — Tadeusz przyjechał.

Kwaśno go przyjął Hordia, kwaśno go przyjął.

— Niebyłeś na imieninach, czyś chory? — rzekł wchodząc p. Tadeusz.

— Zawszem chory! — wszak wiesz! — odrzekł cierpko p. Andrzej. — I cóż z tego że niebyłem! Niebyłem w tym roku to pojadę na przyszły: wszak dopiero po trzech latach tracę prawo do spadku...

Spojrzał na niego p. Tadeusz i poczerwieniał na twarzy. Chciał coś odpowiedzieć — ale szybko pohamował się w gniewie.

— Pojedziesz na przyszły rok! rzekł obojętnie. Ale Hordji się zdawało że się niewiara przebija w jego głosie. „On myśli że pojadę na cmentarz!"

— Ja na imieniny pojadę! abyś wiedział że pojadę!

— Dobrze byś zrobił żebyś w tym roku pojechał do Kaspiel.

— Nie mam za co..

— Mój Andrzeju, wszak wiesz że moja kieszeń dla ciebie otwarta..

— Nie chcę! — odburknął z gniewem p. Andrzej.

P. Tadeusz wzruszył ramionami i lekki uśmiech osiadł mu na twarzy.

— Tam do niego! nie gniewaj się Andrzeju!

— Nie gniewam się ale nie chcę! — z najżywszem zniecierpliwieniem odparł Andrzej.

Pan Tadeusz przeszedł się po pokoju kilka razy tam i napowrót, westchnął, cmoknął ustami. Wreszcie stanął przed oknem i zaczął na szybie wybębniać marsza palcami.

— Każ mi dać fajkę!

Hordia zadzwonił. Podano im fajki na długich cybuchach, zasiedli oba i milcząc wciągali w siebie wonny dymek i wydmuchiwali z ust.

— Nie uwierzysz Andrzeju, jak tam było smutno wczoraj w Korczunkowcach! Przy tym długim stole — siedmnaście nakryć... a ja sam, sam jeden — jak palec!.. Nikogo już, nikogo znajomych... Ani wrzeć pić czyje, ani słowa przemówić!... Nawet Błażeja starego już nie ma.. obca służba.. — Spalczykówka ponad zamąci... nikogo, nikogo!

— A ty sobie myślałeś, żeś już dziedzicem Korczunkowiec? — przerwał z gorzkim sarkazmem p. Andrzej.

Obruszył się p. Tadeusz, pąsowa mu się twarz zrobiła ale pohamował się jak mógł, odetchnął tylko i pykał gwałtownie dym z cybuchu. Kłęb po kłębie wypuszczał przed siebie, żeby go nie dojrzał w gęstym obłoku.

— Słuchaj Andrzeju! - rzekł po chwili serdecznie. - Tak mnie ty przyjmujesz, jakbyś nie chciał abym cię odwiedzał. Powiedz otwarcie!...

Hordia chciał coś mówić, widno było z twarzy że mu się przykro zrobiło, ale nie dał mu przyjść do słowa p. Tadeusz.

— Całe życie kochaliśmy się jak bracia. Nie zawiodłem się na tobie nigdy, nie zawiodłeś się ty i na mnie. Żyliśmy poczciwie to i umierajmy poczciwie. Niechże o Korczunkowce układu między nami — no, to niechajmy, kogo śmierć pierwej zmiecie ze świata. Albo ja albo ty — Bogu to wiadomo. Tybyś chciał abym ja, jabym wolał cię przeżyć. Jak Bóg zechce tak będzie. Ale pocóż mamy patrzeć na siebie jak wrogi?

— Ja jak wróg na ciebie nie patrzę — odparł Hordia, ale widzę jak ty patrzysz na mnie. Patrzysz na mnie jakbyś miał mnie do trumny już układać... a to ja cię włożę do trumny!

— Może - może! - przytwierdził p. Tadeusz z uśmiechem, - Bóg tam wie co będzie! Ale jeśli jeden drugiego ma kłaść do trumny, to niechże go kładzie jak przyjaciela, jak brata - a nie jak wroga.

Serdecznie to powiedział p. Tadeusz, odezwało się serce w Andrzejowych piersiach.

— Jak przyjaciela! jak brata! - przyświadczył Hordia. - Ty wiesz przecie, żem nikogo tak w życiu nie kochał jak ciebie.

I wyciągnął Hordia rękę ku niemu. Uścisnął ją Tadeusz i rzekł:

— Było to, było! kochałeś mnie jak brata.

— A dziś? kogoż ja kocham, jeśli nie kocham ciebie? Do mojej Dalci to chyba już nikogo.

— Siebie...

Gorzko się uśmiechnął Hordia.

— Siebie mówisz? O bracie, nie życzę ja ci abyś i godzinę był w mojej skórze!... Siebie? i cóż ja mam kochać? To stare próchno? Mnie życie jest męką straszną. I dnie i noce męczarnią! Czy ja to życie mam kochać? moją torturę kochać? Jabym już chciał gnić! gnić w ziemi! gnić!... Chciałem interesa uregulować, i Dalci zostawić majątek czysty nieobdłużony... i jeśli Bóg dozwoli wydać ją zamąż za poczciwego jakiego człowieka...

— Mój Andrzeju, rzekł p. Tadeusz, — jak ty możesz wyjść z kłopotów kiedy nic nie robisz aby z nich wyjść? Z dnia na dzień spychasz biedę, a nie myślisz o ratunku. Spłacasz długi dawne zaciągając nowe na coraz wyższe procenta. Mój Andrzeju, na co ty liczysz?..

Spojrzał na niego Andrzej i dziwnie bezmyślnym twarz mu się wykrzywiła wyrazem.

— Przecież kiedyś... zaczął i urwał w pół słowa. Machnął ręką raz i drugi jakby muchy odpędzał. — Et, dajmy temu pokój!... Napijesz się wina?

— Przecież ty pić nie będziesz? Na gościec nic gorszego od wina!

— Gorzej mi już nie będzie. Codzień lampeczka starego węgrzyna to mnie jeszcze utrzymuje na nogach...

— Ej, Hordia! Hordia!

Ale Hordia zadzwonił. Wbiegł chłopak w sukmanie.

— Powiedz Stefanowi niech przyniesie wina z piwnicy; butelkę z żółtą pieczątką, z drugiej półki, od muru!

A gdy chłopak przyniósł omszoną butelkę, odkorkował i nalał w kieliszki, podniósł jeden pod oczy. Okiem znawcy ścierał wina gatunek, potem posmakował jak kwiatek i zlekka dotknął kieliszek i obrócił się ku oknu, nie brzegu ustami. — Tam do licha! cud nie wino!

— Wiesz co to za wino? Dziś go u mnie. Z jedynastego roku! Mam jeszcze trzydzieści dwie butelki. Wystarczy jeszcze na wesele Dali...

— Kiedyż Dalcia przyjedzie?

— Lada dzień jej się spodziewam. A twój Staś?

— Dziś jutro. Od trzech tygodni go czekam.

— Przywieź-że go do mnie. Przecież ja ojciec chrzestny! A może się młodzi podobają sobie?

I trącili się kieliszkami.

— Tyś zawsze nie od tego? — zapytał p. Tadeusz.

— Od czego? Aby się pobrali? Wszakżeśmy to układali zawczasu! Szczęść im Boże żeby się pobrali! Ale pokażże mi twego Stasia (wyprzódy), chcę go widzieć! Jużem go lata nie widział.

— Przywiozę go, przywiozę!.. A ja twej Dali ... nie widziałem.

— Obaczysz ją, obaczysz! No, zdrowie ich obojga!

— Zdrowie naszych dzieci!

I uścisnęli się starzy.

Wypili zdrowie dzieci i „kochajmy się" wypili — ale już trzeciego nie nalali kieliszka. Jakież piłby zdrowie? Nie piłby zdrowia Tadeusza p. Andrzej. Przesądny był — a nuż by się spełniło życzenie? I p. Tadeusz nie piłby Andrzeja zdrowia: pocieszyłby Hordyj pił zdrowie gdy mu już tylko rychłej śmierci życzyć...

A „Kochajmy się" pili. Szczerze czy nie szczerze? Młodych odgadnąć trudno, któż odgadnie starców? Nieodgadnione serca tajemnice — i dla drugich i dla siebie. Starzy sami nie wiedzieli: Kochają się czy nienawidzą. Czem lat więcej tem więcej się plącze i gmatwa uczucie

w nierozdzierzgnioną pragnień gmatwaninę. Niby to jaśniej w głowie — a coraz w sercu ciemniej. Mąci się, mąci kryształowa dusza, przez całe życie się mąci. A wszystko z mętów gąszczu młodości wspomnienia jak stary lagier na dnie beczki. Choć czystego octu nalała tam starość, czasem się też ocet winem dawnem trąci.

I do wieczora ciągnęła się gawęda. Napomniał to gawędą to partją pikiety a Hordzia się rozbawił, orzeźwiał, odmłodniał i o swoich boleściach zapominał nawet.

A gdy się do snu układli starce, to zasypiali obaj z jednakiemi myślami:

— Dobreby tak było, dalibóg że dobre! Jakbyż się dzieci nasze pobrały, to byłoby radości i mnie i jemu. Zgoborskim i Hordziom stałoby się zadość. I mniejsza już wtedy czy jeden czy drugi umarłby pierwej snem wiekuistym. Czy tak czy siak, moim dzieciom, moim wnukom dostałyby się korczunkowce. I ja i on obajbyśmy tak mogli umrzeć. I ja i on. Ej, dobreby tak było, dobre dalibóg!... I nam dobre i im dobre!

I obaj usypiali z tą myślą i w sercach ich obu budziła się wiara:

— I czemużby się to stać nie miało? Pewnie się tak stanie! Jużci pewnie!

Ej stary, stary! Bez młodych wy liczycie, bez młodych! A serce nie sługa, a wiecież wy co tam w tych sercach?

Ej parąby to była, parą, gdyby się pokochało tych dwoje! Ona złoto nie dziewczę a on istna perła między młodzieżą. Hej, gdyby się pokochali! Ale czy ją pokochać?

Któż tam zgadnie co tam w tych młodych głowach szumi, co tam w tych sercach młodych kołacze?

A nuż przyjedzie Dalia od swej wujenki do Hordyjca, a nuż Staś przyjedzie do Stadłowa z zagranicy, a w Daliinej główce jaki wicipięta miastowy, a w sercu Stasia jaka francuska lafirynda albo baletnica? A nuż tak by się stało?

Gdzież tam! na co tego? — Z poczciwego serca łatwo odejmą wszystkie lafiryndy uperfumowane, wszystkie jak francuskie pachnidło, ino go woń owionie polskiej sianożęci i szczerych lasów zgubione tęsknienie. Ale dziewczę, dziewczę? A nuż Dali wpadł w oczko poczciwy taki chłopiec, poczciwy, serdeczny? Jak

sokół przez okienko wpadł przez oczko do serduszka i trzepocze tak skrzydłami jakby w samotnej klatce, bije się, bije biedne gołębica jak się tam trzepoce schwytana ptaszyna. Powietrza jej brak, powietrza. Komu? Dalej czy ptaszynie? – Ej obojgu może! Rozbija się ptaszę w klatce – i klatka się aż wstrząsa jakby schwytanego sokoła skrzydłami unieść gdzieś chciała z piersi dziewczęcej. Hej klatka, biedna klatka! hej sokół, biedny sokół!.. ... A mnie się tak stało?

A Staś? Staś? co wtedy będzie ze Stasiem? Obcemu dziewczynę, obcemu, pokochał – bo to jedno prawie, a ona mu powie... oj, nie mu nie powie, bo on sam wyczytał z jej ócz, z szeptania i zdziwienia jej głosu, że niema dla niego miejsca na tym świecie, że niema i na tym i na tamtym, niema – bo kogo ona pokocha, to pokocha na życie i na śmierć pokocha i na wieczność całą. Już się drugie ptaszę w tem sercu nie zmieści, bo serce jak samotna klatka: gdy tam ptaszę wpadnie to i drzwiczki skrzydełkiem za sobą zamyka, już i samo na wolność wydostać się nie zdoła i do klatki już inna nie wlezie ptaszyna. Zamknięte już drzwiczki, zamknięte.

Biedny Staś, biedny! Jak za matką ojcu, tak za córką synowi zeschnie się życie, zeschnie...

Co znowu! co znowu! Jej to ani w głowie ani jej to w sercu. Serce dziewczęce jak białego papieru ćwiartka po którem pióro nie przeszło, którego niczyje nie zbrukały ręce. Serce jej jak pole czyste w zimowy ranek zasute świeżuchnym śniegiem nowym. Ani na nim stopy ludzkiej, ani zajęczego nie uwidzisz skoku, ani go ptaszyna nie musnęła skrzydełkiem w przelocie. Śpią ptaszęta, jeszcze śpią, nie zbudziło ich jeszcze słoneczko poranne. I świergotu ich nie usłyszysz, chyba we śnie które zakwilą z główką pod skrzydłem schowaną gdy nim (się) pojawi świt. Ale nie nie świta jeszcze, nie świta, jeszcze nie zaświtało.

Niemało ona ptaszków widziała tam w mieście, ale żaden jakoś nie przypadł jej do serca. Niemało się wróbli kręciło, furczało, świerkało – ale ona na nich jak na wróble patrzyła i, jak wróbli świergotu słuchała przydrożnych ich słów. Sokole ona wymarzyła loty; orle jej się przyśniło wołanie. Hej, hej, orłów mało, mało, mało!

Co się stanie z gołębicą jak obcemu (wyśnionego) orła, jak orła wdamcma obcemu oczyma? Oj, biedna gołąbko, po tobie już, po tobie! Już ci ani dnia ani nocy, tylko o orle marzyć, o orle śnić, o orle! za nim ku niebieskim stropom, w piorunowe chmury, nie

wielkiej mrzeżta zdaniej ci ctabinelne. Może on i spojrzeć nie raz na cichą źrenicę. Gdzie tobie do niego, co ci o nim marzyć naprożno. Ciebie oddadzą i z rodzinnego dworku gdzie w jakie gołębie gniazdo. Ten twój szary ojciec, taki gołąb szary, pewnie ci gdzie odda w gołębie jakie gniazdo i gruchać ci tam będzie gołąb, twój małżonek, gruchać całe życie tęsknej gołębicy, gruchać utęsknionym serdecznie tęsknotą stęsknionej za orłem, za tym orłem w chmurach, wyśnionym, wymarzonym i niezapomnianym?

A on? on? twój orzeł, marzenie twe, tęsknota twa? Hej, on gdzieś orlicę w szerokim znalazł świecie, on jak na gołąbkę patrzeć na cię będzie, stęskniony za swoją orlicą tam gdzieś na tatrzańskiej turni niedostępnej...

Może tak, może tak, a może inaczej. A może jeszcze inaczej. Zupełnie inaczej może. Któż wie, któż wie jak tam będzie jak się młodzi obaczą. Nie widzieli się już tyle lat, tyle lat!

Któż wie jak się stanie! Któż to kiedy odgadł na świecie! Hej gdybym to ja wam bajkę pisał i układał ją wygodnie – wiedziałbym ja, wiedział, jak ją wam teraz ułożyć! Wiem ja co wam miło. Wy tak lubicie aby się i łzami napełniły oczy i serce rozgrzało i aby wam uśmiech na usta wywołać i burza żeby była i aż ciemno od chmur i deszcz i słota w ukończeniu aby się niebo rozjaśniło nagle i tęcza zwiesiła kolorowy obręcz z nieba aż do ziemi a nad głową aby jasne otwarły się błękity i śliczna pogoda żeby się w ukończeniu rozśmiało słońce. Wy tak lubicie – ja wiem.

Cóż, kiedy się na świecie nie wszystko tak dzieje jak człowiek zapragnie. Oj, nie wszystko! Życie – to nie poemat.

Czasem życie bywa do tragedii podobne – ale rzadko całe. Do komedii czasem – ale rzadko całe. Ot, dwie, trzy sceny, trzy sceny i akt i dwa aż nagle z patosu niedorzecznego przedzierzgnie się farsą, albo znowu wesołość trzy pierwsze wypiskać i starszą czapkę czarnym kryje kirem. Żałobne sielanki, smutne elegie, żartobliwe psalmy, rozpaczne facecje – wszystko to wszystko możliwe. Arlekińska rzeka różnobarwnych pomieszana strzępków.

Ale nie, najczęściej i tego nie ma wcale. Najczęściej nie ma w niem nawet tej wielobarwności, która bawi oko amatora tego nieśmiertelnego kuligu. Najczęściej bez jaskrawych obwa się kolorów: łatanina jego przeważa potro-szara, szaro-buro-popielata. Niby powieść długa, rozwlekła, nudna, która drzemiąc się czyta i dziwi się cierpliwości autora.

Ot nie dziwcie się więc że i teraz czytacie tyle razy zdrzemali. Ja nie poemat piszę ale raz wprost z życia przeniosłem na papier. Tak zaczątem pisać, to i dokończę tak.

Przebaczcie moi mili, ja wam kłamać nie będę! – Powiem jak było, oto tak i tak a potem tak się stało i taki temu był koniec – no, i dość na tem. Cóż mam więcej ~~mówić~~? Powiem co się stało – i (jak się stało – i) tyle tylko powiem ile wiem i ile pamiętam. –

Możecie być pewni że więcej nie powiem. Nie dodam nic – a niejedno opuszczę, niejedno – bo niejedno uleciało mi jakoś z pamięci i już nie wiem jak to było, czy tak było, czy inaczej, czy może tak. Niby coś tam sobie przypominam ale nie dobrze. Mąci się wszystko, mąci – i nie umiem wykończyć nic. Oj, bieda z tą pamięcią, bieda!

Mówią ludzie że trzeba codzień trzymać ręce w (zimnej) wodzie po łokcie pół godziny, albo więcej, to się pamięć naprawia. A inni mówią że trzeba jakiś tam kamień drogi nosić w pierścieniu – ale jaki? coś z tego kiedyś ~~nie~~pamiętam. A inni znowu radzą, że tam jakieś ziele, Bóg wie jakie; aptekarza na to trzeba aby wiedział jak się nazywa. Ja nie wiem. Wierzę a i nie wierzę ~~[illegible]~~ nawet aby to pomogło. I zielu nie wierzę i pierścieniowi i trzymaniu rąk w zimnej wodzie. Może wy powiecie że to grzech, bo mi już się to nieraz zdarzyło słyszeć że grzech nie wierzyć w co inni wierzą – no, ale ja nie wierzę. Po co mam udawać, kiedy nie wierzę. Wstydziłbym się kłamać. Nie mogę – już taka moja natura.

Ale o czem to jam mówiłem? o czem? Gdzieśmy to stanęli w opowiadaniu?

A no, stanęliśmy na tem jak Florka Zegoborskiego raczył starym węgrem.... Nie, nie, to już było. Stanęliśmy na tem jak w braterskiej zgodzie obaj się spać pokładli, a obaj zasypiali z tą samą myślą i z tem samem pragnieniem: aby Dalcia poszła za Stasia, aby Staś ożenił się z Dalcią. I Zegoborskiemu i Florkowi uśmiechała się ta myśl. I jeden i drugi powiedział sobie: oj, dobreby to było. A i jeden i drugi myślał: no, czemużby tak się nie miało stać? Stanie się tak, prędzej czy później się stanie!

A żadnemu na myśl nie przyszło, czy też to młodzi na tę myśl przystaną. I nie pomyślał żaden, czy się tam już w młodych ~~[illegible]~~ głowach inna myśl nie zalęgła, czy ~~tam~~ w młodych sercach inne już jakie w bujną glebę nie wpadło ziarenko i nie zaczęło kiełkować. Oj, w tych młodych głowach pełno to materiału jakby słomy sterta i nie trudno o słomiany ogień, ~~[illegible]~~ a chociaż słomiany to w niego wszystko łatwo pójdzie z dymem. A te serca młode, oj, bujnaż to gleba! Każde tam nasionko

zakiełkuje zaraz jakby na inspektach na żywym kompoście. Zakiełkuje, wyrośnie, wybuja i wszystko przygłuszy.

Nie pomyśleli o tem stary i Słodka [illegible] uśmiechała się nadzieją i oni sami uśmiechali się słodko i ruszali wąsami odświeżając [illegible] co im do ust [illegible] miał ochotę i odetchnąć jeden i odetchnął drugi i usnęli.

Śpią, śpią. – I śni się panu Tadeuszowi Dalcia. Dalcia, niby Dalcia a niby jej matka. A on tak do niej mówi niby jak do swej synowej – a ona Stasia błogosławi, jakby to była jej matka. A czy matka czy synowa to mu zawsze dziwnie błogo – tak mu dziwnie jakby on sam był Stasiem... I już nic mu się nie śni. Zachrapał stary i chrapie. Chrapie, chrapie jakby drzewo piłował.

A panu Andrzejowi śni się uschnięty Napoleon. Chodzi, chodzi Andrzejowi – bez korony [illegible] jak tamten, bo ty ostatni... ty ostatni!... I widzi pan Andrzej pustą salę, jadalnię Koronkowskiego dworu... wszystkie [illegible] puste, [illegible] pokryte, [illegible] niby meble ale na każdym widzi się coś białego przezroczystego już [illegible]... On ich poznaje wszystkie... wszystkie... tylko Zagłobowskiego domu. I wszystkie gadają do niego, wszystkie naraz. I śmieją się z radości tych mebli. A on widzi ich wszystkich i wszystkich poznaje i czegoś mu straszno między nimi. Obraca się a za nim biały cień... cień straszny. Krzywi mu się [illegible] i [illegible]... Zimny pot wystąpił mu na czoło – budzi się.

Otarł pot ręką i straszno mu jeszcze nagle po tym śnie. [illegible] go woli wspomnień i rozmyśla czy on miał znaczenie? i czemu Zagłobowskiego tam nie było? Długo myślał nad tem, długo i zasnął.

I znowu mu się śni p. Napoleon z nastroszonym wąsem i mówi gniewnie: Ty raz już byłeś na moim [illegible]! Ty raz! Koronkowice Niemcy wezmą, boś wszystko zaprzepaścił. A ty ostatni [illegible] nie wiadomo Koronkowice? Ostatni jakiś i nic nie wiesz!... +

I w tej chwili wchodzi Zagłobowski i śmieje się do rozpuku i aż przysiada od śmiechu [illegible]... I Grzes się śmieje i Rozkrzyczeli wszyscy umarli... Strasznie się śmieją. –

Obudził się i nie mógł już usnąć p. Horda. – Wstał, się napił, morfiny zażył i usnął dopiero gdzieś nad ranem. Dalcia mu się śniła – no, [illegible]!...

+ I widzi p. Horda jak wchodzą Niemcy i idzie jeden po drugim, cała kuźnia a Kreishauptmanem na czele. – niby to do Koronkowic a [illegible] i [illegible] wszystkie zdrowe meble i obrazy i stół do [illegible] i [illegible]. Wszystko [illegible] i śmieje się głośno. Umarli jakoby z Koronkowskiego zadarli. [illegible] tylko [illegible], [illegible] w [illegible], [illegible], gniewnie patrzący na niego – [illegible] stole, siedzą

A nad ranem i panu Tadeuszowi śni się ów Dalia. Na kolanach trzyma on podwiesiej swoją i cała ją wszystko i tylko jej brać ... I dobrze mu tak z nią jakby stanem był a mu lekko. Ale wtem Hordzia się rzuca na niego z gniewem i przykrem ... i Dalia z kolan mu ściąga za ramię i odbiera mu i sam się rzuca za niego i za gardło go chwyta chudemi palcami rąk jakby go chciał zadławić. Ranie się zrazu pan Tadeusz i na ziemię go już powalił. Ale Hordzia coraz silniej ściska go za gardło – a sam silny, niebieski jak trup cały się ... wygrzebał na wierzch ziemi i trupem go cisnął ... – oh jaki straszny! Krzyknął p. Tadeusz głośno przez sen, raz i drugi krzyknął – i zbudził się.

A gdy wstali obaj z pościeli – Szyborski rano bardzo się zerwał jak zwykle i obszedł całe Hordyniećkie gospodarstwo, Hordzio spał długo jak zwykle – A gdy obaj już byli na nogach i zeszli się na kawę, powitali siebie „Dzień dobry” i spojrzeli na siebie. Ale jak na siebie spojrzeli, to już inaczej ... oczyma, wcale już innemi niż przy wczorajszem serdecznem „Dobranoc bracie”. I obaj to spostrzegli że innemi na siebie patrzą już oczymasz. A każdy czuł jak drugi na niego patrzy i czuł każdy jak on patrzy sam i co mu z oczu przeglądało i co mu drugi z jego wyczytał wzroku.

Pomyślał Hordzia: wolałbym by mnie już nie było na świecie. Tak obaj Pomyślał Szyborski: wolałbym aby mnie już nie było na świecie... Tak obaj pomyśleli i obaj taksamo. I tak samo wzdrygnęli się obaj podając sobie ręce. I jednemu i drugiemu nieswojsko było wśród ... Już nie to co wczoraj, już nie to.

Gadu gadu, o tem i o owem – ale nie szła pogawędka. I wybierał się już Szyborski i chciał wracać do domu. Zatrzymywał go Hordzia ale niezbyt szczerze. Ale jeszcze go prosi: Zrób mi jeszcze tylko, karbowy mnie ... zanim pojedziesz wyjdź ... w pole, obacz ile zasiewu, bo ... mój ... sam w pole ... a dla mnie to męka straszna iść tak daleko.

– To daleko?

– Oto za lasem nad Łukawką, z trzysta kroków.

I poszedł pan Tadeusz. Idzie, idzie, (aż tą drogą ... Dziwnie jakoś znajome mu wszystko. Przypomina jakoś, czy też to nowe? Dziwnie jakoś znajome się wydaje. Ale to bardzo znajome – jakby swoje własne. Wydało się panu Tadeuszowi. Ale to bardzo znajome – jakby swoje własne. Któżby to zgadł?

Jużci znajome! znajome bo jego własne. Stanął pan Tadeusz i od słońca dłonią patrzył? kto, i coco? ... Widzi – nie widzi. A zaraz przed stadniczkie oczy zasłania, patrzy, patrzy, koniki, już, już za chwilę będą przy nim.

– Stój! stój! Na miły Bóg, to Staś! Staś!

I wtedy się przechylił nakoniec starowinek ściągający lice i bryczka stanęła. A zanim stanęła, już rosły młodzieniec wyskoczył na drogę i całował Ojcu ręce i ramiona i z wielkiej radości byłby starcowi i nogi uściskał, ale go stary pochwycił w objęcia.

— Skądżeś ty się tu wziął Stachu tak rano?

— Wczoraj wieczór przybyłem z Krakowa - usłyszałem żeś Ojcze w Florjanowie, wyjechałem dziś o świcie...

— Wszak mówiłem ci wyraźnie że wrócę dziś w południe.

— Powiedziano. Ale mnie było pilno do Dolskiego czekać do południa... I do p. Flory pilno mi było, bo mam list do niego.

— List? od kogo?

— Od panny... Magdaleny.

— Więc ją widziałeś w Krakowie? A pozwól mi prędzej że cię w Krakowie nic zatrzymać wcale. Czekam cię synu już od trzech tygodni.

— Zatrzymałem się - sam już niewiem jak się stało, ale to dobrze się stało.

— Czemu dobrze?

— Dobrze Ojcze... ja ci powiem czemu dobrze... ale potem, potem, potem...

— I długo bawiłeś w Krakowie?

— Trzy tygodnie

— Trzy tygodnie?...

I zdawało się starcowi że już odgadł wszystko i serce oblała wspomnień jego przeszłość jakby odmłodniało. Patrzał na syna, patrzał i rosło mu serce (jak za młodu rosło). Ej, to chłopak to chłopiec też po Stanisławie! Samo zdrowie, sama siła, jakby z dębczaka młody. Oko sokole a wąsik, a usta - ach tylko w raz [illegible] się śmieją! - Patrzał stary na niego i rosło mu serce i zdało mu się że już odgadł wszystko. Bo i jak miał nie odgadł. I zapytał nagle:

— A cóż, ładna Florjanka?

Zaczerwienił się chłopak.

— Czy ładna?...

I znów mu zabrakło.

— Zakochałeś się chłopcze?

A Stasiowi fala krwi oblała twarz, jedna fala, druga fala a twarz czerwieńsza. I poważną nastroił minę i poważnie spojrzał ojcu w oczy i poważnie rzekł aż poważnie:

— Zakochałem się Ojcze. Kocham pannę Magdalenę.

— A czy szczerze?
— Całem sercem, Ojcze, z całej duszy...
— Szczęść ci Boże!

Radość jak słońce zabłysła na twarzy młodzieńca. Ucałował Ojcu rękę.

— A cóż panna? — pytał stary.

— Mam nadzieję, Ojcze kochany... — jąkał się Staś

— Niż cóż słówek — taram do niego! Powiedz prawdę, powiedz Ojcu! Szczerą prawdę: kocha czy nie kocha?

Ale chłopak zarumienił się przed Ojcem, jakby on był Dalią a Ojciec Stasiem.

— Ojcze! — rzekł proszącym tonem, jakby miał ubłagać starego, żeby zdradzania wielkiej tajemnicy nie żądał.

Stary się śmiał.

— Kocha czy nie kocha? no, mów! nadzieję masz? małą, malutką, średnią, dużą?

— Dużą... wybąknął Staś. — Byle p. Hordzia...

— Dużą! dużą! cóż ja z tego wiem? nic!.. no, jak to dużą? jak ta fajka, jak ta czapka, jak ta bryczka, jak ta stodoła?

— Jak ta stodoła... jak ten świat! — odrzekł śmiejąc się chłopiec. — Byle tylko p. Hordzia...

— No, no, to już moja rzecz... Ale przygotuj się, Hordzia twardy bursz, koko! bardzo twardy!

I tak idąc wciąż w ciągu rozmowy doszli do dworu.

Hordzia stał na ganku

— To twój syn Tadeusz! — zawołał radośnie, ledwie ujrzał Stasia. —

— Syn. Przyjechał ci prosić o rękę twej córki.

Staś skamieniał. Osłupiał Hordzia.

— Cóż mówisz! — rzekł wreszcie wzruszając ramionami. Zwariowałeś stary czy co? żartujesz?

— Nie Andrzeju, nie żartuję! Proszę cię o rękę Dalii dla mojego syna...

— Gdzież tak nagle! gdzież tak nagle!... Ja nic nie mam przeciw niemu, ale... ale...

— Wnuk to twój pokrewniak! Andrzeju!

— Ależ... ależ... ja nie wiem co dalej...

— Pora za nim... no, stary, jeśli ona zechce, dasz ją?...

I przechylił się ku niemu i coś szepnął na ucho:

— Tu ... na tym ganku ... pamiętasz?.. że trzydzieści lat temu...
Joasi...

Ja niewiem co on zrozumiał więcej... ale przypomniał sobie snadź Hordzio, przypomniał sobie żywo. I patrzał na niego i na Stasia patrzał i jakby mu w duszy zmartwychwstała ta chwila kiedy tadeum [illegible]; [illegible] co zajechał bryczka przed ganek prosto (z pozwolenia) od Joasi i jak porwał go w ramiona nalewny radości że mu nadzieja zabłysła... [illegible] i jak spojrzał mu w oczy i odgadł mu serce i uciekł od szczęścia i od pokusy aż na drugi świata kraniec... — Przypomniał sobie Hordzio to wszystko.

Przypomniał sobie i wyciągnął ku Stasiowi ramiona:

— Mój... synu.. jeśli ona za tobą... to niech [illegible] będzie twoja!..

A Staś całował mu ręce, a Hordzio go objął w ramiona
Rozpłakał się Staś z radości.
Obaj płakali.

Płakali wszyscy troje.

Płakali i śmiali się.

A w lesie dalej stało... Ale czasu to obchodzi w tam więcej lasów stało.

Przyjechała za tydzień. I za tydzień... nie, zaledwie osiem odbyły się zaręczyny. Tak, za ośm dni. Równo za ośm.

A we wrześniu ślub. Dwudziestego września.
Mieszkali razem w Hordziejowicach najpierw a napotem w Stadkowie.

A teraz W Korczunkowcach mieszkają, [illegible] bo Korczunkowce ich. I Korczunkowce i Wilkowice, Żórawka, Sęki i Karpiłów. A prócz tego i Stadków i Hordziejowice. — Śliczny to majątek — [illegible] folwarków. — A na cały folwarki. Ośmioro. (A śliczne dzieci!

Ale i dzieci mają już siedmioro. Trzech chłopców: Stasia, Tadzia i Jędrusia i czworo dziewcząt: Joasię, Magdusię, Jadzię i Wandzię.

Kochają się bardzo i bardzo szczęśliwi.
Dzieci chowają się zdrowo, a we wszystkiem się im powodzi. —

Ale starzy, obaj już nieżyją: i Łęgoborski i Hordzio. Obaj już nieżyją — i Łęgoborski i Hordzio. (wam nam powiedzieć, kiedy niepamiętam. Jak

Który [illegible] ? którego prześpi? Prawdziwie [illegible] niepamiętam. Jak wam zaznaczę moi najmilsi — niewiem. | Ale, mniejsza o to!

Testament Napoleona

Warunki.

~~Dziennik drukuje nowellę, starając się o~~

Nowella drukuje się w ciągu 1878 r. w (feletonie) Dziennika Polskiego

Wydawcy starają się o baczną korektę.

Wydawcy drukują odbitkę nowelli w formacie, który im ~~najodpowiedniejszym~~ w ilości egzemplarzy zależnej od ich woli ~~i w ich formacie~~ będzie dogodnym. (Starają się o baczną korektę odbitki. – Każdy ~~wydrukowany~~ arkusz odbitki, jeżeli można przed wydrukowaniem, przesłany będzie autorowi (do rewizji w szczotkowym odbiciu), ~~wyprzedzony co najmniej~~ ~~zaś po wydrukowaniu~~ Jeżeliby zaś to dla pośpiechu uczynić się nie dało, przesłany zostanie autorowi po wydrukowaniu (jeden egzemplarz ~~od~~ dla zrobienia każdego arkusza) spisu (ważniejszych) błędów drukarskich, który kosztem ~~wydawców~~ na końcu książki ma być umieszczony na osobnej kartce, jeżeli tego autor zażąda.

Autor otrzymuje jako honorarium 300 egzemplarzy odbitki wydrukowanej na papierze o ile możności lepszym niż papier „Dziennika Polskiego". – Egzemplarze te mają być porządnie zszyte i zbroszurowane w kolorowej okładce (z tytułem). Oprócz tej okładki ma być karta tytułowa osobna, o ile możności ozdobnemi odciśnięta czcionkami.

a) W grudniowe dni

Drukowane w Ateneum
Warszawa 1881
i 100 odbitek Warszawa 1881.

Ukończone 11/1 1878

b) {List Piotra Chmielowskiego 8. III 1881
{Dwa brulijony M. P. (odpowiedzi)
[W sprawie druku Grudniowych dni]

W grudniowe dni.

Nowella.

W grudniowe dni

nowella

I.

> (*) Z odgłosem [illegible] wyciosanej trumny [illegible] na słońcu, mokra świerkowa kłoda pacny się i pęka od żaru. Zasycza w swej czaszce ukwaszone [illegible] soki żywotne i znów trzeszka włókno, [illegible] z głównym strzałem, sypiąc dokoła iskrami

Czy drzemie staruszka?

Któż odgadnie? U niej marzenie tak do snu podobne, — sen jej tak podobny do śmierci!

Powieki wpół przymknięte, na ustach uśmiech pełen słodyczy i smutku. —

Na twarz jej bladą, od czasu do czasu jaskrawym odblaskiem [pogrzebowych świateł] padają płomienie kominkowego ognia (*) [illegible]

Iskra każda chwilkę w powietrzu żywiej zaświeci, jakby myśl w głowie konającego [ostatnia], — zaświeci jak rodząca się [illegible] gwiazda — i zgaśnie na wieki.

Czerwone półświatła, półcienie, drgają na przemian po zmarszczkach mizernej twarzy, bawią się siwym jej włosem, złocą go i srebrzą i przywracają mu chwilami kruszy połysk młodości. W różowych przebłyskach żaru, przezroczysta tkanina muślinowych szlarek jej czepca zdaje się zmieniać na jedną sekundę w girlandę róż.

Jak jej z tem ładnie!.. Jakby jakie wnuczęta figlarne, tak ją stroją figlarne gnomy i kobolty płomyków. Któżby ją stroił inny w jej samotnie? Hucy zamieć śnieżna na dworze, zmarzłemi grudkami śniegu bije w wąskie okna dworku.

I cisza zresztą — głucha cisza, tylko ten szum wichru i to małych szybek dzwonienie i syczenie i skwierczenie wilgotnego drzewa na ognisku i niekiedy huczny wystrzał pękającej kłody.

Te gnomy ogniska one to już może staruszkę rozerwać chcą temi głowami? one to może zmówiły się z elfami w śnieżowej bujającemi zamieci i rozmawiają tak z sobą na wzajem: niestrudzone w zabawie dzwonią i trzaskają z biczyków jak drobna dziatwa i jakby rozswawolone chłopięta rzucają w szyby okien gałeczkami śniegu.

Poczciwe duchy! jak one znają serce człowieka! Jak one zająć umieją mu myśl w długich, uciążliwie długich godzinach tęsknoty! jak one wiele powiedzieć umieją półsłówkiem, półdźwiękiem, półszeptem!

Poczciwe duchy! jak one pocieszyć umieją tych, dla którychh

przyszłość martwym jest wyrazem! jak one wiedzą o czem z kim rozmawiać! jak one wskrzesić umieją zapadłe w niepamięć czasy zamierzchłe, niepowrotne radości, zachwyty i uczucia!

One przemawiają do serca ludzkiego wspomnieniem!

A żywo wspomnieć — to jakby odetchnąć raz jeszcze wonią lubego kwiatu, który nam z rąk wyrwano...

Inaczej uśmiecha się człowiek gdy o przyszłości marzy, inaczej wcale gdy duch w odblasku wspomnienia zatonie.
Patrzcie! w jej uśmiechu niema niespokojności oczekiwania i drżenia nadziei. Jej uśmiech - to spokój.

Ona wspomnieniem oddycha — wspomnieniem młodości. A młodość dla starca cała przeszłość oczekiwana, niepowrotna. I chwile szczęścia które błyszczały niegdyś, choćby na czole siwym już nawet osrebrzonem włosem — to także wspomnienie młodości.

Cicho. Podniosła się nieco w poręczowem krześle. Wyciągnęła rękę niepewnym jakimś ruchem przed siebie, jakby szukając po omacku jakiegoś przedmiotu na małym krągłym stoliku ustawionym tuż obok jej podnóżka.

Lekkiem z góry dotknięciem drżących palców, jak to czynią ślepi, poruszyła po kolei każdy przedmiot leżący na stoliku: szklankę z jakiemiś ziółkami, srebrną cukierniczkę, flakonik porcelanowy i małą w czarnych ramkach fotografię.-

Wzięła tę ostatnią ostrożnie do ręki, ale nie poniosła jej do oczu, tylko drobną swą dłonią przykryła, końcami palców dotykając wizerunku, tak jakby przez taflę szklaną odczuwała magnetyzmem palców dotknięciem utęsknione rysy portretu.

Żywszym wyrazem smętnej jakiejś lubości rozjaśniło się oblicze staruszki. Ktoby nie wiedział, że to niewidoma, patrząc na nią w tej chwili, byłby pewnym że widzi.

A ona tylko czuje.

Ona widzi naiście, ale tylko swej duszy oczyma — mówiąc za Szekspirem.

Nieprawdaż? śmieszny to sentymentalizm w tym wieku prozy i realizmu! tem śmieszniejszy że go popełnia sześćdziesięcioletnia staruszka, tem śmieszniejszy że go nie wśród ludzi popełnia, którychby takiem chciała zjednać dla siebie przestarzałym romantyzmem, ale sama wobec siebie tylko i wobec fantastycznych konturów płomyków i tej zamieci migającej zaglądającej do szyby przez skrzystalone mrozem okienko... i wobec tej fotografji w jej ręku...

Odłóż czytelniku na bok tę sentymentalną nowelę. Tu niema prawdy.....

O, jeśli czytasz że prawda. Pomyśl, to nie dzisiejszych czasów niewiasta, ona sięga urodzeniem pierwszych dziesiątek naszego stulecia...

A kiedyś, kiedyś, na starość... gdybyś doznał wiele szczęścia w życiu i kochał i płakał na ukochanych grobach i został się wreszcie samotny, niewidomy w odludnym zakątku jak ona dworku i sam się tam ucisz z wspomnieniami

wśród... kto wie? kto wie, czyby się nie przestał śmiać, czy, gdyby ci wtedy przypadła na myśl przeczytana w młodości nowela... kto wie?

Dziś się śmiej.

Biedna moja staruszka da ci więcej jeszcze powodów do śmiechu.

Patrz, wsłuchała się ślepa marzycielka w to pękanie małej szwajcarki na kominku, w tę muzykę bijących wolno świergocących grudek i płomieni dawnym rytmem dzwoni jej w duszy wspomnienie... Ręką przysłania oczy, jakby lepiej przypomnieć chciała a usta poruszają się mimowiednym szeptem miarowych słów w pamiętne serce wbitych rymy...

Zrazu szept cichy — i głośniej — głośniej... wiersz jakiś powtarza z pamięci... Jakie to śmieszne!

Żywszy płomień buchnął na kominku — blaski rozlały się jaśniejsze po całej izbie. Przystroiły rzeźbę starej tych mebli, a świetniejsze niż kiedyś przypominały czasy, odbiły brązowy postument starego zegara z kurantami, z orłem dźwigającym wieża wszystkie ... prześliznęły się po półkach wytwornie oprawnych książek, odbiły się w złoconych ramach portretu wiszącego na przeciwległej ścianie: portret młodej uczesany — ach, jakże pięknej!...

Rzecz dziwna, jak sam ten portret (znajomym mi wydaje,) przypomina kogoś, gdzieś widzianego — na jawie czy w wyobraźni.

Ach, to portret staruszki samej!...

A ona mówi, cicho zrazu... i coraz głośniej... i z coraz większym uczuciem, tak że dźwięk mowy jej słowa barwi i stroi w poezję prawdziwą, twórczą wierszy:

— Pamiętasz, kochanie ty moje,
Nasz pierwszy po ślubie ranek?
~~Jak szliśmy gdzieś sadem pod ręce oboje~~
~~Ty kochanka i ja kochanek~~... I co ci mówił kochanek?

Pamiętasz tę jabłoń w ustroni
W dzień pierwszy twego zamęścia?
Wiatr prószył nam głowy kwiatami jabłoni...
Pamiętasz luba, dzień szczęścia?

Wtedy kochana i kochająca,
Jak wiosna pełna młodości,
Tyś coś mówiła, jakby z nocy tysiąca,
O naszej przyszłej starości.

W dzień jasny, wiosenny i ciepły
Tego pragnęłaś jedynie.
Pragnęłaś... by serca w starości nam skrzepły
Obojgu w jednej godzinie.

A. B. C.

Pamiętasz, [illegible]
Jak szliśmy, [illegible]
I sadem rozkwitłym jak [illegible]?
a [illegible]

Wtedy kochana, kochająca,

I. Chcieliśmy, by razem ~~kiedyś~~ obie

D.

E.

I śmiercią owiani oboje,
Jak wichrem zerwane kwiaty,
By ~~dwoje~~ kiedyś staruszków – kwiatuszków nas dwoje
W nadziemskie wzleciało światy.....

... Patrz, zamieć dziś sroga, śnieg pruszy,
Włosy nam starość spruszyła:
Czyś taką ty niegdyś, w młodziutkiej Twej duszy,
Czyś taką starość marzyła?

Czy w takiej-to srogiej zamieci
Chcesz w drogę puścić się ze mną?
Czy może wiosenne słoneczko niech świeci
W podróż dusz naszych tajemną?...

Patrz w kiściach co drogich kamieni –
Brylantami wicher sieje...
Nam ciepło tam będzie bez słońca promieni,
Nas miłość, miłość ogrzeje!.–

Zegar zaczął grać kuranta. To południe.

II.

Ach, jakież śniegi na podgórzu karpackiem!

Jaki czas! co za zadymka straszliwa! Mróz kilkunastostopniowy a wicher porywem łamiący drzewa po drodze, z nóg wali ludzi przechodzących w poprzek drogi we wsi, od chaty do chaty, – przeszywa ich nawskroś, do kości. –

Cóż to się dziać musi z tymi, którychby ta zawierucha wszystkich polu gdzie spotkała! Ulituj się ~~[illegible]~~ [illegible]!

W czystem polu? Ee, któżby się to puścił w drogę o takiej porze? Chyba szaleniec jaki.

Któż jechał wie? Zawierucha taka zrywa się nagle, niespodzianie, każdego zaskoczyć może, najostrożniejszego nawet.

Psy naszczekują od wsi, przytłumiony ich głos i jakby trwożny, chowają się pewno każdy gdzie który może, tuląc się pod strzechą, do ściany stajen przylegają bokiem, skąd szparami ciepło na nich wieje. Psa wypędzić na dwór żal człowiekowi, a cóż dopiero człowieka. | Zmrok już zapada. Od trzech godzin już ~~gorzej~~ niż zmrok zwykły, bo ciemno od chmur i zadymki. Ale coraz już ciemniej: teraz to pewnie już zmrok.

Za wsią wzgórze za wzgórzem a każde do drugiego podobne. A wszystkie zasute śniegiem na łokieć, na sążeń gdzieniegdzie. Drogi nie dojrzysz na trzy kroki, nie rozpoznasz jej, choćby ci zadymka oczu nie ćmiła, wiatr zimny pokrywa nie zamykał. Biało i biało wszędzie, śnieg i śnieg równo rozpostarty jako biały obrus, ani śladu na nim ani znaku.

Tu i ówdzie czerni się kilka lub kilkanaście ~~[illegible]~~ wyniosłych świerków wiatr ~~[illegible]~~ nimi miota gwałtownie, ~~[illegible]~~ uginają się na prawo i na

lewo, to wtę to ową stronę: w stronę wichru chyla się gwałtowniej, skrzypiąc zdrowego jakby przełamać się miały i prostując się siłą sprężystych włókien chylą się znów w drugą stronę i skrzypią głucho – jęczą niby...

Może to człowiek jaki zbłąkany zapadł w śnieżną zaspę, i jęczy tak?

Drogowskaz!.. ah, jest droga! chwała Bogu! tędy, na prawo... Poczciwe biedne konięta, one ją wynalazły, człowiek naprożno by jej szukał. Rzucił chłop wodze koniom i zdał się na ich instynkt, a sam przytuliwszy się do swej ostatnia własnem ciałem od wichru nowonarodzone niemowlę na jej ręku owinięte w pieluchy. Woził je do chrztu świętego do parafialnego kościoła, dwie mile tam, dwie mile z powrotem... Czy je żywe zawiezie do domu? czy sam żyw powróci? ktoż wie, kto wie?

Pięć godzin temu jak wyruszył z domu i pocałował w chałupie matkę swego dziecka. Nie zanosiło się wtedy na tak wielką biedę. Mróz był strasny ale zadymki nie było. Trzeba było jechać – bo naiżby dziecko umarło i dzieciątko pomarło do piekła; strach pomyśleć! trzeba było jechać.

– A niech się nazywa Marynka! – rzekła mu żona na odjezdnem. I podniosła się nieco z pościeli i przyciągnęła kumę do siebie, trzymającą jej niemowlę na ręku i pocałowała swoją jedynaczkę. – A niech się nazywa Marynka! – powtórzyła proszącym tonem. – A nie dajcież jej zamrzeć z głodu i z zimna!.. Oj, mnie bardzo źle Józku! ja was tu może nie doczekam... A niechże się nazywa Maryna, jak ja!...

Ale proboszcz nie dał się uprosić, „Coż-to, rzekł, w waszej wsi same tylko Maryny mają być? Dość już tego. Już u was sześć Maryn tego nazwiska. Babamuchowo w metryce i koniec. Niepozwolę." I ochrzcił ją Hanka.

– Hanka! hej, hej, kumo, coż ja żonie powiem jak mnie zapyta?... Ona pomyśli że ja ją tak nazwał od tej Hanki.. co to wiecie...

– A juści wiem. A juści pewnie tak pomyśli –

– Jezu! ta niechby umarła, niechbym ją żywą do domu nie zawiózł!...| I nareszcie pijany Ojciec zaczął zawodzić głosem nad nieszczęsną Hanką ale przysunął się jednak bliżej do kumy aby dziecko od wichru osłonić.

– Dajcież pokój! Nareszcie i to grzech życzyć śmierci własnemu dziecku... żeby człowiekowi pomrze... ale to do was takie podobne...

A Józek zamiast odpowiedzi nie mówiąc nic i wyjął z zanadrza flaszkę wódki, napił się sam, dał się napić kumie a potem dziecku do drobnych usteczek wpuszczał parę kropel z bibuły, która zamiast korka zatkana była szyjka butelki.

I zjechały sanki w głęboki parów, pokryty kilkusążniową zaspą. Zadymka zaczęła się zmniejszać.

– Jezu Chryste! rany boskie! a to co? baranią czapka... (i nawpół już śniegiem przysypany z twarzą w śnieg zarytą) człowiek leży w śniegu! – hou! prr!..

I zeskoczył Józek z sani. W śniegu leżał człowiek w chłopskim kożuchu, w nowych butach z cholewami wypolerowanemi z których wydobywała się słoma, roztarzywane w grubych dwupalczastych rękawicach z szarego sukna, uwiązanych na sznurku do kożucha. Na plecach miał przewieszoną skórzaną torbę.

Józek zaczął go cucić.

– Hej, taż to Michał, ten ze dwora.

– Spił się pewnie..

Natarł go Józek śniegiem, potem wódką skropił – a gdy pijany zaczął dawać znaki przytomności, z pomocą kumy wyciągnął go na sanki. A niemogąc się już pomieścić w sankach przy takiem zwiększeniu liczby podróżnych, na nim usiedli obie,

— Wio, wio! — a biedne koniska ciągnęły co siły... pod górę, pod górę.

Co chwila to samo zarzynały się w śnieg, co chwila wykrzykiwał Józek i pomagał koniom aby je wyciągnąć, a potem znowu jednym skokiem był już obok baby siedzącej nieruchomo a żywo jednak siedzenia. Za każdym takim skokiem żywa ta kłoda przygnieciona ciężarem Józka skrzypliwym stękiem dawała znać o doznawanych sensacjach.

Dojeżdżali już na szczyt góry, znowu wicher się wzmagał, znowu gwałtowniej szalała zadymka. Nagle usłyszeli za sobą głośny klekot dzwonków i ujrzeli najprzód dwa duże bułanki w chomątach i porządnej uprzęży, (woźnicę w płaszczu z futrzanym kołnierzem podniesionym do góry a za nim w szerokich saniach dwie kobiety, jedną zasłonioną woalem, w futro i szalem szafirowym owiniętą, drugą w porządnym wiejskim kożuchu, i kraciastą czerwoną chustą na głowie.

— Hej, człowiecze! — zapytał woźnica. — Czy dobrze tędy do Paprotki?..

— Dobrze! prosto!..

— A od karczmy na prawo?

— Na prawo.

— A za mostem?

— Most zerwany, jest tylko ława. Musicie objeżdżać, po pod las hen, hen, koło figury.

— Bóg zapłać!

I zaraz bułanki popędziły naprzód.

Oglądała się długo za niemi kuma i za czerwoną chustą i za szalem niebieskim, westchnęła i rzekła wreszcie:

— Kumie, strasznie zimno! dajcie-no wódki.

Popił Józek sam z flaszki i podał kumie i odsłonił dziecko aby mu do ust nakropić. Włożył mu palec w przetwarte usteczka, poruszył twarzyczkę z jednej i z drugiej strony, przechylił się nad niem aby je lepiej oglądać i przerażonym nas jakiś natarł na nie wzrokiem.

— Oho, kumo! — zawołał wreszcie: Hanka już umarła!..

— Co gadacie?... umarła?... Rany boskie!... A cóż wama pocznie?..

— Eh!.. odezwał się po chwili Józek z ponurą rezygnacją.. — może i ono już umarło...

— Byłoby dwa pogrzeby na raz!

— Oj, — zawodził chłop. — Zkąd ja na to wezmę pieniędzy!.. Dopiero chrzciny, to znowu pogrzeb!.. Łońskiego roku jak stara umarła, piętnaście papierków mnie to kosztowało!..

Wyciągnął sanki z zaspy i wskoczył na siedzenie.

— Uff! — stęknął ogarniając się ręką bezmyślnie.

III.

III.

Potrącona w samotnem sercu struna wspomnień wibruje i drży bez końca.. Jak owa syrakuzańska grota, gdzie jedno ledwie dosłyszalne westchnienie tysiącem naraz odbrzmiewa westchnień, takiem jest serce. Niema w niem wspomnienia bez echa: niech jedno zcicha zadźwięczy, odpowie mu drugie i trzecie i tysiące naraz zdawna przebrzmiałych odzywa się głosów w dziwną spływając harmonię... w dziwny czasem dyssonans.

Trzy piekielne siostrzyce snuły grekom nić żywota. Lecz w miarę jak się nić ta rozsnuwa, snuje się druga: na kłębek ludzkiej pamięci nawija się nić wspomnienia. – Dusza ludzka – to otchłań: dość w nią rzucić ów kłębek zaklęty, nić wspomnień snuć się będzie bez końca. Splątana, zwikłana, nie rozgmatwa się nigdy, a snuć się, snuje...

Snuły się wspomnienia w siwej głowie staruszki.

Nie wiele ich wiązało się z tym białym dworkiem w Paprotce na karpackiem odludziu. Za życia męża, który zaszczytny urząd obywatelski piastował, mieszkali oboje w mieście, w stolicy. Z wyjątkiem najmłodszego syna pomarła im dziatwa w pierwszych dzieciństwa latach, a jednak dziwnie swych myśli i uczuć związani harmonią z pogodnem czołem szli drogą zacnego żywota, kochający, szczęśliwi, spokojni, wesoło w przyszłość patrzący.

Majątkowe klęski nie zachwiały tem szczęściem. Majątek ich, w górach wprawdzie położony, ale zawsze dość znaczny i z trzech złożony folwarków, zmuszeni byli w większej części rozsprzedać, zostawiając sobie tylko folwark najmniejszy, o kilkudziesięciu morgach osianego gruntu z małym dworkiem mieszkalnym, samotnym, odległym od świata i bitych gościńców, o mil trzy odległym od najbliższej poczty.

Cios padł wreszcie najcięższy. Niczem nieuzasadnionym obarczony zarzutem, zniewolony głosem publicznej opinii, która wymagała aby się pomścił za doznaną niesłusznie obelgę, podjął sprawiedliwy mąż rzuconą mu nikczemnie rękawicę i – zginął w pojedynku.

W przecudny słoneczny poranek wiosenny, gdy cała przyroda na nowo zdawała budzić się życiu, uściskał ją po raz ostatni, dwunastoletniego przywołał Władzia, podniósł go w górę i do serca przycisnął, ojcowski na czole złożył mu pocałunek. Kochaj mamę! rzekł mu i złotowłosą jego główkę na kolanach jej oparł. „Kochaj go... bądź zdrowa!" Łza błysła mu w oku – wyszedł i wrócił z drugiego pokoju z bukietem fiołków w ręku. Jeszcze całus jeden, gorący, serdeczny, bukiecik fiołków został w jej ręku, syn na kolanach.... jego już nie było.

I nie ujrzała go już więcej.

Daremne były rozpacze, próżny żal za straconym rajem – nie wróci już nie wróci. Syn pozostał. Syn! to wielkie dla matki słowo, to wielka dla nieszczęsnej pociecha. I obowiązek to wielki.

Ustała wypłata mężowskiej pensji. Dochody niewystarczały na najskromniejsze nawet utrzymanie w mieście, a tem mniej na opędzenie kosztów starannego wychowania syna. Biedna wdowa oddała go w opiekę poczciwym ludziom a sama przeniosła się na wieś, pod Karpaty, aby choć jakie takie wyciągnąć z szczupłego majątku dochody.

Nie wystarczały one i nie mogły wystarczyć na opędzenie wydatków. Zmniejszyła się wreszcie i ta scheda ojcowska młodego Władzia i dla opłacenia bądź to dawniejszych długów, bądź takich które nieunikniona konieczność nakazywała zaciągnąć, odprzedać trzeba było sąsiadom kawałeczek i znowu kawałeczek morgów. Został dom i niewiele więcej nad trzecią część pierwotnego obszaru. –

Pozostałe jej własnością grunta wydzierżawiła chłopom – a sama na kilku morgach z ogrodem utrzymywała tylko krów kilka i owiec. Dochody te wystarczały jej do życia. Syn pomocy jej już niepotrzebował. Ukończył fakultet filozoficzny Uniwersytetu, sposobił się do zawodu profesora a będąc poszukiwanym jako nauczyciel historji i literatury, dawaniem lekcji w zamożniejszych domach zarabiał tyle, że nietylko sam zapewnił sobie dostatnie utrzymanie, ale i matce niekiedy dopomógł w kłopotach.

W ostatnich latach zwiększyły się były te kłopoty. Osłabły siły znękanej wiekiem i smutkami i pracą kobiety. Niemogła dać już sobie rady nawet z drobnem swem, prawdziwie miniaturowem gospodarstwem. Na domiar złego, oczy, na które lat dawnych cierpiała, słabły zwolna coraz bardziej, świat zewnętrzny uglił się coraz bardziej przed jej wzrokiem i wreszcie zupełnie dla niej pokryły go ciemności.

Strasznym niegdyś by to był dla niej ciosem, dziś spokojnie go zniosła. Nie był on tyle strasznym iż nie spadł na nią niespodzianie – lecz dzień za dniem nieznacznie coraz gęstsza zasuwała się przed oczyma zasłona. Nie był on strasznym, bo o los syna była już spokojną. Żyła – wspomnieniami i rozpamiętywaniem przeszłości.

Jako kobieta nadziego wykształcenia, dla której książka była niegdyś niezbędnym chlebem żywota, cierpiała zrazu bardzo na tej niemożności rozczytywania się w ulubionych autorach, przeglądania mężowskich listów, wierszy i naukowych notatek. Później jednak oswoiła się z tym tak dotkliwym zrazu brakiem – a szczególnie żywa i bogata jej pamięć, dozwalała wysnuwać ze skarbca wspomnień całe ustępy znakomitych naszych poetów. Samotność najściślej skazana, niemając w pobliżu ani jednej pokrewnej duszy, na nic kilka dobrze ubogo ktoby jej listy od syna przeczytał, długiemi nieraz godzinami czytała głośno.... z pamięci...

Mężowskie listy i wiersze, dużej połowy części pisane, poznawała za dotknięciem ćwiartki papieru tak dokładnie, jak ośleplała dewotka poznaje paciorek każdy swojego różańca.

(3.)

Czternaście lat wdowieństwa, zdala od towarzystwa wykształconych ludzi, sześć lat ślepoty samotnej ... cóż dziwnego że pani Anastazja wytworzyła sobie świat własny nic z światem ją otaczającym niemający wspólnego, świat wspomnień, w którym żyła poezją własnej przeszłości a podsycała życie zapamiętanemi utworami poetów. Cóż dziwnego, że świat ten jej milszym był stokroć od martwej prozaicznej obecności, że po dniach całych pozbawiona rozmowy z prozaicznem swem otoczeniem, za głosem ludzkim tęskniła i swą tęsknotę własnym nasycała głosem?

Trudniejszą byłaby może dla psychologa zagadką, czemu każdym rokiem coraz bardziej wyzbywała się jej pamięć wspomnień z lat bliższych, czemu coraz bardziej wyraźniały się w sercu staruszki i coraz milszemi stawały jej się odleglejszych czasów pamiątki... Macierzyńska miłość która po śmierci ukochanego męża uratowała ją od rozpaczy i od zwątpienia w siebie i w [illegible], to macierzyńskie do jedynaka przywiązanie, w którem zdawało się że całą jej skupiła się istność, w miarę jak syn ten wzrastał i mężniał, bladła coraz bardziej wobec wspomnień młodości, wobec miłości ku ukochanemu zmarłemu. Miłość ta rosła w ubóstwienie, duszę uskrzydlała tęsknotą, życiem się jej przez jakieś mistycznem, niebiańską błogością, kultem się stając i jedynym duszy pokarmem.

Czem się to działo?... pytajcie duszy tajemnic. One wam odpowiedzą, ale wtedy dopiero gdy starość pochyli was ku ziemi, (odpowiedzą wam rozmarzaniem się w [illegible] wspomnień w młodocianych lat wrażeń wzruszeniach. Nic cenić dziś, jak milszemi kiedyś przecie wam się staną wspomnienia, które dziś żadnej mieć się wam nie zdaje wartości...

IV.

. . . .

[illegible]:

„Wszędzie, jam, wszędzie w powietrznej fali
Gdzie życia płomień tchnie!
I gdzie się akord dźwięków zapali,
I gdzie się w iskrę ciepło skrzyształi...“
— — A Ona pyta: gdzie?

„Na wszystkich słońcach, na wszystkich światach,
I w każdej ludzkiej łzie,
W uśmiechach wszystkich i wszystkich kwiatach,
W proteuszowych kształtach i szatach....“
— — A Ona pyta: gdzie?

„W własnej twej myśli jasnem promieniu
I własnej duszy śnie,
We własnem głosu twojego brzmieniu,
W własnego serca twojego drżeniu...."
— — Ach gdzieś ty, gdzieś ty, gdzie?

— Ja tutaj, proszę jejmości! — odezwała się Kaśka wchodząc z brzemieniem drzewa. — Przyniosłam parę polan do komina bo by mi jejmość zmarzła.) mróz okrutny! aż dusza wszędzie marznie... A wicher is taki że aż świerki jęczą... a gruszę tę nad sadzawką to złamał do szczętu... Byle strzechy nie zerwał!... jeżeli się ktoś powiesił, to cały dwa a dwa cztery... może ten rudy Jolko z Podkośnia co go do kryminału wzięli za tę babę z koralami co ją u niego w stodole znaleźli... ej, żydzisko, żydzisko! dobrze mu tak!... Sprawiedliwość boska... Ale, z przeproszeniem jejmości... może to jak się żyd powiesi to wiatru wzbudzie?.. hej, hej, mój Boże, jejmość to uczona w książkach to tam wszystko wie...

— A Michał nie wrócił jeszcze z poczty?

— Hoho! a co też to jejmość gada!... a nie widzi to jejmość jaka zadymka straszliwa.... swoich nóg nikt nie dojrzy a ktoby drogę znalazł... aj, prawda, prawda że jejmość nie widzi bo ślepa... O rety! nie wróci on dziś, nie wróci... Musiało się gdzie w karczmie upić chłopisko, ta i leży pod ławą... z przeproszeniem jejmości... Czy ja wiem po co bo to jejmość trzyma tego pijaczynę?... Tylko na rany boskie! niech mu jejmość tego nie powie, co ja jejmości o nim mówię pod świętym sekretem.... ho! nie przyjdzie on dziś, nie przyjdzie, ja go znam!.. aż gdzie jutro koło południa.... Niema komu szczapy narzezać... Ale Jezu kochany, cóż jejmości z tego przyjdzie choćby i przyniósł listy od panicza... Któż ich to jejmości przeczyta? niema nikogo we wsi takiego uczonego... Musi jejmość czekać i tak, aż kiedy przyjedzie która pani z Podkośnia albo z Suchorzebu... albo może doktor... ej, ej!.. a ja z jejmością gadu gadu... a tam mi zacieranka wykipi...

— Idź już Kachno, idź...

— O Jezu! rety! ktoś przyjechał! Wszelki duch święty

święty pana Boga chwali! w taki czas?.... Słyszy jejmość dzwonki?...
Aj, aj, okna zamarznięte, nic nie widać.... No, no, widać! Jak pana
Boga kocham! toż to panienka z Suchorębu!.. w niebieskiej płachcie... i
z panią... Nie, nie z mamunią, ze sługą. Oj, to ta Jagna Ceglarczówna
co się z nią Kowal miał żenić... a jak się wystroiła galantnie,
w czerwoną chustę... a to dopiero!.. no, no... Ale pani gada a ja
muszę już iść, panience zdjąć futerko.. Kawy zrobić?.. a owsa
koniom dać? będzie jeszcze ze dwa korce w spichlerzu... oj, święty rety!
zapomniałam! Michał pijaczysko wziął klucz!... Co ja zrobię?.. Poślę
Jędrzejowę do Naftuły.... A furmanowi panienki dać jeść? ojej! ojej!

I wybiegła za drzwi, zdesperowana nawałem tylu czynności
które ją czekały.

V.

W kilka minut później, weszła... nie, wbiegła... nie, wsunęła
się? jeszcze gorzej!... Wleciała zatem? I to źle. Dość, że w kilka minut
zjawiła się w podnóżka naszej staruszki owa panienka z Suchorębu,
którą przez okno poznała Kachna po „niebieskiej płachcie" a którą my
z szanownym czytelnikiem spotkaliśmy już wprzódy na Paprockiej
górze jadącą sankami wśród największej zadymki..

Cudownie lekka, wiotka, smukła, zgrabna, pełna
nieuchwyconej w każdym ruchu gracji i dziwnej tej swobody która jest
najrzadszym i najbardziej czarującym ze wszystkich piękności uroków,
w samej rzeczy, nie weszła ona jak salonowa panna, nie
wbiegła jak dziewczę wiejskie, nie wsunęła się jak zakonnica,
nie wleciała jak trzepocące skrzydełkami ptaszę.... ona się zjawiła.
Tak jest: zjawiła się.. tak jak myśl się jawi, jak miłość, jak radość,
jak wiosna, jak poezja...

Czy była piękną? Uroczą była: — to może więcej.
Nie miała rysów klasycznych. Hoża i świeża jak wiosenny ranek; krągła twarzyczka
rumiana od mrozu jak jabłuszko; jasno-siwe poczciwe oczęta wprost ci w oczy patrzące; małe
usteczka karminowe pełne uśmiechów, z poza których białe wyglądały
ząbki. Czoło wcale myślące, zbyt może nieco naprzód podane, a dokoła niego

złocisty z warkocza wieniec — oto wszystko. Małe rączki, śliczna talia którą zda się jedną objąćbyś ręką, przyjemny głosik, pełna niewinnej kokieterji modulacja w wymowie: czegoż chcecie więcej? Nie kreślę wam piękności, tylko wzorzę dziewoję wiejskiego dworku.

W tym atłasowym szafirowym kubraczku, lamowanym puchem łabędzim, ślicznie jej było, klęczącej u nóg staruszki.

Całowała jej ręce z uczuciem i patrząc na pogodne jej i szlachetne rysy, przymilała się do niej przekrzywiając główkę, jakby jej gorąco pragnąc się przypodobać, zapomniała o tem że staruszka nie widzi. — Pocałowała ją staruszka w czoło, ręce złożyła na warkoczu który jej główkę oplatał.

— Wiosna jest przy mnie! Ty musisz tak wyglądać jak wiosna moja Zosiu! Tak mi jest jakbym wiosnę czuła, kiedyś ty przy mnie... ale skądże ty się dziś u mnie zjawiła, Wiosenko moja?

— Łaskawa pani, oto tak: ... ach, czy ja wiem sama jak?... ale jaka ja, jaka ja szczęśliwa, że ja tutaj, przy pani!

I nie przestając klęczeć, zaczęła klaskać w ręce.

— Poczciwa Zosiu!... ty lubisz być u mnie ślepej?

— Och, czy ja lubię! — i nowe gorące rąk ucałowania. Położyła swą główkę na kolanach staruszki, jakby domagając się pieszczot.

Nie szczędziła ich jej staruszka.

— Jaką ty masz gładką twarzyczkę Zosiu!... a uszko jakie małe... miniaturne!... Kuleczki masz... jakie te kuleczki?

— To od wujcia, z turkusikiem.

— A włoski takie delikatne... jak jedwabne! Ten cały warkocz, to wszystko twoje własne włosy?

— Moje własne, droga pani!... ach, co to z niemi codzień kłopotu aby je rozczesać! prawie do kolan mi sięgają.

— Twarzyczkę masz taką gorącą, rozpaloną...

— To z mrozu,

— Czółko gładziuchne... brwi... gęste brwi... a rzęsy?... o jakie długie!.. ?

... ale może ty się gniewasz, że ja cię tak dotykam po twarzy?

— O nie, nie, nie, najdroższa moja pani! mnie to tak miło!.. Jakbym tak chciała, żeby mnie pani widziała... a jak pani mnie

tak rękoma ogląda, to mnie się zdaje, że mnie pani widzi.
— O, ja cię jeszcze pamiętam dzieckiem... śliczna byłaś mała Zosiu! ja cię widzę, dobrze cię widzę w pamięci!... byłaś jak pączek róży. Dzisiaj musisz być jak róża rozkwitła... na wpół rozkwitła... Usteczka twe pamiętam śliczne uśmiechnięte... i oczka także pamiętam...
I przyciągnąwszy jej twarzyczkę zmrużoną ku sobie, pocałowała ją w czoło, pogłaskała pod bródką
— Uparta! uparta bródka!... — i pogroziła jej palcem po nosie.
Zaśmiało się dziewczę dźwięcznym jak srebrny dzwonek głosem.
— No, Zosiu, dość tych oględzin! już cię widzę. — A teraz siądź tu przy mnie i powiedz: zkąd się tu wzięłaś? i czemu sama?
— Oto tak: Mameczka pozwoliła mi pojechać do cioci Klimci, miałam wyjechać dziś rano, żeby parę dni zabawić w Smereczyńcach i wrócić na (ostatniego Grudnia) do domu. Ale jak zaczęły się przygotowania do wyjazdu, to końca nie było: to to niegotowe, to owo. Bielizna dla mnie nie wyprasowana, konie nie kute na ostro, mameczka nieskończyła jeszcze listu do cioci i t.d. i tam dalej.. Tak się przewlekło blisko do południa. Wtem (przed gankiem) dzyń, dzyń, dzyń! wielki dzwonek u sani jakiego w całej okolicy drugiego niema — i zajeżdża p. Tadeusz. Mama mówi: „Zosiu, zostań, pojedziesz jutro." A ja: „O nie mameczko, nie, nie, nie, nie... pozwoliła mi mamcia dziś pojechać do cioci, to już mamcia pozwolenia cofnąć nie może". — Na to Mama popatrzyła się na mnie tak!.. wie pani, tak z góry — i powiedziała: „Mogę cofnąć i cofam. Zostań! Niegrzecznieby było gdybyś pojechała. Konkurent zajeżdża — a ty czmychasz. Niewidzę powodu aby go odprawiać w sposób tak wyraźny. Prawie go jeszcze nieznasz; jak go poznasz lepiej może ci się podoba. To partja nie do odrzucenia..." ... „O Mamciu, nigdy, nigdy! za niego nie wyjdę! choćby miał wszystkie skarby Golkondy!"... bo pani niewie jaki on nieznośny ze swojemi Shorthornami, Negrettami, pudretami!.. Ale Mamcia powiedziała: „Zostań" i niebyło rady.... No, widzi pani, niby niebyło — ale się znalazła. Jakem wyszła do pana Tadeusza z czerwonemi oczętami i chusteczką w ręku i z kwaśną minką jakbym się octu napiła — to nawet p. Tadeusz zaraz pomiarkował że się coś święci (nastroszył wąsy i) prosto z mosta po gospodarsku zapytał, pokazując swoim grubym wskazującym palcem na moje oczy: „Panna Zofija... (wyobraź pani sobie! zawsze do mnie mówi: „panna Zo=fi=ja." z przyciskiem na fi (Już za to samo mogłabym go znienawidzieć!.)
Otóż powiedział: „Panna Zofija płakała!.. czemu panna Zofija płakała?"
A ja na to: „Przez pana!" i nic więcej. A on roztworzył usta tak szeroko jak

wrota swojej obory i rozkrzyżował ręce. Mówię mu tedy żem miała właśnie wyjechać do cioci Klimci, żem się niezmiernie tym wyjazdem cieszyła – a wtem on przyjechał i muszę w domu zostać – i dla tego płakałam i będę jeszcze płakać. – „Ale panno Zofijo! zawołał składając ręce jak do modlitwy, ja niechcę być też pani powodem i przeszkodą w jej zamiarach... błagam panią, niech pani jedzie!" – „Niemogę. Mama powiada żeby to było niegrzecznie"! ... „Ależ panno Zofijo! co znowu! niegrzecznie? gdzież tam! Przeciwnie, zostać niegrzecznie!" i pobiegł do mamy i tak zaraz prosić i zaklinać, że mi tylko pogroziła paluszkiem i kazała Stefanowi zaprzęgać...

— Dobrze, moja Zosiu, – przerwała szczebiotce staruszka, – ale powiedz-że mi, zkądżeś się tu wziętaś w Paprotce jadąc do Smereczynice?

— Zaraz... zaraz... To się stało tak, droga pani: kiedy wyjeżdżałam z Suchorębu był mróz – świetny, ale zadymki niebyło. Ujechaliśmy może z milę, aż tu, jak nie zerwie się wiatr, jak nie zacznie dmuchać, jak nie zacznie kręcić płatami śniegu i bić w oczy ... rozpacz!... Ale to nie jeszcze, to jeszcze mała rozpacz. Zaczęła się dopiero prawdziwa rozpacz jak Stefan spostrzegł żeśmy zbłądzili. Jechaliśmy i jechali bez końca i trzy razy wracaliśmy do jednej i tej samej figury, kręcąc się widocznie w kółko. Kilka razy zarył się sanie w zaspę śniegu, tak że Jagna trzymała budanki a Stefan musiał sanie z śniegu wydobywać. Przewróciliśmy się wreszcie wyjeżdżając z jakiegoś parowu... o wielka była bieda! Nakoniec dojechaliśmy do jakiejś nawpół rozwalonej chaty, wyszedł cygan i powiedział nam że jesteśmy niedaleko Paprotki... Do Smereczynice niepodobna było dziś już jechać... a więc... a więc pomyślałam że mnie może Paskowa pani przyjmie na nocleg?..

— A jeśli zadymka nie ustanie, to cię nawet i jutro nie puszczę!

— O, droga pani! gdybyż ta zadymka dwie ze trzy dni trwała! I znowu nowych zapragnęła pieszczot pochlebnica, bo uklękła przed staruszką i całując jej ręce, główkę na kolanach złożyła.

— Dawno pani już niewidziała pana Władysława? – zapytała niby od niechcenia nagle zmieniając przedmiot rozmowy. – Dziwnie promieniały jej oczy przy tem zapytaniu.

— Był tu przed miesiącem. Ty nie pewnie niewiesz: żeni się! –

Trzymając ręce na głowie Zosi, czy uczuła staruszka ten dreszcz tajemny, jaki przy tych słowach przebiegł dziewczynę? Drgnęła biedna Zosia jakby niespodzianie prąd elektryczny niemile przebiegł jej ciało – i zerwała się nagle z kolan.

— Żeni się?... zapytała, siląc się na obojętny dźwięk głosu. Ale brzmiał on tak, jakby tchu jej w piersiach zabrakło. Z wyrazem niewysłowionej boleści przycisnęła ręce do czoła. Oczy były pełne łez.

— Tak, żeni się! – powtórzyła raz jeszcze staruszka. Ale w brzmieniu jej głosu także nie było radości.

— Winszuję pani! – wyrzekła Zosia przez łzy z nadludzkim prawie wysiłkiem. Osunęła się na fotel, głowę przyciskając do poręczy. Obiema dłońmi cisnęła serce aby jej nie pękło z bólu. Strasznie była blada.

— Nie wiem czy się mam cieszyć... choć wszyscy winszować mi będą i może zazdrościć – mówiła staruszka. – Dziwne to, bardzo dziwne ożenienie!

— Z kim się żeni syn pani? – a łzy jak groch padały na poręcz fotelu.

— Z panną Sarską.

— Z hrabianką? – zapytała drżącym głosem.

— Tak, z córką pani Julji z Horsztyńca.

— To świetna partja! – rzekła po chwili milczenia Zosia, czując się obowiązaną coś powiedzieć.

— Świat tak powie – ale ja, nie wiem sama czemu, – nie cieszę się tak jakbym może powinna... Ja nie wiem czy on będzie szczęśliwym...

— Jeśli ją kocha... zaczęła Zosia połykając łzy. (Ona go kocha szalenie... ale czy on ją kocha?...)

— Czy on ją kocha? – zamyśliła się staruszka. – Ja nie wiem czy ją kocha... nie wiem, może to takie dzisiejsze kochanie... Mój Ernest, ale taki Ernest jeden był tylko na świecie!... Jaka to różnica, ojciec i syn!... Dziwna ta młodzież dzisiejsza! dziwna!... Jacy oni chłodni! jak w nich mało serca, uniesień, zapału!... Władzio jest najpoczciwszym chłopcem, dobrym synem – a jednak... jednak, ja nie wiem czy on zdolny ukochać całem sercem. Ja nie wiem nawet czy on mnie kocha!

— Chryste Jezu! rany boskie! a co też to jejmość

wygadyje za ferezyje! – zawołała Kachna przesuwając się ostrożnie przed drzwi z dwoma szklankami kawy na dużej tacy, chlebem i masłem. – Obraza boska! gdzieby to panicz jejmości nie kochał!... A kiedy tu był ostatnim razem u jejmości... nie widziała ją?... ch, darmo gadać, kiedyby jejmość z przeproszeniem ślepa, to i nic nie widzi... A to rychtyk jak się pożegnał z jejmością i jejmość myślała że on już poszedł... oto tak... ej, kiedy muszę tacę wprzódy postawić.... stoliczek przed jejmością za mały, taca się nie zmieści. Postawię na komodzie tymczasem... Oto tak było: niby to panicz wyszedł, a stał tu, tu, koło drzwi – a z oczu mu woda ciekła, o tak: kap, kap! a ręką ino ocierał i patrzał na jejmość... ot tak!... ch, kiedyby jejmość nie widzi jak ja pokazuję... no, ale panienka widzi... to jejmości powie. po chrajcurku, bo to się po polsku nie da powiedzieć, ino pokazać jak to było... niechże panienka uważa, to ja pokażę. Ot tak, tu przystanął i potem dwa palce położył sobie na gębie i pocałował i potem tak ręką ruszył jakby trzymał wróbla albo sikorkę w tych palcach i prosto dmuchał na jejmość prosić.... o tak! cmok! Frrrr!.. ch, nie tak jeszcze... bo ja prosta dziewucha, to ja nie potrafię... to bardzo ładnie panicz zrobił, jak się patrzy! aż się coś człowiekowi dziwnego robiło.... Zaraz ja to lepiej pokażę ino kawy jejmości podam i panience.... No, bierzże jejmość do ręki szklaneczkę... co? może nie przysłodzona? cukier jest, trzy kawałki, tak jak jejmość lubi. A tu chleb z masłem. No, a panienka niech bierze.... Matko Najświętsza! a panienka czego płacze? co się to panieneczce stało?...

— Nie zdaje ci się tylko, poczciwa Kasiu: ja nie płaczę.

— Dla Boga! jużci widzę! przecieżem nie ślepa jak jejmość... z przeproszeniem.

— Mróz mnie woczy wyszczypał, dlatego mnie teraz bolą...

— Ohoho! mróz!.. mróz! Nie taka ja głupia, nie mróz to panienkę wyszczypał, ale coś wedle serca ją szczypnęło... Po co to udawać! lepsza najgorsza prawda jak najlepsze kłamstwo.... no, niech mi panienka znaków nie daje i na jejmość nie pokazuje.. bo ja się z panienką nie będę zmawiać, ażeby jejmość okłamać.. z przeproszeniem.. Jeżeli jejmość panience jakie przykre słowo powiedziała...

— Ale Kasiu, śmieszna jesteś!.. przerwała jej Zosia.

— Śmieszna, ja śmieszna... ale panience nie do śmiechu dzisiaj

(5.)

ino do płaczu... Czegoś panieńskie serduszko się krajè że ledwo wgłos się nie rozbeczy.. czegoś jej tak żal, tak żal! okrutnie jej żal czegoś, aż litość człowieka bierze...

Zosia próbowała się roześmiać. Po udanym jej śmiechu, mogła już i ślepa odgadnąć że łzy cisną się jej do oczu.

Kachna wzruszyła ramionami

— Ej, poco to udawać! po co to udawać komedję panienko!

— Idź że już Kachno – przerwała jej staruszka – tak mi Zosię prześladujesz, że gotowa ty już drugi raz nie przyjechać. Pamiętaj lepiej o kolacji.

— No idę, idę już!.. ale co prawda to nie grzech.–

VI.

— Czyś ty na prawdę płakała, Zosiu? – zapytała staruszka po odejściu służącej.

— Nie pani; – czemuż bym miała płakać? –

Zamyśliła się staruszka. Pokręciła siwą głową niedowierzająco. Smutny jakiś uśmiech przemknął po jej twarzy. Milczał przy kawie. Po chwili odezwała się Zosia:

— Zabawna dziewczyna! jak ona to komicznie odegrać chciała rolę pana Władysława! jak ona się oburzyła na niedowiarstwo pani w jego przywiązanie!

— Poczciwa Kachna!... ale ty niewiesz, jaki on ma szczególny dar ujęcia sobie wszystkich. Jego wszyscy kochają: koledzy jego szkolni skoczyliby w ogień za niego, służący przepadają za nim... Ja się niedziwię że jego narzeczona taka w nim szalenie rozkochana.

— A jednak, pani niewierzy aby on ją równie kochał?

— Niewierzę... nie. On sam zresztą nie mówi tego aby był w niej zakochany... Ona szaleje za nim, a on?... wiesz jak się wyraża o swej narzeczonej? „mam wiele dla niej przyjaźni, przywiązałem się do niej; bardzo ją lubię a nawet kocham prawdziwie"... Dziwnie to chłodne; To: „nawet"!...

— Czemuż by się z nią żenił, gdyby jej nie kochał?.. Zanadto go cenię, abym mogła przypuścić że dla jej tytułu albo majątku!

Staruszka milczała czas jakiś, potem uśmiechnęła się smutnie i rzekła:

— Zapewne... zapewne... I ja daleka jestem od tego aby go o tak niegodne posądzać pobudki. Mój syn niesprzedał by się za wszystkie korony świata. A jednak – ja ci powiem, że mimo całej niezawisłości jego charakteru i jego postępowych przekonań, ten jej tytuł i miljonowy majątek – niebył bez wpływu na jego postanowienie. To jej miłości nadaje w jego oczach wyższą wartość, urok jakiś, któregoby niemiała miłość ubogiej dziewczyny... Czy ty to pojmujesz? Otóż to właśnie niepokoi mnie najbardziej i każe mi powątpiewać o jego szczęściu. Co to za szczęście bez prawdziwej miłości?... Kiedy był u mnie, spytałam go wprost: Mój Władziu, powiedz mi, gdybyś był dawał lekcje historji nie pannie Hieronimie, ale jakiej ubogiej dziewczynie a ona zakochała się w tobie do szaleństwa i sama ci się oświadczyła....

— Sama.
— A pan Władysław?

— To ona sama mu się oświadczyła?

— Władzio jej odpowiedział że nie są dla siebie stworzeni, że dzieli ich nieprzebyta przepaść majątkowego położenia i uprzedzeń społecznych i przestał bywać w ich domu.

— Jakże się więc stało....

— Panna, która od dzieciństwa była zawsze słabowitą i na zdrowiu bardzo wątłe, rozchorowała się śmiertelnie (wpadła w nieukojony niczem smutek i). Wtedy (widząc rozpacz matki, która ją namiętnie kocha, na jej prośby i zaklęcia wyznała jej wszystko. Hrabina bez namysłu napisała bilet do Władzia prosząc aby przyszedł. Wymówił się. Pisała drugi raz, zaklinając go aby przyszedł dla porozumienia się w sprawie „równie dla niego ważnej jak dla niej." Wiedząc o chorobie panny i domyślając się o co idzie — nie poszedł. Ale w kilka dni później, otrzymał trzeci list z wiadomością że panna będąc śmiertelnie chorą, dysponowała się na śmierć i pragnie się z nim pożegnać...

— Wtedy poszedł oczywiście...

— Poszedł i wrócił do domu jako jej narzeczony... A dwa tygodnie panna Hilarjonina wyzdrowiała.

— Ah! — westchnęła ciężko panna Zofja — to więc ofiara była z jego strony! to go zupełnie tłumaczy... Ale ona, ona? jak mogła przyjąć taką ofiarę?.. A jeśli ją przyjęła sądząc że jest umierającą, to czemuż mu teraz słowa nie zwróci, wiedząc że on jej nie kocha?...

— Ona tego nie wie. On jej tego nie powiedział kiedy mu się sama pierwsza oświadczała. Tłumaczy się że toby było zbyt niegrzecznie, prawie impertynencją, na gorące oświadczenie miłosne: „kocham cię", odpowiedzieć pannie: „a ja ciebie nie." Sądził że ta gwałtowna miłość jest zwykłym przemijającym kaprysem romansowej panny i że jej wkrótce z głowy wyleci. Powiedział jej więc wtedy na pociechę, że ją także kocha od dawna, ale że należy ugiąć się wobec dzielących ich przesądów, wyperswadować sobie i rozejść się na zawsze.

— To źle!.. Ale czemuż dzisiaj nie powie jej prawdy? Czyż i dla niej nie lepiej aby się teraz dowiedziała że jej nigdy nie kochał, niż kiedyś dopiero gdy już będzie za późno....

— On się czuje związany danem słowem... Pochlebia mu to zresztą że się stał przedmiotem, już nie miłości, ale jakiegoś bałwochwalczego ubóstwienia, że za nim szaleje rozmarzona dziewczyna, córka jednej z najznakomitszych rodzin w kraju, miljonerka, o której względy dobijali się synowie najarystokratyczniejszych domów... „Gdybym zerwał — powiada mi — onaby umarła. Umarłaby z pewnością! Taka wątła, chorowita, drażliwa, nerwowa!

Chłodniejszy wyraz twarzy, słówko obojętne z jej strony przyprawia ją o płacz, o spazmy, o rzeczywistą – a nie udaną chorobę. Zerwać? nigdy! czyż nie byłoby to nikczemnym egoizmem, okrucieństwem nawet? Czyż mogę zerwać, chociażbym jej nawet, jak mama twierdzi, w samej rzeczy nie kochał?... Ale nie, ja Mamie zaręczam, że ja ją bardzo lubię i prawdziwie nawet kocham... Czyż to nie dosyć? Jak jej nie kochać kiedy ona mnie tak kocha?"...

— On ma słuszność, droga pani, on ma słuszność! – odezwała się Zosia i ukryła twarz w obu dłoniach.

— Tak... tak!... powtórzyła zwolna staruszka on ma słuszność!... ale powiedz mi Zosiu, powiedz sama: czy on może być z nią szczęśliwy?...

Milczeniem odpowiadała Zosia tłumiąc w sobie płacz. A w ciemniałych oczach staruszki błysnęły dwa światełka, dwie drżące łzy.

Poczciwa dziewczyna chciała pocieszyć stroskaną matkę i na ustach miała już banalny zwykły frazes o szczęściu jakie nam daje poświęcenie... Ale zamilkła...

We drzwiach pokoju stanęła Kachna.

VII

Wpierw już zaczęła wrzeszczeć lamentującym głosem: Jejmość! jejmość! – i z lamentem tym (spłakana, zadyszana) wpadła na środek izby.

— Co się stało? – zapytała staruszka i Zosia równocześnie, Zosia z wyrazem przerażenia, staruszka dość spokojnie. Snadź przywykła była do nieuzasadnionych alarmów swej służącej.

— Ach jejmość! nieszczęście!.. Józek – ten z pod młyna... pojechał z Wojciechową dzisiaj rano do kościoła ... z maleństwem, co mu się wczoraj urodziło... żeby proboszcz.. jak się przynależy ludzkiemu dziecku.. ochrzcił, bo Wojciechowa ma pół rocznego dziecko ini Marysia, co się już i sam odkarmia mlekiem i kaszą ... A Tuki się mróz wszedł i zadyszka ... a Maryna to taka była chora jak Józek jej dziecko brał, to i rzekła: ja się was nie doczekam!... A i zgadła ... ba, nieprawda, nie zgadła, bo jużci się doczekała jak wrócili (wrócili proszę jejmości i tego pijanicę zabrali na drodze bo by był zmarzł na wieki amen!..) a dziecko zamarzło i umarło jak wracali z kościoła .. niebożątko prosto do nieba pójdzie ... ino go się doczekała i powiada: Józek! piędź? ja umieram! a ochrzczone? – Ochrzczone! powiedział. – jej? – Maryna, odpowiedział ... a nieprawda, bo jej dał ksiądz Hanka, ale że ona chciała żeby jej było Maryna, to powiedział „Maryna"

aby jej markotno nie było... bo widział że już, już ino trochę w skórzy.. a Bartoszowa nad nią zgromniny stoi... to jej powiedział że Maryna.... A jakże ona teraz będzie dziecko wodzi na tamtym świecie?- to ona go nie znajdzie!... Ale tak jej powiedział. A ona na to woła: daj mi ją, daj, niech ją ino pierwe obaczę i porachuję!.. A Wojciechowa na to: Docobyście dziecko całowali kiedy macie umierać!- Ach niechże porachuję! Dalibyście pokój! i wzdychała jej dać. A niedobrzy, swojej będą myśleć że ją chciała zabrać ze sobą. Ale Maryna koniecznie: Dajcie i dajcie niech ją ino popatrzę. Dajcie prędko - bo już umieram.. A jak ją ino popatrzyła zobaczyła że umarło jak nie wzrasnie, słyszy jejmość? to wzrasta jako niebożę stworzenie ... ale tak wrzasła że aż ludziom mróz po kościach poszedł i wrzasnął i ręce przed siebie wyciągnęła, gromniczę Bartoszowej z ręki wytrąciła i już nie... ani tchu... Jezu! Jezu! Straszne takie konanie Matko najświętsza ratuj! (Jezu! Jezu! i takiem się spłakała!.. Tak to dziewczę zamarło...a każda by chciała... Oj, co prawda to prawda! straszne rzeczy bywają!- Rychtyk! Bydlęcym na śmierć zapomniała! Słyszy jejmość?) A ten pijanica to przez cały ten czas leżał na saniach przed chałupą, bo ludzie o nim zapomnieli... dopiero się teraz Jaworek nad nim zmiłował i przywiózł go tu, tośmy go do stajni zanieśli a nie rusza się ino czasem mruczy jak niedźwiedź, a pijany, jak sztok ... a dobrze że torby nie zgubił i listy są... zaraz jejmości przyniosę, inom zapomniała z wszystkiego w kuchni...

I wyszła.

Niewiadomo snadź dobrze gdzie się jej listy zapodziały, bo sporą chwilę dała czekać na siebie. Pozostały tymczasem obie same z doznanych wrażeń jej opowieści, wypowiedzianej w tak śmiesznym sposób a zarazem tak smutnej.

— Jakież to okropne zdarzenie!- zawołała Zosia.- Jakież to straszne tragedje dzieją się w tych chatach!

— Wszędzie się dzieją tragedje moje dziecko: z tą tylko różnicą że my rozumiemy, znamy pociechy które im niedostępne.

— Tak pani, ale nas zato tyle nieraz boleści dotyka których oni nawet nie są zdolni.

— Zapewne. Ale ileż natomiast drobnych przykrości znosimy ze śmiechem, które dla nich jak dla dzieci prawdziwem są nieszczęściem.

— Dziwna to rzecz jednak, kochana pani, że nie tak się kos własnych naszych smutków jak odczuwamy cudzego nieszczęścia.

— Zosiu droga! to tylko ci co kochać umieją, doznają tej pociechy w smutku, że cudza boleść łagodzi ich własną, a cudze szczęście

ich uszczęśliwia... Ach, ta Kachna, ta Kachna! ona gotowa jeszcze zgubić list od mego syna.

— Pani się spodziewa listu od pana Władysława?

— Wyczekiwam go od jego wyjazdu. Pisuje do mnie tak rzadko! Ale on wie że niemoże często posyłać na pocztę — a choć mi list przyniosą czasem i przez dwa tygodnie to niemam tu nikogo aby mi go odczytał. Będzie dziś moją lektorką Zosia?

— O z największą ochotą!

Przyniosła Kachna dwa listy, podała je do rąk swej pani.

Wzięła je staruszka skwapliwie, macierzyńską radością przyoblekły się szlachetne jej rysy. Zważyła je oba staruszka na dłoni, każdego z osobna, drżącemi rękoma obracała je w koło i mierzyć się zdawała ich kształt i wielkość. Przesuwała palcami po adresie, jakby czując chropowatość rozpoznawała litery i charakter pisma.

— Ten gruby — rzekła, jakby sama do siebie — to nie od niego! On tak krótko pisuje... Czworograniasta koperta — nie, to nie od Władzia... Ten od niego, ten podłużny!... Ale czemu takiem zapieczętowany? On zawsze listy zalepia... Pismo na adresie jakby piaskiem było posypane, chropowate... Szeleści coś we środku... czy to piasek się przesypuje?... Tak, to piasek!.. on nieużywa piasku.. Co to jest?... To może nie od niego?... Może, to przecież od niego! od niego!.. Ta sama wielkość — a marka pocztowa przylepiona po lewej stronie... To on! z pewnością on!

I bawiła się listem, jak dziecko trzymające w ręku kasową asygnatę której nieznane jeszcze wartości. Nie puszczała go z rąk, nie oddawała Zosi do czytania, jakby nie chciała rozstawać się z tym skarbem dla niej tylko przeznaczonym, jakby dotykanie się go niemniej było jej miłem od dowiedzenia się jego treści.

— No czytaj teraz Zosiu! — i podała list wypracowany wszystkie z takim wyrazem twarzy z jakim bogacz zaprasza biednych ludzi aby zasiedli do jego sutej biesiady.

— Pani, rzekła Zosia, ciemno jest, nie ma... już ciemno.

— Ciemno? — zapytała ze zdziwieniem ślepa. Mnie się zdawało, że słońce świeci... Poświeć Kachnie, niech da świecę... Ach, ja tylko znajduję się... bo widzę, ja niewidząca... Naniosła zwalone się świecy u Kachny.

Zosia rozłamała pieczątkę listu postawionej na stoliczku i rozpieczętowała.

— „Kochana Siostro..." To nie od pana Władysława!... Może ten drugi?..

Staruszka rozczarowana, podała jej drugi list.

— O, ten od pana Władysława! — zawołała szczerze wesoło, rozerwawszy kopertę. — Cały cale ćwiartki!...

— Trzy całe ćwiartki! — powtórzyła matka z radością.

— Drobno zapisane! — dodała Zosia uszczęśliwiona szczęściem staruszki.

— Nigdy mi jeszcze tak długiego listu nie napisał!

— „Najukochańsza, najdroższa Mamo!"...

— Nie... nie! czytaj pierwej list od mojej siostry.. List od syna na koniec; już po nim niczego nie słyszeć. Trzeba mi potem

zapsuł wrażenie Władziowego listu, zatrułby mi radość. Skoro wiesz że Władzio pisze tam już spokojna o niego! Czytaj list mojej siostry Zosiu. –

VIII. Zosia czytała:

— „Kochana Siostro! Piszę do Ciebie aby Ci"... ach jakież nieczytelne pismo!.. „aby Ci powinszować, że twój syn taki świetny los robi żeniąc się z hrabianką, która ma taki milionowy majątek. Ludzie o tem dawno gadali ale ja temu wierzyć niechciała żeby on miał taki praktyczny rozum i potrafił hrabiance głowę zawrócić swoją osobą. ~~[illegible]~~ Nie gniewaj się ale ja zawsze myślałam że on taki sam będzie jak jego ojciec i jeszcze i tę Paprotkę straci co ojciec jego niestracił bo go zabili w pojedynku." (... proszę pani może nieczytać dalej tego listu? — Czytaj Zosiu, czytaj do końca, Toczar [illegible].–) „Ale przypomniał sobie przecie ~~[illegible]~~ że ma ciotkę i choć pół roku u nas niebył choć na tej samej ulicy mieszka, to teraz był i powiedział że to wszystko prawda i że ślub będzie w Styczniu przyszłego roku jak pan Bóg da doczekać. Winszuję ci moja kochana Siostro. Ja się nie dziwię że on u nas niebywał (bo co jemu ze mnie) kiedy takie wielkie miał projekta. To i jednemu na tysiące się nie uda, chociaż dziś hrabianki dużo łatwiejsze jak wprzódy. Moi synowie takiego szczęścia nie zrobią, choć ~~[illegible]~~ mąż mój przy magistracie i ma swoje wpływy. ~~[illegible]~~ Niechcieli się uczyć, to i cóż robić? Niemogą zrobić karjery. ~~[illegible]~~ Władzio w ciebie się wdał a oni we mnie – to i ty poszłaś za obywatela a ja za urzędnika, to i z nimi tak samo, Władzio z hrabianką się żeni a mój .... ~~[illegible]~~ mój ...." niemogę przeczytać ...

— ~~Felcinio~~ zapewne?

— Nie...

— Tybuś?

— A tak, Tybuś! ... „a mój Tybuś zakochał się w ekonomównie i awantury wyrabia. Kamilkę wydaliśmy za poczmajstra, to przynajmniej tyle nam się poszczęściło, ale co do Stefci i Zerci to ich nikt niechce, choć niemało śmy już na traktamenta wydali i dużo nas to kosztowało. Felcinio ustatkował się i może świetny los jeszcze zrobić bo bardzo ładny chłopiec, ale do hrabskich domów nie będzie się wciskał gdzie go nie proszą. Gdyby Władzio miał dobre serce i ~~[illegible]~~ chciał dla nich być bratem jak powinien, toby i moi synowie może los zrobili, ale jemu to nie wgłowie, on tylko o sobie myśli. Może to i dobrze tak, takie teraz czasy postępowe, i ja się jemu nie dziwię. Jakie odebrał wychowanie to taki jest."φ „Ale jaki tego będzie koniec, tego człowiek nie zgadnie. Nie jednemu się wiodło, wiodło a potem się urwało. Dlatego nietrzeba nigdy ubogiemi krewnemi pogardzać prawda kochana siostro? Mogłabyś też to jako Matka Władziowi ~~[illegible]~~ powiedzieć (choć się z hrabianką żeni to przecież sam jeszcze przez to hrabią nie zostanie. Powinien o tem pamiętać). Ale ja się na niego nie żalę. Bardzo grzeczny kiedy przecież choć raz na pół roku do nas przyszedł aby ~~[illegible]~~ nam powiedzieć że się żeni, a potem i drugi raz jeszcze był dowiedzieć się jak się mam, kiedy mu

φ... A to nie godziwe! zawołała Zosia przerywając czytanie listu. Po chwili czytała dalej.

Felunio powiedział (po jego powrocie z apteki) że był u mnie konsylium, bo już niedam umierać. To już drugie w tym roku konsylium dla mnie, a to ogromnie kosztuje — a ta kuracja to tyle pieniędzy zabiera że niewiedzieć zkąd wziąść, choć poczciwy Bonuś robi co może. A wszystko o te nogi i nic niepomaga a puchlina coraz wyżej idzie w górę. Ale żeby tylko wiosny (dał pan Bóg szczęśliwie) doczekać — to zaraz przyjechała do kąpiel, to wszystko będzie dobrze a może i dla Stefci znalazłby się tam konkurent, bo tutaj go niema. Tylko że to na wszystko pieniędzy potrzeba a poczciwych ludzi, choćby (między) najbliższemi nawet krewnymi, to mało na świecie. Felunio także potrzebuje żeby się pokazać w świecie, bo inaczej losu nie zrobi a zkąd wziąść?, Prosiłam, prawdziwie z upokorzeniem własnego Twego Władzia o 200 guldenów, ale on mi odmówił i powiedział że niema. (I Felunio go także prosił i także mu nie dał i powiedział że niema.) A przecież to niemoże być, bo to przecież jasno jak na dłoni że to nie bez tego aby jemu już i teraz co niedawali, bo by się przecie (stara hrabina wstydziła za przyszłego zięcia gdyby nie występował w świecie jak na hrabskiego zięcia przystoi. Wielkiś i koniec. Proszę cię zatem kochana siostro, kiedy ci los tak poszczęścił, to nie obrażaj pana Boga (bo szczęście się może odwrócić) i pomóż mi przecie, bo wiem że i o parę tysięcy niebyłoby wam teraz trudno. Ja wiem że ty dobra siostra a jak się Felunio ożeni to jak dzieci może kocham (— podkreślone) teraz ci oddam z posagu jego żony, nawet z procentem jaki będzie chciała. A jakby się nie ożenił to przecież stać nas jeszcze z czego oddać a mąż mój ma oprócz twojej pensji różne dochody. Tylko Władziowi (powiedz) którego jak ciotka prawdziwie kocham (starszych słuchał i) żeby się tak nie puszył i twoją dumą ludzi nie obrażał po mieście, bo Felunio powiada że straszne rzeczy o nim opowiadają a jak komu na myśl przyjdzie to gotów jeszcze jaki anonim na niego napisać do hrabiny i będzie po wszystkiem."

(Te słowa podkreślone.)

„Proszę cię jeszcze kochana siostro o te nędzne 200 guldenów które mi Twój syn odmówił choć widział jakie mam nogi opuchłe i że potrzebuję na kuracje. Ściskam cię i całuję moja najukochańsza siostro z całego serca mojego. Bądź zdrowa i odpowiedz mi prędko o co cię proszę.

— Twoja Siostra Malwina." ... ach daruj droga pani, ale gdybym listu tego z rąk pani nie otrzymał, to nigdybym nie uwierzył że to siostra pani tak pisze, tak myśli, tak czuje!..

— Rodzice nas odumarli za młodu, — odparła staruszka, — każda z nas wychowywała się gdzieindziej, cóż dziwnego żeśmy niepodobne do siebie... Ale niemówmy o tem!... Co pisze mój syn? Czytaj Zosiu, czytaj!

IX.

— „Najukochańsza, najdroższa Mamo! — Poprawię się droga Mateczko i będę odtąd pisywać częściej i dłużej! Temi słowy Cię pożegnałem moja najdroższa, a data niniejszego mego listu niech Ci świadczy o szczerej chęci poprawy...

— Jaka data listu?..

— Ach, prawda! nie przeczytałam daty u góry: 26go Listopada....

Przedwczoraj rano Cię pożegnałem, dziś popołudniu znużony nieprzespaną wczorajszą nocą stanąłem dopiero na miejscu i już piszę. Nie dziw się droga Mateczko, że pisując do Ciebie tak rzadko, tak krótkie pisywałem listy, tak oschłe jak się wyraziłaś. Trudno to pisując raz na miesiąc, w jednym liście streścić to wszystko co się w ciągu kilku tygodni robiło, myślało, czuło. A choćby się nawet udało zapamiętać i streścić, to każde streszczenie z natury rzeczy musi być oschłem — jak spis rozdziałów jakiej, choćby krwią serdeczną pisanej książki. — Powiedziałaś mi że list syna do matki powinien być zwierciadłem jego duszy. Cóż, kiedy dusza ludzka to nie posąg z marmuru ani idea wiecznie z sobą identyczna! Dusza to rzecz żywa, a życia istotą ruch ciągły i ciągła zmiana. Niech fotograf zdejmie wizerunek tej samej okolicy w różnych porach dnia i roku, to i poznać będzie trudno że to jeden i ten sam krajobraz. Niech się list stanie zwierciadłem na ową godzinę pisania, to nie poda wizerunku piszącego, ale tylko jednej życia jego godziny. — Wiem ja o tem z doświadczenia i dlatego mi to tak trudno pisując rzadko do Ciebie Mateczko, wynurzyć się z mojemi myślami, uczuciami, wywnętrzyć się przed Tobą z wszelkich tajników duszy, rozserdecznić się i rozpisać. Postanowiłem tedy pisać do Ciebie codzień kilka wierszy a gdy się zbierze listu takiego parę ćwiartek — odesłać. List taki, w którym z całem synowskiem zaufaniem chcę Ci się wiernie codzień ze wszystkiego wyspowiadać, powie Ci więcej o mnie niż bym ja sam ustnie powiedzieć Ci zdołał. Wiele rzeczy łatwiej napisać niż powiedzieć.

Wiesz mi Mateczko, powiedziałaś mi że o Tobie zapominam, a ja teraz stokroć częściej i stokroć goręcej czuję potrzebę wyspowiadania się przed Tobą ze wszystkich myśli moich, zwierzenia się przed Tobie ze wszystkich mych smutków i żalów i pociech... Czemu tak? spytasz. Oto dlatego, że tak dziwna padła mi dola iż prócz Ciebie czuję to, nie będę miał się już w życiu przed kim spowiadać lub ulgi szukać w niczyjem sercu. nie będzie mi już wolno.

Powiedziałaś mi Matko, żem ja czasem przed Tobą nie szczery, że staram się zawsze zataić wszystko to, coby Cię mogło od lat dziecięcych udręczyć, powiedziałaś mi że więcej Cię to dręczy domyślać się, przeczuwać — niż wiedzieć, choćby rzecz najsmutniejszą

Prawda, żem nigdyś taił wszystko przed Tobą, aby Cię nie zmartwić, ale też ni żem nigdy nie dopuścił się kłamstwa. A dziś, dziś ja umiem Cię pojąć już całą – dziś objąć już zdołam całą wielkość Twej duszy: Tyś jedyną naświęcie może kobietą przed którą synowi wszystko wyznać się godzi – ja wszystko Cię kocham szalenie ale ja Cię ubóstwiam. Będę zupełnie szczery przed Tobą."

„Jeden mógłbym mieć tylko powód wstrzymujący mnie od szczerości w moich listach – a tym jest wątpliwość kto Ci listy moje czytać będzie. – Gdybym był pewny że będzie to zawsze Twoja lektorka, szanowna pani Seweryna, to możebym je tak pisał (prawie) jakbyś Ty je sama jedna tylko czytać miała, ale wiem że pani Seweryna bardzo rzadko Cię teraz odwiedza, obarczony Suchorab we własnej administracji. Pani Seweryna umiałaby dochować tajemnicy gdyby się kiedy jaka w moim liście znalazła a nielękałbym się odsłonić przed nią mojej słabszych stron, bo wszak mnie ona zna od dziecka. Nieradbym jednak aby moje listy czytały panie z Podsośnia, a tem mniej pan Marceli. Panu Adamowi także ich nie dawaj Mateczko, ani panu Marianowi ani nikomu z całego tego gniazda."

„Co do niniejszej mojej przesyłki, jestem o jej los zupełnie spokojny. Wstąpiłem do poczciwego naszego doktora, i uprosiłem go aby Cię odwiedził koło 12° Grudnia, i jadąc do Pasieki zabrał z poczty mój list. Obiecał mi to święcie a co on przyrzeknie to pewniejsze od pitagorowej tabliczki. Jako czytelnikowi niniejszego mego listu składam mu tu raz jeszcze serdeczne podziękowanie za tę przysługę oddaną mnie i Tobie, jedną z tysiąca jakie w ciągu swego życia nam oddał. Przed nim jak mój ojciec tak i ja żadnych nie mam tajemnic." – (a których mu nigdy niczem wywdzięczyć nie zdołamy.)

„Rozpisałem się szeroko – a nic Ci nie doniosłem. Północ już dochodzi, oczy mi się kleją. Powiem Ci więc dziś krótko to co chciałem szczegółowo opowiedzieć. Przyjechałem tu o czwartej. Przebrawszy się, pierwszą osobą którą spotkałem na ulicy był Felunio, nieznośny Felunio. Obcałował mnie i obśliniał i jak zwykle miał do mnie <u>wielką prośbę</u>. Mateczka wie co u niego znaczy wielka prośba. Oczywiście nie dałem nic. Ma i tak u niego do 40 guldenów ciężką pracą zarobionych. Próżniaczysko! stara się teraz o bogatą kotlarzównę, ale ona go niechce. Usłyszawszy odemnie <u>verba veritatis</u> powiedział mi przypominawszy sobie przy pożegnaniu najprzód że panna Idalia zaangażowana do Warszawy a potem jeszcze sobie przypomniał że jego matka była przed dwoma dniami umierającą i zwołano do niej konsylium. Po dokonanej operacji ma się ciotka znacznie lepiej. Poszedłem natychmiast do niej, bo niechcę na nową burzę od matki zasłużyć. Siedziała w fotelu i robiła pończochę jak zwykle, a usta jej się nie zamykały. Skargi i narzekania na wszystkich żywych i umarłych sypały się jak z rogu obfitości a mnie się dostało docinków najcięższego wagomiaru ze dwadzieścia. Nikogo nie

oszczędzała, dostało się nawet wujciowi, czyli jak go nazywa: Bohusiowi. Felunio wyszedł jeszcze najlepiej z tego gradobicia. Nie wyobraża sobie mama jaka ciotka teraz zła: Kto jej nie widział od czasu jej choroby, wyobrazić sobie tego nie potrafi. Dawniej przecież taką nie była. Doktorowie powiadają że to zły bardzo symptom choroby i zły wróżą koniec. W tej chwili niebezpieczeństwo zdaje się być uchylonem, ale za parę tygodni może znowu powrócić, a wtedy prawdopodobnie nie byłoby już ratunku. — Zabawiłem u ciotki dłużej nad zamiar: kuzynka Bercia popisywała się z arią Parysa z Pięknej Heleny: Władnie Ida trzy boginie, Stefcia zaś wymagała odemnie z trudną do opisania natarczywością abym jej opowiadał wszystkie szczegóły mojego, jak się wyraziła, romansu. Obie coraz brzydsze, ale Stefcia ma nieco naturalnej gracji a kiedy chce oczemś powiedzieć że to niedorzeczność, czyni to za pomocą pewnego charakterystycznego gestu, który mi przypomina śliczną naszą sąsiadkę, pannę Zofię."

Zapłoniła się Zosia zaskoczona tak niespodzianą o sobie wzmianką. Mimowolny przestanek w jej płynnem czytaniu zabawił staruszkę:

— Widzisz Zosiu i o tobie mowa!

Ale jej ścisnęło się serce żalem. Czytała dalej:

— „Wuja Bohusia z początku nie było w domu w czasie moich odwiedzin. Przyszedł później. Przyszedł z jakiejś piwiarni, co czuć było aż nadto po rozlegającej się piwiarnianej woni; po kilku słowach przywitania wziął się do obcinania paznokci. Używał do tej operacji jakichś szczypczyków zamykających się z szczególniejszym zgrzytem, a po każdem zgrzytnięciu takiem odskakiwał w górę okruch pazura i uderzał to w lampę, to w twarze przytomnych osób. Zaledwie skończył tę robotę zabrał się do drugiej, do dłubania piórkiem w zębach. Skrobał po nich tak głośno, że aż mrowie mnie przechodziło, choć nie należę do nerwowych ludzi. (Muszę Mamie przypomnieć dla uzupełnienia obrazu że zęby ma prawdziwie przedpotopowej wielkości i posiada jakiś muskuł, którego zapewne brakuje innym ludziom a za pomocą którego potrafi tak ściągnąć górną wargę w górę że jej prawie nie widać. Pamięta Mama tę oryginalną jego postać?) Do rozmowy się nie mięszał, czasem tylko przerywał swoje zajęcie jakimś wykrzyknikiem nieartykułowanym albo wtrąceniem niedorzecznem swego przysłowia: kulą w płot! — Ach, co to za nieznośny człowiek!"

„Wyrwawszy się nareszcie stamtąd, spieszyłem do mojej narzeczonej, choć przyznam się Mateczce szczerze, strasznie mi się już nie chciało. Czułem że wypada pójść w dzień mego powrotu z wsi — i zrezygnowany byłem pójść. Na moje szczęście czy nieszczęście spotykam ... nie zgadłaby Mama kogo ... oto, mego najlepszego i najserdeczniejszego przyjaciela: Jasia!

Po pięciu latach nieobecności wyrwał się od swych zajęć w Warszawie i przyjechał do nas na dni kilka. Pojmujesz Mamo, żem już do Sarbkich nie poszedł i cały wieczór spędziłem z Jasiem. Przecież przyjaciel tak dawno niewidzianego przyjaciela, którego jak brata kocham, może mnie rozgrzeszyć. Z nim tak rzadko widywać się mogę, a z nią będę całe życie razem, zawsze razem aż do znudzenia. — Rozpytywał mnie z serdecznem zajęciem o Mamę, o nasz dom, o wszystko. Gdym mu powiedział że się żenię, rzucił mi się z radością na szyję i zawołał: A to się cieszę! spodziewałem się tego! — Spodziewałeś się? zapytałem zdziwiony. — Blondyneczka jak Fania, o jasno niebieskich oczach, nieprawdaż? — Nie, rzekłem: smagła bruneta... (Opowiedziałem mu dzieje owych zaręczyn. Nie bardzo mu się to wszystko podobało i rzekł w końcu: Jabym był wolał... i urwał. Cobyś był wolał? — Niechciał mi powiedzieć. — Może i jabym był wolał... ale niema o tem co mówić. Już po północy. Dobranoc:"

. . . .

„27 Listopada. — Ach, Mateczko! Jakaż tu gawiedź miejska obrzydliwie mi wstrętna, ten tak zwany świat! Ileż tu fałszu i obłudy. Nigdy wprzódy mi się to niedało tak uczuć jak teraz. Jak mi ci ludzie winszują nieszczerze, jak mi szczerze zazdroszczą! Jak mi oni pochlebiają, jak mi się łaszą, jak czapkują wiedząc że mam zostać wielkim panem! Byłażby to wściekła radość między temi memi nowemi wielbicielami i przyjaciółmi (:sami się tak nazywają:) gdyby dla jakiego nadzwyczajnego powodu małżeństwo nie przyszło do skutku! ach, jakżeby się oni cieszyli, jak by się śmiali! Na szczęście nie przyjdzie do tego i przyjść nie może."

„Byłem tedy dziś u mojej narzeczonej.... Niechże mateczka sobie tego na złe nie tłómaczy jeśli wczoraj napisałem że mi się tam iść niechciało. To nie dla tego abym ja Hieronimki nie lubił, owszem, wierz mi Mateczko, że mam prawdziwą dla niej sympatię a wobec tylu dowodów namiętnego jej do mnie przywiązania musiałbym być chyba drewnianym manekinem albo marcypanowym juraszkiem abym jej tego uczucia choć w części nie odwzajemniał. Nawet w takim razie gdyby była brzydką jak noc, musiałaby się w mem sercu obudzić dla niej jakaś niezwykła wdzięczność czy przyjaźń czy litość... ja sam niewiem jak nazwać ten szczególniejszy rodzaj współczucia. Ona mnie tak kocha! Ona żyje mną i mną samym tylko: o mnie tylko myśli, o mnie marzy, we mnie widzi wcielenie swego ideału, we mnie szczęście swoje całe. Gdyby mnie nie było, ona by żyć niemogła. Dowodziła mi to nieraz i jestem przekonany że mówiła prawdę. Nie, Mateczko, takby mnie nikt pokochać nie mógł na świecie jak ona. Zepsuty jestem tą jej miłością tak nadmierną, nieludzką, chorobliwą może i obłąkaną... ale zawsze miłością taką jakąś nikt dla mnie nigdyby nie zdołał. Miło to być

czyjmś bóstwem, czyjmś zdrowiem i życiem i szczęściem. Ta jej miłość stała się już potrzebą mej duszy; czułbym się nieszczęśliwym gdyby mi jej zabrakło.... Widzi Mama jak ja się do niej przywiązałem! A mama mówi że ja jej nie kocham! Zaręczam Mamie, że to nie paradoks: czułbym nieprzezwyciężony pociąg do niej, choćbym miał wstręt nieprzezwalczony. Kochałbym ją, powtarzam to, choćby brzydka była (jak noc, brzydka ciałem i duszą i szacunku mego niegodną, złą i głupia (byle mnie tak kochała jak mnie kocha)... A taką przecież nie jest! Jest to dziewczę jednostronnego wprawdzie ale wysokiego zawsze wykształcenia, dobra i łagodna jak anioł, szacunek mam dla niej wysoki a brzydką jak noc nie jest. — Niepodobna mówić wprawdzie aby była piękną, tem mniej urodziwą, nie posiada ani klasycznych rysów ani tego uroku młodości który w jej wieku często i najbrzydszej dziewczynie nie braknie. — Ładną nikt jej nienazwie chyba pochlebca; brzydką nazwie ją chyba ten w kim serce śpi snem twardym, kto o piękności sądzi wedle matematycznych wymiarów (rysunku albo wedle odcieni karnacji, jednem słowem: pedant-estetyk. Jest w niej coś co trudno słowem określić a co człowiekowi wyższego umysłu niedozwoli jej nazwać brzydką. Sowie Mama że się niepotrzebuję wysilać na określenie tego tajemnego uroku, bo niemoże być nim co innego tylko piętno szlachetności w jej całej postaci, w jej rysach, w wyrazie twarzy przynajmniej. Otóż nie, — szlachetność jej serca, wyższego polotu jej myśli nieodczyta z jej twarzy kto jej nierna bliżej. Na pozór niby ona taka jak tysiące innych. A jednak jest coś w niej co niedozwala od niej oka oderwać, choćby się w gronie najpiękniejszych dziewcząt znalazła. Jest coś w wyrazie jej twarzy tajemniczego, zagadkowego, sfinksowego, coś mistycznego — co jak zaklęcie magnetyzera wzrok nasz trzyma na uwięzi. Magnetyzerka zwycięża jednak i przyciąga ku budząc w swoich ofiarach niewytłómaczoną

— Proszę pani, — przerwała Zosia czytanie listu, — może mi dalej czytać niewolno? — O mnie nie ma wzmianki.

— Może Zosiu — rzekła staruszka pokrótkim namyśle, — Władzio pozwala aby je czytała Twoja matka. A ty Fela sama jak ona. Ja tobie równie ufam. Czytaj dziecko drogie! (On o tobie dlatego, tylko nie wspomniał, że ty zawsze z matką przyjeżdżasz i nigdy i dotąd inną lektorką nie byłaś.) Wiesz ty nikomu nie powiesz co z tobą mówiłam o zamierzonem ożenieniu mego syna, ani to coby on sam pisał?

— O zaręczam Ci pani, nikomu!.. zawołało wzruszone dziewczę I czytała:

(Ona zaś nie budzi ani postacią swą ani głosem swym sympatii, której nie są w stanie się oprzeć,) ani wdziękiem tej sympatii Fabiej tacy którzy mówią: ach jakaż ona niemiła! jaki ma głos nieprzyjemny!... Może i jabym czasem to powiedział. Ona nie przyciąga ku sobie — w jej całej postaci nic niema coby przyciągało — ale ona... czaruje (prawdziwie że czaruje! Gdybym był przesądny, uwierzyłbym w czary.) — Piękności w niej niema ani uroku — ale jest czar jakiś. Nie śpieszno mi do niej gdy jej niewidzę — nie tęsknię za nią, (powiem szczerze: rad nawet jestem gdy jestem od niej z dala) ale gdy przy niej jestem czuję się pod władzą jakiegoś zaklęcia, jakiejś potęgi z którą darenmobym chciał walczyć. — W stalaktytowej

(8.)

jakiej grocie lub w głębiach kopalni oświecić ją ogniem bengalskim a górnicy padną przed nią na kolana jak przed królową podziemnych światów. Jakaś nieziemska ale pozaświatowa owiewa ją atmosfera, jakaś promieniście z jej wątłego postaci siła nieprzezwyciężona, która (nie nęci, nie wabi) nie pociąga ku sobie ale [wszakże] (znaczenie tego słowa!) czaruje. Czaru tego doznaję wczoraj wyższym stopniu. Czy to miłość? — nie wiem. Może to i miłość. Ale jeśli to miłość — to dziwnie mi z nią. Raz w życiu się kochałem — było mi wtedy całkiem inaczej: było mi wtedy tak jak śpiewają poeci, jak czują wszyscy zakochani przyjaciele moi... Mnie teraz całkiem inaczej. Tak mi jest, jakbym był chory na serce — poezji we mnie niema; prozą oddycha każda moja myśl, nie zdolny jestem cieszyć się ani smucić, fantazja usnęła, zmysły nie grają, zimny jestem jak lód, sam sobie z własnego stanu zdać nie umiem sprawy: radbym Hieronimę pokochać tak jak się zwykle kocha albo ją znienawidzieć... — a nie mogę ani jednego ani drugiego; chciałbym być obojętnym — a i tego nie mogę. Dziwnie mi, — bardzo dziwnie, ale to minąć musi. To jakieś przeobrażenie duszy, z którego odrodzona wskrzesnie do nowego życia. Hieronimę postanowiłem pokochać sercem całem — i pokochać ją muszę. Ona warta tego."

. . . .

— Czemuż nie czytasz Zosiu? — zapytała staruszka po dłuższej [pauzie].

— Pozwól mi pani odpocząć chwilkę — odrzekła Zosia przez łzy.

Obie zamilkły. Cisza była: słychać było tylko szalejący na dworze wicher i gwizdanie przeciągów w kominie i nad powałą.

Nie podsycany przygasał na kominku ogień.

Wreszcie odezwała się matka:

— Nie, on nie jest szczęśliwym!..

— Nie — powtórzyła Zosia a głos jej drżał od wzruszenia.

. . . .

„28" listopada. — Rozpisawszy się wczoraj o sobie, zapomniałem Mamie donieść że Hieronimkę zastałem cierpiącą; przez czas kilkudniowego mego pobytu w Paprotce, znowu była chorą, powiada że jest zawsze chorą jak mnie nie widzi. Trudno to przecież abym wisiał przy niej jak obraz na ścianie! Ile razy przy niej jestem, patrzy ona w samej rzeczy na mnie (jak na obraz) jak Święta Teresa na obraz Zbawiciela: Oka ze mnie nie spuszcza jakby była w ekstazie, a gdy ja wdam się w rozmowę z jej matką i przez chwil kilka nie spojrzę na nią, z boleśną skargą przywodzi mnie do porządku, takim żałośnym tonem, jakbym jej najcięższą wyrządził krzywdę. Tak przecież zawsze nie może być! Umarłbym pod wpływem takiego magnetyzmu. Nie uwierzy Mama jak mnie to męczy. Moja Święta Teresa powiada mi że rozkosz zbawionych w królestwie niebieskiem na tem ma polegać, że będą Bogu twarz w twarz patrzeć

przez wieczność całą – i że ona podobnie (tu na ziemi) życie rozkoszną gdy jestem przy niej i chciałaby aby to wieki trwało.. Miałem ochotę jej powiedzieć że ja nie (życzyłbym sobie tego), alem zamilkł: byłoby jej to zanadto bolesne. Dziś ją trzeba oszczędzać, ona taka chora, taka nerwowa, taka mizerna! Kaszel jej bardzo mi się niepodoba, a wzmógł się znacznie od czasu mego wyjazdu. Kiedyś, jak przyjdzie do sił i zdrowia, będzie ją można z tej nadmiernej egzaltacji wyleczyć, bo mnie to formalnie zamęcza. Także mam wrażenie pod wpływem tych jej czarnych oczu, wpatrzonych we mnie, jakby mi ona duszę wzrokiem wypijała. Nierozumie mama tego wrażenia które się Mamie ekscentrycznem wyda, bo nigdy mama czegoś podobnego w życiu nie doznała. Przesiedziawszy z nią cały wieczór, wychodzę z jakimś szczególnym zawrotem głowy, odurzony jakby po zażyciu haszyszu, tylko że to upojenie nie jest bynajmniej tak rozkosznem, jakiego mają doznawać arabi: chorym się czuję i rozdrażnionym jak nigdy nim niebywałem w życiu. – Któryś z poetów niemieckich, niepomnę który, pisze o kochanku, który zrządzeniem niebios miał od urodzenia wyciśnięty na siatkówce oka wizerunek swojej kochanki i gdziekolwiek spojrzał, wszędzie widział mglisty jej obraz. Otóż ja teraz czegoś podobnego doznaję. Gdziekolwiek spojrzę i na jakikolwiek bądź przedmiot wszędzie widzę wpatrzone we mnie jej źrenice. Widzę je w ciemnym pokoju (nawet gdy zamknę powieki), idąc ulicą widzę je w powietrzu zawieszone przedemną w tej odległości z jakiej ona zwykle na mnie patrzy. Czytałem dziś jakąś kartkę pogrzebową przylepioną na rogu kamienicy: z kartki tej patrzały (na mnie) jej oczy. Pisząc list ten – drgnie mi czasem ręka gdy zamyśliwszy się o niem, nagle się ocknę, ujrzawszy je pod ostrzem pióra na białej ćwiartce papieru. Śmiać się muszę z mojej chorobliwie podrażnionej wyobraźni: wczoraj jedząc obiad obaczyłem je w filiżance bulionu, w naleśniku z powidłami. – Tak dłużej nie może być.. Zwarjowałbym śmiejąc się sam z siebie. Jeśli nie potrafię okiełznać rozbujałych nerwów, powiem jej wprost, że mnie zabija tem magnetyzowaniem.

„Jaś skutkiem otrzymanego listu z Warszawy musi przyspieszyć swój wyjazd. Jak mało korzystać mogłem z jego bytności!"

. . . .

„29 Listopada. Moje panie zastałem dziś smutne i spłakane. Mieronia miała spazmy. Zostały one ogromnie zaalarmowane listem który otrzymała pani Sarska od syna z Paryża. Była to odpowiedź na list w którym mu doniosła o naszych zaręczynach. List swój

wyprawiła do Nicei, gdzie p. Lucjan miał bawić przez zimę, ale go tam nie zastał. Gonił tedy za nim ów list po całych Włoszech i po Szwajcarii aż wreszcie z Vevey odesłano mu go do Paryża. Panicz raczył oświadczyć swej matce wysokie swoje niezadowolenie. Listu jego nie chciano mi pokazać ale domyśliłem się jego treści i tonu, z przytoczonych mi, najmniej niby rażących ustępów. Dziś on wbija tym swej matce ostrze honoru, że póki on żyje, jego siostra nie zrobi mezaliansu. – Głupiec! Komu to sądzić o wartości ludzi i o mezaliansie, – czy takiemu jak ów młokosowi, który od lat dwóch wydostawszy się z pod kierunku guwernera pędzi życie na próżniaczej włóczędze zagranicą? Mezalians! Tu jeszcze wielkie pytanie, kto się z nas dwojga mezaliansu dopuszcza! na ołtarzu domowym składam skarby, których i za miliony nikt nie nabędzie: Ja zdrów jestem i silny a czuję w sobie dość zdolności i woli aby pójść z losem w zapasy i wywalczyć sobie stanowisko zaszczytne, byt dostatni i zdobyć poważanie świata, którego p. Lucjan mimo dziewięcioperłowej korony nigdy mieć nie będzie. A ona? Mnie nie potrzeba jej tytułów i jej milionowego majątku. Jabym wolał aby mi przyniosła w posagu zdrowy umysł i ciało i koligacje z serdeczną jaką rodziną i nadzieję zdrowego potomstwa. Cóż ona mi z tego wszystkiego przynosi? Nic zgoła!.. Nie zazdrościłem nigdy skarłowaciałym potomkom wielkich rodów. Zazdrości godnym wydawał mi się raczej zawsze protoplasta nowego rodu pełnego młodzieńczej siły i zasobów do walki. Marząc o ożenieniu od lat najmłodszych, jam marzył zawsze o poczciwem dziewczęciu (ot, takiem jak .....⊙! — Jak kto? ! Zebrało się dziewczynie na odwagę i czytała dalej: „jak Zosia...) zdrowem jak jabłuszko, świeżem jak kwiat, któreby mi dało synów, dzielnych duchem i ciałem. – Jakąż biedna Hieronia obdarzyć mnie może dziatwą? Trumienki widzę przed sobą w marzeniu gdy o tem pomyślę i cherlaków podtrzymywanych sztuką lekarską przy życiu, którym by lepiej było nie rodzić się wcale. Mrowie mnie przechodzi i pragnąłbym abyśmy wcale nie mieli dzieci: poco nam tych obaw i pogrzebów i rozpaczy?..."

Nowa przerwa.

W tej ciszy wieczornej nadsłuchiwała staruszka. U ślepych dusza cała w słuchu. Dochwycą oni tak drobne szmery i dźwięki, odróżnią tak nieznaczne głosu modulacje, że cudowną prawie się zdaje przenikliwość ich w tej mierze.

— Ty płaczesz, Zosiu! – rzekła wzruszona.

— Nie, pani! – i usuwając się z kolan staruszki, całowała ją w rękę.

Pogłaskała ją ślepa po twarzy, łzy uczuła na dłoni.

— Płaczesz! – i rozczulona obiema rękami objęła jej główkę, przycisnęła do serca, okryła pocałunkami jej czoło, jej twarz i oczy wilgotne od łez.

⊙ Zabrakło czytelniczce głosu. Żywym rumieńcem zapłonęły jej lica.

Z rozkoszą utulonego przez matkę dzieciątka dała się Zosia całować i pieścić. Naprożno starała się łzy powstrzymać, płynęły one ciągle nieprzerwaną strugą.

Dreszcz jej [illegible] rozkoszny przebiegał od całusów tej ślepej staruszki. Drżała w jej ramionach jakby w objęciu [illegible]. Serce jej biło głośnem tętnem, rumieniła się naprzemian i bladła. Pocałunek matki tak na nią działał jakby pocałunek syna.

Silniej przycisnęła drżącą staruszka do łona i rzekła smutnie:

— Zosiu, ty go kochasz!

Głośne szlochanie dziewczyny było jej odpowiedzią.
— Biedne dziecko!.. [illegible]
A szlochając leżała w jej ramionach dziewczyna. A Nieme łzy matki padały dużemi kroplami na jej głowę.

Ani słowa pociechy, ani słowa skargi.

Na co tu słów?

Wypłakała się dziewczyna, ukoiła ból w sercu, raz jeszcze ucałowała jego matkę jakby matkę rodzoną i powstając rzekła smutnie ale spokojnie:

— Będę czytać dalej. —
Westchnęła staruszka: — Czytaj dziecko moje!
— „Samotność we dworze, zapełniona ciągłem staraniem o jej wątłe zdrowie, spędzona w chorobliwej jakiejś miłośnej ekstazie, somnambuliczna jakaś wędrówka po drodze żywota... [illegible] jednostajna, smutna, nudna, jak podróż po Saharze... a przytem dostatki, bogactwo, znaczenie: oto co mnie czeka. Hieronima żyjąc do południa — ranki będzie można spędzić na pracy, a majątkiem popierać w kraju wszystko co zacne: tyle dla mnie szczęścia i przyszłości.

„Nie mam innych marzeń. Zerwałem z niemi i pogodziłem się z moim losem. Silny jestem i przygotowany na wszystko co mnie czeka. Nie bój się Mateczko o mnie."

„30 Listopada. — Panie moje dziś spokojniejsze. Wyperswadowałem im że ten fajerwerk słów w liście Lucjana jest tylko młodzieniaszkowatym fajerwerkiem i nic więcej. Odważniej oczekują zapowiedzianego jego w tych dniach przyjazdu. Powiem mu słowa prawdy i sądzę że zdołam go przywieść do opamiętania. Niepodobna przecież aby mu zdrowie siostry całkiem obojętnem być miało. — A gdyby to wszystko nie pomogło, powiem mu po prostu: bądź pan zdrów, ja pana znać niechcę i niepotrzebuję — a Matka Hieruni dom przed nim zamknie: przyrzekła mi to. — Odwiozę także wszystkich krewnych Hieruni, aby wpłynęli z swej strony na kapryśnego panicza. — Byłem już u kilku

i znalazłem wszędzie przyjęcie znacznie lepsze niż się spodziewałem znając ten świat salonowy. Niektórzy stanęli ze mną odrazu na stopie prawie tak przyjaznej, jakbym już był członkiem rodziny. (Najserdeczniej przyjął mnie wszakże pan Eugeniusz.) W jednego tylko pana Jerzego szczególniejsze mnie spotkało zdarzenie. Jak Mateczce wiadomo, dawałem tam niegdyś lekcje literatury pannie Jadwidze, otóż będąc obecnie u p. Jerzego zapytałem) (Kto jej teraz uczy. - Nie mamy nikogo, odrzekł p. Jerzy: czy nie mógłby nam pan kogo polecić? - Siebie! odpowiedziałem, jeżeli państwo byli z mych wykładów zadowoleni. - O tem pan nie może wątpić, córka nasza skorzystała nadzwyczaj wiele i nie może odżałować swego nauczyciela, - ale teraz nie śmielibyśmy pana trudzić. - Milejby mi było dawać lekcje w domu państwa niż gdzieindziej a szukam właśnie lekcyj. - Państwo Jerzowie spojrzeli na mnie i na siebie z niedowierzaniem zadziwieni, (Pan Jerzy się roześmiał: Pan żartujesz? - Bynajmniej! - Przecież pan lekcyj teraz dawać nie potrzebujesz, zawołał. - Żeniąc się z naszą kuzynką! dodała pani Jerzowa. - Z czegoż bym żył? odpowiedziałem. - Pan Jerzy zrozumiał to jako delikatną z mej strony przymówkę o pożyczenie pieniędy. Oczywiście nie przyjąłem propozycji. Będę miał więc lekcje w ich domu, mam prócz tego jeszcze w dwóch innych domach a to mi na teraz wystarczy. Ach prawda! zapomniałem jeszcze o jednym szczególe charakterystycznym. Porozumiawszy się ze mną co do godzin w których mam przychodzić dodała pani Jerzowa: Ale pozwolisz pan, że my sami wyznaczymy honorarium, dla tak znakomitego profesora. Nie potrzebuję Mamie zapewniać że oświadczyłem na to iż większej zapłaty od tej którą dawniej brałem, nie przyjmę."

. . . . . .

„1^go^ Grudnia. - Niemiły miałem dziś dzień. Byłem w południe u Hieruni, zastałem ją kaszlącą więcej niż zwykle, rozdrażnioną przytem w wysokim stopniu i tak osłabioną że leżąc na sofie zaledwie mogła obrócić głowę ku mnie. (Okna były na wpół przysłonięte, bo ją światło razi. A gorąco w pokoju jak w łaźni parowej.) Patrzyła mi w oczy jak zwykle ale powieki jej się zamykały co chwila i wśród rozmowy a raczej słuchając mnie z natężoną uwagą, zadrzemała. Wymknęliśmy się z jej matką na palcach do drugiego pokoju. Przyszedł właśnie lekarz. Zapytałem go o Hierunię. Uspokoił mnie że stan jej nie jest jeszcze niebezpiecznym, ale dodał, że stać by się mógł nadzwyczaj łatwo. Każde większe wzruszenie mogłoby groźne następstwa sprowadzić. - Zimę tę wedle jego zdania należało przepędzić we Włoszech, w obecnym jednak stanie jej zdrowia niema mowy aby przed wiosną mogła wyjść z pokoju a tem bardziej aby można ją narazić na trudy tak dalekiej podróży. Ślub nasz zatem odbędzie się w mieszkaniu. Hierunia nie jest otem i ciągle

tylko marzy jak salon przystroić na tę uroczystość. Pragnie aby było tak świetnie tak bogato jakby Ona królewną była a ja conajmniej szachem perskim. Biedne dziewczę! jak mi jej żal! – Pytałem doktora czy to ~~tak~~ dobrze że w jej pokoju tak gorąco. Zalecił to jaknajmocniej. Natomiast zganił, że story pospuszczane. Jej trzeba, jaknajwięcej światła, jak najwięcej słońca, jaknajwięcej powietrza. Powiedziałem to Mierumi gdy się przebudziła – w tem nawpół ciemnym pokoju nie spostrzegłem (zrazu wróciwszy do niej) że płacze: płakała ~~długo~~ bo otworzywszy oczy nie ujrzała mnie siedzącego przy ~~niej~~ sobie (na tem miejscu gdzie) ~~[illegible]~~ siedziałem przy jej zaśnięciu. Dłuższego czasu trzeba było zanim się nieco uspokoiła po tak strasznem zmartwieniu. Mnie razi to szkaradne słońce! rzekła mi.. tym swoim zgłodniałym [illegible] głosem, którego nigdy jemu nie przybiera modulacji, jakby wszystka słodycz [illegible] w jej ustach. – Szkaradne słońce! ~~[illegible] jak tej przyjmować to mi tak łatwo~~ ~~tak mi dobrze oddychać. Tyś moje powietrze~~ – ja tobą oddycham (wyłożyła kilkakrotnie). Jabym chciała żeby było (znowu) ciemno, całkiem ciemno na świecie i żebym tylko ciebie widziała. – Martwisz mnie droga moja, rzekłem jej. Czy sądzisz że będę się czuć szczęśliwym jak będę cię widział chorą? Tobie do zdrowia potrzeba słońca i powietrza. – Nie, nie, niechcę słońca. Nietrzeba mi powietrza: kiedyś ty przy mnie to mi tak lekko oddychać: ja tobą oddycham. Tyś mojem słońcem, mojem powietrzem, mojem życiem!... Cóż jej na to odpowiedzieć? Siedziałem przy niej i patrzałem na nią, trzymając ją za rękę. Rączkę ma ładną, malutką, ale tak chudą jak ręka szkieletu. Ręka ciągle spocona a ~~usta~~ wargi spalone od gorączki. To niedobrze. Mówiłem do niej (o tem i o owem) zrazu, opowiadałem co mi przyszło na myśl, starałem się ją rozweselić. Ale jej nigdy niemam rozweselić nie można, rzadko kiedy zdarzyło mi się ją widzieć uśmiechniętą, śmiechu jej nie słyszałem nigdy (chyba [illegible]) ~~[illegible]~~ (z płaczem zmieszany. – Dziwna) Istota: jakby nie z tego świata! – Spostrzegłem że ją rozmowa męczy. Umilkłem zatem i siedzieliśmy tak niemi naprzeciw siebie patrząc sobie w oczy może z godzinę. Ach jak mnie to męczy! a stokroć bardziej jeszcze w tem tropikalnem gorącu! ~~w jej pokoju~~.. Prawdziwe tortury: siedzieć w nawpół ciemnym pokoju, nic nie robić, nic nie mówić, ~~[illegible]~~ patrzeć się w oczy i pocić się jakby ~~[illegible]~~ w piecu piekarskim. Nigdyby mama wyrządała ocem wtedy myślałem. Starałem się odbiec myślą daleko, daleko, bo gdy zwracam uwagę na te jej czarne źrenice wpatrzone we mnie to mi się ~~[illegible]~~ głowa kręci. Przypomniałem sobie dziecinne i studenckie moje lata: wakacje spędzane w Paprotce i dni najweselsze gdyśmy przyjechali do Suchorębu. (Prawem jakiejś [illegible] wyobraźniowej antitezy) ~~[illegible]~~ żywo stanęły mi w pamięci te same jak gwardzikli oczęta panny Zofii, to szczęście które w nich promieniało. Ach Mateczko! ~~[illegible]~~ to były najlepsze dni mego życia... ich wspomnienie więcej dla mnie warte od całej mojej przyszłości. W chłopięcej naiwności ja wtedy myślałem ... ale począć ~~[illegible]~~ dziś ~~[illegible]~~ powtarzać! Zapomniałem wtedy że Zosia bogata – a ~~ja~~ mnie się o jej rękę ubiegać nie wolno. Chciałem pracą wytrwałą dobić się stanowiska ... ale to tak trudno! To tak ~~[illegible]~~

wiele na to lat potrzeba .. a rok za rokiem ulatał... I przyszedł rok bieżący i przyniósł mi los którego mi świat zazdrości, przyniósł mi szczęście... czarne w czarnych oczach Hieruni.... Głos jej drżący, przerwany ocucił mnie z marzenia: Czy ty wierzysz temu mój drogi, że jabym bez ciebie umarła?.. Wierzę! odrzekłem... Oh, jabym nietylko umarła... i urwała myśl zaczętą. Po dłuższem milczeniu dodała: nietylko umarłabym dla ziemi... ale i dusza moja bez twej miłości zagasłaby na wieki, rozwiałaby się jak mgła – w nicość... w nicość.... Jak mnie ona kocha, nieszczęśliwa!...

„2° Grudnia. Rozpisałem się wczoraj o Zosi. O mateczko, niech ona nigdy się o tem nie dowie żem ją tak kochał... ale pocóż mam kłamać? pocóż mówię żem kochał, kiedy kocham szalenie... pierwszą i ostatnią miłością... nigdy tego tak silnie nie czułem, nie pojmowałem tak jasno jak przy Hieruni. Ilemkroć razy przy niej, to na myśl ciągle przychodzi mi Zosia!...

— O pani, pani!... jaka ja nieszczęśliwa!

— Dziecko moje! – i przycisnęła ją do serca staruszka, ocierając łzy z jej oczu. – Przycisnęła Zosia do swoich ust różaniec ten list, te wyrazy bezgranicznej jej miłości i czytała dalej:

„... Z myślą o niej usnąłem. Śniło mi się. Widziałem ją we śnie – ale jak! Widziałem ją leżącą na katafalku... To nie sen, to sen mara... prawda; ona dla mnie umarła.".........

„Rano odbyłem moje lekcje a dzień cały prawie aż do północy spędziłem przy Hieruni. Odsłonięto dziś story, znacznie jej lepiej, ale znowu zmieniła się na niekorzyść. W półcieniu i przy świetle wieczornem wydaje się ona najlepiej. Ona ma słuszność że słońca nie lubi. Przypatrywałem się dziś jej fotografji zrobionej przed trzema miesiącami: jakaż to różnica olbrzymia! Na fotografii każdy wygląda starszym, a ona na tej fotografji o lat kilka młodszą się wydaje. Wówczas była prawie przystojna w porównaniu z tem co dzisiaj. Okropnie jestem zmieniony, niepodobna mi dziś z Tobą dłużej rozmawiać, mateczko moja."

. . . .

„3° Grudnia. – Pani Sarska wypytywała mnie dziś szczegółowo o moją rodzinę. Z treści jej pytań domyślać się muszę jakichś plotek – prawdopodobnie o ciotce Malwinie, jej mężu i dzieciach. Oświadczyłem jej wyraźnie że cała rodzina moja to Ty mateczko, którą Hierunia winna czcić i kochać jak matkę swą własną. A co do ciotki, powiedziałem że bynajmniej nie uważam za obowiązek mej przyszłej żony uważanie jej za krewną, a tem mniej jej dzieci, z którymi stosunki moje są bardzo oziębłe. Hierunia wybiera się pisać do Ciebie z prośbą o błogosławieństwo, ale jej to z wielką przychodzi trudnością. Wstyd dziecku uczynić tego niebardzo mogła. Jest jeszcze zanadto

— Zosiu! Zosiu!.. i wyciągnęła staruszka ramiona ku swej lektorce, czując w szczerym jej głosie ból który jej serce rozrywał.

Ale Zosia serce przycisnęła ręką aby milczało i urywanym głosem czytała dalej:

„... to były najlepsze dni mego życia, ...

osłabiona. Ale powinna to była już dawniej uczynić. Kilka razy zadała mi pytanie, na co się zda aby pisała do ciebie, skoro Ty listu jej sama czytać nie barzien. – Napisz ty za mnie (powtarzała:) – Ty lepiej napiszesz. – Nie mogę moja droga odrzekłem: trzeba aby to były twoje własne wyrazy, twoje własne myśli i uczucia. Drogi mój! Ja niemam myśli żadnych prócz ciebie! całe moje uczucie to tylko Ty. – A więc (Hierunia) napisz to (właśnie) Matce mojej; (Nic milszego powiedzieć jej nie zdołasz.) – Och, jak ty wysokiej odemnie wymagasz rzeczy! – I zalała się łzami. – Niech jej Mama tego niema za złe: ona chora. – Widzi Mama jak ja jestem szczery: wszystko piszę!...

„4^go^ Grudnia. Hieronima zasiadła dziś do swej fisharmoniki i zaczęła grać. Zdaje mi się żem Mameczce mówił że gra bardzo biegle i z wielkiem czuciem na tym instrumencie. Po kilku akordach słabo jej się zrobiło i zemdlała. Przyszedłszy do siebie zaczęła spazmować. Spazmy ustały, teraz nieustychanie osłabiona i kaszle znowu gwałtowniej. Siedziałem tam do późna. Już koło 1^szej^ w nocy. Kończę, bo rano mi wstać wypada aby się do jutrzejszych wykładów przygotować.

5^go^ Grudnia. Panie moje dowiedziały się, niewiem już od kogo, że ja daję lekcje po mieście, tak jak dawniej. Pani Sarska była tem nieustychanie (zgorszona i) obrażona że narzeczony jej córki zarobkuje. Hierunia płakała z innego powodu, nie dla dumy obrażonej, ale czuła się najboleśniej tem dotknięta że niezażądałem od niej pieniędzy potrzebnych mi na utrzymanie, własną zarabiam je pracą. Poczytała to za dowód żem się nie zespolił z nią jeszcze takiem uczuciem aby wszystko (co posiada) mieć zawspólne a raczej ją samą z jej całym majątkiem za moją własność, którą dowoli rozporządzać mogę. Musiałem wielką przetrwać nawalnicę łez i próśb i wyrzutów i zakląć. Obie chciały mi opakować pulares banknotami. Oczywiście nic nie przyjąłem. Hieruni udało mi się wkońcu wytłumaczyć że świętość miłości naszej, że godność moja osobista wymaga abym aż do naszego ślubu (powiedziałem jej żebym się czuł nieszczęśliwym, gdyby mnie do tego zmusiła, żebym się wtedy niebył wstanie ⊙) nietknął jej majątku. Z hrabiną trudniejsza była przeprawa. Opór mój nazywa uporem i zdaje jej się że wynalazłem tem zarobkowaniem krzywdę jej domowi i nazwisku. Wszak niktby o tem niepotrzebował wiedzieć, mieliby wkońcu, żeś pan (wziął odemnie pieniądze, które za dni niewiele staną się twoją własnością). – Ja sam wiedziałbym o tem, – odrzekłem, – a to dosyć. Upokarzałoby mnie to – a ja upokorzenia nie zniosę. Ma pani swoją dumę, ja mam moją. – O, czyż ja nie uginałam dumy mojej wobec pana, zawołała, – błagając go abyś moją córkę poślubił! ileż ja upokorzenia już zniosę!...

6^go^ Grudnia. Przekonałem się Mameczko, że oprócz powodów wczoraj wspomnianych, Hierunia z innej jeszcze przyczyny tak boleje nad tem że ja niezaprzestałem dawać lekcyj. Zazdrość! Nigdy nie przypuszczałem żeby ona była zazdrosną. Przez jakąż szczególną dziś przechodzimy indagację? Cóżby to się działo z biedaczką, gdyby czytała ustęp w liście moim do Mameczki, gdzie

⊙ Tak kochać jak się kochamy teraz. I uległa.

się rozpisałem o pannie Zofji. Nie wie ona o kogo mogłaby być zazdrośną. Pragnęłaby zażegnać niebezpieczeństwa jakieby mogły grozić jej miłości... napróżno się szamoce. Jam je sam już zażegnał – i sam sobie ślubował że cię jej oddam na ofiarę. Będę sobie wiernym. Miłości jej nic nie grozi. Może być spokojną. Nikt jej pucharu z rąk nie wytrąci: wypije zwego duszę moją i może życie do ostatniej kropli aż do dna!...

– –

„8go Grudnia." – Nie pisałem wczoraj do Mateczki. Zanadto byłem zirrytowany tem co się działo, a właściwie tem, iż widząc że się coś niezwykłego dzieje nie wiedziałem co się to dzieje. Oto fakt: Wczoraj w południe poszedłem jak zwykle do Hieruni. Lokaj zatrzymał mnie w przedpokoju i oświadczył że pani hrabina prosi abym nie szedł do panny hrabianki, tylko do małego saloniku po drugiej stronie, bo chce ze mną wprzódy pomówić. Za chwilę przyszła hrabina, widocznie wielce zalterowana i powiedziała mi że Hierunia od rana ma prawie nieustanne spazmy a obecnie usnęła. Dodała, że doktor surowo nakazał aby z nią teraz rozmawiać i aby jej nie rozbudzać z tego stanu moralnej prostracji w jakim się w tej chwili znajduje. Obecność moja mogłaby szkodliwie bardzo na nię podziałać. Prosi mnie zatem, abym przyszedł dopiero wieczorem – i to aż po 8mej. Zachowanie się pani Sarskiej było przytem niby to przyjazne jak zwykle, ale zaambarasowania swego ukryć nie mogła. Czułem że coś zaszło niezwykłego."

„Przyszedłem po 8mej. Hierunia przyjęła mnie tak gorącem powitaniem, z tak serdecznem rozrzewnieniem ekwojnej mojem przybyciem tęsknoty, jak może nigdy jeszcze. Aż jej pięknie z tem było, tyle było prawdy w tym wylaniu wzbranego uczucia. – Nie obyłanie była mizerną, widocznie spłakaną. Ręce jej nie drżały, ale drgały od czasu do czasu tajemnem wstrząśnieniem. Z początku mówiliśmy bardzo mało, patrząc tylko na siebie jak zwykle i ściskając się za ręce. Potem uspokoiła się nieco i zażądała wody z sokiem malinowym. Gdy jej przyniesiono ten specjał ulubiony, uparła się abyśmy oboje z jednej pili szklanki. Orzeźwiła ją ten napój jakby kordjał jaki, uśmiechała się melancholijnie i stała się rozmowniejszą. Ten głos jej złamany, jakby omdlewający, ta monotonna przeciągła modulacja żałośnej skargi nabierała chwilami niezwykłej jakiejś siły wyrazu i uczucia. Ta jej postać nieśmiała w półcieniu przyćmionej umbrellą lampy, nabierała (mówiła bardzo wolno, jakby ię to wiele kosztowało wysilenia. W drżących przerwach zadyszy wyrazy) dziwnego jakiegoś czaru poezji i piętna. – Czy myślisz mój jedyny, rzekła mi, że ja pragnę życia?... Życia? o nie!... Ja tylko miłości twej pragnę!... A wiesz czy życie warte? (A wiesz żyć nędzniej i kochającą mnie... – Cóż) Żyć, to tyle co cierpieć. Życie, to męka nieznośna... Drogi mój, jakbym cię mogła kochać – umarła. O jakżebym cię wtedy kochała!.. Tak krótko codzień jesteśmy razem. Wtedy byłabym z tobą zawsze. Na ramieniu być mnie nosił jak statuetkę. A ciągle bym w twe oczy

patrzyła tak – tak jak w tej chwili... Och, gdybym ja umarła! gdybym ja umrzeć mogła!... Jakżebym była szczęśliwą! — Nie mów tego Hieruniu, rzekłem: czyż teraz szczęśliwą nie jesteś? chciałabyś mnie opuścić? — O, tylżyś był wtedy szczęśliwym, gdybyś mnie umarłą kochał... Nikt by ci wtedy nie pozazdrościł szczęścia! ... O ty nie wiesz, jam się wplotła w przędzę twego życia jak czarna nić... O jakżebym pragnęła umrzeć! — Hieruniu, zkądże ci dziś te myśli o śmierci? Tobie się życie uśmiecha! — O nie, nie luby mój! ja od dawna już o niczem nie marzę, tylko o śmierci. Jam ci tego mówić nie chciała aby cię nie zasmucić. Ale dziś, dziś to tak jej pragnę namiętnie ... namiętnie ... jak ciebie mój luby, jak twojego kochania. Ja was obie kocham jednako! Namiętnem pragnieniem twoją zdobyłam miłość.. ja i śmierć tak zdobędę!"

„Dziwnie przykre na mnie wywarł wrażenie ten chorobliwy nastrój jej myśli. Nadaremne były moje usiłowania aby zmienić przedmiot rozmowy. – Pochwyciła mnie żywiej za rękę: Ale ty mnie będziesz kochał wiecznie, żywą i umarłą? Przysięgnij mi, przysięgnij, że do grobu kochać będziesz mnie jedną i po za grób! – Moja droga: kto kocha ten wierzy; gdzie miłość nie wiarę, tam by nie związała przysięga. – Podniosła moją rękę do swych ust i namiętnemi okryła ją pocałunkami. – Wiesz luby, rzekła mi po chwili tych szczególnych pieszczot, którym się oprzeć nie mogłem, wiesz luby, jakbym tak mogła umrzeć lekko, rozkosznie... Tak niewiele potrzeba abym umarła... i zamieszkała w twem sercu na zawsze!... Kiedy mówię do ciebie, to dusza moja wyrywa się z serca i jest wtedy, wiesz gdzie?... – przerwała, i lekkim rumieńcem pokryły się jej lica: – tu, na ustach moich! Weź ją! – i kładąc mi głowę na piersi przechyliła ku mnie swe usta. Gorący jej oddech owionął mnie – krew mi uderzyła do głowy – niby odurzenie, niby dreszcz – dziwnego coś uczułem: spojrzałem na nią i pocałowałem ją w czoło." –

„Usta! – powtarzała – usta! – Nie, droga moja, – rzekłem, – podnosząc jej głowę i klęknąwszy przed nią całowałem jej ręce: nie, nie wolno mi dotknąć ust twoich dzisiaj! rozgorączkowana chorobliwie masz wyobraźnię. Ja pragnę aby mój pierwszy pocałunek życie wlał w ciebie a ty go pragniesz jak pocałunku śmierci. Bądź zdrowa. Czarujesz mnie, strach mnie jakiś ogarnia jak cię słyszę tak mówiącą i w końcu sambym gotów śmierci zapragnąć."

„Tak się skończył dzień wczorajszy. Dzisiaj znowu powtórzyło się coś podobnego. Gdy przyszedłem w południe, niepuszczono mnie do Hieruni z takich samych niby jak wczoraj powodów. Wyszła do mnie Hrabina, drżąca od wzruszenia, którego przyczyny nie chciała mi odsłonić. Natomiast po dłuższych preliminariach, że jako kobieta, niemoże sobie dać rady w interesach majątkowych i t. p. wystąpiła z prośbą abym dla załatwienia jakichś nadzwyczaj ważnych.

a naglących spraw wyjechał dziś wieczór do jej dóbr na Ukrainie, do nikogo bowiem niema zaufania tylko do mnie i nikomu imieniu powierzyć ich niemoże tylko swemu przyszłemu zięciowi. Zadziwiło mnie to trochę ~~[illegible]~~ to żądanie, wiedząc jak szkodliwie na zdrowie Hieronimy wpłynęła moja nieobecność, o czem mi zresztą sama hrabina tyle razy mówiła. Wszak gdym na dwa dni do Ciebie Mateńko wyjeżdżał, ~~[illegible]~~ miała mi to za złe. Wypytałem się jednak o ten tak ważny i niecierpiący zwłoki interes. Odpowiedź jej była tak ogólnikową, interes o ile mi w wyraźniejszej przedstawił się formie, tak mi się wydał błahym, że uważałem za rzecz najodpowiedniejszą, powiedzieć jej, iż jako kobieta nieczęsto obeznana z tego rodzaju sprawami i myli się poczytując przedstawiony mi interes za rzecz naglącą. Odmówiłem stanowczo podjęcia się teraz załatwienia tegoż. Zdrowie Hieroni wymaga, dodałem w końcu, abym tu pozostał. — Próbowała nalegać, przekonała się jednak z widocznem zmartwieniem że to nadaremne."

Wieczorem widziałem Hieronię. Znowu zapłakana i rozdenerwowana, cierpiąca. Kaszel jej wzmógł się bardzo od dwóch dni. Nie chciała mi wyznać powodów swego zmartwienia, czy nieustannie spływały jej po twarzy. Milczała prawie przez cały wieczór. Powiedziała mi tylko z wyrzutem: Nie chciałeś spełnić Maminej prośby? źle zrobiłeś! — Mnie smutno bez ciebie, jakby mi kto pół serca zabrał — ale byłabym spokojniejszą... Czemuż cię niepokoi moja ~~bytność~~ obecność? zapytałem. — Ja sama nie wiem. Radabym abyś dopiero się tu zjawił w dzień naszego ślubu. — Ciemnu? jak? Dlaczego? uśmiechnąłem się Powiedział... Dowiedziałem się dopiero ~~[illegible]~~ i wyjaśniło mi się wszystko gdym ją pożegnał."

„Wracając do mego mieszkania" ~~Spotkałem~~ spotkałem na ulicy poczciwego p. Eugeniusza, przyjaciela całej rodziny Sarskich. — Czy widziałeś Juljana? zapytał. — Nie; czy przyjechał? — Od dwóch dni. Ale to czysty warjat! — zawołał. Jakto nic nie wiesz?.. Nie byłeś u ślubu narzeczonej? — Owszem, stamtąd wracam. — Aaa, serdeńko to ci nie powiedziały że on przyjechał! — Ale nie obawiaj się kochany. Wszystko się to ułoży. Ten warjat utrzymuje że ci ~~[illegible]~~ dom wymówiono, że wszystko zerwane... Nie mogę ci na ulicy wszystkiego opowiedzieć serdeńko. Przyjdź do mnie jutro wieczór — zresztą wiem, mój jutro przyjmujesz — Opowiadać sami będą mieszczanie, jak zwykle."

. . . .

„11go Grudnia. — Trzy dni nie pisałem do Mateńki. Powiedziała mi raz Mama że listy moje powinny być wiernem zwierciadłem mojej duszy. Od tego czasu ile razy zabieram się pisać do Mamy i mam przed sobą białą ćwiartkę papieru, wyobrażam sobie że to zwierciadło w którym się twarz moja zwierciedli i fotografuje zarazem. Otóż przez te trzy dni ubiegłe, bałem się pisać do Mateńki, wstyd mi było fotografować się w tem usposobieniu w jakiem byłem... w tych usposobieniach powinienem raczej powiedzieć. Nie chciałem

aby z wyrazów listu mego przeglądały na przemian wszystkie miny i grymasy gniewu, znudzenia, znużenia, złości, oburzenia, zniechęcenia, wściekłości a najniewątpliwiej wszystkieby się tam były znalazły. Dziś gdy już burza minęła a dramat przygotowany przez p. Luciana zakończył się komedją, przystępuję do sprawozdania. Jak po zwycięskiej kampanji humor miałbym wyborny, psuje mi go tylko stan zdrowia Hieruni, która znowu ma się gorzej: kaszle, na chustce nawet krew się pokazała, a wieczorami miewa silną gorączkę w której fantazjuje nieustannie i mówi prawie od rzeczy. Lekarze niewidzą w tem jednak jeszcze zbyt groźnych symptomatów."

„Ale wracam do sprawozdania. Otóż nazajutrz po ostatnim wysłaniu mego listu, rano, raniutko, zanim wyszedłem na lekcje z domu, puka ktoś do drzwi i wchodzi żyd faktor, znana w naszem mieście figura, z którą jednak żadnych dotąd nie miałem stosunków. – A! pan Herszko! z czem pan do mnie przychodzi. A Herszko zaczyna jak każdy faktor ni wpięś ni wydziewięś od Adama i Ewy, że znał mego Ojca, że mnie bardzo szanuje, że ze mnie jaki ja uczony człowiek, że drugiego takiego niema w całym mieście i w całej Galicji, że jabym mógł zostać ministrem, że się dziwi czemu ja się o posełstwo nie ubiegam.... Ale czegoż pan chce, panie Herszko? A on znowu pyta czy mama zdrowa i czy jest na wsi, czy się mama bardzo ucieszyła jak się dowiedziała że ja się mam żenić z taką bogatą panną, bo on się tem bardzo ucieszył i bardzo by chciał żeby ja się na prawdę ożenił.... Ale do kroćset panie Herszko, ja niemam czasu: albo pan powiedz co pana do mnie sprowadza, albo się wynoś! – Nu, ja zaraz powiem: ja chciał dobry interes proponować. – Aa, dziękuję, zapewne chcesz mi pan udzielić pożyczkę? – bardzo dziękuję i wielce mi żal, ale niepotrzebuję. – Nu, ja wiem że pan niepotrzebuje, na co by taki bogaty pan co się ma z panną Sarką żenić potrzebował – ja przyszedłem proponować panu inny interes: czysty zarobek pięćdziesiąt tysiąców. – Cóż to za interes? zapytałem śmiejąc się: Ja się nie wdaję w spekulacje. – Nu, to nie żadna spekulacja! – Cóż takiego? to już chyba nieczysta jakaś sprawa, kiedy taki zysk ma przynieść. Strzeż się pan proponować mi jakąś brudną szacherkę; mógłbyś ze schodów zlecieć. – Naco ja mam zlecieć? To czysta sprawa – tu niema nic brudnego! Podpisze pan rewers że pan się zgadza żeby wziąść pięćdziesiąt tysiąców za dwa lata i pojedzie pan i weźmie, a przez ten czas będzie pan brać po tysiąc guldenów na miesiąc a rentę za dwa lata! – Nic nie rozumiem! – Nu, naco pan ma rozumieć! niech pan pójdzie do adwokata i niech pan podpisze... nu, a mnie faktornego ile pan da? choć z pięć tysiąców za taki fajny interes! – Ale dokąd że ja mam pojechać po te pieniądze – – Do Chicago, do

Ameryki! – Jakto? za dwa lata? – Ni! teraz zaraz i tam pan będzie musiał czekać! Tysiąc guldenów na miesiąc będzie pan brać – ale w Chicago! – Cóż to, niewiesz głupcze, że ja się mam żenić?... Ny, to się pan potem ożeni! – Chwyciłem żyda za gardło: Gadaj dobrze, kto cię tu przysłał? – Ny, czego mnie pan dusi! jeden pan! – Co za pan? – Aj waj! czego się pan gniewa? Czy to zły interes? – Kto cię przysłał żydzie? – Nu, sześćdziesiąt tysięcy! – Gadaj zaraz! – Gewałt! niech mnie pan nie dusi! jeden pan, nu! pan Sarski! – Który Sarski? – Nu co ja winien, że mnie pan tak trzęsie; pan Lucjan!... Otworzyłem drzwi a pochwyciwszy żyda za kołnierz, wyprosiłem go grzecznie z pokoju. Ale zaledwie zatrzasnąłem, głowa Herszka pokazała się w nich znowu: Osiemdziesiąt tysięcy! – wściekły: chwyciłem laskę do ręki i wybiegłem do sieni. Żyd zmykał szybko po schodach, ale w połowie piętra zatrzymał się jeszcze raz i zawołał rozpaczliwym głosem: Sto tysięcy! więcej nie mogę! jak Boga kocham! niech pan bierze!... Tak się skończył mateczko pierwszy akt komedji." –

„Postanowiłem nie wspominać nic moim paniom ani o tem zajściu ani wogóle o tem że mi wiadomą jest bytność Lucjana. Matka Hieruni z nową wystąpiła prośbą: Familia krzywi się na nas, rzekła ona, że nikogo nie przyjmujemy teraz oprócz pana, a osądź pan sam czy to podobne: Hierunię takby te wizyty męczyły! Ale zrób mi pan tę łaskę i jakby pana w tych dniach kto zapytał, czy bywasz u nas, powiedz że nie. – Łatwo mi było domyślеć się z tego żądania całej taktyki postępowania hrabiny wobec syna. To nie on zmyślił przed Eugeniuszem że mi dom wymówiono, ale matka mu tak powiedziała, aby zapobiec jakiejś awanturze z jego strony i uchronić siebie i Hierunię od jego wybuchów. Musiał się ten uspokoić nieco, bo i one były spokojniejsze."

„W ciągu dnia w kilku miejscach zdarzyło mi się spotkać z ironicznemi uśmiechami i dwuznacznemi zapytaniami których właściwe znaczenie dobrze zrozumiałem; pogłoska o zerwaniu mego związku z Hierunią, widocznie musiała się już rozejść po mieście. Felunio obaczywszy mnie na ulicy, przybiegł do mnie z rozpromienioną twarzą i wprost mnie zapytał, czy to prawda że wszystko zerwane. Któż ci to mówił? zapytałem. – Tak mówią w mieście, to dyżurna nowela. – Aa, czy tak? powiedz że im, że ani mi przez myśl nie przeszło zrywać. – Tak! ale hrabina? podobno dom ci wymówiono? opowiadają, że ci drzwi pokazała. – Kłamstwo! – Ah, to się bardzo cieszę. Winszuję ci! – rzekł spuszczając nos na kwintę. A dodał: A o mnie, to prawda wszystko co opowiadają! – Nic nie słyszałem. Cóż takiego? – Dała mi kosza. Ale ja nie głupi, ja wiem dla czego: ona się w Kotlarczyku kocha. – Ha, może być. Bywaj zdrów. – Bądź zdrów. A wiesz, moja matka znowu bardzo chora: Był u niej dzisiaj ksiądz z panem Bogiem."

(Po tej rozmowie z Kelumem)

Spotykając znajomych na ulicy i w miejscach publicznych śledziłem wyraz ich twarzy, sposób przywitania i zachowania się wobec mnie. Przyszedłem do wniosku że wszyscy już muszą wiedzieć o rzekomem zerwaniu mojem z Mierunią, a raczej o podobnem obejściu się ze mną hrabiny, jak ja się z Merskim obszedłem. — Drażniło mnie to w najwyższym stopniu i postanowiłem koniec temu położyć. Przywołałem dorożkę i przez kilka godzin jeździłem z wizytami. Byłem nawet w takich domach gdzie nigdy przed tem mnie nie widziano. Wszędzie (gdzie mnie przyjęto) sam pierwszy zaczynałem dyskurs o mem zamierzonem małżeństwie i śmiejąc się opowiadałem o krążącej po bruku miejskim pogłosce. (Wytłumaczyłem się przed niemi pamiętnie że jestem ciemiężony i muszę się pozbyć i)

„Na tem zszedł mi dzień. Wieczorem poszedłem na tak zwaną męską herbatę do hr. Eugeniusza."

„Zastałem tam do dwudziestu mężczyzn, po większej części należących do rodziny Parskich lub z nią spokrewnionych. Rozparty w fotelu, w na wpół leżącej postawie obrócony ku drzwiom siedział jedyny nieznany mi z całego grona młody mężczyzna z [illegible] w oku. Dość mi było spojrzeć na niego aby domyślić się że to Lucjan. Żywy portret siostry! Ta sama cera, czoło, nos, usta. Taki sam młodzieńczy wyraz twarzy. Smagły brunet, małego wzrostu, wątłej budowy ciała, gładkiej twarzy, bez śladu męskiego zarostu. W oczach tylko pewna właściwa mu arogancja czy duma. Gospodarz przywitał mnie z przyjazną poufałością, uścisnąłem rękę kilku znajomym i zbliżyliśmy się ku kanapie. Wtedy p. Eugeniusz rzuciwszy okiem na Lucjana zawołał: A, prawda! nie znacie się jeszcze! — i wymienił nasze nazwiska."

„Wtedy Lucjan nie ruszając się z miejsca i nie podając mi ręki zmierzył mnie od stóp do głowy i zapytał z arystokratycznym spokojem: — Czy to pan głosisz jakobyś był narzeczonym mojej siostry? — Nie potrzebuję tego głosić, odrzekłem, bo o tem wszyscy wiedzą. — Ale to nie prawda: pani matka moja tom wymówiła. — Roześmiałem się w głos: Wracam z tamtąd — i odwróciłem się w inną stronę, chcąc zakończyć tę szczególną rozmowę. Pan Lucjan (stracił zimną krew, która mi chciał imponować) zerwał się z fotelu na równe nogi: Kłamstwo! ja na ten związek nigdy nie zezwolę! — To mi zupełnie obojętne! odparłem spokojnie. Przyskoczył do mnie jak kot podrażniony: Czy i to panu obojętne? — i podniósłszy rękę chciał mnie w twarz uderzyć!"...

„Pochwyciłem w powietrzu jego drobną piąstkę, drugą ręką ująłem drugą, przycisnąłem mu je obie silnie do piersi i posadziłem go w fotelu. Wszystko to się stało w jednem mgnieniu oka." Młokosie! rzekłem trzymając go wciąż w uwięzi.

„Czy Mama pamięta jak ja włoskie orzechy rozgniatałem w pięści? jak one trzeszczały w mej dłoni i jak wyglądały kiedym dłoń roztworzył? Coś podobnego dziać się musiało z rączkami pana Lucjana. Syknął

przeraźliwie z bólu, twarz mu się skrzywiła jakby na nim spróbowano średniowiecznej tortury, oczy mu na wierzch wylazły. Wybełkotał jakiś frazes niezrozumiały, z którego tylko dosłyszeć można było jeden gromniejszy wyraz: satysfakcja." (rzekłem a palce jego kurczowo w moich drżały –)

„– Satysfakcji? – ja już ją sobie wymierzyłem! A jeśli Ci się wszystko zachciewa – to mnie do niego nie zmusisz, nawet obelgą! Z bratem mojej przyszłej żony ja się strzelać nie będę, bo czyby Ty zginął czy ja, to ona by umarła."

„Zwolniłem nieco tortury, a on ostatnim wysiłkiem zachrypiał przez gardło: Wolę niech umrę!"

„Ale ja nie! Rozumiesz pan!" Dałem mu raz jeszcze uczuć całą moją siłę i wypuściłem z mych kleszczy. Oczy łzami mu zaszły z bólu, twarz skrzywiona okropnie, oczy/usta bezwładne. Powstał, zrobił parę kroków (Słabo mi! rzekł – i omdlał. Pochwycono go w ramiona, wyniesiono do sypialni p. Eugeniusza i złożono na łóżku. A ja obróciłem się do obecnych, którzy jako niemi świadkowie przypatrywali się tej scenie i nie widząc zapasów między nami nie czuli potrzeby rozdzielenia zapaśników: – Jeżeliby kto z panów uważał że nie postąpiłem w sposób honorowy, to mu służę! i spojrzałem po wszystkich twarzach. Nikt się nie odezwał, wszyscy zdawali się pochwalać moje postępowanie. Na jednej tylko twarzy p. Wiktora błąkał się ironiczny uśmiech. – Czy pan może innego jesteś zdania? – zapytałem. – Skrzywił się niechętnie i rzekł: Wyznajmniej! postąpiłeś pan jak honor i uczucie nakazywało, ale obecnie jak zawsze honor wymaga, abyś pan zrzekł się małżeństwa z moją kuzynką!" –

„A mój honor wymaga, – odrzekłem szorstko, abym nie łamał słowa danego (Ola panne Olszewskiej) tego młodzieńczego wybryku którego jej brat się dopuścił. Zdaje mi się że mogę panów wszystkich uważać za członków rodziny mojej narzeczonej a przynajmniej za przyjaciół rodziny; proszę was zatem i spodziewam się że zechcecie zatrzymać w tajemnicy to przykre zajście, któreby mogło ubliżać honorowi p. Lucjana. Dbam o jego honor, bo to mój przyszły szwagier!"

„P. Eugeniusz objął mnie w ramiona i ucałował: Zacny, kochany! szlachetnie sobie postąpiłeś – a za to coś teraz powiedział, (serdeńko, to i wróg twój uszanowaćby aż musiał! Przyrzekam Ci zatem przyjaźń która Ci spotkała w moim domu!"

„Kilka jeszcze obecnych wyciągnęło do mnie ręce i jedni serdecznie, drudzy etykietalnie dłoń moją uścisnęli."

„Wystąpił znowu p. Wiktor, prowadząc tym razem pod ramię (p. Cypriana) swego ojca, siedmdziesięcioletniego zniedołężniałego starca, który się ledwie na nogach trzymał. Zdziwiłem mego ojca, rzekł on, nie idzie tu o to jakie ma być postępowanie pana Władysława. Nikt z nas nie powątpiewa że potrafi on

bronić swego honoru, ale dopóki nie jest członkiem naszej rodziny, a nie jest nim jeszcze, dopóty nie mamy prawa przepisywać mu jego postępowania. Co innego Lucjan. On nosi nasze nazwisko – i obowiązkiem jest naszym czuwać aby na honorze nie poniósł szwanku. Lucjan jest najmłodszy z rodziny i niedoświadczony w tego rodzaju sprawach. Mój Ojciec sądzi że winniśmy się zebrać na radę familijną i wskazać mu co mu teraz czynić wypada...“

„Tak! ja tak sądzę. To jest moje zdanie! – zawtórował synowi p. Cyprian. A p. Wiktor dodał: Mój Ojciec (prosi jako najstarszy z rodziny) na jutro wszystkich obecnych tu szanownych kuzynów do siebie, na godzinę pierwszą! – Tak! proszę na godzinę pierwszą! potwierdził p. Cyprian.“

„Nie widzę powodu tego zgromadzenia – rzekł p. Eugeniusz: – serdeńko jest dzieciak i powinien przeprosić Władysława, mnie i nas wszystkich i poprowadzić swą siostrę do ślubu. Nic mu innego uczynić nie pozostaje, jeśli ma mieć honoru i serca kawałeczek.“

„Prosimy do siebie, jutro o pierwszej! – rzekł p. Wiktor i wyprowadził swego ojca pod ramię.“

„Na tem skończyło się to całe zajście. Wróciwszy do domu byłem jeszcze zanadto wzburzony abym mógł był pisać do Ciebie Mateńko moja droga i zdać Ci sprawę z takim spokojem jak to obecnie uczynię. Chciałem zresztą doczekać się wprzód rezultatu owej narady familijnej. – (Ja tam pójdę – rzekł mi p. Eugeniusz, – ale obaczysz że się tam nikt nie zejdzie prawie!: ludzie nie lubią parzyć sobie rąk (serdeńko). Wiktor, (ba! Wiktor) miał projekciki na Ulrunię i to go korci, że mu ją zabrał z przed nosa. A Lucjanek! hoho, serdeńko, jemu się zdaje że jego siostra ma suchoty i o majątek mu idzie, bo swoją schedę już dobrze nadszarpał. Serdeńko, ja znam świat i ludzi: zjadłem zęby serdeńko.“

„Omylił się jednak p. Eugeniusz. Zgromadzenie wczorajsze było dość liczne. Okazało się że w tym świecie dużo więcej ukrytej było przeciw mnie zawiści niżeśmy obaj sądzili. Wiktor powołując się ciągle na swego ojca, był tego zdania iż obowiązkiem jest wszystkich Sarskich stanąć w obronie honoru Luciana i solidarnie zażądać odemnie abym mu dał satysfakcję z bronią w ręku. – Poczciwy p. Eugeniusz oponował i po zażartej dyskussji wśród której stronnicy Wiktora zaczęli się jeden za drugim wymykać za drzwi, nakoniec przeprowadził swoje zdanie, aby jeśli się to uda, sprowadzić nas obu razem i zniewolić do podania sobie ręki. Oprócz pp. Wiktora i Cypriana, ostatecznie obecni wszyscy na to zgodzili.“ –

„Tak tedy skończyła się ta burza która zawisła była nad moją głową. Z wszelkiej chmury mały deszcz. Wszyscy prawie członkowie rodziny Sarskich okazują mi jak największą uprzejmość. Wiktor mnie unika, a ci którzy ~~zawsze~~ trzymali się wprawdzie ze mną oziębli jak lód i sztywni jakby każdy z nich drut połknął, ale ~~nadzwyczajnej~~ grzeczności nie ~~...~~ uchybili do przesady. ~~...~~ Opowiadał mi Eugeniusz serdeńko, ~~...~~ że nie mogę się uspokoić ze śmiechu jaką minę ma teraz Łucjan zdekontenansowaną jak się wyraził. ~~...~~ Ręce mu opuchły i nie może jeszcze niemi władać, w jednym palcu lewej ręki podobno kostka przepękła na pozdłuż. ~~...~~ (Nie ochłonął ~~...~~ on jednak i dotąd jeszcze z swojej wściekłości i zaklina się na swego prapradziadka kasztelana że mnie zmusi do pojedynku. – Ciekawym (serdeńko) jakim sposobem? pyta p. Eugeniusz. Użył już środka najcięższego kalibru, bo publicznej obelgi – i odszedł ze wstydem. Już mu nic nie poratuje jak chyba zaprzyjaźnić się teraz z tobą albo wynosić się zagranicę.“ –

„Kończę już Mateńko droga ten mój list ~~...~~ czterystokrotny a raczej ~~...~~ pamiętnik z dwóch tygodni życia. Jutro rano list oddam na pocztę a przed świętami znowu pisać będę. Nie niepokój się Mateńko o mnie i nie martw się moim losem. ~~...~~ Ja się już z nim pogodziłem. Przyszłość moja nie całkiem może różowo wygląda, ale ~~...~~ życie nawet najszczęśliwszych ludzi nie jest jednokolorowe, lecz z różnych łat złożone jak szata arlekina. Zdrów jestem, silny, pogodnego umysłu i odważnie w przyszłość spoglądam. Z temi środkami i ~~...~~ na tem stanowisku które osiągnę zaślubiwszy Wierunię, będzie można coś przecie zrobić na świecie i być szczęśliwym czując że się jest pożytecznym. Byle mi Wierunia zdrową była! Prawdziwie, ja się coraz bardziej zaczynam przywiązywać do niej! Stan jej obecny bardzo mnie ~~...~~ niepokoi: kaszel, gorączka, ciągłe omdlenia. Lękam ~~...~~ się o nią ~~...~~ ~~...~~ mnie.“

„12° Grudnia. – Idę na pocztę oddać list. Ręce Twoje całuję ~~...~~ i nóżki twoje moja Ty najdroższa, najukochańsza Mateńko. Składam głowę na Twoich kolanach a Ty mi czoło ucałuj. Kochanemu doktorowi dziękuję z całego serca za odczytanie tej długiej epistoły. A toć to musiał naczekać! Przywiozę mu zato najnowsze dzieło Darwina. Bądź zdrowa Mateńko moja a kochaj twego syna – Władysław.“

Dopisek: „Ciotka była umierająca. ~~Od~~ wczoraj ma się lepiej, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Przed świętami list wyprawię, niechże Mateńka ~~...~~ nie czekała na próżno.“

— Jakiej daty jest ustęp ostatni? — zapytała matka.

— Dwunastego grudnia.

— A dziś dwudziesty ósmy. To dwa tygodnie! Nie napisał przed świętami. Czy się tam co złego nie stało?

— Cóżby się stać mogło?... zapytała Zonia i błysła nagle jakaś myśl w jej głowie. Zapromieniały wzrok jej dziwnem światełkiem — niby radości. Ale spuściła je wnet ku ziemi, jakby się własnej zawstydziła myśli. Zarumieniła się sama przed sobą.

— Może Hieronima ma coś gorzej.. wtrąciła staruszka.

— Jejmość! jejmość! ja już kolację przyniosę: już prawie czas! — zawołała Kachna otwierając drzwi. A nakryć przy okrągłym stole, czy tam jejmości dać? Panienka jest, to lepiej niech jejmość z panienką siada... A panicz co też tam pisze jejmości? czy tam także taki mróz?.. A wszystko się prawie na dworze, wichru już niema jakby się gdzie podział. Muszę kiedyś wiszącą odziać. Oho, już mu to nie pomoże, już mu dzwonią... odpuść panie Boże!.. No, przyniosę kolację? Są pierogi ze serem — takie jakie panicz lubi... Ej, ej, mocny Boże, czemu to się panicz z panienką nie ożenił, tylko gdzieś szukał żony za światem... kiedy ty miał pod bokiem. Z miasta żonę brać, to nie uważało!

— Przynieśże Kachno te pierogi! — przerwała jej staruszka.

X.

Bieluchne usłała Zosi Kachna łóżeczko w małym pokoiku gościnnym, zwanym przez domowników pokojem panicza. On tam zawsze nocował, ile razy przyjechał do Paprotek.

Zimno tam było w tym pokoiku, bo nie był opalany codziennie, ale dla Zosi nocleg ten w pokoju ukochanego, utraconego na zawsze, wydał się prawie szczęściem.

Oglądnęła tę ubogą izdebkę z największą dokładnością, jakby jakie arcydzieło sztuki budowniczej, zajrzała do każdego kącika, przypatrywała się tym ubogim meblom, z plecionej słomy, temu stolikowi z czarnemi plamami rozlanego niegdyś na nim atramentu. Tu przy nim on może nieraz siadywał, może dumał o niej. Ach, jak jej smutno! Widziała go wszędzie. Śledziła go i ta chata zdobycz. Długo przypatrywała się tym skarbom. Przyszło jej na myśl, że nieraz widywała u Władzia gimnazjalistę piszącego i gryzącego przy tem zawsze pozębany ołówek. Ach! i na tym ołówku (niewątpliwe ślady) tego zwyczaju: to już pewnie jego! Ten on trzymał

go wstała i gryzł, i gryzł, i gryzł! To o niej myślał może w tej chwili?... Długo oglądała te karbiki wycięte w drzewie, jakby to była jaka rzeźba wytworna. To nieprzepartą ciągniona pokusą, to znowu własnego wstydząc się wzruszenia, nagle musnęła po nim lekko ustami i odsunęła je co prędzej od śmiałka, który ją do tak nieprzystojnego nakłonił postępku.

Stanęła w oknie i długo marzyła patrząc przez te okna mrozem skrystalizowane w których łamały się tak dziwacznie promienie księżyca. Niby kwiaty, niby mchy, paprocie, a wszystko białe, zimne, brylantowe.

Nagle ujrzała na szybie wyrytą literę. Ż! Łzy jej się zaczęły prosić. Patrzała na nią, wodziła po każdej kresce oczyma i zdawało jej się, że z tej jednej litery odczytuje całe dzieje swej nieszczęśliwej miłości i całe dzieje swego życia... Bo już to chyba skończyło się jej życie! Cóż to za życie bez nadziei, bez przyszłości, bez niego! On pisał że mu się śniła leżąca na katafalku. To sen prawdziwy: ona istotnie umarła!

Ułożyła się wreszcie w łóżeczku, główką jej spoczywającą na tej poduszce... tak jej strasznie smutno! (Na tej poduszce pod jej głową, jego może niegdyś spoczywała głowa)... Zwilżyła ją łzami dziewczyna i tak marząc i płacząc usnęła.— —

Sen jej?...

O powieściopisarze, który pisze o zakochanych, nigdy opisu ich snów czarownych lub złowróżbnych pomijać nie możecie!... zapominacie o tem, że młodzi i zdrowi nic nie śnią wcale. Otacza ich we śnie ta boska Nirwana, która według wiary Buddhistów najwyższą ma być mądrości i cnoty nagrodą, najszczytniejszym ducha ludzkiego celem, który nam tysiącami żywotów i odrodzeń i śmierci okupić trzeba.

Młodzi co nocy umierają, usypiają snem bez marzeń.
Takim snem usnęła Zosia.

Pani Anastazja długo usnąć nie mogła. Kazała Kachnie wygasić ogień w kominie i zadmuchnąć świecę, a sama dla uspokojenia zbyt rozbudzonych myśli, przechadzała się wzdłuż i wszerz pokoju. Przechadzała się z tą dziwną pewnością ślepców, którym w znanym ich mieszkaniu nie zagraża nigdy niebezpieczeństwo upadku lub potrącenia się o jaki przedmiot.

*) O czem tak myślała staruszka? Może sama nie umiałaby zdać sprawy z tych myśli. Roztkliwiały ją wzruszenia od czytanego listu syna

i od łez i uścisków i pieszczot czytelniczy. Tłoczyły się myśli jedna za drugą, jedna drugą wypychała. Te wszystkie wrażenia, te wszystkie chwile kilku tygodni życia które po kolei wszystkim odmierzedliły się liście, odzywała matka teraz tak żywo, tak samo, ale bez ładu, bez porządku, równocześnie prawie. Jakby pogrzebowy kondukt pogrzebu koło balowej przechodzący sali, zmieszał się z wesołym masek gwarem, stoczył się i ścisnął i wypychając się wzajem: to w tę stronę dążą, tamci wpowrót, a wkoło się kręcą niewiedząc dokąd im się udać. I płacz i śmiech i ponura żałoba, i bezradzieje nadzieja mitów i melancholijny uśmiech rezygnacji i (namiętny niebłagany jak fatum) żal za rajem straconym i szalona ironia i pełne otuchy męskie postanowienie – wszystko razem. Nie dość tych myśli! Wciąż nowe w tym tłumie zjawiają się postaci. I Zonia sełbska składająca na jej piersi swą główkę. I patrzy na nią złowrogo czarnemi oczyma Hieronima, jak harpia pijąca krew. I zmarła wieśniaczka z przeraźliwym krzykiem wyciąga ramiona za trupkiem niemowlęcia. I siostra na łożu śmiertelnem cierpieniami miota się wyrazami, odbierając co najdotkliwiej zaboleć ją może; i rzuca się na syna Lucyan z wściekłością... w twarz go uderza... pojedynek!.. i zamiast syna widzi męża padającego gdzieś starym wśród buków z skrwawioną piersią na murawę. Ach, jacy oni podobni do siebie: ojciec i syn!

Czy ona myśli? czy marzy? czy śni?... Czem u niej jawa, czem sen?

Rozebrała się staruszka i złożywszy na poduszce głowę przypomniała wszystko. I tym samym prądem snuły się dalej te obrazy. Czy sen to był? czy marzenie?

Noc dla niej noca i dzień dla niej nocą: cóż za (między dniem a ciemnością) różnica dla ślepej. Jasnym dla niej tylko dźwięk co w ucho wpada. Wygłośnie bledną dla niej kolory i światło. Wygłośnie blask słoneczny i gwiazd migotanie i łuna pożaru i fantastyczny promieni księżyca. I wszelkie ona wnim rozróżnia odcienia i niepochwytne dla nas modulacye. Jej świat – świat głosu. I zna go ona stokroć od nas lepiej. Ten świat – to dla niej dzieło, to dla niej jawa, rzeczywistość. Wtedy w nim przebywa gdy głos ludzki słyszy. Skupiona jest wtedy i trzeźwego ducha: myśli, rozumuje, sądzi.

Ale gdy ją cisza otoczy nocna, a znika wtedy rzeczywistość dla ślepej samotnicy – a świat wyobraźni, świat marzeń i snów, świat wspomnień zamierzchłych zaczyna zmartwychwstać więcej dużej potęgą. On ją ożywia innem życiem... inną dla niej jawą –

Czy one mary, czy sny: któż wie?

XI.

~~się o jaki przedmiot.~~ [: do Rozdz. X. - :]

*)

Niekiedy tylko przesuwając się cichemi kroki koło starożytnych opylonych mebli, lekkiem ich dotknięciem prostowała swoją drogę: to stołu okrągłego, to sekretarzyka, to etażerki o szklanych tafelach napełnionej pamiątkami, to szafki z zegarem. Przy tym stole on z nią wszędy zasiadał do wieczerzy po pracy całodziennej a na kolanach jego siedział mały Władzio i rozbijał orzechy. I widziała oczyma pamięci ich dwóch, najdroższych jej sercu, patrzących na siebie, uśmiechniętych do siebie. Ale ich tak prędko porwane od świata, troska ze stołka przesuwa mu się po czole. Głębokiem tem swojem mądrem spojrzeniem na nią patrzy jej ukochany, zdaje się czytać w jej duszy i mówić: Nie smuć się, nie smuć, bo jeszcze jam z tobą. A mały Władzio zsuwa się z kolan i obejmuje rączką tę karpię o wyrzeźbionych pazurach, podpierającą rzeźbioną podstawę stołu i pyta czy ona temi pazurami kaleczy..... Oh, kaleczy, kaleczy!..

I znowu biega rozwiany włosy chłopak po pokoju i co chwila przygląda za szklanych zegarów a zegar tę samą ciągle bije godzinę. A figlarnie spróbuje się zegar, niech tyka i przesuwał wskazówki. Ojcze, mały, przypatrując się temu: człowiek może mieć zawsze tę godzinę którą zechce? Nie dziecko, jak godzina przeminie, to już nigdy nie wraca... A ten orzeł na zegarze co węża w szponach, wąż mu się koło szyi owinął i chce go udusić: czy on węża zdławi, czy go wąż udusi?.. O mój synu, gdybym ja to mógł wiedzieć! — A mały się zadumał i ciągle wracał do tego pytania: czy orzeł węża zdławi czy go wąż udusi? I pytał matki, i pytał wszystkich wokoło: czy orzeł węża zdławi (czy wąż go udusi)? I gdy mu nikt nie dał pożądanej odpowiedzi, on drobną rączką próbował rozpętać te pierścienie spiżowe okręcone wkoło orlowej szyi...

I na niebie tej trzymała czas jakiś staruszka swą rękę i słuchała jednostajnego ruchu wahadła, zadumana, jakby dziś sama siliła się rozwiązać chłopczyka pytanie..

I znowu szła dalej, jak duch się snuła od kąta do kąta. Słychać nie było jej kroków, a przez zamarzłe szyby bladem promieniem księżyca padały na twarz jej smętną, przeglądały się w jej martwych źrenicach.

O sekretarzyk się oparła.

Tu przy nim on zawsze pisywał. Tu przy nim wczoraj noc przy pracy przepędził... A później syn... Tak samo oparty o poręcz krzesła z pochylonym czołem)... Czoło to samo, te same rysy, ta sama
na które bujne spadały mu włosy

postaci – ach jakżeż oni podobni! Dźwięk głosu ten sam i nastrój uczuć i myśli kierunek...

Nigdy go tak nie kochała jeszcze jak po tym liście ostatnim! Nigdy jeszcze tak jej serca nie otworzył swego, nigdy nie spojrzała tak wgłąb jego duszy, nie rozumiała go tak i nie odczuła tak żywo jego wszystkich uczuć. Tyle lat go kochała jak syna, ale nie przyszło jej przez myśl że to ojciec w nim żyje.

I w wyobraźni ślepej staruszki spłynęli oni w jedną postać i jednem dla niej stała się tchnieniem i jednem uczuciem miłości ku obydwom.

I upływała za godziną godzina a staruszka nie spała.

~~O czem myślała staruszka? Może~~

XI.

Prześliczny dzień zimowy.

Wiatr ucichł, mróz zwolniał, słońce wesoło świeci.

Zajechały sanki przed ganek. Niecierpliwie grzebią nóżką w śniegu bułanki, parskając ochoczo, dzwoniąc dzwoneczkami.

— Zosiu, trzeba jechać. Mamaby się gniewała. Miło mi tu z tobą: Córki rodzonej nie kochałabym bardziej od ciebie, — ale jedź, jedź do twej ciotki. A jak wrócisz do domu, proś mamy, może ci pozwoli czasem przyjechać do starej, ślepej samotnicy. ... Popsułaś mnie dziecko może, tęsknić za tobą będę jakby za córką.

I łzą rozrzewnienia zwróciły się na dziewczynę oślepłe staruszki źrenice.

— A pani droga! kochaj mnie pani... bo wiem żem bardzo biedna! Pozwól mi myśleć żem jest twoją córką!

I uścisnęły się obie serdecznym uściśnieniem. Ucałowała Zosia jej ręce, ubrała się w futerko i owinęła szalem, wsiadła do sanek, raźniej zadzwoniły dzwonki — pojechała.

Westchnieniem pożegnała ją Ilena i usiadła w swoim fotelu przed kominkiem gdzie już żywym ogniem płonęła świerczyna: Wesoło bujały w górę płomyki, promieniejące ich ciepło czuła na swej twarzy staruszka. Zarzucała czasem wilgotne drewno a co chwila odzywał się wystrzał pękających polan, iskry wylatywały w górę jak świetny fajerwerk poetyckiej fantazji którego zawsze syk boleści poprzedza, jak ogniotrysk ludzkiego umysłu którego przeznaczeniem aby w górę się wzbił i zabłysnął chwilkę i zagasł na wieki. Miłe spektatorom widowisko, rozkoszna słuchaczom rozrywka, ale te płomienie bijące w górę, ten żar co grzeje, te iskry krąg światła rzucające w koło — one zawsze świadczą że wewnętrznym ogniem trawi się palny materiał — świerczyna czy serce...

Tak! ale płonąć — to rozkosz. Płonąć — to tyle co żyć. Co życie podsyca, to podsyca płomień który nas pali, pożera i w popiół zmienia i w proch. Podsyca życia to co śmiercią jest naszą.

Zatruty to nektar — lecz upojenie rozkoszne.....

— Upiłem się wczoraj, proszę jejmości i przyszedłem przeprosić!

I uścisnął Michał kolana swojej pani.

— A, to ty Michale. Wstydź się, mógłeś w polu zamarznąć!

— Ja zamarznął proszę jejmości. Żeby nie wódka proszę jejmości w mnie grzała jeszcze duszę we środku, to bym był zamarzł na śmierć przysięgam Bogu! i pochowaliby mnie razem z Marysią na cmentarzu. Jejmość wie, że Marysia umarła?

Staruszka skinęła głową.

— Ale ja nie zgubił proszę jejmości. Wczoraj Kachna... a to prawdziwa jędza proszę jejmości, przysięgam Bogu! niewiedzieć poco jejmość ją trzyma!... Wczoraj Kachna wyjęła mi z torby dwa listy i oddała jejmości. Przecie oddała?

— Oddała.

— Ale ja nie głupi, proszę jejmości: na list ze zwyczajnem pisaniem to się tam nikt nie zakomi, tom je w torbie trzymał, ale jakem wstąpił do Jojka w Podsośnie, bo mnie się z mrozu strasznie głowa kręciła... to strach proszę jejmości coto był za mróz, przysięgam Bogu! to nawet stary Naftula takiego nie pamięta... to proszę jejmości tak sobie myślę: kręci mi się głowa z mrozu, to się wódki napiję? no, a jak mi się więcej zakręci? ehe, ja nie głupi, żeby mi kto potem z torby wszystko wyciągnął. A był tam jeden list taki, co w nim pewnie papierowe pieniądze... to ja go wyjął z torby i wsunął w baranią czapkę co ją mam od jejmości, pod podszewkę. Tam go nikt nie znajdzie, pomyślałem i oto jest proszę jejmości!

— Z pieniędzmi mówisz? Dlaczegoż ci się zdaje że z pieniędzmi? Któżby mi pieniądze posyłał!

— O, jużci z pieniędzmi musi być, proszę jejmości, kiedy w ramkach jak obrazek.

— W ramkach? cóż znowu mówisz! jakże list może być w ramkach!

— A jużci proszę jejmości: w ramkach! Niechże jejmość... ach prawda, że jejmość nie widzi. W ramkach, proszę jejmości! przysięgam Bogu! w czarnych ramkach!

Wzdrygnęła się staruszka:

— W czarnych ramkach?... Aaaa... to kartka pogrzebowa...

I pomyślała: Siostra mi pewnie umarła...

Zasępiły się jej łagodne rysy. Nie łączyły jej wprawdzie z tą siostrą serdeczne stosunki; tak niewiele miały z sobą wspólnego, tak niepotrzebne były ich dusze... ale to zawsze siostra! A lata dziecięce na łonie matki znią razem spędzone!...

— A może to nie siostra?...

I stanęła jej w myśli Hieronima. Nie widziała jej nigdy, a zdało jej się że ona teraz na nią patrzy nieruchomie magnetycznem spojrzeniem tych czarnych oczu, o którem pisał syn że mu duszę wypija... Krew na ustach chorego dziewczęcia, blask oczu przygasa... To jej śmierć... to ona umarła...

Władysław nie rozpacza... Widzi go matka przeczuciem serca. Z założonemi w krzyż rękoma stoi przy jej łożu, ponury, chmurny; szlachetnem współczuciem i litością tylko rozdziera mu serce; (Łza zakręciła mu się w oku – pochylił się nad umarłą i pocałował ją w czoło. Niema tam miłości.)

— Będziesz ty pewnie szczęśliwym.... chciała powiedzieć mu matka, ale w tej chwili zjawił się w obrazie jej duszy obok syna Lucjan....

— Ah! może przyjechał?... może to on? on? A może to on wrócił? (Tak długo nie pisał!...)

— Kto wróci, proszę jejmości?

— On?... ojciec i syn! Tacy podobni!... czy i śmierć ta sama?! Daj tu list! Daj tu ten list w ramkach! gdzie on? gdzie on?

— Jejmość go przecie w rękach trzyma!

Przycisnęła go do oczu, przycisnęła go do czoła z rozpaczą, przycisnęła do serca i do czoła znowu.

Straszne to, kiedy starzy zakwilą płaczem dziecięcia.

Aż Michał się wzdrygnął na ten widok i litość go zdjęła:

— Jejmość! przecie jejmość się nie widzi!... kto tam wie kto umarł... wszyscy ludzie umierają...

Ale ona zamilkła się od płaczu ... i tchu jej zabrakło aż łez zabrakło, i tylko jęk cichy przejęty dobywał się z piersi. Dzieciami ciemiała oczy, palcami je darła jakby zedrzeć chciała zasłonę co jej strasznej kryje tajemnice.

— Jejmość! Boże święty! co jejmość robi?

A ona od oczu, od czoła wyciągała na przemian ręce w powietrze (to lewą, to prawą, naprzód) przed siebie, jakby chwytać chciała czy światło dzienne, czy ulatujące od niej widzenie, czy w otchłani zapadające szczęście. Tak matka nad brzegiem przepaści wyciąga ramiona za dzieckiem co się w nią stoczyło i stoczy się stawa coraz głębiej i znika jej z oczu.

— Aaach!

— Matko Częstochowska! żeby ja umiał czytać!

Czy ona się broni od jakiegoś okropnego widziadła?
Ramiona jak tonący wyciąga przed siebie i szarpie niemi powietrze.
Oh nie siebie ona broni, ona broni dziecko... dziecko....

(Jakby się przebił myśl) wstrząsł się Michał zimnym dreszczem – I szczęśliwa myśl mu przyszła do głowy:
— Dziecko, woła przeraźliwym głosem, dziecko może! Panienka dopiero przyjechała... musi daleko objeżdżać koło lasu, bo most zepsuty... jabym ją może prędzej dopędził przez łąkę... Jejmość! jejmość! panienka jejmości przeczyta list!

Ocknęła się na ten krzyk jego i na to słowo.

— List! list!.. panienka... przeczyta... Michale goń za nią.... goń... prędzej... prędzej...

I wybiegł Michał z pokoju i powiedział co sił mu stało.

Na podwórzu tylko, spotkał gdzieś Kachnę wychodzącą z

z krowiej stajni, krzyknął na nią:

— Idź do jejmości a żywo!

Zastała ją Kachna w fotelu, z głową o poręcz oparta, obiema dłońmi ściskała serce, ciężkim oddechem chwytając powietrze. Po twarzy zwolna ściekały łzy.

Rozpacz — to najstraszniejsza z Eumenid ale od razów jej bicza, boleśniejsza jej groźba: niespełności rozpaczy.

Nie widziała Kachna nigdy pani swej w takim stanie. Przyzwyczajona sługę przeraziło to bardzo i odbiegła ją nawet niepowściągniony zwykle popęd do gadulstwa.

— Jezus Maria! rany boskie! co jejmości takiego? co się stało? czy jejmość chora? gadajże jejmość! co? serce boli? .. rany boskie!

Żadnej nie otrzymawszy odpowiedzi, pokręciła głową, poszła do kuchni, przyniosła szklankę wody, bryznęła kilka razy wodą na twarz staruszki, a potem przyłożyła szklankę do jej ust.

— No, napij że się jejmość trochę!

Z bezmyślnem posłuszeństwem spełniła ślepa jej żądanie. Kachna otworzyła flakonik stojący na małym przed nią stoliczku i dała jej powąchać.

...

Orzeźwiło to nieco staruszkę, oddech stał się wolniejszy, łzy płynęły obficie.

Nagle spostrzegła Kachna list co leżący na jej kolanach. Pokazywał jej go rano Michał z tryumfem że go nie zgubił i że tak go schował że nawet ona nie znalazła.

— Aha! a to pewno ten list (tak jejmość w ramkach zafrasował wielko! musiał się ten pijaczysko przed jejmością zaraz pochwalić że to z pieniędzmi bo w ramkach, — a ja mu zaraz mówiła że to nie pieniądze ale żałobę znaczy... To jużci chyba musiała umrzeć ta dzora panna co się z nią panicz miał żenić...

Dziwny był skutek tych słów i tego przypuszczenia Kachny i zupełnie dla niej niespodziewany. Zwykła reakcja sercowego stanu zmieniła się on nagle w śmiech spazmatyczny.

— Matko Boska! rany boskie! a to co? niechże się jejmość tak nie śmieje strasznie, bo aż mrowie człeka przechodzi!) Dajże już jejmość pokój, bo to grzech wielki tak się śmiać!... (w imię Ojca i Syna..... .. i Ducha Świętego. Amen

I po śmiechu znów chwila osłabienia i bezwładności, wyczerpanie się, niby obojętność i apatja.

I cisza. Przyska żar na kominie, syczy drzewo, zegar wybił godzinę i idzie dalej miarowym ruchem…

Wzdrygnęła się nagle, dreszcz jakiś ją przebiegł, myśl jakaś nowa zabłysła:

— List! list! gdzie list?

Podała go jej Kachna do ręki.

Pochwyciła go niecierpliwie aby rozerwać kopertę. Palce jej mimowoli przesunęły się po adresie: uczuła ślepca chropowatość pisma, posypanego piaskiem.

— Piaskiem posypane… jak listy mej siostry? Więc to byłby od niej list?.. a więc nie ona umarła… ale kto? kto?.. Hieronima… Hieronima… czy…. czy… ah!

Rozerwała kopertę i rozłożyła zawarty w niej papier: kartka grubszego od listowych ćwiartek papieru, czworograniasta prawie… I przesuwać palce zaczęła po nim.

Nic, nic nie czuje pod ich dotknięciem, — nic.

Palce jej drżą od wzruszenia…. Spokojniej, spokojniej trzeba przesuwać palcami…

Tu, tu coś jak druk… lepną jej palce jakby szorstkiej tkanki do szeregu drążych, płaskich, twardych liter…. to stempel drukarski… ach, gdyby ich można kształty namacać, rozróżnić, rozpoznać!..

— Kachna! Kachna! przecież tyle poznasz! Przypatrz się, powiedz: jest tu na tym papierze krzyż?

— A juści jest — ot tu!

— Jest krzyż!… ah! tom się nie omyliła… jest krzyż! to czyjaś śmierć, to czyjś grób!… Ale czyj? czyj?….

Spazmowym kurczem ścisnęło się znowu serce…. ciężkim oddechem podnosiła się i opadała pierś iwa klatka.

A Kachna założyła ręce i patrzy na nią i wzrusza ramionami i dziwi się ale nic nie mówi. Odbiegła ją chętka gadania. Pojmuje już ona co znaczy ten papier w ręku pani i ten jej niepokój i ta męka… Ktoś umarł — a pani nie wie kto…. Westchnęła ciężko poczciwa Kachna…

— Kachna!… to ty?…

— Ja jejmość.

— Nie słychać dzwonków?

— Nie słychać.

I znowu długa, długa chwila milczenia. Ach jakże długą każda wydaje się chwila… A z każdą chwilą niepokój wzrasta, wzrasta. Jak przypływ morza zalewa serce i piersi i mózg i znowu zwolna opada aby

znów wezbrać za chwilę. Cicho, cicho! Może przeczuciem matki, może jasnowidzeniem boleści odgadnie ona tajemnice życia i śmierci?.. Cicho, cicho!

Nie – nie nie mówi przecznie – nie!...

O i owszem! mówi – ale jak szatan szydzi tylko, nęka i drażni i mówi co chwila inaczej: i tak! i nie! i śmierć! i życie! i z każdem tyknięciem zegaru i z każdem serca uderzeniem które sobie zadaje.

To serce matki zbyt niespokojne aby mogło przeczuwać, myśli się mącą, wirują w głowie... Choćby przeczucie przemówiło, one nie zdołają odróżnić jego głosu wśród tego natłoku myśli w tej nocnej zawierusze...

– Ty Kachna, nie nie przeczuwasz? czy ci tam w sercu głos jaki nie szepce: kto umarł?

– A któż miał umrzeć? juści chyba ta panna co się z nią panicz miał żenić, kiedy jejmość powiada że zawne chorzuje!–

– A syn... syn mój żyje?

– Panicz?... ou wa! gdzieżby też mój panicz miał umrzeć! taki zdrów, taki mocny jak obrazy jejmości, jaki chłop a nie pan.

Ano, ta drewniana szczerlina nie wie o tem jakos to (u nawój) śmiercią tacy zdrowi tacy silni umierają czasem...

Zamilkła wreszcie matka i służka.... Dech przytłumiła w sobie i służka czy dzwonków nie usłyszy..

– Cicho Kachno, cicho!....

I cisza... nic nie słychać. Tylko w kominie lekkie frunięcie płomyków poruszanych przeciągiem. I mokre drewno przeraźliwie skwierczy i piszczy od żaru jak mucha zadrżona w sieci pajęczej. I pęczy się i pęka wilgotne drzewo z odgłosem trumny świeżo wyciosanej przez cieśle. I cisza. – cisza... cisza...

I słychać tylko miarowy chód starego zegaru i syk złowrogi w kominie. I znowu strzał po strzale sypnie w górę snopem iskier. Strzał po strzale jak sygnały wiwatowe, w dzień ślubu i wesela, wśród przyjazdu do młodej pani do domu panicza.

– Kachno! Kachno! słychać dzwonki!

Zerwała się starunka z siedzenia... wzrok słuchaj zwrócony i niewiary.... Nie – nie –

– Ja wybiegnę przed stajnię i spojrzę za drogę pod lasem. Ale jejmość niech siada tymczasem na swoim krześle i niech

Jejmość nie wstaje bo jej strach odejść: jejmość ledwie się trzyma na nogach. ...

- -

— Widać, widać, a juści widać: niebieski szal panienki, czerwona krakowska chusta Jagny cegielarzanki i Michał z furmanem z Suchorzebu na przedzie. Żwawo pędzą bułanki, już koło figury skręcają, już koło młyna, już koło Józkowej chałupy... Tam Marysia w chacie leży i dziecko przy niej na ławce... hej, może Józek teraz ze mną się ożeni: umarła przecie ja nie brzydsza od Marysi?... Aj to pędzą bułanki! aż im z pysków się kurzy a śnieg leci z pod kopyt tak jak woda z pod koła młyńskiego... hej! jeśli to ta panienka umarła co się z nią panicz zaręczył, to juści pewnie teraz się ożeni z panienką z Suchorzebu!...

— Musiał Michał jej powiedzieć o tym liście w czarnych ramkach. Ona pewnie teraz myśli o tem, czy to nie tamtą panną już zabrał do siebie... I może bije jej serce prędko, prędko, prędziutko!... i tak jej chodzi w piersi, jak zegar: i tu i tam, i tu i tam... Ona, nie ona, ona, nie ona... i cieszyć by się rada i wstyd jej się cieszyć cudzą śmiercią... Hej, hej, takie to serce ludzkie! — —

Już bułanki przed dworkiem. Wyskoczyła Zosia — nie widać przerażenia na jej hożej twarzyczce, rozpaczy ani śladu. Serce jej mówi: On teraz twój! twój! Przebiegła przez sień, przez kuchnię — już w pokoju.

A staruszka chwiejąca się na nogach już stała w drzwiach z pieczętnym w ręku papierem, czekająca wyroku.

Porwała jej Zosia tę ćwiartkę z ręki — spojrzała — chciała krzyknąć...

I cisza — straszna chwila ciszy.

Głos jej zamarł w piersiach.

A matka pyta: co tam?... co tam?... co tam?... jak przez sen, jak w noc przedśmiertną pyta budząc się ze snu skazany.

...

— Co tam?... co tam?... co tam?...

O nieszczęsna! na co ci słów: ta cisza mówi do ciebie najstraszniejszym słowem!

— Co tam?... co tam?... mój!... mój!...

I z głośnym płaczem rzuciła jej się Zosia w ramiona,

10/1 1878.

140

d. 8 mca marca 1881 r.

REDAKCYA
ATENEUM
WŁODZIMIERSKA 14.

Szanowny Panie!

Z rzetelnem zajęciem odczytałem nowelkę „W grudniowe dni"; jest w niej wiele oryginalności i wiele prawdy dobrze zaobserwowanej. Chętnie więc zgadzam się na zamieszczenie jej w **Ateneum**. Pozwoliłbym tylko sobie kilku uwag w formie propozycyi; jeśli uznasz pan ich słuszność, to będzie to dla mnie miłem ustępstwem; jeśli nie, to z wyjątkiem drobnych zmian stylistycznych, umieszczę tak, jak ją Szanowny Pan pierwotnie napisałeś.

Uwagi streszczam kategorycznie:

1°) Scena chłopca, pojącego dzieci wódką, jest doskonała, ale psuje kompozycyę, odrywa bowiem od obrazu starszych; bez żadnego motywu dającego się usprawiedliwić zaraz po 1ym ustępie. Mo-

żebyś Pan obmyślił inne dla tej sceny miejsce, albo
w ostatecznym razie zgodził się na jej wypuszczenie.

2° Słowa Kasi są zapewne charakterystyczne, ale
możeby je choć troszeczkę skrócić w niektórych
ustępach; najdłuższy opowiada o rezultacie
owej jazdy do kościoła z dzieckiem; możeby
dało się obmyśleć jakąś scenę, któraby trywial-
ne i nieco rażące słowa Kasi zastąpiła, a
równocześnie barwność owej pierwszej sceny zachowała.

3° W ustępie, w którym Michał żałuje, że czytać nie
umie, czyby – dla utylitarnych względów nie należało
cokolwiek podkreślić tę okoliczność jakimś barwnym fra-
zesem w ustach Michała.

4° Zdania w 2 pierwszych ustępach, będące podmio-
towym wyrazem usposobienia nowelisty czyby nie
można było opuścić, dla zachowania tej przedmio-
towości, jaka cechuje resztę utworu?

Darujże Pan, że temi uwagami trudzę Go, ale prze-

grzeszyłem, niechby nowella wyszła jak najlepiej – według mego przynajmniej widzenia rzeczy.

Druk jej mógłbym rozpocząć po ukończeniu drugiej części Szkiców z Anglii Lewera, a więc w ~~maju~~ czerwcu (na zeszyt ~~czerwco~~ lipcowy). Co do kwestyi odbitki i honoraryum, oddaję pióro p. Oskierce, który w tej mierze Szanownego Pana poinformuje, z tym czasem racz Pan przyjąć zapewnienie

prawdziwego szacunku

Piotr Chmielowski

Robić osobnej odbitki dla nas my nie możemy, jeżeli Szanowny Pan żąda mieć odbitek 100 ze swej nowelli możemy takowe dla Pana zagotować, i jako honoraryum ofiarować Panu r. 100 (sto dziesięć) i te 100 odbitek. Z prawdziwym szacunkiem

Sługa

A. Oskierka

142

Kraków

Rynek Kleparski. 89.

Wielmożny Mie[illegible]

Pawlikowski

ВАРШАВА 25 ФЕВ 1881



20

2

KRAKO

Sz. P. – Z prawdziwą przyjemnością powziąłem z listu Sz. P. z dn. … wiadomość, że nowella moja p. t. „Tuzinki“ Sz. P. godna zamieszczenia w At. – Na podane mi warunki honorarjum (100 Rub. i 100 exempl. odbitek) najzupełniej się zgadzam. Żal mi tylko iż nie przed[illegible] jak właściwie była mogła być drukowaną „po [illegible] drugiej serji szkiców ostatniej [illegible]“. Gdy [illegible] Atenaeum w dawniejszych zeszytach obok szkiców zamieszczał powieści, mam jednak nadzieję, iż [illegible] wydawnictwo może zechcieć się podjąć równoczesnego ich [illegible].

Polecając się [illegible] swoim raczył Sz. Pan podać mi wiele cennych uwag co do niektórych ustępów nowelli i zaproponować pewne zmiany, pozostawiając mi zresztą znaczną swobodę uwzględnienia ich lub [illegible] nowelli w dotychczasowym jej kształcie. – Gdybym nie czytał spólnie krytyki Pańskiej i nie powziął z niej [illegible] wyobrażenia o [illegible] Jego – zatrudniłoby mi to na propozycje zmian odpowiednie [illegible] – ale [illegible] zmiana [illegible] przychodzi mi tak [illegible] [illegible] Panu, który [illegible] [illegible] [illegible] bardzo szybki [illegible]. [illegible] Obawiam się, [illegible] odpowiedz[illegible] narazi się na posądzenie o zarozumiałość, [illegible], przecenianie wartości własnego utworu itp. – Z tego powodu czuję się obowiązanym, rozpisać się nieco więcej i usprawiedliwić, dlaczego na [illegible] propozycje Pańskie odpowiadam [illegible]: nie.

Nie całe pisze – [illegible] jak [illegible] – ale [illegible] każda [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] metodą [illegible] [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] – ale tylko [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible].

Z tego powodu [illegible] obraną [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] a [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] charakterów, – [illegible] [illegible] [illegible] psychologicznym [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] Pana, [illegible] uwagi [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] stylem [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] Franka [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] nowelli [illegible] autora, [illegible]

* wszystkie te [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] charakter prawdy

[illegible] tragedji [illegible] potrzeba aby Kaśkina miała [illegible] reprezentowane [illegible] z całej skali [illegible] historycznej [illegible] – (pozostał [illegible] autorowi [illegible])

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] Michała z [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] *

[illegible] [illegible] [illegible] tylko [illegible] kontrastu z postępowaniem Kaśkiny [illegible] [illegible] bo ta [illegible] stroną romantyczną graniczy z sentymentalizmem, tak jak Kaśkina [illegible] [illegible] [illegible] naturalistycznie, [illegible] [illegible] [illegible] z [illegible]. ** [illegible]

1. [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] – ale [illegible] [illegible] [illegible]? [illegible] o korrekte dobrą.

** W Kiejanii [illegible] romantyczna z [illegible] [illegible] – ale [illegible]

2. co do [illegible] [illegible] [illegible]

3. [illegible] [illegible] wartości, tylko [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

Zarzucił mi Sz. Pan dzisiaj że nowelkę moją [illegible] czytelnik zrozumie. [illegible]

Wyrobiłem sobie pewne odrębne przekonanie o dzisiejszej sporej sprawie między szkołami prozaicznego pisarstwa: — epigonami romantyzmu i zwolennikami „naturalizmu" Zoli. W tym ostatnim kierunku upatrywałem przedewszystkiem protest przeciw zużytej a raczej nadużytej formie literackiej, która tyle nam wówczas czasie przyniosła szkody. [illegible] Protest ten [illegible] nową forma ta [illegible] wytworzyć formę. Właściwą cechę nadaje „naturalizmowi" to, co nie jest innem tylko skrajnym realizmem. [illegible] nie filozoficznych i społecznych dążności nie sztuki pisarskiej. [illegible] a przedewszystkiem upodobanie w pewnych filozoficznych i społecznych zagadnieniach i tematach. Zola, [illegible] nie trzyma się obrazu nędzy materialnej lub najpodlejszego upadku moralnego przestaje być „naturalistą". Goncourt, najskrajniejszy może [illegible] Zoli, przyznaje to otwarcie. (przyznawał i [illegible]) — „Naturalizm" [illegible], [illegible] tylko nie [illegible] przeciw wszystkim prawidłom sztuki, gdy [illegible] nad [illegible] (obłąkania) [illegible] które [illegible] jego obrazy i portrety górują [illegible] tragicznymi faktami. — [Skrajny realizm, [illegible] jako forma literacka, [illegible] tylko w rzeczach wielkiej tragiczności lub [illegible] komizmu, pośrednie tony [illegible] i delikatniejszego odcienia

[Rozumiemy [illegible] tendencji i tematu naturalistycznego

nie [illegible] się do jego [illegible]. — Dzięki walce choć forma [illegible] literackiej twórczości [illegible] i wydania się jej swobodne i nieograniczone forma treści, [illegible] wiele, wyzyskać musi nam [illegible] i [illegible] kierunki. [illegible] i [illegible] [illegible] pogodzić i zharmonizować te obie kierunki. [illegible] W mem przekonaniu nie będzie to eklektyzmem ale syntezą — [illegible] do tej [illegible] dobrej formy [illegible] przez syntezę idealu i rzeczywistości; — [illegible] Wracam do mej krótkiej nowelki [illegible] tylko zaznaczyć usiłowanie (niezdolne) aby ta w [illegible] duchu nakreślić. [illegible] mojej nowelki [illegible] [illegible] Pan niewątpliwie dostrzegłeś, że romantyzmem to [illegible] (pisana w duchu skrajnego romantyzmu) to znowu skrajnie realistyczne. [illegible] romantyzm pierwsza należy [illegible] romantyzm [illegible] do drugiej [illegible] sentymentalizmu. [illegible] kochan, [illegible] i styl starałem się [illegible] (prawie) do granic sentymentalizmu. [illegible] nakreślić [illegible] [illegible], [illegible] i [illegible], [illegible] Pierw [illegible] Pani w nowelce realizmem, [illegible] (może uchwycił) o miłości [illegible]. — [illegible] ale może odczytać z [illegible] rzeczy. [illegible] (z obrazów [illegible]) kontrastu. [illegible] tylko sposób jej opowiedzenia, [illegible] być [illegible] tylko [illegible] i [illegible] romantyczną uwagę w II [illegible] w obrazie [illegible] [illegible] (jakiś [illegible])

[illegible] nie [illegible] przy [illegible], [illegible] ale [illegible] romantyzmu [illegible] zrozumiałem, ale [illegible] sentymentalizm [illegible], gdyby opowiadanie [illegible] (niezdolnie [illegible] chorobliwego sentymentalizmu [illegible] opowiadającego o niej [illegible] realistycznie [illegible]? [illegible] nie osiągnął kontrast we wspomnieniu opowiadającego [illegible] mi powiedzieć. [illegible]

Wypowiadałem się [illegible] mi powiedzieć. — [illegible] zadanie — w literaturze [illegible] nie [illegible]. — [illegible] veto [illegible] Pan [illegible], aby [illegible] veto nie [illegible] Pan [illegible]. Zaznaczę że [illegible] [illegible] jako [illegible] przed [illegible] [illegible]. Zaznaczę [illegible] teorii. [illegible] Jest [illegible] powiastka. [illegible] ona była nawet [illegible] próbą [illegible] [illegible] [illegible], teorii. [illegible] [illegible] zakończ [illegible] cały [illegible].

Sz. Pan [illegible], [illegible] czy [illegible]

Z [illegible] przeglądu (jeszcze) [illegible], że [illegible] tragiczne epizody [illegible] dziecka i jego matki [illegible] z [illegible] osnową powiastki. [illegible] Potrzebne mi były te epizody tylko dla kontrastu [illegible] wspomnieniem. [illegible] Epizody realistyczne [illegible] mogły [illegible] się z całą [illegible] realistycznie [illegible] się wszystko z osnową powiastki realistycznej, [illegible] tworzyć rodzaj akompaniamentu w basie, który [illegible] melodji, ale się [illegible]

Natem kończę list, którego odczytaniem zabrałem Panu tyle drogiego czasu. Chciej mi to przebaczyć. Ośmieliłeś mnie Pan sam do tego. ~~[illegible]~~ Dziękuję za zainteresowanie się moją pracą i przesłanie mi cennych uwag, z których tym razem z żalem skorzystać nie mogłem. — Gdybym był tak szczęśliwym skorzystać nadal z tak [illegible] ważnej krytyki, uważałbym sobie to za najlepszą wróżbę.

Proszę o [illegible]

145

Zimowy dzień

W mroźne dni

W grudniowe dni

Przy końcu Grudnia

Z końcem Grudnia

KONIEC GRUDNIA

W twardej zimie

Mroźne Grudnie

GRUDZIEŃ

W ostatkach Grudnia

Ostatki Grudnia

W ostatnie dni (roku?)

Na schyłku roku

Tegoż samego autora:

Plotki i Prawdy. – Kraków 18

Ultramontanie i Moderanci. – Kraków 18

Tajemnica Pani Krzyckiej. – Kraków 18

Panna Kapitanówna. – Lwów 18

Testament Napoleona. – Lwów 18

[illegible]

[illegible]

[illegible]

Opowiść jego opis o Ciotce

Zosia w pokoju [illegible]

[illegible]

Druga miłość.

Drukowana anonimowo w *Nowej Reformie* krakowskiej w r. 1883. Osobnej odbitki nie miała nigdy.

„Kochany przyjacielu! Zawiele odemnie wymagasz [wymagasz rzeczy niemożebnej]. Nie mam na tę zabawkę [ochoty ani] ani czasu ani ochoty. Jako lekarz jestem prawie cały dzień zajęty a często wzywany bywam do chorych i w nocy. Pojmiesz tedy że [obarczony taką pracą] rad korzystam z każdej wolnej chwili aby ją spędzić z żoną i jako nowożeniec nacieszyć się swem szczęściem. A Tobie się zachciało, żebym Ci spisał opowiadanie, nowellę – [illegible] tak jak Ci ją opowiadałem! Dziwne żądanie! [illegible] się [illegible] [illegible] z tęsknoty aby Cię nim rozerwać! [Czy mam tak [illegible] bohaterem?] [illegible], [illegible]

Bawiłem cię jak umiałem; lekarz [illegible] [illegible] ale równie przy chorym obowiązki pełnić musi – czasem nawet staje się [illegible] nadwornym nowellistą. – Dobra! ale wtedy byłeś chorym – teraz zdrów jesteś i obowiązek lekarski już ustał. [illegible] Nowellistą [illegible] być [illegible]. Pisz sobie teraz sam. [Staraj się [illegible]] [illegible] i swoim [illegible]. Tobie – [illegible] Bądźmy [illegible] z [illegible].

Z mego opowiadania możesz zrobić co Ci się podoba, nowellę, powieść, komedię, dramat, tragedię a nawet epopeję w 24 pieśniach. Dziękuję że mnie [illegible] bohaterem – a raczej jednym z bohaterów. – [illegible] [illegible]* [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] cały dramat [Samotny] na przykład do Nowej Kaledonii – albo [illegible] jakie [illegible] do Norwegii, Buenos-Ayres [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] – Zostaw Ci [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] – a z [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] – [illegible] [illegible] [illegible] Ci [illegible] [illegible] odobitka powonie – [illegible] [illegible] mego opowiadania jednolitej całości

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] utwór beletrystyczny. – [illegible] [illegible] (bo [illegible] [illegible] nazywanie) nie umie [illegible] jedna (niczym niepowiązane) ale raz się i [illegible] w [illegible] [illegible] wszystkiem, [illegible] się raz na lewo [illegible] na prawo [illegible] [illegible] [illegible], to czarne, to czerwone, to [illegible], to białe [illegible] Such is life.

I nie ma w niem artystycznej całości bo z [illegible] różnobarwnych i luźnie tylko z sobą złączonych składa się epizodów. Realiści i naturaliści [illegible] to [illegible] i [illegible] [illegible] takiem jakie jest – [illegible] żaden z utworów jako całość nie [illegible] [illegible] wymogom [illegible]. Olimpu tylko [illegible] i Apollina znajdziesz w [illegible] [illegible] – [illegible] [illegible] [illegible]. – Każdemu powieściopisarzowi mam [illegible] [illegible] się [illegible] alternatywa: albo [illegible] – albo [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] potępiający [illegible]. I tak źle i tak nie dobrze. Ale co mnie lekarzowi [illegible] się [illegible] rzeczy. Powiem Ci tylko tyle, że [illegible] (dawniej) [illegible] [illegible] utwory, nie przemawiają do mnie – bo w nich czuję brak prawdy a utwory realistyczne nie podobają mi się, rażą moje estetyczne instynkty. – Ale [illegible] sobie jak chcesz – tylko [illegible] [illegible] [illegible] i nie wymagaj od lekarza aby się stał nowellistą. Ściskam cię serdecznie

Twój

Karol

† [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] się tak [illegible] [illegible] [illegible]

* [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] żebyś [illegible] nazwiska

Ona i oni.

I. Ósmego i dziewiętnastego Października

Działo się to...

— Za króla Popiela?

Nie, mylny domysł, łaskawa czytelniczko: działo się to znacznie później. Działo się...

— Za panowania króla Jana...

Niewiem o którym królu Janie chcesz mówić szanowna czytelniczko, mieliśmy ich bowiem kilku. Zaręczam ci jednak że działo się to później, znacznie później. (króla Popiela odkrywa czytelniczka już mylnie, a król Jan odawna panować przestał)

Krótko mówiąc, działo się to wtedy gdy [illegible] ale [illegible] pp. Popielów posłował do sejmu krajowego Galicji i Lodomerji i [illegible] Wielkiego Księstwa Krakowskiego. A działo się to w tym roku. Chcąc zaś [illegible] oznaczyć czas (w którym się to działo, powiem, iż działo się to rankiem owego dnia, w którym aeronauta, p. Damm miał odbyć swoją drugą we Lwowie, wielkiemi afiszami po rogach ulic zapowiedzianą [illegible] miasta — podróż napowietrzną. —

Działo się to jednem słowem dn. 8. Października r. 1878

Przy ulicy Kurkowej w ogrodzie Strzeleckim, czyniono już od rana przygotowania do nadobłocznej żeglugi. Balon ów, którym (jeśli prawda) miał niegdyś ulecieć Gambetta z oblężonego Paryża, balon od rana nabrzmiewał i wzdymał się od napuszczanego weń gazu.

Przy ulicy Jagiellońskiej pod L. .... (numer) na drugiem piętrze kobiecie od rana nabrzmiewało i wzdymało się (jeśli tak, jeśli tak mówić) serce panny Elżbiety od sprzecznych uczuć i niepokojów, trosk i smutków towarzyszących jej latom i jej płci.

Przy ul. Kurkowej około balonu chodził jego właściciel pewnie uważając aby przy tem nabrzmiewaniu gdzie nie pękł — a przy ulicy Jagiellońskiej, ale pod innym znowu numerem (niewiadomym) w pokoju parterowym od dziedzińca chodził pan Teodor od kąta do kąta, myśląc ciągle o serduszku panny Elżuni i bojąc się aby od (nie pękło) nadmiaru troski.

Ale to co się działo (owego dnia napowietrznej) jest rzeczą tak powszednią że działo się to samo i dziś i przedtem dawniej, i za króla Jana i za króla Popiela i jeszcze dawniej (nawet i za owych czasów) kiedy najbardziej nieoświeconym narodem był naród karamołów — opisany wyczerpująco [illegible] Dzieci Wschodu i Zachodu [illegible]. — Jednem słowem działo się to co się zawsze działo i zawsze działo będzie gdzie są dziewczyny i dziewczęta. [illegible]

Ale dzisiaj.

Balon coraz więcej manifestował tendencji ulecenia pod obłoki – serce panny Elżbiety a raczej ona sama jej trochę unosiła się ponad gród w nadobłoczne krainy szyinowego nieba – odrywając się od tego padołu ziemskiej rzeczywistości.

A cóż robił rodzic właścicielki owego balona – innemi słowy, co robił szanowny „Tatkuńcio" panny Elżbiety?

„Tatkuńcio" od rana namyślał się nad odpowiedzią jaką da panu Bonifacemu który wczoraj prosił go o rękę Żusi dla swego Marcelka (jedynaka). Namyślał się – a jednak nie było się czego namyślać bo odpowiedź niemogła być wątpliwą. Jak może być wątpliwą odpowiedź na taką, zaszczytną propozycję, jeśli ona poparta została przypomnieniem długu ongi zaciągniętego u proponującej osoby, którego nie jest się w stanie spłacić.

A jednak namyślał się Tatkuńcio i namyślając się przygrywał sobie uszczęśliwiony bowiem na drumli... Niechciej mnie źle zrozumieć szanowna czytelniczko, wyrażenie obrazowe: p. Abacy nie miał rzeczywistej stalowej drumli w swych ustach, ale tylko wodził wskazującym palcem lewej ręki szarpał przyciśniętą [illegible] dolną wargę, co w zestawieniu podobnym do grającego na drumli i nieobeznanych z tą jego nawyczką łatwo mogło w błąd wprowadzić.

Przygrywał zaś na drumli ten sposób p. Abacy zawsze wtedy, gdy w jakiem kłopotliwem znalazł się położeniu. | Ile razy pani Abacyjowa przyszła do p. Abacego z żądaniem [illegible] – p. Abacy myślał o [illegible] nadchodzących i niewiadomych wydatków domowych – [illegible]

— Za kim pan będzie głosować? za [illegible], zapytało go [illegible], który miał przystąpić do wyboru na delegata do Rady państwa. – P. Abacy grał na drumli.

— Co to chabrus Tatkuńciu? – zapytała go raz panna Żusia, trzymając wręku ostatni numer gazety Narodowej. – P. Abacy grał na drumli.

Nie wiedział stary poczciwiec co to chabrus, ale wiedział ktoś [illegible] jego wierzyciel p. Bonifacy, ojciec Marcelka. Gdyby kto mu takie znalazł, [illegible] w interesie szerzenia oświaty udał się o wytłumaczenie p. Abacyjów co to chabrus, p. Abacy zamiast [illegible] namyślił: Aha! Chabrus to Bonifacy! – I przeraziły mnie [illegible] nie myśl przyjęcia od Bonifacego [illegible] i przeraziły wiadomości o Fredzie [illegible] zaraz gra na drumli. Biedny p. Abacy!

Nie dziw się [illegible] z familją p. Bonifacego – i [illegible] lepszego losu jak zamęście z p. Marcelim, próżniakiem i hulaką a nawet i [illegible]. Ojciec skąpy, syn rozrzutny – tak to bywa jak wiecie.

Ale cóż? cóż? cóż? trzeba się poddać konieczności. Wczoraj w obec oświadczenia p. Bonifacego [illegible] „ostu" „siedmiu obłoków" ale wnet się [illegible] i [illegible] sobie swe położenie wobec [illegible]. Starał się udać wielce uradowanego tym [illegible]. Zdawało mu się przy tem to co zwykle się zdarza gdy kto udaje że się śmiać chce, podczas gdy wolałby zapłakać: [illegible] przyciśniętym oddechem, jakby jeden wybiegł aż na sam [illegible] tylko [illegible] zadyszany od biegu.

[illegible] radosne wzruszenie A.

— Kochany, kochany panie Bonifacy! — i ucałował go w lewy faworyt. — Jakżeś ty mnie ucieszył! — i ucałował go w prawy faworyt. — Co za niespodzianka! prawdziwie niespodziewany ci widzimy jeden... taki to zaszczyt prawdziwy... wiedział pan... że ją sam widzę... (zawsze mówił sotto voce, jako panie [illegible])

— A więc zgoda? już skończone? — bąknął sotto voce p. Bonifacy.

Przestraszył się p. Obarzej tej konkluzji i wytrzeszczył oczy szeroko.

— No, co do mnie, oczywiście!... ale przecie moja żona... bo to taka niespodzianka! a to przecież zawsze matka, to i ona ma głos... a to kobiety, kobiety! one zawsze mają swe widzimisię... no! ale ona się zgodzi, jestem tego pewny... oho, z radością.

— To ja pomówię z jejmością — szepnął p. Bonifacy.

— O nie! nie!... widzisz, to lepiej abym ja sam wprzódy z nią pomówił... trzeba ją przygotować przecież... bo to widzisz, ona — [illegible] — miała projekt...

— Za p. Ucewicza? — dokończył wyniosłym szeptem p. Bonifacy. I dodał: Przecież mój syn będzie miał więcej. Wielkie rzeczy: Ucewicz! — [illegible] na Żoliborzu i dworek na Bajkału... a mój syn...

— Ale wiem! wiem! — przerwał p. Obarzej całując go w oba faworyty po kolei. — To pod tym względem nie ma porównania... ale...

— I żadnych [illegible] przecie jakich nad! — [illegible] szepnął p. Bonifacy. — Dwadzieścia pięć lat — a Ucewicz, już za stary dla twej córki, ma około czterdziestki — szepnął i z [illegible]...

— Prawda! prawda!

— Chłopak mój się uśmiechnął jak wiesz — już tu czas zatem, już!

— Ale [illegible]! przecież już czas!... No, ale bo widzisz, kochany panie Bonifacy, to tak prędko nie można — bo ja niechciałbym gwałcić woli mojej córki...

— Dlaczego? — szepnął ojciec konkurenta.

— No... przecież sam nie chciałbyś aby ona za twego syna z przymusu albo z przymuszenia...

— Dlaczego? — zapytał raz jeszcze.

P. Obarzej nie [illegible] na to pytanie znaleźć odpowiedzi. Ucałował go [illegible] p. Bonifacego i dodał: [illegible]

— Niech się lepiej pomówię... zawołał p. Obarzej

— Po ślubie... — zakonkludował Bonifacy i wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Ee, lepiej przed ślubem... argumentował Obarzej.

— Przed? — zdziwił się Bonifacy.

— Niech twój syn u nas bywa, no, choćby codzień — to się lepiej poznają i pokochają. Przecież twój syn musi się podobać — taki przystojny! każdej pannie [illegible]... No ale to czasu potrzeba na to czasu... [illegible] to mi tak żal mój, kochany panie Bonifacy, one się tak prędko nie decydują. One takie młode! mogą [illegible]... wiesz mi panie Bonifacy? kochany?

— Nie — szepnął niecierpliwie [illegible] tonem [illegible]. — One się już [illegible] znają a z tego co mi syn mówił, widzi, że panna dosyć [illegible]. — Ja jutro przyjdę po

odpowiedź. –

I chwycił za kapelusz.

— Dziękuję! – prosił go gospodarz.

— Jutro – odrzekł i widocznie chcąc uniknąć p. Odrzyckiej zabierał się do odejścia. Zatrzymał się jednak jeszcze i krzywiąc usta na niby drwiący dodał:

A ja się odmowy ani odtrącającej odpowiedzi nie spodziewam. Mniej o tym i tyle i dość ciężko by dowodów przyjaźni – zmóc rzeczywistą stratę... że już chwilę pan wdzięczność wyrażenia... bywaj zdrów

I wyszedł.

Rozmyślał nad tym naczyniem cały wieczór p. Odrzycki – i... grał na drumli.

Marcelek był wzorowej rasy dziennym aktorem i mógł się dziewczynie podobać. Nietylko urody nieposzlakowanej mu matka natura ale i głos miał sympatyczny i poetyczniej śpiewać umiał trafić do serc panienki, nie brakło mu ani romantycznego tonu a wygłaszał je z deklamacją wierszy mistrza wyborowej sceny polskiej: przypatrzyłby się tej twarzy i ujrzałby najwłaściwszym płomieniem nie stałość miłości w źrenicy. Czy to było zmyśleniem? Było i nie było. Było o tyle że twarz w owych chwilach rozognione się kochał i owe też same uczucia zbudzała wszelkich udział i one badaniu i zgadywał się nie ośmielał a mu właściwie pamięć. Ale gdy która zbadaniu się nie dała i zaraz porzucił wtedy Marcelek cierpiał naprawdę wszystkie męki wzgardzonego kochanka. Cierpiał – a więc kochał naprawdę: wszak powiedział który z naszych poetów że cierpieć a kochać – to jedno.

A panna Elżunia? czy podobał jej się gładki kawaler? czy przyklękła jego frazesy znalazły odgłos w jej sercu?... Tak i nie. Poczciwe dziewczę oddało serduszko swoje dalekiemu krewnemu, zaręczona p. Teodorowi, człowiekowi już blisko czterdziestoletniemu, który umiał ani wymowy użyć ich uczucia dla siebie. Wiedziała że jego nadzwyczajną energią męską postać, jego wdzięczna dla niej przyjaźń, wspomnienie lat dziecięcych i stateczność od paru lat długo się ciągnącego od jego z zagranicy do niej przysyłanych. Czuła ona, że ten człowiek ją kocha i a jeśli ona go nie zechce, to on już innej nie pokocha nawet – a zdawało się to co zaś...

A jednak ile razy przyszedł do teatru p. Marceli – a zdawało się to co zaszło trzy lub cztery razy na tydzień, niekiedy częściej, choć tamtemu wcale zgoła się wiele rozkazywał oraz bukiet musiał wyjść do salonu i „być mu grzeczną", pochlebiały jej próżności. Tak od razu była dana jego zalotom – który by nie jedna pozazdrościła jej rówieśnica. Inne pomimo nie liczniejszych konkurów – do niej niech chodzi już blisko rok.

Ile kroć sam na sam – a umiał p. Marceli zręcznymi manewrami tego dokonać zbliżyć się Elżunią – tak kroć udało mu się zdobyć sobie zwierzenia swych afektów sposobności – rumieniła się zgoła Elżunia. On jednak z takim artyzmem umiał wtedy wszelkie ułatwienia jej wyznania, tak ją magnetyzował drżeniem od wewnątrz głosu że mimowolnie musiała słuchać i poddać się wreszcie tajemniczemu działaniu magnetycznego jego spojrzenia, tych czarnych romansowych oczu z których dziewczę jeszcze nie brało jej bliżej porównać. Rumieniła się – ale już nie zgniewana, – sama nie wiedząc czemu – ale to już zawsze i jej niech słuchać tych oświadczeń i rozpacznych tych skarg po każdej odmownej z jej strony odpowiedzi.

I wreszcie a nie bez zapytania zgrzeszenia było to słówko „wierzę!" – które Marcelkowi dodało się odpowiedzi na jego rozpaczny wykrzyknik:

— Gdybym wiedział czy dziś tak miał powiedzieć że pani wierzy choć trochę że nie mam tego co mówię i wszystko aktorstwo! że mi pani wierzy!

Uszczęśliwiony w ten sposób to słówko „wierzę" – dusił p. Marceli

— Wierzę! – odrzekła i pokazała mu rękę

Domagać się wyznania „współczucia" – następnie potem „przyjaźni" – skonstatować wreszcie wspólność „pokrewieństwa dusz" co by mu dało prawo żądania uczucia „siostry dla brata" itd. itd. Strategja tak świat stara – ale wszystkie zamiary udaremnione w tym wypadku zostały, bo wówczas wejście matki czy ojca panny Elżbiety – a przerwana rozmowa nie dała się już nawiązać przy następnem spotkaniu; czy mniej rozumnym był p. Marceli czy wyjaśnić nieporozumienia miała się panna Elżbieta – tego nie wiemy.

Oprócz p. Marcelego, zmienione były wytwornej [illegible] sztorc i wyrozumiałe oblicza codzienne panny Elżuni pewno i strony panny Celiny, siostry p. Marcelego. Panna Celina, ukochana, bo najlepsza najmłodsza siostra, otyle była [illegible] niż ich był przystojniejszy jej brat. Biedne dziewczę, bo nadzieja wyjścia za mąż, [illegible] chorą serca zdradą w siostrzanem do brata przywiązaniu i nadludzkiej wyniosłości wysyłania aby mu zjednać serce Elżuni. Czy jej się powiodło? obaczymy.

A p. Teodor? Nakreśliliśmy już ogólnie słowami portret pana Teodora i twierdzimy że mimo lat blisko czterdziestu i wszczególnej urody i zgrabności na głowie i odpowiedniej brody, dość się sympatycznie postać jego zarysowała w pamięci szanownego Czytelnika. Właściciel kamienicy na Żoliborzu i dworku na Bajkaul, które to posiadłości przed ostatnimi laty odziedziczył po swoim stryjaszku, p. Teodor Kaczor, [illegible] pośrednikiem urzędniczym przy jednym z takich banków a aspirował o posadę lepszej płatny tem gorzej, iż od uzyskania jej zależy możność uzyskania ręki ukochanego dziewczęcia. Takiej mu bowiem postawiło rodzicielstwo panny warunek, wiedząc że [illegible] jego dochody z [illegible] realności i skromna pensyjka nie wystarczą na utrzymanie przyszłej żony wystarczającymi nie mogły. Kazano P. Teodorowi czekać – on czeka i wszystko. – Ale teraz, co teraz uczynić po oświadczeniu p. Bonifacego? Wie on już o nim i wie o decydującym novaki który może skłonić p. Błażeja do oddania swej jedynaczki p. Marcelkowi?

Poznamy go ściślej w rozdziale drugim, pod tl. (wyjątek), choć Biedny p. Teodor. Ostatnie chodzi znowu pokornie patronujący, odwiedzając się ul. Jagiellońskiej [illegible] i nie [illegible] mu mowie i serce mu się kroi. Ale poznamy go bliżej w rozdziale drugim.

III

Rozdział trzeci. – A gdzież rozdział drugi? – Opuściliśmy go szanowny Czytelniku a winniśmy teraz trzeciego usprawiedliwić ten naszego w powieściopisarstwie postępku. Otóż domyśliłem się mnie przyczyny tej [illegible] w naszem opowiadaniu gdy go podamy w krótkości opuszczonego rozdziału.. Pierwsza część jego zawierała drobiazgową rozmowę p. Teodora z p. Józefem Puttergold, bardzo nudną a interesów prawniczych dotyczącą. Druga część zawierała szczegółowy opis ich bytności w Notarjacie p. Franciszka Wolskiego i kontrakt sprzedaży i kupna. To także nie zbyt zabawne. Treścią zaś i ostatnią wreszcie Rozdziału IIᵒ dowiedziałbyś się Czytelniku, że p. Teodor sprzedawszy kamienicę na Żoliborzu i obciążony długiem swym swój dworek na Bajkaul, dostał do ręki gotówkę i zaniósł ją na przechowanie na ulicę Sykstuską do domu narożnego (przeciw [illegible]) na drugie piętro do [illegible]. – Nie wiedział tam p. Bonifacy.

Po co tam zaniósł ową sumkę p. Teodor, domyślić się z łatwością Szanowni Czytelnicy, gdy wam powiem że po odejściu jego nieznaną p. Bonifacy sam do siebie:

– Masz tobie rzeczy! Można już po co iść do Błażeja! Który szepnął i to przez Kaczora to już córki nie da. Ale radbym wiedzieć skąd on wziął pieniądze!..

Tymczasem zakochany Marcelek, nic nie wiedząc o niczem, pewny był pomyślnego rezultatu i myślał o wyekwipowaniu się i o przerwaniu ślubnym. Poszedł już nawet parę sztuk do tego obstalowanie kroku. Któremu widział się w oczach szanownego swego rodzica.

A tu gdyby mu p. Cam przyjęło swego pióra, naskrobałby on arcydzieło, niejeden znawca uzna, o którym tylko jej w spółce w odnośniki odmowa ale nadto dowiedział się o niespodziewanym obrocie rzeczy: niedoświadczonych ani pieniądzy ani panny

Pan Leon pożyczył mi resztę swego pióra — i tę scenę, zatem zmieniony, jakoś opiszę. Wracam do państwa Błażejowskich.

Pani Błażejowa płacze, panna Elżunia płacze, p. Błażej gra na drumli.

Niema rady! Czuje to p. Błażej, czuje pani Błażejowa, czuje to Elżunia.

A pani Błażejowej sto razy już na myśl nasunęła się ciocia kuzynka: gdyby [illegible] do niej się udać, gdyby ją o pomoc poprosić?... Ale nie, to niedorzeczne! ciocia kuzynka ma w sprawach [illegible] folwarczek w arendowaniu a [illegible] jedyni jej krewni. Ale ciocia kuzynka taka skąpa! Udawali się już do niej kilka razy dawniej, będąc w trudnem położeniu a nigdy im pomóc nie chciała, choć to bez wielkiej ofiary mogła była uczynić. Zbija grosz do grosza i kiedyś to się może dostanie Elżusi — ale kiedy? [illegible] zablyśnie, rosa oczy wyje. [illegible] coś o swoim testamencie, pokazywała Elżusi swoje brylantowe kolczyki. Przyobiecała nawet jej tylko zapisać w ręce [illegible] jeszcze, które już się mocno zatrzeć w myśli zaczęły. — Nie można co liczyć na ciocię kuzynkę: Elżunia może wyjść za mąż w obec [illegible] za tego Marcelka.

A Elżunia płacze i patrzy z [illegible] uśmiechem na swoich rodziców, którzy takiej od niej wymagają ofiary. Ach, czemuż by ojciec nie wygrał w Teodora gdy się przed rokiem oświadczył o jej rękę! Czemuż nie potrafił [illegible] wyjednać [illegible] posady! Byłaby dzisiaj — zamiast [illegible] w najskromniejszem utrzymaniu, na suchym kawałku chleba. Pracowałaby, szyłaby na maszynie, dawałaby lekcje muzyki — i byłaby szczęśliwą nie wystawiając się na [illegible] jako narzeczona Marcelowa. Ach czemuż to ojciec przed rokiem nie przyjął. Teraz już za późno, teraz stać się musi ofiarą ojcowskiego długu. Bywaj zdrów, biedny p. Teodor!

Niema rady!

A w bramie domu naprzeciw tymczasem z rozpromienioną twarzą p. Teodor. Twarz miał rozpromienioną jak każdy poczciwy człowiek, który zamyśla jakiś dobry czyn i ocali nieszczęśliwych swoich od grożącego im nieszczęścia.

Ale nie, nie tylko zadowolenie szczęśliwego czynu malowało się na twarzy pana Teodora. Malowało się na niej jeszcze coś więcej... Coś więcej a może należało powiedzieć: coś mniej. Niemógła [illegible] niezwłoczność p. Teodora świadomość poświęcenia nie zdołała się zatrzeć, bo wykupienie rodziny p. Błażeja z rąk p. Bonifacego nie było poświęceniem: [illegible] ale dla niej on to zrobił ale najegoistyczniej dla siebie samego, aby stokroć wolał wszystko oddać w miejsce (nie widzieć Elżusi żoną niegodziwego łajdaka. — i życie własne oddać)

Tylko [illegible] w bramie aby [illegible] stropionym przyjacielom: nie martwcie się, [illegible] płaczcie, jesteście wolni, wyswobodziłem was... i siebie samego. Nic za to nie żądam — tylko tyle aby Elżunia nie była zmuszoną iść za mąż wbrew własnej woli. Nie żądam wdzięczności, bom ja sowicie już wynagrodzony tą myślą iem ją wybawił z niewoli. Może być nie teraz kocham — bo już teraz za prawdę nie stara się nie najtkliwsze [illegible] chciałby najskromniejszych potrzeb. Nawet prosić teraz nie mogę: czekając, póki mi nie wyjdzie jakiego stanowiska i lepszej posady; prosić teraz o [illegible] — bom ja ich wierzyciel. Niemogę przecież korzystać z tego stosunku jak chciał korzystać p. Bonifacy.

Biegł przechodząc p. Teodor i myślał: Powiem tylko tyle — „jesteście wolni! Zaspłaciłem wasz dług!..." Tak! ale to będzie tyle znaczyło, jakbym chciał powiedzieć: teraz ja wierzycielem waszym!...

I zatrzymał się w połowie ulicy.

— Nie, ja do nich pójść nie mogę. Ja im tego nawet nie mogę powiedzieć.

Wnet się ocknął o tem [illegible]!.. Ah, jakżeby mi to miło było uwiadomić ich o tem i [illegible] być [illegible] — Jakiemiż olśniewającym [illegible] spoglądałaby na mnie Elżunia! O ona mnie kocha, nie powiedziała mi tego nigdy — ale ja czuję że ona kocha mnie!.. A też stary poczciwiec uradowałby mnie po swojemu — a Matka — poczciwa kobiecinka — spojrzałaby się (zaraz by mnie [illegible] powinszowała konfitur[illegible] swojej roboty... Nie, nie, nie, niepotrzeba aby się on sam z rozrzewnienia i [illegible] wielkiej [illegible]) od nas powiedział — to by wyglądało jak [illegible] [illegible]: no, [illegible] czy chcesz czy nie chcesz, musisz oddać mi Elżunię... Nie, nie..

I oparty o poręcz schodów dumał niezdecydowany: iść czy nie iść?

— Idź — nie nie dziś jeszcze, zanim się oswobodzę!

I [illegible] zaczął schodzić na dół.

W sieniach minął się z listonoszem. — Listonosz zadzwonił do mieszkania pp. Błażejowskich i oddał list zaadresowany do pani Błażejowej.

List [illegible] z stemplem poczty Krzemowiec, był tej treści:

„Wielmożna Pani!

„Niech się Wpani nie boi, ale muszę Pani przygotować pomału do bardzo smutnej wiadomości. Jak Pan Bóg wszechmogący za skutek Opatrzności postanowił zabrać kogo do swojej chwały, to już [illegible] musi stać się wszelka jego wola. Nieboszczka Pani nie nie chorowała ale wczoraj położyła się spać całkiem zdrowa a dzisiaj obudziła się już umarła na tamtym świecie, żeby jej Pan Bóg dał koronę niebieską. Proszę Wpani mnie samemu jak też trudno było się z tobą z tego świata boku zgodzić. Pieniądze i obligacje pozamykałem do szafy żeby ludzie nie rozkradli bo to jak kto umrze to się różnie na świecie dzieją a ja za to odpowiadam jako ekonom. Niech Wielmożni Państwo przyjeżdżają aby był na pogrzebie, bo pamiętam się jakby mojej testament to już pomni tak jak nieboszczka Pani mówiła. jest tam napisano żeby mnie Państwo wypłacili legat, który mi Wielmożna nieboszczka obiecała pamiętać za wierną usługę za moje [illegible] lat całych. Niech przyjmie to Pan Bóg wszechmocny z najświętszym Opatrzności do Wszechmogącej [illegible] się na tamtym świecie a po śmierci koronę niebieską Amen. Całuję rączki Wielmożnej Pani i

Najniższy sługa

Rzepkiewicz

Mateusz Rzepkiewicz (Ekonom dziedziczki

Wielmożnej Nieboszczki Pani,

W połowie odcyfrowywania hieroglifów p. Rzepkiewicza wybuchła pani Błażejowa dziwnym płaczem

— Co się stało? — zawołał przestraszony p. Błażej

— Co mamie? — zawołała Elżunia

A pani Błażejowa odrzekła przez łzy:

— Biedna ciocia Kundzia!

— Czy to od niej list?

(Nie, ale — Umarła — dodała pani Błażejowa z rozrzewnieniem.

— Umarła? — zawołał równocześnie z Elżunią p. Błażej, ale (: przebacz im zemsta czytelniczko :) ani Ojciec ani córka nie wymówili tego wyrazu z tym smutkiem

z jakim to powinno było nastąpić wedle zasad przyjętych w cywilizowanym świecie. – Wielka jest jednak u nas tylko namyślenia do tego co przystoi w towarzyskiem życiu, toż obie usłyszawszy naraz jeden swój wykrzyknik, pomimo niewłaściwego tonu z jakim się im teraz mimowolnie z ust wydobył i chcąc zadość uczynić prawidłom przyzwoitości powtórzyły raz jeszcze ten sam wyraz na nutę żałobną:

— Umarła!..

— Umarła! – potwierdziła raz jeszcze pani Obarzejowa,

I znowu Ojciec z córką, obie, niewiemy już czy właściwie czy niewłaściwie, powtórzyły z rozrzewnieniem pierwsze słowa pani Obarzejowej:

— Poczciwa ciocia Kundzia!

W samej rzeczy ciocia Kundzia która nigdy nie robiła im pomimo wstrętliwem położeniu, niemogła nic wrodzonego zrobić jak przeniesienie się do wieczności, pozostawiając im swoje obligacje i swój folwarczek. Niemogła stosowniejszej do tego obrać pory.

Czy tylko istotnie rozporządziła majątkiem na ich korzyść? – Z listu ekonoma należy się tego spodziewać. Wiadomości odebrał on coś od tej pani o swoim przy testamencie i musi wiedzieć że w testamencie dla nich zapis, skoro bezzwłocznie po jej śmierci do nich się zgłasza.

— Trzeba tam pojechać mężu! Dziś jeszcze! – zawołała przedsiębiorcza pani Obarzejowa

— Aha! że dziś! – przytwierdził p. Obarzej

— Mamo! Mamo! – zawołała Elcia u kolan matki całując jej ręce z uniesieniem – mamo! ja już teraz nie pójdę za p. Marcelego?

— Nie dziecko, nie! —

I z płaczem objęła jasnowłosą jej główkę pani Obarzejowa składając na niej gorące macierzyńskie pocałunki.

— Nie cieszmy się jeszcze – nie! – pessymistycznie wtrącił p. Obarzej. – A jeżeliby Jezuitom wszystko zapisała?

— Ach Obarku, przecież choć tyle nam się dostanie aby ten dług spłacić!

Pan Obarzej grał już na drumli.

— W każdym razie odpowiedzieć trzeba będzie Bonifacemu, że nie nie możemy teraz postanowić, bośmy zmartwieni śmiercią ciotki...

— Ale Obarku! po co tego! przecież mu odpiszę że my nie damy Elżuni i koniec.

Pan Obarzej niedowierzał znać jeszcze testamentowi, bo zaczął znowu grać na drumli.

Koniec końców wybrali się obie do miasta, celem zrobienia przygotowań

3. do podróży. Elżunię postanowili zostawić w domu pod opieką dobrej znajomej, ~~[illegible]~~ wdowy po profesorze gimnazjalnym, która zamieszkała aby na czas ich nieobecności sprowadziła się do ich mieszkania. Pociąg kolei odchodzi przed 8 rano. O 6½ trzeba już wyjechać na dworzec. –

Potem. Elżunia zostawszy sama, otarła resztki łez i na pewno jej żal za „poczciwą ciotką Kundzią". Trochę się uśmiechała niewątpliwie [illegible] nareszcie uczucie nadziei. Przed oczyma jej stawały [pociągające] te śliczne czarne i sympatyczne rysy p. Teodora. „Jaki on był wesoły gdy ci dowie, że już nam nic nie grozi!... Jeżeli ja będę bogata – to już nawet [illegible] mi każą nam dłużej czekać!... Boże ojcze: ja nie rozumiem przecie tego – jeżeli moja żona pozwoli... A mama z ~~[illegible]~~ Ja nie spodziewam się – ale zapytaj pan Żuzi... I bodaj się mama umiała żal to powie... bo mama dobra jest... A on się wtedy obrócił do mnie: A ja?... Mój Boże! jak że ci on mówiący!... Ale p. Marceli?... biedny pan Marceli!... Dobry on tak!... Ale mi go przecież żal!... On mnie taki szczerze kocha... Czy on temu winien że ja go nie kocham! ..Żal mi go... On będzie rozpaczał za mną... Biedny!... Żeby ach tylko co złego nie zrobił, bo on gotów... taki drażliwy!..."

IV.

Takiego typu monologu panny Żuzi odezwał się odźwierny u drzwi. Marynia pobiegła otworzyć. I natychmiast Żunia następujący dialog usłyszała:

— Są państwo? – zapytał dźwięczny głos męski

— Wyszli –.

— Wyszli? – powtórzył skonfundowany głos panny Celiny. – A panienka jest?

— Jest.

I powiedziawszy formalnie anonsowanie się weszła do pokoju panna Celina – a za nią jej braciszek.

Dość im było spojrzeć na pannę Żuzię aby się domyśleć że wizyta ich nie była jej zbyt pożądaną. Wybiegła naprzeciw wchodzącym z tym wyrazem wymuszonego zadowolenia, do jakiego w świecie cywilizowanym idzie „dobrze wychowana" panna codzień się obowiązaną. W Chinach ..... ale o Chinach innym razem opowiemy, szanowna czytelniczko; wszak dobrze?

Usadowiły się dziewczęta; koleżanka Celińska, zadyszana od wejścia na drugie piętro, usadowiła się na fotelu i z zawiścią oczyma badawczo patrzyła w wybladłe oczęta Elżusi. Marcelek uśmiechnięty podobny raczej do [illegible], jak przystoi nieszczęśliwym kochankom w romansie, usiadł i powiedziawszy „melancholijnym spojrzeniem czytać się zdawał każdy przemiana w zarumienionej twarzy „okrutnej".

— Przychodzimy, rzekł melodyjnym teatralnie głosem, – przychodzimy zaprosić z nami panią... mój wyrok śmierci...

— Wyrok śmierci? – zapytała z wymuszonym śmiechem okrutnica, jakby nie rozumiała wcale o co idzie.

— Elżunia!... [illegible] zakrzyczała rozkochanym tonem Celińska i

westchnie jakby do modlitwy.

— Moja droga ... nie rozumiem... Cóż to za wyraz śmierci?

— Wiem już pani, że mój los się dziś rozstrzygnął... wyszeptał tragicznie Marcelek.

Głębokie westchnienie à la Romeo przerwało mu tok słów.

— Już pan wie? skąd pan wie? czy mama mówiła? Spotkaliście może moich rodziców? - zapytała szybko Zuzia

— Nie pani — ale wiedziałem nie rozumiem co znaczy to nagłe oddawanie w dniu dzisiejszym długu jaki Ojciec Pani zaciągnął u mego Ojca... zrozumiałem to odpowiedź na wczorajsze oświadczenie się o rękę Pani... O wierzaj mi Pani, że...

— Jakto? mój Ojciec oddał? już oddał? - wykrzyknęła Zuzia z rozpromienioną twarzą, niemogąc zataić swej radości..

— Dziś rano, przez pana Teodora — objaśnił Celinka

— O wierzaj mi Pani ... ciągnął dalej swe tyrady Marcelek

— Przez pana Teodora oddał? - przerwała mu znowu Zuzia zaniepokojona w owej chwili.

— Tak, dziś rano. Niewdzięczna Zuzia się uśmiecha...

— Dziś rano? dziś rano, mówisz? ... przez p. Teodora?...

I niemogąc pochwycić myśli. Jakto? ojciec długi oddał przed otrzymaniem listu o śmierci cioci? A przecież dziś rano taki był u nas jeszcze smutek i ojciec zdecydowany był wydać mnie za Marcelego?

2.) — O wierzaj mi pani, że dotkliwie bolesna nad wyraz wszelki była ta odmowa, boleśniejszym jednak był ten sposób jej wyrażenia!.. Wierzaj mi Pani że daleko wolałbym Ojca była myśl aby jako wyrzucił... pani to odbyło serce ... to śmieszne!..

1.) — Zuzia droga! czyż ty radzić iż mój Ojciec miał tam długiem zmienić zawiść rodziców aby...

Ale Zuzia nic nie odpowiada.

— Więc to p. Teodor odniósł tę sumę? dziś rano?...

I zdawało jej się że całą zrozumiała już zagadkę. To on! to on — niewiedząc nic jeszcze o śmierci cioci Kundzi — wydobył gdzieś tę sumę, mojego może zebrany, mnie sprzedał swój dworek i kamienicę na Żoliborzu - wszystko aby ją wybawić z niewoli.. To on!

I łzami rozrzewnienia napełniły się jej oczy coraz więcej i więcej, aż dwie duże krople z przepełnionej czary spłynęły po twarzy..

— Zuzia! ty płaczesz?... Żal ci go przecież!.. O płacz, płacz Marcelku, ona cię kocha! Ona cię kocha, tylko sama dobrze nie rozumie!

O moja Żuziu!

I rzuciła się jej na szyję.

Żuzia wyrwała się gwałtownie, jakby uważała [illegible] Celinki [illegible] wyrzucała, był [illegible] [illegible] – [illegible] jej słowa [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] jej inna [illegible] uczucie.

– Ach Celinko, ja pana [illegible] nie kocham... Ja mu z żalu płaczę...

– O nie udawaj Żuziu! Ty masz anielskie serce!...

– O pani jesteś Aniołem! – pani wie ile ja cierpię... pani ma litość nad nieszczęśliwym!.. Słodko mi będzie umierać z tą myślą, że na mój grób samotny kapnie łza mego Anioła...

Rozczuliła się Żuzia. – Śmierci się tknie! – zawołał Marcelek tragicznie

– Dlaczego pan ma umierać?

– Cóż dla mnie warte życie bez lilii panno Elżbieto!

– Znajdzie pan inny ideał – zakończyła się [illegible]...

– O nie! o nie!... wydeklamował patetycznie p. Marceli i pochylił się [illegible] – Ręce mi, mnie jak [illegible] [illegible] się ostatnia [illegible] [illegible] mnie [illegible] wiarała!

I [illegible] oczy [illegible] jakby chciał ty [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible] efektowny i celu nie chybił.

– Marcelku, Marcelku! – i [illegible] siostra [illegible] [illegible] jego [illegible] w [illegible] stronie najprawdziwsze łez [illegible] [illegible] oczu.

– Ona mnie tylko [illegible]! – jęknął p. Marceli – i obie [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible] to [illegible] bardzo praktyczny, gdyż [illegible] [illegible] [illegible] desperata [illegible] by [illegible] [illegible]. Sołodkał [illegible] [illegible] [illegible] za tym [illegible] [illegible] [illegible] – i [illegible] [illegible].

– Bóg mi [illegible]! – szepnął jakby sam do siebie [illegible]

– Marcelku! Marcelku! – [illegible] lamentowała nad jego pochyloną głową siostrzyczka. – Czy słyszysz Żuziu, co on mówi! I ty masz serce!...

Wzdrygnęła się Żuzia: a [illegible] zakochany Marcelek zalał się [illegible] na prawdę?...

O naiwności pensjonarska!

Niewiem jaki obrót wziąłby dalsza rozmowa – gdy w tem [illegible] się dzwonek [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] powrót państwa [illegible].

[illegible] Marcelek i na [illegible] [illegible] nie [illegible]. [illegible] [illegible], [illegible] z [illegible] [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] oczy a [illegible] [illegible] jakby chciał [illegible] się tym [illegible], [illegible] [illegible] panny Elżbiety:

– Czy pani [illegible] żadnej mi już nie zostawia nadziei?...

– [illegible] ja panu [illegible] [illegible] nadzieję? – odpowiedziała Żuzia [illegible] z [illegible].

– Ha! Dobrze więc!... [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] za kapelusz – ukłonił się – i [illegible] się [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] i jej córką, które [illegible] [illegible] [illegible]

pp. Odrzejów miały się dla towarzystwa Elizki dnie całe zostawiać wprowadzić.

Pani Profesorowa i jej córka – nie są to osoby, z którymi byłem rad bliżej zapoznać czcigodnych czytelników. Zwierzyłem dawno wrażeń z uczonym profesorem, przez czas jakiś dziś często musiała pełnić w towarzystwie tych dam i wspomniałem, że bardziej zazdrość [illegible]

Są tylko małe wzorki, dobry tytuł, nieco malutkiej wiedzy ... [illegible] mniej zadka ... wybór pięknej cnoty: milczy jak dwie posągi. Mogły dwoje przemawiać jak cicho, jak Demostenes wyjątkowych przedmiotów, stwierdzały się znakiem [illegible] i szczerze sobie od [illegible]

Milczenie to zwykle przedstawiały one tylko wtedy, gdy się znalazły w [illegible] towarzystwie [illegible] i ponadto [illegible] w którym wszystkie mowy równocześnie a żadna [illegible] nie wyjdzie. – Wtedy i one stawały się wymowne – ale co mówiły, to dziś tylko im samym i panu Bogu wiadomo.

Nie podobna było w ich obecności kontynuować Celinie przerwanej z Elizką rozmowy. Żegnając się z nią jednak, odprowadzona do przedpokoju, rzuciła jej się raz jeszcze z płaczem na szyję. Zarazem [illegible] uścisk przyjaciółki ... wtedy Celinka pocałowała jej rękę i gorąco nad nią [illegible]: [illegible] Zosia [illegible] ... – to dzieło – był i milczą całe [illegible] Zosie mnę.

– Zosiu! Zosiu!... [illegible] mi jego rozumny!... Ty go nie znasz!... On sobie co woli!... [illegible] będzie sobie wypuszczać. Tak, by był z nim szczęśliwa!... On ci tak kocha!... Zosiu! Nie mów, mnie!... ja ci to raz radzę!...

Mogło uściskać – rzekła to – i Celinka kolejne odwróciła [illegible] przyjaciółkę [illegible].

W dzieciach [illegible] nad nią trzeciak, grywał niecierpliwie ~~[illegible]~~ wirginijkiem cygaro, które mu co chwila gasło...

V.

Godzina obiadowa dawno minęła a państwo Odrzejowscy nie wracali z miasta. Jeszcze jak się obywatel miejski wybierze z swoją połowicą po sprawunki do sklepów, ~~[illegible]~~ preliminarz czasu na to przeznaczonego i preliminarz wydatków zawsze się okaże niewystarczającym; co najmniej dwa razy tyle czasu i groszy i co najmniej pięć razy tyle spotrzebuje czasu niż zamierzano. Tak to jest [illegible] fatalności ... nie [illegible], dopóki w ich [illegible] nie obecnych oczy, mnóstwo Zamieszka na potrzebę bagatelek, „zgoła zbytecznych, a nawet niepotrzebnych wcale". Tak się stało i tym razem zarówno z Odrzejem i jego szanowną małżonką. A czego spodziewano się od [illegible] po śp. cioci Kundzi [illegible] przedmiotów ... obnosić ... paletota pana Odrzeja ... wracali do domu z pełnemi [illegible] kieszeniami, z pełną torebką [illegible] i z [illegible] pakunkiem. Przywołany ekspres niósł za nimi cały kram towarów, bez których by się ~~[illegible]~~ wybornie obeszli – a niósł co dziwić ... Marynia [illegible] otworzyła [illegible] szafki [illegible] wydziału kulinarnego pod dyrekcją ~~[illegible]~~ Zosi, była w rozpaczy.

[illegible] i [illegible] ... bo to Zosiu i [illegible] ... ale nie wszystkie ... wyższej narodowej.

4.) Wiedziała że obiad się zepsuje bez najmniejszej winy z jej strony. I obiad się zepsuł.

Wiedziała że otrzyma za to ostrą burę od pana Obarcja i ostrą burę otrzymała.

Pani Obarcjowa była nieco sentymentalna i chcąc przerwać gderliwe kazanie swego drogiego małżonka, wysłała Marynę z kluczem na strych po kuferek podróżny, który tam od niepamiętnych czasów stojący za składzie, rozpamiętywać odbyte przed wielu laty podróże, opowiadając o nich [illegible] razem z [illegible] podróżnymi męża, który go obrazko zaniedbaniem.

Zdziwił się srodze biedny kuferek gdy go ujrzała ręka Maryny sunący z miejsca, zdziwiły się męży [illegible] swoich swego [illegible], zdziwiła się Maryna zajęciem do jego [illegible], zdziwili się obaj państwo Obarcjowie na widok zniszczonego sprzętu, który im przed 25 laty [illegible] tylko Dopóki [illegible] i odtąd [illegible] wyrażam. A gdy kuferek okazał się starym gratem nie do użycia a więc jego zniszczenia przypisano [illegible] burzę [illegible] ze strony Maryny, ta zaś głośno objawiła zdziwienie, zdziwili się sami, [illegible] państwo z powodu tak niesprawiedliwego zarzutu, zdziwili się [illegible] względem niej niewinności wobec Obarcjowe [illegible] [illegible]. Pani Profesorowa dziwiła się że tak odrzuciła winy z dawniej. Jeszcze kogo [illegible] a Zusia dziwiła się [illegible] takich zadziwić, i ironizując radaby była opowiadać [illegible] to co wszyscy dziwią, i gniewać i radaby była [illegible] p. Dominikowego pana i [illegible] ich wiadomością o zdarzeniu wierzytelności p. Teodora, ale zamknął na to znaleźć sposobnej chwilki. — Mamusiu!... Tatkuniu!... zaczyna kilka razy napróżno, chcąc wyjednać sobie [illegible] na końcu [illegible] — aż obaj pp. Obarcjowie niechcący i niechętnie [illegible], zaczęli [illegible] Zusia tajemnicy tej zdradzić nie wytrzymała. Przy pani profesorowej [illegible] Czekała na sposobną chwilę, ale wobec zamętu i zakrętu jaki wywołała wielka wyprawa, chwili tej doczekać się nie mogła.

Państwo Obarcjowie wyjeżdżają do miasta [illegible] nowego kuferka.

Przy tej sposobności [illegible] kilka innych wyprawnych potrzebnych [illegible] z [illegible] Zaczęło się pakowanie rzeczy. Payer i Weiprecht.

Powrót tryumfalny do domu.

wybierając się do bieguna północnego na odkrycie ziemi Franciszka Józefa, mniej byli niezawodnie zakłopotani i pełni ważności — przygotowań od pp. Obarcjowie do swej wyprawy. Rozgardyjasz nie do opisania. P. Obarcj nosi swoje rzeczy, pani Obarcjowa swoje. Wyrzucono kuferek starymi numerami Gazety. Pani Obarcjowa układały na ziemi, z systematycznością kobiecą zawsze składał w jednej nowej kuferka [illegible].

P. Obarcj [illegible] z drugiej strony i [illegible] swoje [illegible] i [illegible] pięści ugniata aby się pomieściły. Zusia klęcząc z boku, podtrzymuje [illegible] tektur [illegible] obie strony kufra. Profesorowa z córką stoją nad tą grupą jako [illegible] sympatycznie, pięciorodowanie [illegible]...

— Ależ Tatkuniu, tak się wszystko pomnie! [illegible] energicznej manipulacji ojca

— Co ty wiesz! czyś ty kiedy podróżowała!

— Ależ Obarcjku, [illegible] kufra zapakujesz [illegible]

gdzież się niby rękawiczki pomieszczą?

— [illegible] wtenczas pobudzi — odparł p. Abaży stojący w zamieszaniu i niepokoju

borykał dalej swoje ubranie, które żadnym sposobem pomieścić się nie chciało.

— Ależ wtedy podrzyj nasze bieliznę! Ja ci mówiłam że to kuferek

[illegible] i uparte tyś. Coż teraz będzie?

P. Abaży odburknął coś niezrozumiałego i przyciśnięty na klęczkach

zamykał się [illegible] swoim ciężarem. Znać Trzykrotnie pomieszczony rzeczy w kuferku

tak mały objętości przekonało go namacalnością faktu że jego pokrywa miała

słuszność. Przestał więc się i zaczął grać na drumli. — Pani Abażyjowa z Zosią wobec groźnej sytuacji usiadły na ałtanie.

Wszystkie cztery kobiety zamilkły zaczęły naraz gadać. Nadeszła

Marynia i domieszała jeszcze swoje słówko.

P. Abaży grał na drumli.

Uradzono wreszcie aby kufer odnieść do stolarza i dopasować

zawiasy na wiekach.

Jeszcze raz udało się pp. Abażyjostwo do miasta, wyszukawszy

stróża kamienicznego, niosącego kuferek.

Wyszli godziny wrócili z kufrem potężnych

rozmiarów. Po drodze zamówili fiakra na godzinę 4-tą.

Zaczęło się powtórne pakowanie.

Tymczasem zajęła się tem sama pani Abażyjowa z Zosią. Pan Abaży podawał

tylko rzeczy swoje które dziś zebrał. — Pani Abażyjowa układała i wyjmowała rzeczy sprzątając i zabierała swoje nam. — P. Abaży coraz nowe + i gderał kiedy pakować. — Tyś, to robota Penelopy!

— Mój Abażku! — przymilnym tonem zainteresowała go widziszo: pocóż tyś aż trzy pary pantalonów zabierał!

+ swoje ubranie zawsze.

— A jak się podrą?

— Dlaczegoż mi mają podrzeć?

— Któż wie? to ja wiem.

— To i cóż?

— mogą się podrzeć

— Dlaczego?

— Czy ja wiem dlaczego! — odparł p. Abaży grając na drumli.

Przypomnienie [illegible] mi umiał z wielkim wysiłkiem przeczyć, [illegible] miał jednak jakieś instynktowne poczucie że nawet potrzeba ich zaspokoi w tej parze dolnej tej części ubrania.

Pani Abażyjowa nie uznała jednak tej potrzeby i zabrała tylko jedną zapasową parę.

— Trzeci, Słoma kazał fiakrze zajechał! — obwieściła Marynia.

— Gratis! A my jeszcze nie spakowani. — Szszsz!

— Bo ty okropnie marudzisz twoim twoim systematycznością.

— Ale już, już skończone

— Prędzej, prędzej, bo się spóźnim!

— Ale już, już....

— Kolej nie czeka

— Zaraz, zaraz.

Dokonała wreszcie pani Abażyjowa wielkiego dzieła.

— Masz teraz! kufer nie chce się zamknąć!

— Szszszo!

Pan Ołdarzej położył się plackiem na ziemi aby docieć powodu dla którego skobel nie miał wejść w wycięty na jego pomieszczenie podłużny otwór w zamku. Stękał przy tem jakby chory ciężką złożony niemocą.

— Niedochodzi - nasz prosta! zgrzyt opatrzony tęczowymi fatałaszkami.

— Ależ Ołdzisiu! zaledwie jedną dla siebie zabrałam suknię.

— Może bieliznę zawadza?

— Nie, nie... Ale on się zamknie, trzeba tylko dobrze przycisnąć z góry. Ja nie mam siły.

— Siądź na kufer

Pani Ołdarzejowa usiadła. Skobel zniżył się o kilka milimetrów ale daleko jeszcze było do zamku.

— Niech i pani profesorowa siądzie! - komenderował p. Ołdarzej.

— Ha! No i ...

Usiadła profesorowa obok pani Ołdarzejowej. Obie kobiety były dobrze zbudowane i tęgie i zaledwie na tej improwizowanej kanapce pomieścić się mogły obok siebie. Odgniatał wieko kufra spory ciężar, osoby ich reprezentowały niezawodnie przeszło 150 Kilo. Skobel zniżył się o kilka milimetrów, ale do zamku równie jeszcze znaczna oddzielała go przestrzeń.

— Uff! - stękał p. Ołdarzej: niedochodzi! | — A to ... ! zadziwiła się profesorowa — Cóż będzie? - desperowała Ołdarzejowa

Otarł pot z czoła i po chwili zawołał:

— No! Skaczcie teraz!

— Co? Czy dobrze? - zapytała uradowana p. Ołdarzejowa i zerwała się z kuferka.

— Ale gdzie tam! niedochodzi! Siadajcie panie i skaczcie!

— Jakto?

— Siadajcie i podskakujcie siedząc, to skobel zaskoczy...

I uśmiechnął się p. Ołdarzej zadowolony genialności swego pomysłu. Zawahały się obie. P. Ołdarzej się niecierpliwił.

— Prędzej! - nie róbcie panie ceregieli...

Marynia wpadła do pokoju:

— Jakże? Fiakier przyjechał stoi ... że będzie późno...

— Sza! No, siadajcie na miłość boską! - zakrzyknął p. Ołdarzej

Siadły. — Ha! No, to i dobrze! - przystała profesorowa

— Skaczcie teraz!

Podskoczyły. Pani i profesorowa wybuchły głośnym śmiechem

— Ale fe! na nic! Mocno podskakujcie, mocno! - całym ciężarem z góry! - zawołał p. Ołdarzej:

Podskoczyły.

— A co?

— Jeszcze nie! — Ej? No? Sza! Ni może być! zadziwiła się profesorowa — Aj, do wszystkich dyabłów!... Trzeba coś wyjąć z kufra! Wstawajcie!

Wstały. P. Ołdarzej kufer otworzył i wyjął z niego leżącą na samym wierzchu świeżo wyładowaną parę pantalonów.

— No, siadajcie panie teraz... Podskakujcie! a z góry, z góry! całą siłą!

Siadły... Podskakiwały raz, drugi, trzeci, wreszcie obie jak na komendę. Pani i profesorowa śmiały się jak szalone.

— Żusiu nie mów[?] więcej tak! | Mańciu! [illegible] więcej tej !! I [illegible]

— A co?

— Jeszcze nie! ale już bardzo blisko!

Obie uświadczony[?] podniosły (umiarły[?]) jeszcze raz z całą energią. I w tej chwili usłyszano było zaskoczenie skobla

— Chwała Bogu! – zawołał wielkim głosem p. Błażej: i obrócił klucz w zamku: Zamknięte!

— No, no, to i dobrze!

— Maryna, weź stróża niech zniesie kuferek! Chodźmy! chodźmy!

Śpiesz się tylko, bo to ostatni czas!

I wciągając na siebie paltot, wołał p. Błażej: Wkłada[?] ze wnętrza[?] worka spiesz się! spiesz się!

— Jam gotowa!.. Bądź zdrowa Żusiu! dziecko moje drogie! – i przyciskała ją pani Błażejowa do serca, wkładając książkę w jej ręce i całując ją z czułością. Łzy jak groch padały po[?] rozpalonej twarzy.

Na widok łez matki, Żusi także łzy wezbrały. Było to jej pierwsze więcej rozłączenie z matką. Rozpłakały się obie naraz.

— Masz tobie! — Wstydźcie się[?] płakać! Czy to na długo jedziemy? na kilka dni! – no, no, dość tych czułości! Wkładaj, bo się spóźnimy!

Pani Błażejowa zaczęła się żegnać z profesorową zaklinając ją na wszystkie świętości aby do ich powrotu, tak troskliwie opiekowała się Żusią jak własną córką. – P. Błażej żegnał się z Tymczasem córką. Gniewał się na zbyteczne czułości żony a jemu samemu łzy w oczach stanęły przy pożegnaniu z jedynaczką.

— Moja pieszczotko! – i całował ją i gładził ręką po twarzy, po głowie. –

Wyrwał się wreszcie z ramion kochanej córki. –

— Chodźmy, chodźmy!

Porwał laskę i parasol zwiazane razem czerwoną krajką, wsunął na ręce wyjęte z kufra złoto czekoladowe pantalony, pochwycił torebkę żony i pociągnął ją za sobą prawie zaczął schodzić ze schodów. Pani Błażejowa szła naprzód, za nimi Żusia aby ich jeszcze przy wsiadaniu do fiakra pożegnać, za Żusią profesorowa, za profesorową jej córka, za jej córką Maryna. – Prędzej! prędzej! – naglił raz po raz p. Błażej:

W połowie piętra zatrzymał się nagle:

— Aj do djabła! zapomniałem pieniądze! – i obróciwszy się na miejscu pomknął na górę

— Ach Błażku! Błażku! – zawołała

— Szsss!

— Jakie szczęście, że sobie tak prędko przypomniał! – karała się p. Błażejowa.

— Aj, co prawda! – przytakiwała profesorowa.

Zadyszany wrócił p. Błażej. – Obaczywszy że go żona czeka nad schodami, zawołał:

— Jeszcze mi tego! A na wszystko baba, po z Żusią kobiecina! Spóźnimy się!

To samo utrzymywał fiakier. Dzieciom tego powiedział, dzieląc pożegnania i zostawienie swoich... nie dzielnie[?] tylko ciężko[?] minął przy wsiadaniu.

VI.

Poprzedni rozdział nie posunął akcji w naszej noweli ani na krok dalej, narzucając go szanownemu czytelnikowi całkiem niepotrzebnie. Aby mu zatem cierpliwość tę wynagrodzić, posuwamy teraz naszą siłą pary ku rozwiązaniu.

Państwo Obwiejowie nie spóźnili się na pociąg. Posuwając się ku celowi swej podróży z szybkością czterech mil na godzinę.

Jadąc wesoło, ukołysani błogim marzeniem o [illegible] przyszłym dziedzictwie.

— Kaczorki warte ze czterdzieści tysięcy? zapytał p. Obwiej.

— O więcej! przechylając się do ucha swej małżonki, aby go towarzysze podróży nie słyszeli.

P. po chwili dodała z uśmiechem zalotnym kokieteryjnie swego małżonka powiedziała pani Obwiejowa:

— Pan dziedzic!...

P. Obwiej nic nie odpowiedział, machnął nawet ręką wzgardliwie, jakby mu nic na tem nie zależało, ale niewczesny uśmiech zadowolenia rozlał się na jego twarzy.

„Pan dziedzic!" powtarzał sobie w duchu i zaczynał sobie w myśli wyobrażać różne sceny przyszłego panowania. Ekonom Rzepakiewicz kłaniający się przed nim nisko czapką i tytułujący go Jaśnie Panem. Służba wybiegająca z dworku [illegible] oczekująca jego rozkazów. — Arendarz ofiarowujący swoje usługi i prosi aby mu wypuścił propinację. Gromada z wójtem na czele przychodzi aby go powitać, Żydzi całują go za kolana. Dzierżawcy prezentują się nowemu właścicielowi... naczelnik wioski z delatorem... Wszyscy występują z powinszowaniem... trzeba będzie coś odpowiedzieć... I zaczęły się tłoczyć p. Obwiejowi, które wybrać wyraz wciąż zakłopotany. Mimowoli zaczął grać na drumli...

Hm!... A nieboszczka trochę tej sprawie pożyła... Tak ona należy! Ej, aj, co to będzie kosztować!... Pochowanie [illegible] z ołowiu, przynajmniej kilku księży... aj, możeby się bez tego obeszło? Eh, nie, nie obejdzie się! I sąsiedzi którzy się zjadą trzeba będzie ugościć!.. To także koszt!... No, trudno inaczej! — A litość pewnie zechce aby nieboszczce żałobę zamówić... ma pomnik postawić? Ale więcej tego! co tyle z tego przyjdzie! To będzie grób wymurować, może pomnik postawić? Ale więcej tego! co tyle z tego przyjdzie! To będzie sporo kosztować!... Hm, hm!...

I zaczął koncert na drumli.

A gdyby nieboszczka jeszcze zapisała majątek?... Aj!!...

Pogrążonego w dumaniach zwrócił uwagę ciągłe przytłumione chichoty i szeptanie dwóch młodych towarzyszy podróży którzy naprzeciw niego siedzieli. Widocznie spostrzegli coś nadzwyczaj zabawnego w postaci lub ubiorze p. Obwieja i wiele razy który z nich spojrzał na niego, wnet tak samo jakby się dusił od śmiechu. — Zaniepokojony tem p. Obwiej zrobił przegląd swego ubrania ale wszystko znalazł w porządku przygładził włosy, podniósł wąsy, poprawił krawat: a że nic to wszystko nie pomogło, zakłopotany to czuł się jeszcze więcej, uważając śmiechy do tego przyczyną.

Zauważyła to także i pani Obwiejowa. Zrazu się to uboła. Zrobiła i ona przegląd toalety swej. Wszystko w porządku. Spojrzała na stronę na męża — i zrozumiała. P. Obwiej trzymał ciągle w ręku znalezionek przez ruszenie się po uszy jak zwykł kandelabr, dolną część ubrania, która koloru żółtoczekoladowego w sposób wcale nie estetyczny wydobywała się z wąsów, przechyliła się do ucha męża i zwróciła jego uwagę na powód śmiechu młodych swych towarzyszy podróżnych. —

Skonfundował się p. Obłażyc, ująwszy inkryminowany przedmiot w węzełek i rzucił na siatkę nad głową. Czuł się jakoś zobowiązany wytłomaczyć się przed towarzyszami podróży:

— Bo to, proszę pani, my jedziemy na wieś...

Pani Obłażycowa uznała całą niedorzeczność tego usprawiedliwienia, chcąc je zatem lepiej umotywować, objaśniła:

— ... aż w Krakowskie!

— Aż w Krakowskie! — z udanem zdziwieniem powtórzył jeden z młodych ludzi:

— Tak, tak! — potwierdził p. Obłażyc.

— Ah, to co innego, to się nie ma co dziwić!

— A co? prawda? — rzekł mu wdzięczny p. Obłażyc, tryumfującym wzrokiem spoglądając na żonę. I dodał po chwili:

— Trzeba się zaopatrzyć! co? prawda?

— Oh, co trzeba, to trzeba! — potakiwał towarzysz podróży.

Pani Obłażycowa zdrowym rozsądkiem kobiecym czując że to całe wyjaśnienie nie ma żadnego sensu, domyślając się drwiny w tem potakiwaniu młodych panów, uznała za najlepszy sposób wybrnięcia z tej niedorzecznej rozmowy, objaśnić ich właściwie cel podróży:

— Bo to my jedziemy odbierać majątek...

— To co innego — dodał p. Obłażyc

— Ah, to tem bardziej! (z powagą rzekł) zawołał młodzieniec. Jego towarzysz (dusił się od śmiechu)

Pan Obłażyc domyślił się teraz (już) takiej drwiny. Rozgniewał się z [illegible] i zapytał kategorycznie:

— Dlaczego: tem bardziej?

— No, bo państwo jadzie odbierać majątek

— To i cóż?

— Ano prosta: trzeba się zaopatrzyć...

— Ah, tak! — udobruchał się p. Obłażyc

Tak się zawiązała rozmowa między pp. Obłażycowstwem a ich współtowarzyszami podróży. — Rozmawiano o Krakowie, o hotelu pod Luftmaszyną, o gospodarstwie wiejskiem, o polityce, o [illegible] o teatrze a wreszcie o zamierzonej w tym dniu nadzwyczajnej wyprawie p. Damazego.

Tymczasem (wagonik [illegible]) balon p. Damazego nadął się już (obszernych) rozmiarów i gotów do podlotu [illegible] [illegible] [illegible].

Liczni zgromadzeni publiczność oczekiwała z niecierpliwością chwili, kiedy balonik wzbije się w górę i ulecie ku obłokom.

Między spektatorami [illegible] [illegible] p. Teodora i p. Marcelego. — Spotkały się ich spojrzenia. [illegible] jakiś [illegible] przemknął pomiędzy p. Teodorem. P. Marceli spuścił oczy.

Tymczasem inna scena odbywała się na drugiem piętrze przy ul. Jagiellońskiej w domu pod L. (:pamiętasz:). —

Po schodach darła się wzgórę na drugie piętro wątła, blada, chorowita dziewczyna, kulawa Celinka. Przystając co chwila, [illegible] [illegible], z schodu na schód darła się wzgórę ostatkiem, rozpaczliwem sił wytężeniem, jakby na najwyższą drabinę. Kiedy potem spojrzały jej oczka, piersi podniosły się i opadły gwałtownie przyspieszonym oddechem, że z oczu szeroko rozwartych przeglądała śmiertelna jakaś

trwoga, szerokie usta przetworzone nieestetycznie dla zaczerpnięcia powietrza, blada twarz szarpana nerwowym co chwila drganiem.

Na zdrowej nodze opiera całe ciało a uchwyconą kurczowo stawia o jeden schód wyżej, chwyta się wtedy oburącz poręczy i zawieszona prawie na niej, usiłuje postąpić kroczkiem naprzód. Zdrową nogą stawia obok chorej i znowu chorą, bezsilną na stopień wyżej podnosi. Ze schodka na schód, ze schodu na schód, dwadzieścia kilka na pierwsze piętro, dwadzieścia kilka na drugie — bez pomocnej cudzej ręki, zadanie olbrzymie, nad siły! Już podesty drugiego piętra zatrzymuje się co chwila, już jej się wydaje że nie wydoła, mdło jej, nogi nie czuje, nie mdleje, ale wspomnienie jakieś straszliwe elektryczną przebiega iskrą, zrywa się i dalej wyżej — spieszy się, spieszy. Byle dotrwać do końca, byle dostać się na tę ławeczkę i wyrzec słowo które jej drga na ustach i omdleć bezbronnie potem...

Nareszcie!... Już u celu!... Uchwyciła za rączkę dzwonka i szarpnęła z całej siły. Szarpnęła raz i drugi i trzeci i uważ raz po razie. Wśród kamiennej rozległ się odgłos dzwonka. Wystraszona otworzyła drzwi Żusia.

— Żusiu! — wrzasnęła rozpaczliwym głosem i upadła do jej nóg.

— Celinka? — co ci jest? — co się stało? — przerażona jej widokiem zapytała panna Elżbieta.

Zamiast odpowiedzi biedna dziewczyna głośnem wybuchła płaczem. Dławiło ją słowo które wyrzec miała.

Podchwyciła ją Żusia wzruszona, starała się podnieść ją, obsypała pieszczotami.

— Żuniu! Żuniu!... wyjąknęła wreszcie Celinka — Żuniu! ratuj Marcelka! biegnij... biegnij... póki czas...

Z niej nie mogła powiedzieć więcej.

— Dokąd mam biegnąć?

— Do Strzeleckiego ogrodu... póki czas!... póki czas!

— Poco?

— Marcelka... chce się zabić... poleci balonem... straszne tu... tu!

I pokazała palcem na sufit.

Dreszcz zimny przebiegł Żunię od stóp do głowy. Niepotrzebowała długo odgadywać przestrachu Celinki. Przestrach ten udzielił się i jej. Wierzyła w miłość Marcelki i nie zamyślała się długo. Powiedziała sama: nie zamyślała się wcale. —

Wyrwała się z objęć Celinki i puściła się pędem schodami. Obiegła ziemię, iżby ją śmierć goniła albo — zwątpienie.

Nie przyszło jej na myśl że nie ma na głowie kapelusza ani okrycia na sobie, że wybiegłszy na ulicę trzeba się ubrać w paltocik, że to jesień, że zimno.

Jej było gorąco. Serce uderzało gwałtownie, krew napłynęła do głowy. Biegła. Biegła co tchu, co sił.

Biegła. Mijała przechodniów, którzy się za nią oglądali. Mijała znajomych, którzy przystawali na drodze ze zdziwieniem. Ona nie widziała nikogo, nie odczuwała nawet, że znajome osoby zatrzymać chciały, zapytać ją, co się stało, i dokąd tak biegnie. Oczarowała dzieciństwo gdy z towarzyszkami zabawy za rozpędzoną obręczą w przestronnym ogrodzie, nigdy jeszcze nie biegła tak szybko. – Minęła ulicę Jagiellońską, przebiegła drogę i most przed hotelem angielskim, przebiegła wały. Koło kościoła OO. Jezuitów wpadła w bramę kamienicy Andriollego i dziedzińcem domu dostała się na rynek. Biegnąc, tak jak jej brakło, biegnie dalej ku kościołowi OO. Dominikanów i wąską uliczką koło Arsenału ku Sztarkom.

Zarzutem jakby myśląc nie zwróciła uwagi tłumu ludzi, który się spotkał w tem miejscu, dążący w stronę przeciwną. Dobiegła do schodów obok stacji wiodących na skarpy. I tam pełno ludzi. Krzyczą się powiedziały dzieci, wybiegły, pochowały... Tchu jej brakło... Przyciskała ręce do piersi, zatrzymała się chwilkę.

Tu dopiero spostrzegła, że tłumna procesja ludzi wracającej od strony ulicy Kurkowej od Strzeleckiego ogrodu. Wszyscy spoglądali ku niebu a niektórzy wskazywali rękoma ku obłokom.

Zdrętwiała – zdawało jej się, że grom w nią uderzył. Nogi się pod nią zachwiały, serce w piersi bić przestało. Nie śmiała spojrzeć ku górze w tę stronę, w którą wskazywali ludzie.

Stała jak martwa, jak przykuta do miejsca, jak postać skamieniała. Nagle zdawało jej się, że ją ktoś woła po imieniu. Drgnęła usłyszawszy własne nazwisko. I zwróciła się obejrzeć.

– Panno Elżbieto! – stroskanym głosem przemówił do niej po raz wtóry p. Teodor.

– Panno Elżbieto! powtórzył raz jeszcze, jakby budził ją ze snu.

Ochnęła się. Poznała go. Spojrzała dziwnem wzrokiem i nie witając zapytała:

– Poleciał?!

– Poleciał – odrzekł najspokojniej w świecie i wskazał ręką na obłoki. W niedościgniętej dali, ćwierć wiorsty wyżej nad wieżami miasta wlatał balon. Z spodu jego chwiała się uczepiona łódka.

– Ach, mój Boże! – jęknęła i zakryła oczy obiema dłońmi.

P. Teodor nic nie rozumiał, nie umiał sobie wytłumaczyć tego wykrzyknika.

– Co pani jest? – zapytał ze zdziwieniem

– Ach!... panie Teodorze!... zabije się!...

Roześmiał się wesoło.

– Niech się pani nie boi, nic mu nie będzie, spadnie łagodnie na ziemię tak jak zwyczajnym razem.

– Ach, nie!... on powiedział Celince, że się zabije!

– Kto? Damm? pannie Celinie?

– Nie, jej brat...

– Pan Marceli?

— Tak! i to z mego powodu!

— Z pani powodu? — zapytał z najwyższem zdziwieniem.

— Odmówiłam mu....

Teodor milczał przez chwilę, twarz mu się zasępiła. Walka jakaś wewnętrzna przewracała mu sercem i wstrząsła nim do głębi. Rzekł wreszcie smutnie, ledwie dosłyszalnym szeptem:

— Pani go kochasz....

I chciał dodać: Pocieszże się, on żyje, nie poleciał w obłoki i nie spadnie z nich, całe życie chodzić będzie po ziemi...

Ale w tej chwili między publicznością wracającą z ogrodu strzeleckiego przemknęło się w tłumie jakieś towarzystwo i słychać było dźwięczny jak dzwonek śmiech jakiejś lwowianki a równocześnie pełnym aktorskiej deklamacji głosem odezwał się do niej prowadzący ją pod rękę młodzieniec:

— Słowo honoru pani daję, jeśli pani każesz, polecę balonem... i skoczę...

Był to pan Marceli.

Spostrzegła go Żusia — ustygnęła i spostrzegła...

Dziwnie sprzeczne uczucia przemknęły kolejno po jej twarzy: najprzód radość, radość niewysłowiona, jakby ciężar stu centnarów spadł z jej serca. A po tym przebłysku radości coś wręcz przeciwnego, niby gniew, niby oburzenie, niby wstydu rumieniec.

Ale p. Teodor upojony boleścią, nie umiał czytać w jej duszy, w jej oczach. Czytał i nie rozumiał. Powtórzył raz jeszcze cichym szeptem:

— Pani go kochasz...

— Ja? — z największem oburzeniem zawołała Żusia.

— Nie zapieraj się pani... sama nie rozumiesz głosu własnego serca — ale pani go kochasz.

Gorzkim śmiechem zaśmiała się Żusia.

— Panno Elżbieto — oburzoną jesteś w tej chwili, widząc że tak sobie zażartował... ale to oburzenie przeminie... Nie byłabyś tu przybiegła zrozpaczona... gdybyś go nie kochała...—

— Jakto? czy miałam dopuścić, aby człowiek przezemnie życie sobie odbierał?...

Teodor uśmiechnął się smutno.

— Nie masz pani płaszczyka, ani chusteczki... przeziębisz się. Próżny fiakier przejeżdżał drogą. Skinął na niego i zatrzymał.

— Siądź pani do fiakra i wracaj do domu.

— Panie Teodorze! — rzekła z bolesnym wyrzutem... Panie Teodorze!... powtórzyła z uczuciem najserdeczniejszego przywiązania.

On milczac wziął ją pod ramię i prowadził do powozu.

— Panie Teodorze... rumieniąc się powtórzyła raz jeszcze ciszej... ja.... chciała powiedzieć „ja pana kocham"... ale nie stało jej odwagi.

Otworzył drzwiczki powozu i wsadził do niego pannę Lusię.

Spojrzała na niego ze łzami w oczach. On na nią z niewymownym żalem.

— Dokąd mam jechać? zapytał go fiakier.

— Na ulicę Jagiellońską.

I zatrzasnął drzwiczki powozu.

Pojechała.

On stał długo na miejscu i patrzał za toczącą się karetką, jakby za ulatującem na zawsze szczęściem.

— Biedne dziewczę!... szepnął wreszcie.

Zwrócił się potem ku swojemu mieszkaniu — a przyszedłszy do swej stancji zamknął drzwi na klucz, rzucił się na łóżko i dłonią zakrył oczy.

Godzina mija za godziną, nie wstawał — i w tej nieruchomej postawie przeleżał noc całą. Nie spał.

Nazajutrz rano wrócił do codziennych zatrudnień, blady, smutniejszy niż zwykle.

VII.

Bladł i mizerniał z dniem każdym. Pytali go przyjaciele i koledzy w biurze czy nie chory.

Żalił się na gwałtowny ból głowy i gorączkę. Nie jadł i spać niemógł. Godzin biurowych nie opuszczał jednak. Zresztą niewidywano go nigdzie. Z biura wracał wprost do domu, i przez dzień cały nie wychodził nigdzie. zamykał się na klucz. Leżał na łóżku, nieruchomy, bezmyślny — w pół drzemce słysząc każdą godzinę bijącą na ratuszowym zegarze. Tak mu mijały wieczory i noce.

Nad ranem czasem sen go zmorzył ale uderzenie godziny [illegible] ocuciła go bezwłocznie. Zrywał się i szedł do biura — w niewyczyszczonem odzieniu na którem uczepiło się tu i ówdzie pierze z jego poduszki.

Praca szła mu ciężko — W bezprzedmiotowej jakiejś zadumie nad danym mu referatem przesiedział kilka godzin, ocknął się potem i chciał zabrać do roboty aby po kilku wierszach znowu w drzemce zatonąć. — Widząc stan w jakim się znajduje, chcieli go koledzy (przełożeni) od pracy wyręczyć i dawali mu lżejsze

aktą do wypracowania, lub gotowe już elaboraty do przepisywania. I to nie szło. Siedział, myślał coś, przepisywał, czuł własną nieudolność i rozpoczęciu tej rozpaczą [illegible] bezsilności truł się sam zwątpieniem o sobie.

Dwukrotnie od przełożonego otrzymał napomnienie. Przyjął je bezsennie jakby żadnego na nim nie sprawiło wrażenia.

Trzecie napomnienie było ostrzejsze. Spojrzał na niego badawczo naczelnik biura a widząc tę chorobliwą cerę, te zamglone źrenice, włosy w nieładzie, ubiór zaniedbany, przywołał do swego pokoju a zamknąwszy drzwi aby go wobec kolegów nie zawstydzać, ojcowskim tonem wypowiedział kazanie zaczynające się od słów:

— Coś z panem stało?.. Na miłość Boga, niechże pan [illegible] zmienie! Taki zdolny! Taki urzędnik! Pan chyba pijesz panie Teodorze...

i td. i td.

Teodor nic nie odpowiedział. (Nieuzasadniony zarzut nie obruszył go. [illegible] mu się że raz zasłużył.) Nazajutrz przyszedł znów do biura.

Pracował nieudolniej, znowu się wytyka. Słowa uskarżał się od bólu, usta [illegible] miał od gorączki, zdawało się jakieś drżenie przebiegało mu wzdłuż po paciorkach kości. — Ale nazajutrz nie przyszedł wcale do biura. Wcale nie wyszedł z domu przez całą dobę.

(Dnia tego zrana otrzymał Teodor pocztą drugi list; zostawił go w stole. Teodor otworzywszy go zachwiał się na nogach, chwycił się za głowę, wiedział i [illegible].*)

Przypadek chciał iż nazajutrz w tym dniu przyjechał do Lwowa dawny jego towarzysz a choć o wiele młodszy, jednak serdeczny przyjaciel — p. Karol.

(marginal note: [illegible] i [illegible] — [illegible] to pismo, godzina, dni, tę godzinę [illegible] — potem [illegible] i [illegible] z tym listem na [illegible] [illegible] — [illegible] [illegible] — a potem [illegible] [illegible] się na [illegible])

P. Karol, lekarz zamieszkały w małem miasteczku na prowincji, bardzo rzadko bywał we Lwowie. Ile razy się tam zjawił, zawsze spieszył wprost do p. Teodora, z którym najściślejsza więź go [illegible] zastawszy zamknięte, udał się go odszukać. I tym razem przybył do niego [illegible] zastawszy zamknięte, udał się go odszukać. Przyszedł o innej godzinie i znów nadaremnie pukał. Udał się tedy [illegible] do domu. [illegible] Dowiedział się, iż Teodor od dwóch dni do biura [illegible] iż tam go zastanie. W biurze dowiedział się iż Teodor od dwóch dni nie był w urzędzie. Opowiadano mu przytem że jego przyjaciel od jakiegoś czasu zdawał się być chorym i w dziwnem jakiemś nienormalnem znajdował się usposobieniu.

Zaniepokoiło go to (bardzo, wrócił znów do mieszkania Teodora.) A gdy mimo głośnego pukania drzwi mu nie otworzono, przywołał stróża i dowiedziawszy się że Teodor od dwóch dni z domu nie wychodził, polecił go posłuszna aby drzwi gwałtem otworzył.

Czas był ostatni. Teodor w gorączce leżał (nawznak w ubraniu) bezprzytomny na łóżku.

Rozpoznanie choroby nie było trudnem: twarz czerwona, wyraz osłupiały, skóra gorąca i sucha, usta wpół otwarte, wargi spalone, jakby przysypane popiołem — tyfus.

Zaradził p. Karol wszystko co było w jego mocy aby uratować przyjaciela. Stan jego jednak był niebezpieczny ale (nie najgorszy) wykluczający nadziej wyzdrowienia.

Czuwał przy jego łóżku przez cały wieczór, przez noc całą.

Ponad łóżkiem leżał w nieładzie porzucony, spostrzegł list otwarty na podłodze. Stroniąc przyjaźni jego [illegible] zbyt był ciekawy, aby mógł, jak chciał powstrzymać się od chęci przeczytania.

List był pisany we Lwowie — zapewne przesłany pocztą miejską lub przez posłańca oddany.

Był to list od p. Adrjana. — Ale wróćmy do p. Adrjana, dowiemy się zaś lepiej o treści listu

VIII.

PP. Błażejowscy wrócili już w kilka dni do Lwowa – a wrócili z rozpromienionemi twarzami, dopełniwszy obowiązku wdzięcznych krewnych t.j. wyprawiwszy paradny pogrzeb „poczciwej cioci Kundzi" i pochowawszy ją w grobowej kaplicy, którą sobie sama za życia postawiła na Karczochowskim cmentarzu. Rozpromienione, jak twarze pp. Błażejowskich nie promieniały przecież z spełnionego obowiązku wdzięczności wobec nieboszczki, ale promieniały radością z odziedziczonej sukcessji.

Skarbczyk i Karczochy warte były 60–70.000 a w kasie Wertheimowskiej znaleziono sporą paczkę listów zastawnych i listów hipotecznych. Pani Błażejowa była dziedziczką ładnego majątku, p. Błażej mężem tej dziedziczki a panna Elżbieta jakoby córka jedynaczka – świetną partyą, za którąby się i niejeden hrabia galicyjski mógł starać.

Panna Elżbieta jakoś nie zdawała się podzielać radości swoich rodziców. Smutna była, nad wszelki wyraz smutna.

Nie spostrzegł tego p. Błażej, którego duma kapała się w rozkosznem poczuciu dziedzictwa a wszystkie myśli snuły ambitne plany, o których przedtem nigdy mu się nawet nie śniło. [illegible] się on całkiem innym człowiekiem, [illegible] jakim był dawniej. Ani [illegible] wskazującym palcem nie [illegible] tylko jak dawniej [illegible] jak na dłoni, zatopiony w marzeniach [illegible] wszystko inne, nie widział ani [illegible] ani [illegible] dziś, nie dostrzegł też i go niezwykłego wyrazu bladości i zmienionego wyrazu twarzy swojej jedynaczki.

Matczyne oko pani Błażejowej było bystrzejsze.

— Czego mi tak posmutniała Elusia? co tobie jest? czyś ty nie słaba?

— Nie mamciu, żal mi poczciwej cioci Kundzi.

— Nie, Elusiu, nie. Twarz drugie prawdę. Tu coś się [illegible] coś stało z tobą [illegible]?

— Cóżby się stać mogło mateńko?

— Ja nie wiem co, ale ja widzę że się coś stało.

— Nic się nie stało mamciu.

— Nic? czy, jak mnie kochasz, nic?

Na to zaklęcie, [illegible] Elusia zataić dłużej prawdy. Oczy [illegible] dwa ziarka grochu stoczyły się łzy po twarzy.

— Dziecko, mów dziecko drogie! co ci jest?

I zaczęła [illegible] z twarzy dziewczęcej. [illegible] wyznała [illegible] o [illegible] całem zajściu [illegible] nadzwyczajnej. [illegible] p. [illegible] i o ostatniej [illegible] z p. Teodorem.

— [illegible] dziecko, [illegible], dowiedzą się wszystkim. Ty dziś [illegible] jeszcze [illegible], mógłbyś [illegible] w mai.... I po chwili z nietajonem zadowoleniem szepnęła [illegible] swej jedynaczki to jedno [illegible] słowo:

— ... [illegible] za jakiego królewicza!

— Nie chcę mamciu! nie chcę! ja jego jednego tylko kocham, [illegible] nigdy [illegible] innego.

I rozpłakała się rzewnie.

Objęła jej głowę ramionami pani Błażejowa, [illegible] [illegible] na swem łonie. [illegible] ją [illegible].

— Nie płacz dziecko, nie płacz! [illegible] pani Teodorowa! Już ci to mówię!

— Kiedy on myśli że ja kocham p. Kawalera!

I [illegible] [illegible] głośniejszym [illegible] płaczem.

7) — Nie bój się dziadku, już ja mu to wyperswaduję.

Tu Zunia opowiedziała matce o szlachetnym postępku Teodora i o wyłupieniu przez niego weksla u p. Bonifacego.

Pani Błażejowa rozrzewniona była tym dowodem przywiązania i zjednał sobie ten fakt jeszcze bardziej dla p. Teodora. Przekonaną była że i naczej miała wyrobione ~~[illegible]~~ szlachetny postępek Ksawera wielce decydujący i nale[illegible] przeważający względem szczęścia córki, postanowiła tedy opowiedzieć mu [illegible] rzecz całą bezzwłocznie. Nie wątpiła o tem że potrafi mu wybić zgubny [illegible] o której przez całą drogę z powrotem gadał, że Zunia Błażejówna musi już „co najmniej" za [illegible] jakiegoś hrabiego.

Na p. Błażeja ~~[illegible]~~, jednak fakt ten wcale niespodziewane sprawił wrażenie: obruszył go nieoczekiwany sposób. Przekonany on był, że Ksawer ~~[illegible]~~ wyłupienie weksla [illegible] już o sukcesji po ciotce kunegundzie. Nie dał sobie tego wyperswadować! ~~[illegible]~~ nazwał Ksawera „przebiegłym frantem" a ten przydomek był najmniej może hańbiącym z pośród całego tuzina innych którymi go utytułował.

— Co? co? taki Ksawer! taki Ksawer! on śmie na tem naszym dzięki [illegible] mu córkę dał! a przybłęda ostatni! Za co on mnie ma, mnie, dziedzica [illegible]! [illegible] ? Nie dla psa kiełbasa!

— Ależ Błażeju kochany, przecież ~~[illegible]~~ zawsze znaczy, inaczej ~~[illegible]~~ mówiłeś o nim i nie byłeś temu przeciwny aby Zunia poszła za niego, [illegible] tylko lepszej czekać porady...

— No — parsknął oburzeniem p. Błażej — no i cóż? czy ja może wypłacił?

— Ale my teraz mamy majątek...

— To też właśnie że mamy, to ja [illegible] ! [illegible] przyszłości przechować!..

— Ależ to przecież nie krewny!

— Phi! co mi to za krewny! Od dziesięciu lat nie wybadał! Wszędzie by mi był takiego... kochana!

— Mój Błażeju! — błagającym tonem reflektowała go małżonka

— Już ty mi tego nie gadaj! — zawołał p. Błażej. — I dodał patetycznie: — Gdybyś wiedziała że takim kawalerem, bodaj ciotka nasza wygrzebały się z grobów, gdyby wiedziała że takim Ksawerem, bodaj mi oczy podziękowała na nasze drzewo!..

— Błażeju, opamiętaj się! Przecież ty idzie tylko o szczęście Zuni — a ona go kocha!

Tu już p. Błażej uczynił pohamować się gniewu. Aż przeraził się nie tworząc [illegible]! Aż [illegible] ! [illegible] ! [illegible] ! wybuchnął [illegible] ! [illegible] ! [illegible] ! Dalibyście ją taką [illegible] ! [illegible] ! wypowiedziawszy!..

— ~~[illegible]~~ Przecież sam niedawno temu przeciwny!

— Cobym a nie rzekł, nie pisze się w rejestrze! — [illegible] go! dom mu wymówię! już [illegible] [illegible], każę go ze schodów strącić jeśliby jeszcze raz tu pokazał!

— Ale tak szlachetnie sobie postąpił...

— Co? szlachetnie? [illegible]! [illegible]! Dowiedział się snadź rzewny filut żeśmy odziedziczyli kamienicę i nas uzyskał ze swoim [illegible]. Myślał że [illegible] tam ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ na [illegible]. Głupiec!

— Ale uczynił to wtedy, kiedy właśnie my sami nie wiedzieliśmy jeszcze że ciocia nam zapisała...

— A jeśli wiedział, to jeszcze gorzej! Chciał nas mieć z [illegible] tym wekslem przymusić abyśmy mu Zunię dali. Co to!.. Niedoczekanie twoje! Obaczym się tak wnet... Jak tylko przyjdzie nam dekret z Błażejówa i obligacji wypłada, zapłacę ko, [illegible] mu zapłacę? Ale kto z nami! [illegible]! [illegible] ni się nie pokazuje na oczy!

Nie pomogły perswazje i zaklęcia pani Odrzejowej. Dziecię „[illegible]" odwagi się nie dał i w tem usposobieniu napisał list do p. Teodora.

Wierny wyjęciem stanie list ten go doręczył. [nieszczęsnego bohatera] Czytał on go dokładnie i przypieczętował wybuch niebezpiecznej choroby, powalił go na łóżko.

Zinia ani o liście Ojca ani o chorobie p. Teodora nie wiedziała. Na jej zapytanie czy mówiła z Ojcem, odpowiadała p. Odrzejowa w sposób wymijający i gładząc jej twarzyczkę. Odrzekła tylko: Ojciec nic jeszcze z tem, a nie teraz nie wspominaj o p. Teodorze bo był bardzo gniewał. Ale nie bój się dziecko, nie trwoż się, nie martw, [już ja to biorę na siebie] wszystko będzie dobrze.

Ale tajemnica inną drogą doszła do wiadomości dziewczęcia. Wydała się Maryna, którą p. Odrzej posyłał był z listem do p. Teodora. Powiedziała jej o tem [w pierwszej nadarzonej] sposobności, nie przeczuwając jakie ta wiadomość będzie mieć dla Zini znaczenie – a tej sposobności wspomnienia o liście nastręczyła jej nowina powzięta od stróżowej [na targu] domu w którym mieszkał p. Teodor, nowina o jego ciężkiej chorobie...

Łatwo wyobrazić sobie jakie te dwie wiadomości wywarły wrażenie na serce zajęte już przedtem serduszko dziewczęcia.

Zinia [illegible] na chwilę że to list jej ojca przyprawił o tę chorobę p. Teodora.

Co robić? co tu robić? – I rozbijając się zmysłami przez noc całą w swojej panieńskiej izdebce, wymyśliła wreszcie środek – jedynie skuteczny jej zdaniem lekarstwo na chorobę ukochanego. Postanowiła napisać do niego.

Miłość dodała jej odwagi. Napisała list – dwukartkowy.

Narażając z sobą Marynę, zaprzysięgłszy najściślejszą tajemnicę – odniosła list i wedle zobowiązania oddała go do rąk własnych p. Teodora.

Dzięki staraniom przyjaciela lekarza, odzyskał był on przytomność. Poznał wchodzącą do pokoju Marynę, zrozumiał wymówione przez nią wyrazy: „od panienki" i list z wzruszeniem odebrał.

Czytać go nie mógł.

Trzymał go długo w ręku nieruchomy. Myśli jakieś dziwne przebiegały go dreszczem, uczucie wrażenie [illegible] go z bezdennej martwoty wyjęło, pogrążyło go tylko chwila, ale wybuchem tego uczucia przywrócone siły wyczerpywały się razem z myśli natężeniem. – Trzymał list w ręku, probował rozerwać koperty – napróżno, sił na to mu nie starczyło. Odpoczywał długo. Oczy zachodziły mu mgłą, zamykał je i otwierał znów po chwili. Zapadał w omdlenie i [illegible] chwilami od dotknięcia tego listu jakby od dotknięcia elektrycznego przewodnika.

Karol nie śmiał odebrać mu listu. Że owo z [illegible] list doręczony: „od panienki" – dały mu coś do myślenia. Kto wie, powiedział, może to uczucie wywoła pożądaną w organizmie reakcję, może go uzdrowi.

[Tęsknym i stęskniony dzień jesienny w promieniach] Słońca upadł na łóżko Teodora. Drgnął chory i ocknął się z długiej niemocy. Heroicznym siły porywem udało mu się rozerwać kopertę listu. Wyjął go, rozłożył, poniósł do oczu – niestety [illegible] list. Trzymał go jakiś czas przed oczyma – wreszcie opadła mu ręka bezwładnie na kołdrę. Westchnął boleśnie i zmęczony nadmiernym wysiłkiem przymknął powieki.

Dłużej niż kilka chwil zanim ponowił próbę czytania. – Napróżno, słabość mu nie dozwoliła nawet [na to] aby list utrzymać przed oczyma, ręka drżała gwałtownie – [illegible] tylko panie [illegible] i nie rozumiałem

przemawiał Dani/ całym ciałem.

Żuzia nigdy pewnie nie pisała do niego. Cóżby list jej mógł zawierać? Napróżno Tomasz wdrugi raz[?] – Fizyczne przypomnienie, złe i dobre, jak blade ogniki tu[?] migotały i gasły mu w mózgu.

Napróżno! on nie zaczytał tego listu, nie dowie się jakie słowa wziął – chyba kiedyś, jak wyzdrowieje – jeśli wyzdrowieje ... jeśli ...

A to może nie nagle? (może ona pamięta jego cierpienie? – może obawia się rady? nie rozumiała niedoli?) ... A on bezwładny nawet sobie się odmyśleć nie potrafi! ach to okropne?...

Może umrze – i nie odczyta? Ach, gdyby żyć! wyzdrowieć, obaczyć ją raz jeszcze! Ach, gdyby ją obaczyć szczęśliwą, uśmiechniętą... choćby z drugim... potem i zemrzeć!

Powiódł wzrokiem list do ust i ucałował..

Ożywiła się na blasku jakimś oblicze jakby przypomnieniem światełka.

Skinął na przyjaciela. Karol nachylił się nad nim, pytając o jego życzenie.

— Umrę? – szepnął chory i (wyszeptał w lekkiem badaniem – powtórzone z lekka głos uspokojonego na podobiznach)

— Nie, będziesz zdrów.

Teodor milczał. Zdawało się, iż odpowiedź ta nie zaspokoiła go. Opadła mu głowa nagle na wezgłowie nadzieję, przytłoczyła się usta i po chwili wyglądał znowu. Tonem spokojniejszej rezygnacji szepnął jakby sam do siebie:

— Umrę!

Przymknął powieki i zdawał się drzemać. Oddech jego był tak cichy, że Karol z niepokojem z wszystkiem nasłuchiwał czy żyje.

Minęło pół godziny tak tylko ciche. Czasem drżeniem poruszały się drgające jakimś ruchem palce wyciągniętej ręki jego. Nagle list leżący w prawej ręce się wypuścił zaszeleścił – a chory (ożywiony tym szelestem) otworzył się i przetwornie oczy. Powiódł niemi bezradnie dokoła, szukając lekarza. Karol nachylił się nad nim.

Chory milczał ale walka jakaś wewnętrzna malowała mu się na twarzy. Wreszcie wyciągnął rękę z listem ku przyjacielowi i szepnął cichym dosłyszalnym głosem

— Co pisze?

— Przeczytać ci?

— Co pisze? – powtórzył niecierpliwie.

Powtórzenie tego pytania mieści wyraźnie znaczyć, aby Karol sam list przeczytał i powiedział krótko choćby jego omowę. Słuchać listu wcale chory nie chciał. Karol wziął list do ręki i czytał. Przez ten czas Teodor nie spuszczał oczu z jego twarzy. Zdawało się, stokroć wyczyta jakie treści listu wyprowadzi nawet na wyrazie przyjaciela, zdawał się odgadywać jego omowę.

Karol był świadkiem tu niezwykłe lekarskiej nie ozięble usamiowania i nie rozwijał (tego co widział i słyszał) nocnicą przybraną. List dotknął tak dosłownie, zwłaszcza niemiło, tak wielkiej wzruszającej nadzieja treści dozwolił mu, iż mimowolnie współczucia i sympatii podziwiał się w swoim wrażeniem... List był z Brazylii, który mógł zanieść omowę rzeczy się. Zacząć (jak nam wiadomo) list od Brazylii, który mógł zanieść omowę zagrać nam serce. Żuzi i żona, który go natchnęło.

Spojrzał na przyjaciela, spotkał się z jego badawczem spojrzeniem – z uśmiechem rozmarzonym uścisnął mu rękę i rzekł:

— Dziś – ten list widocznie zbrzydł się. Korzyści – bardzo ładne. I niejedno więcej a zawiodło list napowrót do jego dłoni.

próżni lękliwi nie chcieli.

Rozjaśniły się oczy chorego promieniem szczęścia. Przymknięty oddechem podniósł się klatka piersiowa. List ścisnął w spotniałej dłoni. Szeroko rozwartemi źrenicami patrzał na przyjaciela, aż mu drgały niedowierzaniem jakimś słowa. Znów blade usta innych wyraz. Zmieniony szybko wypowiedział ostatecznie,

przypatrywały się powieki a spokojniejsze oczami na nie.

— Uratowany! – szepnął Karol sam do siebie.

Ale w dwie godziny później znów omdlał i poznał iż jego przyjaciel usypia snem, z którego nie ma już przebudzenia.

Nic nie pomogły mu na nic najenergiczniejsze środki ratunku. [illegible] o trzeciej rano Teodor już nie żył.

IX. Z zaciśniętych palców wyjął Karol list przyjaciela żony.

Zawahał się. Czy włożyć mu go do trumny? Czy spalić?

Przeczytał go raz jeszcze i zawahał. Biedny przyjaciel! pomyślał; jakżeż by mógł być nieszczęśliwym?

I żal mu było ten poemat dziwnej miłości rzucać do grobu na pastwę robactwu lub w ogień na pastwę płomieniom. Nie, ten list, który wywołał na usta jego ostatni uśmiech szczęścia, ten list na którym on ostatni odbił pocałunek — jej oddać należy, jako ostatnią po zmarłym pamiątkę.

A wraz z listem należy jej też opowiedzieć o tej chwili niebiańskiego szczęścia jakie obdarzyła na wieczne pożegnanie ukochanego.

Ale kto ona?... List jej podpisany był „Łucja”, podpis na liście jej ojca zawierał tylko dwie litery z których pierwsza podobna była do B., druga zaś z powodu pretensjonalnego arabeska straciła wszelkie podobieństwo do [illegible] znaków których się uczą żaki pisać na tablicy [illegible]. — [illegible] przyszło dziecku Karolowi nawiązać tej, która miłości ostatnie chwile zmarłemu jego przyjacielowi. Do niej [illegible]. Wszystkim smutkiem wziął go po zgonie śmierci przyjaciela, marzył on o owej „Łucji” jakby o dobrej znajomej, jak o przyjaciółce, żywej, najżywszej która została w jego trumnie. Poznać ją, pomówić z nią o zmarłym, doręczyć jej list i opowiedzieć o ostatnich chwilach ukochanego — które jej bolesne [illegible] — [illegible] obrazek w myśl tym obrazem w jego wyobrażeniu była mu pociechą.

Tymczasem zajęto się szczegółami pogrzebu. Czarnym kirem przysłoniono ściany pokoju a pośrodku na podwyższeniu ustawiono trumnę. Zmarły nie zmienił się po śmierci, wyglądał z trumny [illegible] i apatii w rysach przybrały one jak za życia łagodny a pełen słodyczy melancholijny uśmiech. — Wpatrywał się Karol w te same oblicze przyjaciela, gdy w tem weszła dziewczę panienka, jakaś w czarnej sukience w towarzystwie matki i [illegible] zmarłego głębokim wylękłym płaczem.

— To ona – pomyślał Karol i usunął się.

Cicho Łucja zbliżyła się do trumny, patrzała na drogie rysy czas jakiś z niezmiernym żalem, potem [illegible] się obrazu zagłady jak szalona i padła na kolana. — Usiłowała się modlić. — Ale zamiast modlitwy rozpaczne tylko szlochanie wydobywało się z piersi. Napróżno starała się ją uspokoić matka, uspokoić się nie dawała i coraz gwałtowniejszym wybuchała płaczem. Chyliła się wtedy modlitwą ku ziemi jak kwiatek

podcięty kosą, gdy zwłoki na stanął katafalku i orszak otoczony słychać było już tylko spazmowe jęczenie… Bezprzytomną wyniesiono z pokoju do sąsiedniego mieszkania.

Karol przyprowadził lekarza powoli a gdy Zunia przyszła nieco do siebie, dopomógł matce w przeniesieniu jej do domu i wyniesieniu do mieszkania na drugiem piętrze.

P. Błażej zastał żonę i córkę w tym stanie, dowiedział się gdzie była i został zapisany zaraz od ludzi. Zastępował go w zakładzie Karol i wyczytał przed nim że nerwowy stan córki zagraża niebezpieczeństwem cięższej choroby. — mogłaby nastąpić nawet śmierć.

Na te słowa zniknął zwykły wyraz miny p. Błażeja i żeby czarem odżyła, zmiękł i złagodniał jak baranek — a Karolowi wzbronił odejść od jej łóżka ani na chwilę.

Staraniem młodego lekarza Zunia nie odniosła pomyślnego skutku. Szybko rozwinęła się groźna nerwowa słabość a zaniepokojony Karol uznał potrzebę zwołania konsylium.

Ciężko odpokutowała rozpacz swoją Zunia kilkutygodniową chorobą. Długi czas wahała się między życiem a śmiercią.

Karol pacjentki swej nie opuszczał i nie szczędził starań. Czemuż nie zdał się staraniom innego zdolniejszego lekarza? Niezmiernie był na to odporny. On sam, znalazł usprawiedliwienie przed sobą i uznał za święty obowiązek wobec zmarłego przyjaciela zaciągnięty, a tylko aby ją ocalić ale by opowiedzieć jej o jego ostatnich chwilach i oddać jej list jej własny, z którym Teodor skonał z uśmiechem szczęścia na ustach.

Stan jej zdrowia nie dozwalał mu długo dopełnić tego obowiązku.

A gdy gorączka ustąpiła, zaufanie jakiem obdarzała go pacjentka zmieniło się wkrótce w najszczerszej przyjaźni.

Jedyną dla niej pociechą, jedynem wielkiem szczęściem na ziemi była rozmowa o drogim zmarłym i o jego przyjacielem, który mu zamknął powieki, który rozradował mu serce ostatnią wieścią o jej miłości.

A Karol? czy rychło zrozumiał, czemu tak słodko mu i tak boleśnie rozmawiać o swym druhu z tą, którą gotów kochać i zaraz tak kocha potężnie?

Zrozumiał ale wyznać tego nie śmiał nietylko przed nią ale ani nawet przed samym sobą.

Odjechał wreszcie — ale rychło powrócił do Lwowa aby odwiedzić pacjentkę swoją i o wspólnym pomówić przyjacielu…

Gwałtownem nadwerężone wstrząśnieniem zdrowie Zuzi niemogło wrócić do równowagi. – Na wiosnę Karol zaordynował wyjazd do kąpiel.

Polepszył się stan jej zdrowia, ~~[illegible]~~ w ciągu lata ale ~~[illegible]~~ z opadnięciem jesieni znów ciężki smutek osiadał na jej twarzy a w zimie do okytku się przyplątała się piersiowa choroba, która wielkie przejęła obawą jej rodziców i jej lekarza. Wyglądała bowiem Zuzia, zmizerowała, podobna raczej do cienia swego niż do owej pięknej, wesołej dziewczyny, jaką jeśmy poznali na początku ~~tej nowelli~~ naszego opowiadania.

Wyjechała do ~~[illegible]~~ Włoch.

Podróż osłabiła ją znowu ale po przybyciu do Mentony stan jej zdrowia poprawił się znowu i za radą tamtejszych lekarzy postanowiono wyczekać dłużej na południu.

Otrzymawszy uwiadomienie o polepszeniu swej pacyentki, Karol powrócił się do obowiązków swej ~~praktyki~~ mentem przyśpieszając powrót do kraju...

Przyjazd jego przywrócił jej humor, siły, zdrowie – jakby udzielił jakiś nowy lekarz, a lekarzem tym w rzeczy samej była zgoła... rozmowa o zbrodniczym...

~~Rozmawiając z nią o [illegible] [illegible]~~.

Przyjmowani brata i siostry uradowanymi i poufałościami była uznanie, jak ten stosunek który łączył pacyentkę i lekarza.

I stało się raz nieszczęście. Rozmawiając z nią o zbrodniczym – ~~[illegible]~~ i o 130 milionach – powiedział jej o swojej. –

Pobladła, zakryła oczy i drżąc na całem ciele ~~[illegible]~~ odrzekła:

– Panie Karolu! niech mi Pan więcej nie mówi! – Jeśli pan miał wyrażać nazwisko pan pamięć ...naszego znajomego! – jeśli pan chce abym nie umarła...

Zamilkł.

Ale po jakimś czasie wrócił znów do tej rozmowy. Otrzymawszy tę samą odpowiedź, te same prośby i zaklęcia wszystkie.

Odjechał.

Wkrótce i pp. Ostrzyccy wrócili do kraju.

Otoczony Karola, Zuzia znajdowała pocieszenia radości.

[illegible]

I zaczęły się znowu rozmowy o zbrodniczym.

– Pojedźmy razem na jego grób – zaproponowała Zuzia

I pojechali.

Ona modliła się. On zadumany patrzał na niego i wzdychał. Blady był.

Trwało to czas jakiś, nagle silnem jakiemś postanowieniem zaprzysięgały mu oczy.

Kiedy powstała, odrzuciwszy włosy w tył — zwróciła się ku niemu aby mu podać ramię, on nie ruszył się z miejsca. Z chmurnem czołem z rękoma na krzyż założonemi na piersiach stał pogrążony w zadumie.

— Chodźmy! — rzekła

Ale on stał nieruchomo jak posąg.

Czekała chwilę — ale gdy to trwało zbyt długo, powtórzyła pytanie:

— Cóż? pójdziemy już?

Nie odpowiadał.

— Co panu? — zapytała lekko zaniepokojona.

Milczał.

Zbliżyła się do niego, powiodła spojrzeniem na ponury wyraz jego oczu.

— Panie Karolu!.. co panu?

Ani słowa.

Dotknęła go za ramię.

On się zaśmiał szydersko | Zadrżała — tknięta złowrogiem jakiemś przeczuciem.

— Biedny przyjacielu! (rzekł nagle) zapóźno ci powiedziała że cię kocha!... Twój los i mnie czeka... bo kto żyłby i byłby szczęśliwszy... [illegible] że ona mnie [illegible] na pamięć Twoją, najprzyjaźniej zaręczam [illegible] że mnie kocha — i że mnie zabija..

— Panie Karolu! rzekła tonem wyrzutu.

— Tak jest! — zawołał i spoglądał się namiętnie na nią: kochasz mnie! kochasz mnie! kochasz mnie!

Pobladła — nie śmiała zaprzeczać — nie śmiała wyrwać się z jego rąk...

— I zabijam... dodał Karol

— Nie... nie...

— kochasz?

— ...

— Kocham....

x x x

Dwa lata minęły od śmierci Teodora — w trzecią rocznicę jego zgonu odbył się ślub Luci z Karolem. Obchodzą ten dzień zawsze, sądząc że winni to pamięci zmarłego który był ich swatem.

Są bardzo szczęśliwi.

[illegible] X.

Sewer.

(w kwietniu 1881.)

Druga mitošé